ZDUMIEWAJĄCY ŚWIAT
Amazing World

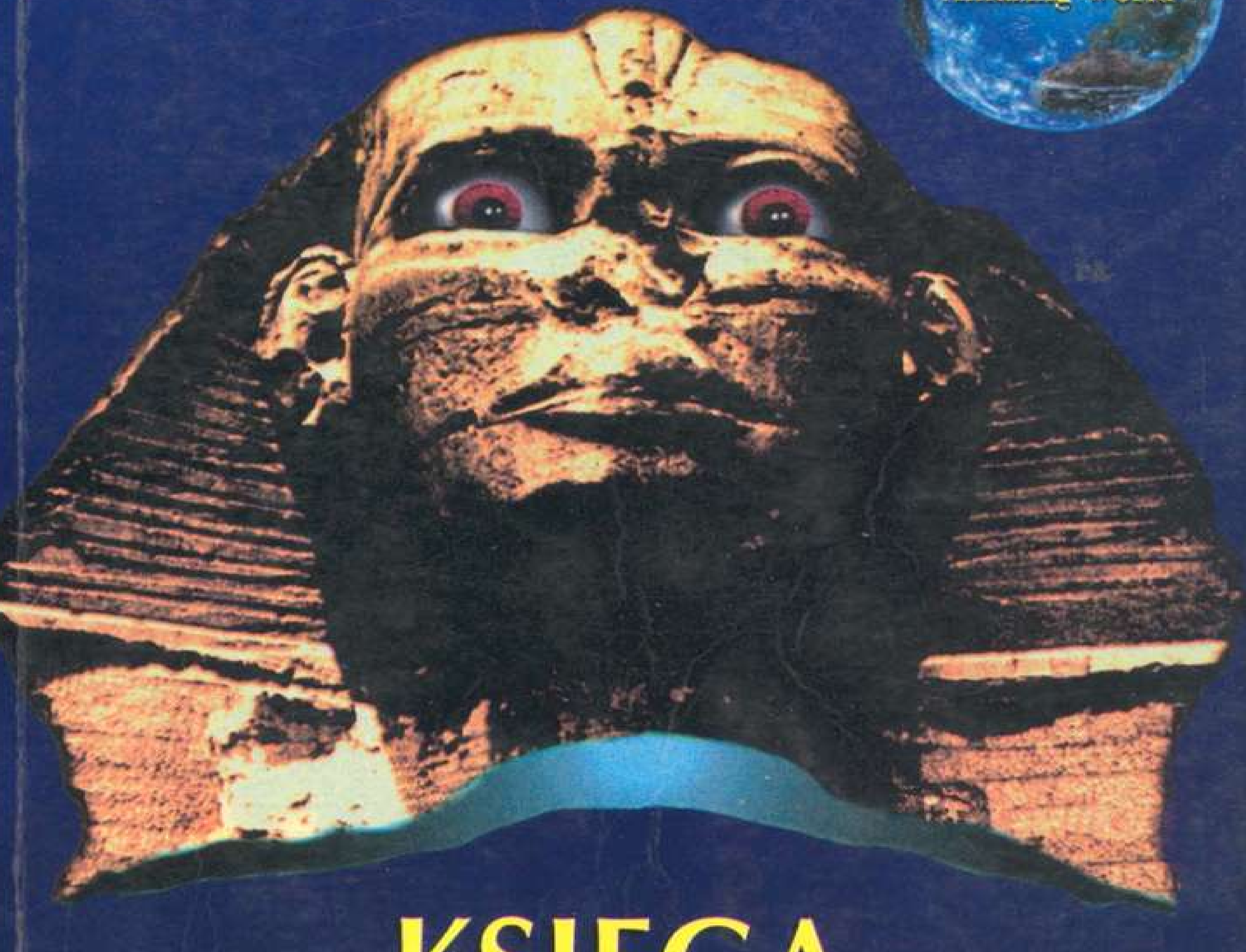

KSIĘGA TAJEMNIC

Thomas De Jean

1

Pandora

Thomas De Jean

KSIĘGA TAJEMNIC 1

Pandora
1992

Ilustracje i fotografie pochodzą z następujących źródeł:

Jacques Bergier: *Le livre de l'inexplicable*
Richard Cavendish: *Encyclopedia of the unexplained*
Johannes & Peter Fiebag (Hrsg): *Aus den Tiefen des Alls*
John H. Heller: *Report on the Shroud of Turin*
Douglas Hill & Pat Williams: *The Supernatural*
Derek & Julia Parker: *Atlas of the Supernatural*

ISBN 83-900427-3-8
Wydanie drugie, rozszerzone, poprawione i ilustrowane
Copyright © by Thomas De Jean, Kopenhaga 1992
All rights reserved.
Copyright © for the Polish edition by **Pandora Books**, Łódź 1992

TAJEMNICZE ZJAWISKA

WYSPA STRACHU

Strach paraliżuje ludzi z tropikalnego raju w Cieśninie Torresa. Nawiedzona wyspa Gabba, położona około stu kilometrów na północ od przylądka York, pokryta jest lasami i pocięta dzikimi rzekami. Jej drzewa pełne są tropikalnych owoców, woda w rzekach jest przejrzysta jak kryształ, a plaże cudowne. W zatokach pełno krabów, langust, krewetek i ryb. Temperatura w sierpniu jest idealna, sięga około 30°C i pozostaje na tym poziomie przez większą część roku.

Jednakże mieszkańcy wysp w Cieśninie Torresa unikają tych rajskich ogrodów jak dżumy, w przekonaniu, że pozostanie na Gabbie po zachodzie słońca to pewna śmierć.

Jimmi Levi, tubylec z wyspy Thursday, opowiada o Gabbie i o „czarownicy", która ją nawiedza. Levi jest mechanikiem na statku wahadłowym „Melbidir" i mówi się, że najlepiej ze wszystkich zna grupę wysp Cieśniny Torresa.

„Ona jest jak diabeł – oznajmia tonem spokojnym, powściągliwym, tak charakterystycznym dla wyspiarzy. – Nasi ojcowie mówili nam, że zabija tych, co zostają na noc na wyspie. Rzuca w nich olbrzymimi kamieniami..."

Gabba była kiedyś jedną z najgęściej zaludnionych wysp w Cieśninie Torresa, lecz jak wieść niesie, około trzystu lat temu jakaś straszna choroba rozpanoszyła się na wyspie, gdy kilku jej mieszkańców zjadło jadowite żółwie. Ci, co przeżyli, wsiedli na czółna i wiosłując uciekli na inną wyspę. Wszyscy, oprócz starej kobiety, która jęcząc i przeklinając ludzi na czółnach, dowlokła się aż na szczyt skał.

Później tubylcy, którzy przybywali na Gabbę, słyszeli dziwne jęki i przeraźliwe krzyki, a kiedy zapadała noc, spadały na nich ogromne kamienie. Tylko niewielu powróciło. Trzęsąc się ze strachu, opowiadali, że na olbrzymiej, chwiejącej się nad wyspą skale widzieli przerażającą postać starej kobiety, która wyła i chichotała na przemian.

„Wszyscy w to wierzą... nawet młodzi – mówi Jimmy. – Ściszają głos, kiedy opowiadają o czarownicy. Wielka szkoda, bo Gabba jest piękną wyspą. Można tu łowić najlepsze gatunki ryb. Czarownica ze skały nie zezwala jednak, by ktokolwiek tam zamieszkał".

Oczywiście historyjka o czarownicy to zwykła bajka, ale faktem jest, że na Gabbie dzieją się jakieś dziwne rzeczy. Można się śmiać z opowieści krajowców wierzących w duchy, lecz podobnie o Gabbie mówią także biali, którym zdarzyło się przebywać na tej kuszącej rajskimi warunkami wyspie.

Para amerykańskich turystów, chłopak i dziewczyna, przybyła motorówką z zamiarem spędzenia tam wakacji. Wydawało się, że na wyspie nie ma żywego ducha, co zdziwiło młodych, ale jeszcze ich nie zaniepokoiło. Niepokój, właściwie nie wiadomo, czym spowodowany, pojawił się po zapadnięciu zmroku. Kiedy nastała noc, zaczęły dziać się przedziwne rzeczy.

Chociaż nie było wiatru, ze skały, pod którą spali, zaczęły staczać się wielkie kamienie i o mało ich nie zmiażdżyły. Ale najgorsze były dźwięki rozlegające się, jak im się zdawało, na szczycie skały. Było to coś w rodzaju przeraźliwych jęków i zawodzeń, od których cierpła skóra. Nie mogąc tego dłużej znieść, młodzi wsiedli do motorówki i odpłynęli, by nigdy tam nie powrócić.

Podobna przygoda spotkała na Gabbie trójkę amerykańskich żołnierzy piechoty morskiej, którzy w pełnym uzbrojeniu opuścili stojącą nie opodal barkę desantową, by sprawdzić pogłoski o nawiedzonej wyspie.

„Rozbiliśmy obóz tuż przed zachodem słońca – opowiada jeden z nich. – Zjedliśmy kolację, pokręciliśmy się trochę po najbliższej okolicy, dowcipkując na temat straszącej na Gabbie czarownicy, i gdzieś o dwudziestej trzeciej położyliśmy się spać. Już zasypiałem, kiedy usłyszałem dźwięk, jakby toczącego się z góry kamienia. W pierwszej chwili pomyślałem, że to któryś z kolegów chce spłatać figla, ale nie – obaj leżeli obok i z czujnym wyrazem twarzy nasłuchiwali. Z góry naprawdę toczył się wielki głaz! Przeleciał jakieś pięć metrów od naszego legowiska i uderzył w znajdującą się w pobliżu skałkę, a my już byliśmy na nogach, gotowi, by uciec mu z drogi. Za chwilę stoczył się drugi kamień, nieco mniejszy, a później trzeci. Czwarty kamień leciał ku nam z ogromną szybkością, odbijając się od ziemi, jakby ciskały go ręce jakiegoś olbrzyma. A przecież kamień ten ważył jakieś sto kilogramów!

Ale to nie wszystko. Kiedy czwarty kamień znieruchomiał u naszych stóp, ze szczytu skały rozległ się niesamowity dźwięk, przypominający głośny chichot. Tego było już za wiele. Odbezpieczyliśmy broń i pobiegliśmy na górę wąską ścieżką, dobrze oświetloną światłem księżyca, który był w pełni. Po jakichś stu metrach ścieżka zakręcała i stamtąd właśnie, zza zakrętu, dobiegł nas głos tak okropny, że stanęliśmy jak wryci. Prawdę mówiąc, za żadne skarby świata nie chciałem pójść, by zobaczyć, co jest za tym zakrętem.

Sierżant gestem dłoni pokazał nam, co mamy robić, i wszyscy trzej, z odbezpieczonymi automatami, skoczyliśmy do przodu. Za zakrętem nie było nikogo, ale ten piekielny dźwięk nadal było słychać, choć oddalał się od nas i wibrował, jakby wydawał go ktoś biegnący w podskokach! Wokół nic się nie ruszało – tylko gałęzie krzewów, przez które biegła górska ścieżka, lekko się chybotały.

Byłem w Wietnamie i przeżyłem wiele mrożących krew w żyłach przygód, ale nigdy nie bałem się tak jak owej nocy na Gabbie, kiedy ścigaliśmy jakiegoś zawodzącego upiora.

Teraz, po latach, myślę, że musiał tam mieszkać jakiś obłąkany".

Jaką tajemnicę skrywa Gabba – wyspa strachu?

STĄPANIE PO OGNIU

Chodzenie po rozżarzonych węglach na Sri Lance (Cejlon) to świąteczny rytuał religijny podczas dorocznej pielgrzymki do Kataragamy, czyli największej świątyni na wyspie. Jako jedna z ważniejszych atrakcji turystycznych fascynuje tłumy. Badacz Carlo Fonseka postanowił przeprowadzić wnikliwe badania tego nadnaturalnego zjawiska. Odwiedził wszystkie miejsca, w których odbywały się podobne rytuały, i okiem doświadczonego lekarza obserwował wiernych stąpających po rozżarzonych węglach. Poszukiwał odpowiedzi na proste pytanie: jak to możliwe, aby ludzie ci nie doznawali oparzeń?

Za każdym razem Fonseka mierzył przebytą odległość oraz temperaturę powierzchni. Najdłuższy dystans, który napotkał w Kataragamie, wynosił 5,5 metra długości. Inne, znacznie krótsze, miały od 1,2 do 2 metrów, a grubość warstwy rozrzuconych węgli od 8 do 15 centymetrów. Temperatura ognia sięgała od 300° do 450°C. Co ważniejsze, badacz mierzył czas trwania marszu przez ogień i liczył ilość kroków. W Kataragamie, na przykład, stu piechurów przebywało w płomieniach po trzy minuty każdy. Najszybszy z nich przebiegł po węglach w ciągu półtorej sekundy, a najdłuższy przemarsz trwał jedynie sześć sekund. Zwykle wystarczało dziesięć kroków, przy czym stopy ledwie dotykały ognia. Wszystko trwało średnio około trzech sekund.

Obserwacje te skłoniły Fonsekę do wyciągnięcia następującego wniosku: „Na tym etapie powstaje oczywiste pytanie, czy odporność maszerujących w ogniu zależy od krótkiego kontaktu ich stóp z żarzącymi się węglami podczas stawiania kroków. Jeśli tak, to ci, którzy ulegli poparzeniu podczas «płomiennego marszu», zachowali się jak dzieci z *Alicji w krainie czarów*: biedne maluchy zapomniały o prostej zasadzie, która mówi, że «rozgrzany do czerwoności pogrzebacz oparzy cię, jeśli będziesz trzymał go zbyt długo»".

Nie jest to jednak wyczerpująca odpowiedź. W szpitalu w Kataragamie odnotowano liczne przypadki poważnych poparzeń, nawet kiedy kontakt z ogniem trwał tylko kilka sekund. Pewien brytyjski ksiądz, który odważył się wstąpić na rozżarzony żużel i znalazł się na oddziale ciężkich oparzeń, tak opisywał później swoje przeżycia: „Czułem się tak, jakby jakieś dzikie bestie szarpały moje stopy".

Carlo Fonseka zaobserwował także inną ważną zależność: badania ludzi, którzy często uczestniczą w takich rytuałach, wykazały, że epiderma pokrywająca powierzchnię ich stóp jest gruba i szorstka. Okazało się, że nigdy nie nosili oni obuwia.

Natychmiast nasuwają się dwa pytania:

Czy grube i szorstkie podeszwy stóp są bardziej wytrzymałe na wysokie temperatury niż cienkie i gładkie? Czy zwyczaj chodzenia boso wzmaga tę odporność?

Profesor Fonseka skonstruował prosty, ale pomysłowy aparat, składający się z czterdziestowatowej żarówki, umieszczonej w metalowym cylindrze. Do eksperymentu zwerbowano ochotników, a wśród nich kilku takich, którzy od dawna uczestniczyli w rytuale chodzenia po ogniu. Każdy stawiał stopę na przyrządzie doświadczalnym, następnie profesor włączał żarówkę i mierzył, jak długo byli w stanie wytrzymać ciepło.

Wyniki wykazały wyraźną różnicę między tymi, którzy zawsze noszą obuwie, a tymi, którzy chodzą boso i mają wskutek tego zgrubiały naskórek stóp. „Bosonodzy" w ogóle nie odczuwali gorąca dwadzieścia dziewięć sekund i mogli utrzymać stopę nad żarówką ponad minutę i piętnaście sekund, podczas gdy ci, którzy ciągle nosili buty, już po sześciu sekundach odczuwali gorąco, a po trzydziestu siedmiu krzyczeli z bólu. Dalsze testy dowiodły, że ludzie o zimnych i wilgotnych stopach znosili wysoką temperaturę nawet dłużej.

Aby potwierdzić swoją hipotezę, Carlo Fonseka zamówił cały stos drewna *Vitex pinnata*, używanego podczas „płomiennych marszów". Następnie ułożył rząd piętnastu ognisk i dokładnie odtworzył warunki, które panowały w Kataragamie podczas prawdziwych ceremonii. Żaden z uczestników doświadczenia nie uległ poparzeniu, chociaż temperatura powierzchni rozżarzonego podłoża osiągnęła 500° C. Charakterystyczne było to, że ci o bardziej wrażliwych stopach musieli przeskakiwać bardzo szybko po gorejących węglach, aby uniknąć bólu, natomiast ludzie nigdy nie noszący obuwia potrafili spokojnie przechadzać się po nich.

Profesor Fonseka był zachwycony. Nie tylko uzyskał potwierdzenie swojej teorii, ale mógł także wykluczyć jako całkowity nonsens wyznawane przez wielu przekonanie, że umiejętność maszerowania po gorących węglach jest zdolnością nadprzyrodzoną lub nagrodą od Boga za dobre i moralne życie. „Aby wyjść bez szwanku z płomiennego marszu, nie jest konieczna wstrzemięźliwość seksualna, stronienie od alkoholu czy mięsa" – zawyrokował uczony. W interesie nauki pielgrzymi biorący udział w eksperymencie wyrzekli się przekonań religijnych, wypijając potężny łyk araku, silnego miejscowego trunku, i pochłaniając kilka kotletów wieprzowych.

ZAWIESZENI NA HAKACH

Carlo Fonseka nie zdążył jeszcze opublikować wyników swoich eksperymentów w cejlońskim dzienniku medycznym, kiedy jeden z jego uczniów, student medycyny, rzucił mu wyzwanie, zmuszając do ponownych poszukiwań. Tym razem chodziło o fakirów i tzw. świętych ludzi. Student ten wydrukował w miejscowym „Daily Mirror" artykuł o ironicznym nieco tytule: *Dyndający na hakach, czyli zagadka nie do wyjaśnienia*. Ton był trochę kpiarski, ale i w najwyższym stopniu prowokujący, przynajmniej w odczuciu profesora fizjologii, który w dodatku uchodził za radykalnego racjonalistę.

Fonseka wziął więc udział w licznych ceremoniach religijnych i ze zdumieniem zobaczył, jak pielgrzymi pokutują za swe grzechy, zwisając na linach przymocowanych do ich ciał za pomocą ostrych jak brzytwa haków, wbitych w ich skórę. Ta niezwykła wytrzymałość na ból i zdolność do przetrwania próby bez żadnych widocznych obrażeń, którą student zaobserwował wśród wiernych, wydała mu się zjawiskiem podważającym dotychczasowe osiągnięcia współczesnej wiedzy medycznej.

W normalnych warunkach ludzie ci odczuwają ból, krwawią, doznają szoku neurogenicznego, są podatni na gangrenę gazową, tężec i infekcję bakteryjną powstałą w wyniku ran, lecz żadna ze wspomnianych dolegliwości nie wystąpiła w przypadku zawieszonych na hakach, a ich ciało nie zostało w najmniejszym stopniu naruszone, mimo iż całym ciężarem zwisali na linach podtrzymywanych na wrzynających się w skórę hakach. Wszystko to student uznał za cud i stwierdził, że istnieje siedem nie wyjaśnionych tajemnic, związanych z tym „fantastycznym wyczynem, będącym przejawem niezachwianej wiary".

Argumenty te nie wystarczyły jednak, aby przekonać profesora. Sri Lanka była idealnym miejscem do prowadzenia badań, gdyż mnóstwo tam zawodowców, którzy wynajmują się do mrożących krew w żyłach pokazów, organizowanych dla przyjemności i dla turystów. Dzięki nim eksperyment okazał się sprawą łatwą i nie wymagającą dużo czasu.

Spośród wielu wykonawców tej sztuki Fonseka wybrał Jayasuriyę, „młodego ochotnika o logicznym i chłodnym umyśle". Wybór nie mógł być lepszy i po trzech długich seansach, odbywających się pod ścisłą kontrolą specjalistów (wiszenie na hakach, jeśli cud się akurat nie zdarzy, może być bardzo niebezpieczne dla nie wtajemniczonych), Jayasuriya zasłynął jako „bohater na hakach".

Profesor przeanalizował dokładnie „siedem tajemnic", o których pisał student. Wyniki tych badań dają się streścić w serii pytań i odpowiedzi.

1) Dlaczego wiszący na hakach nie odczuwa bólu?

Ponieważ sam się zgłosił, aby przejść tę próbę. Odpowiednie nastawienie umysłu jest sprawą zasadniczą. Żołnierze ranieni w bitwie utrzymują często, że nie czują bólu, co można przypisać nadziei, że jako ranni zostaną wyłączeni z walki na jakiś czas. Dla bardzo gorliwych wiernych ekstaza i poczucie, że zmywają swoje grzechy, są silnymi środkami znieczulającymi. Zresztą, nawet pan Jayasuriya, który „wzgardził pomocą boską", nie cierpiał bólu po prostu dlatego, że sam powziął zamiar uczestniczenia w tej próbie. Co więcej, zwisając na hakach podczas eksperymentu, zagadywał wesoło przechodniów, wprawiając ich w osłupienie i podziw.

2) Dlaczego zawieszeni ludzie w ogóle nie krwawią, mimo że haki wrzynają się w ciało?

Krwawią, ale tylko trochę. Dzieje się tak z trzech powodów. Po pierwsze, przebicie ciała uwalnia adrenalinę, hormon odpowiedzialny za kurczenie się naczyń krwionośnych, znajdujących się w skórze i tkankach powierzchniowych, w które wbito haki. Po drugie, ciało posiada naturalny mechanizm (tzw. mechanizm zewnętrzny), służący do tamowania krwawienia z uszkodzonych tkanek. Mechanizm ten natychmiast się włącza i uwalnia związek chemiczny powodujący krzepnięcie krwi. Trzeci czynnik jest prawdopodobnie najważniejszy: zanim hak zostanie wbity, pomocnicy mocno zaciskają miejsce, w którym ma zostać umieszczony. To sprawia, że przyległe naczynia krwionośne przestają funkcjonować, a ucisk liny, do której przymocowany jest hak, podtrzymuje ten stan.

3) Jak udaje im się uniknąć tężca, gangreny gazowej i zakażenia ran?

Nie we wszystkich przypadkach rzeczywiście to się udaje. Po próbie rzadko się ich bada, ale istnieją dowody świadczące o zakażeniach. (Zarówno haki używane w eksperymentach profesora Fonseki, jak i rany, które powstawały w wyniku ich umieszczenia w ciele, były dokładnie wycierane i sterylizowane). Można nie brać pod uwagę tężca czy gangreny gazowej, ponieważ rzadko występują, zwłaszcza u ludzi, którzy od dawna praktykują wiszenie na hakach i mają już w tej dziedzinie duże doświadczenie. Poza tym, są zwykle młodzi i utrzymują dobrą kondycję fizyczną.

4) Dlaczego podczas próby wiszący na hakach nie mdleje?

Wypadki omdlenia zdarzają się zwykle na skutek wielkiego bólu fizycznego lub rozstroju psychicznego. Wiszący na hakach nie cierpi fizycznie, a tym bardziej nie jest zdenerwowany. Przeciwnie, wypełnia go radość z odbywanej pokuty, zwłaszcza że on sam staje się przedmiotem adoracji zgromadzonych, aby go podziwiać. (Jayasuriya także nie zemdlał, chociaż chciał jedynie pomóc w rozwikłaniu tajemnicy „cudu").

5) Dlaczego haki nie kaleczą pleców wiszącego?

Dlatego, że jest zawieszony na kilku hakach. Gdyby użyto tylko jednego, z pewnością ciało zostałoby poranione, ale dzięki równomiernemu ich rozmieszczeniu ciężar wiszącego jest rozłożony. Jeśli, na przykład, wierny waży pięćdziesiąt cztery kilogramy i wisi na sześciu hakach, każdy z nich musi utrzymać ciężar jedynie dziewięciu kilogramów, a zdrowa ludzka tkanka z powodzeniem wytrzyma takie napięcie.

Carlo Fonseka to nie tylko racjonalista; to również realista. Doskonale zdaje sobie sprawę, że niezależnie od jego starań, aby zniszczyć przekonanie o paranormalnych właściwościach ludzi wiszących na hakach i maszerujących po rozżarzonych węglach, większość mieszkańców jego kraju oraz obcokrajowców nadal uważać ich będzie za cudotwórców. Mimo wszystko, profesor nie zamierza zaniechać swojej kampanii przeciw ciemnocie, ponieważ twierdzi, że „wyznawanie prymitywnych wierzeń, niezgodnych z osiągnięciami współczesnej nauki, uwłacza wielkości ludzkiego intelektu". Jest przy tym tak oddany swojej sprawie, że sam niejednokrotnie uczestniczył w chodzeniu po ogniu, za każdym razem cało wychodząc z tej próby z uśmiechem triumfu na ustach.

STRZELEC-WIDMO

Kierowcy, jeden po drugim, hamowali gwałtownie, kiedy przednie szyby ich samochodów rozbijał strzał Widmowego Strzelca. Zostawały po nim dziury od kul i tajemnica, do dziś nie wyjaśniona.

Zgodnie z notatką służbową w kartotece policyjnej, pierwszy kierowca, w którego samochodzie przednia szyba została przestrzelona, zgłosił się na policję w marcu 1951 roku jako pierwszy z trzydziestu dwóch, którym przytrafiła się ta sama nieprzyjemna przygoda.

To, co zdarzyło się Thomasowi Woodsowi z Kigston, w hrabstwie Surrey, jest typowe dla wszystkich jego poprzedników i następców. 3 kwietnia 1952 roku około szesnatej trzydzieści Thomas jechał ciężarówką z Londynu do Portsmouth. Znajdował się na odcinku szosy między Cobham i Esher, w miejscu, które potem stało się sławne. Ruchu prawie nie było. Jedynym pojazdem w zasięgu wzroku była druga ciężarówka, około dziewięćdziesięciu metrów przed nim. Nagle przednia szyba rozprysła się w kawałki, a szkło rozsypało się na siedzenie. Kilkadziesiąt centymentrów od głowy Thomasa pojawiła się w szybie dziura, przez którą kierowca mógłby włożyć pięść, jeśli tylko miałby na to ochotę.

Thomas przyjrzał się dokładnie miejscu, gdzie to wszystko się zdarzyło, i pojechał na policję złożyć meldunek. Stwierdził, że sprawa wygląda podejrzanie. Podobne wrażenie odnieśli wszyscy kierowcy, którzy mieli analogiczne przygody w tej okolicy.

Dziwnym sposobem widmowe kule dosięgają swojego celu na prostym odcinku drogi o długości czterech kilometrów. Szosa jest gładka, bez ograniczeń prędkości, pola po obu jej stronach rozległe, puste, z wyjątkiem zarośli, w których jednak żaden strzelec nie mógłby się ukryć. Mimo to, raz po raz rozlega się wystrzał, jakby strzelano z bardzo małej gwintówki o dużej sile rażenia.

W miarę napływania kolejnych meldunków, policji zdawało się, że wkrótce znajdzie wytłumaczenie tej zagadki. Weźmy przypadek państwa Sykes. 8 maja 1952 roku jechali z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę w pobliżu Esher, kiedy zobaczyli błysk, jakby przed przednią szybą ktoś strzelił im z pukawki karnawałowej – rozległ się huk i szybę pokryła siatka promienistych pęknięć wokół dziury o średnicy ołówka. Eric Sykes zatrzymał samochód, oboje z żoną wyskoczyli w poszukiwaniu zamachowca, ale zobaczyli tylko puste pola. W okolicy nie dostrzegli też żadnego pojazdu.

Po roku od momentu kiedy zaczęły się te wypadki, policja nabrała przekonania, że jakichś piroman i wariat czai się przy drodze, żeby strzelać do kierowców, i że skończy się to tragicznie. Była to sensowna teoria, ale problem pozostał. Przedmioty, które tłukły szyby, nadlatywały z różnych kierunków, a po przebiciu szkła – znikały. Nigdy nie znaleziono ich w samochodach ani nie zdarzyło się, żeby zniszczyły wnętrze pojazdów.

Eksperci od broni palnej przyznali, że możliwe jest wywołanie takiego efektu przy użyciu kruchych kul, które rozpryskują się po dotarciu do celu, ale można ich używać tylko na bardzo małą odległość i na pewno nie w przypadku celu, który porusza się z dużą prędkością. Teoria ta została obalona po mikroskopowym badaniu dziur, łącznie z jedną w metalowych drzwiach samochodu. Badania wykazały, że z całą pewnością nie są to otwory po kulach.

Podczas gdy policja zastawiała pułapki i studiowała raporty o widmowych pociskach, niebezpieczny obszar zmienił położenie i przesunął się do samego Esher. 16 czerwca 1952 roku okno wystawowe na ulicy Dworcowej zostało podziurawione jak sito, a cztery dni później właściciel gospody zgłosił, że we frontowym oknie jego lokalu jest dziura podobna do tych, które widział w szybach samochodowych.

Wkrótce sprawa zyskała międzynarodowy rozgłos, ponieważ okazało się, że w czerwcu 1952 roku policja stanowa w Indianie i w Illinois również ścigała Strzelca-Widmo, tak samo nieuchwytnego jak w Anglii.

Pechowi Amerykanie, tak jak Anglicy, niczego nie widzieli ani nie słyszeli oprócz błysku na szybie, huku i potłuczonego szkła rozsypującego się w samochodzie.

Naukowcy dostarczyli jeszcze jednej teorii: taki skutek mógłby spowodować lecący z ogromną prędkością meteoryt wielkości główki od szpilki. Jest to możliwe, ale nie zostało w żaden sposób udowodnione.

Jeszcze jedną hipotezę odłożono do kartoteki. Pozostały stłuczone szyby i nie rozwiązana zagadka.

NIEPOJĘTE KREMACJE

Ogień był jednym z pierwszych przyjaciół człowieka. Człowiek nauczył się go wykorzystywać, rozniecając płomień przed wejściem do jaskiń dla obrony przed wrogami. Później ujarzmił go i zmusił, aby pomagał mu w pracy. Ale od czasu do czasu ogień przypomina, że posiada swoje ukryte tajemnice i że człowiek nie ujarzmił go całkowicie.

W poniedziałek rano, 2 lipca 1951 roku, pani P.M. Carpenter, zamieszkała przy 1200 Cherry Street w St. Petersburgu na Florydzie, podeszła do drzwi pokoju, zajmowanego przez sześćdziesięcioletnią Mary H. Reeser, którą pani Carpenter ostatnio widziała ubiegłej nocy. Było kilka minut po ósmej – pora na poranną kawę. Pani Carpenter chciała również doręczyć jej telegram, którego nie mógł oddać posłaniec Western Union, gdyż pani Reeser nie odpowiedziała na jego pukanie.

To dziwne, pomyślała gospodyni, pani Reeser ma czujny sen. Czyżby coś się stało?

Chwyciła za gałkę drzwi do pokoju pani Reeser i nagle cofnęła gwałtownie rękę z okrzykiem bólu. Mosiężna gałka była tak gorąca, że poparzyła jej dłoń!... Przestraszona wybiegła z domu, wzywając pomocy. Malarze pokojowi, pracujący po sąsiedzku, rzucili robotę i pośpieszyli do niej. Razem sforsowali drzwi do pokoju pani Reeser, natykając się na straszliwą tajemnicę, która nigdy nie została wyjaśniona.

Chociaż okna były otwarte, w pomieszczeniu panował nieznośny żar. Obok frontowego okna leżały zwęglone szczątki dużego fotela i równie zwęglone zwłoki pani Reeser.

Wezwano policję, która zadzwoniła do specjalistów od pożarnictwa, zaś później zagadką zajęli się lekarze patolodzy. Intensywne i przedłużające się badania ujawniły niezwykłe fakty. Niektóre z nich nie pokrywają się z naukową wiedzą o ogniu.

Ustalono, iż panią Reeser widziano ostatnio żywą około dziewiątej poprzedniego wieczora, kiedy to jej syn, doktor Richard Reeser, pani Carpenter i pewien przyjaciel powiedzieli jej dobranoc. Pani Reeser siedziała wtedy w dużym fotelu. Miała na sobie nocną koszulę ze sztucznego jedwabiu, sukienne domowe pantofle i lekką podomkę.

Gdy owego nieszczęsnego ranka malarze i gospodyni wdarli się do pokoju ofiary, stwierdzili, że ów potworny żar, który zniszczył fotel, sprawił także, iż z ważącej siedemdziesiąt siedem kilogramów pani Reeser zostało mniej niż cztery i pół kilograma zwęglonych szczątków. Płomienie nie strawiły tylko jej lewej stopy, skurczonej czaszki i kilku kręgów. Z dużego fotela zostały jedynie sprężyny.

Pokój, w którym znalazła śmierć niczym w piekle pani Reeser, zdradzał niewielkie ślady pożaru. Od wysokości powyżej metr dwadzieścia nad podłogą ściany były pokryte sadzą, która osiadła gęstą warstwą również na zasłonach. Lustro, wiszące w odległości około trzech metrów od fotela, popękało od gorąca. W odległości ponad trzy i pół metra stopiły się i zakrzepły w postaci różowych kałuż na toaletce dwie długie świece, których knoty zwisały wzdłuż metalowych uchwytów szuflad. Żar pozostawił liczne i wyraźne ślady ponad metr dwadzieścia nad podłogą, ale poniżej były tylko dwa ślady ognia. W dywaniku tuż pod fotelem była wypalona mała dziurka. Za fotelem stopiło się plastikowe gniazdko, wysadzając bezpiecznik, który zatrzymał wskazówki zegara elektrycznego na godzinie dwadzieścia minut po czwartej.

Dziwna śmierć Mary Reeser wprawiła miejscowe władze w zakłopotanie.

Edward Davies, specjalista od podpaleń z Państwowego Wydziału d/s Ubezpieczeń, po przeprowadzeniu gruntownych badań przyznał, że może jedynie powiedzieć, iż ofiara zmarła od ognia, nie wiadomo, czym spowodowanego.

Znanemu patologowi, doktorowi Wiltonowi Korgmanowi z uniwersytetu w Pensylwanii, powiodło się nie lepiej. Jego raport brzmiał: "Nigdy nie widziałem tak skurczonej czaszki ani ciała tak doszczętnie strawionego przez ogień. To jest tak nienormalne, że uważam to za najbardziej zdumiewającą rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem".

Rutynowe sprawdzenie wykluczyło ewentualność uderzenia pioruna – w St. Petersburgu nie było burzy tej nocy. Papieros, od którego zajęło się ubranie? Eksperci wskazywali, że ubranie nie mogło wytworzyć temperatury 2500°C, która doprowadziła do tak drastycznych następstw. Spięcie w instalacji elektrycznej? Znów odpowiedź brzmiała – nie, ponieważ stopione gniazdko wysadziło bezpieczniki już po wybuchu ognia. Może benzyna? Patologowie z FBI, którzy zajmowali się tą sprawą, stwierdzili, że nie było żadnych płynów i chemikaliów, które spowodowałyby pożar.

Nie rozwiązana i prawdopodobnie nierozwiązywalna sprawa Mary Reeser zniknęła z czołówek gazet. Kilku wydawców w całym kraju wspomniało krótko o podobnych przypadkach, ale ogólnie rzecz biorąc, sprawa została zapomniana.

Zakłopotane władze St. Petersburga poczuły się zmuszone podać oficjalne oświadczenie, zamykające całą sprawę. Kilka miesięcy po tragedii szef policji i szef biura śledczego podpisali oświadczenie, przypisujące śmierć Mary Reeser zaśnięciu z papierosem w ręku, od którego zapaliło się jej ubranie.

Właśnie ta wygodna hipoteza została wykluczona przez ekspertów. Posłużyła do zamknięcia sprawy wprawdzie niezręcznie, ale zgodnie z przepisami. Jeśli eksperci byli zbici z tropu, to nie było sensu oczekiwać, iż komisarze zrobią coś więcej.

Dziwna śmierć Mary Reeser jest tylko jednym z wielu podobnych przypadków. Ch. Dickens, który w powieści *Samotnia* opisuje śmierć jednego ze swoich bohaterów, właśnie przez samozapalenie się, stwierdza w przedmowie, iż kroniki notują około trzydziestu podobnych wypadków i wylicza je.

W przypadkach samozapłonu źródło żaru wydaje się znajdować wewnątrz ciała ludzkiego. Wskazuje na to wyraźnie pewna liczba doniesień. W jednym z nich mowa jest o kobiecie, która zastała swoją siostrę inwalidkę, siedzącą w fotelu, całą spowitą płomieniami. Ugasiła ogień kocem i zawiozła poparzoną na piętro do sypialni, po czym pobiegła po pomoc. Ogień był już więc ugaszony, ale nieszczęsna kobieta musiała zapalić się ponownie, gdyż po powrocie siostry została z niej tylko głowa, palce u rąk i popiół. Co zdumiewające, pościel, na której dokonał się akt spalenia ludzkiego ciała, nie była zniszczona. Przedmioty znajdujące się w pokoju pokrywała warstwa tłustej sadzy. Tłusta sadza pojawia się dość często w tego rodzaju wypadkach, również w przypadku śmierci M. Reeser.

Wszystkie okryte są tajemnicą. Żaden z nich nigdy nie został wyjaśniony.

WIĘCEJ O LUDZIACH POCHODNIACH

Spontaniczne, występujące bez żadnej znanej przyczyny zapalanie się ciała człowieka albo przedmiotów wiąże się, być może, ze starym problemem tzw. „ukrytego ognia". Zdaniem alchemików, miałaby to być inna odmiana ognia, jakościowo różniąca się od tego, który znamy. Ukryty ogień miał być skrajnie niebezpieczny, co, jak potwierdzają koszmarne fakty, jest prawdą. Jeśli „ukryty ogień" alchemików jest tym samym, co dziś rozumiemy pod pojęciem spontanicznych spaleń, znaczyłoby to, że owo tajemnicze zjawisko nie jest „wynalazkiem" czasów nowożytnych, lecz towarzyszy człowiekowi od dawien dawna.

Do tej serii zdarzeń należy również przypadek państwa Rooney. Żyli oni na farmie koło Seneca w Illinois. W wieczór Bożego Narodzenia 1885 roku Patrick Rooney, jego żona i służący John Larson pili whisky w kuchni. Następnie Larson poszedł spać i obudził się następnego dnia rano z migreną. Na dole w kuchni znalazł martwego Patricka Rooneya, leżącego na podłodze i całkowicie pokrytego oleistą błoną. Larson siadł na konia i pogalopował do mieszkającego niedaleko brata Rooneya, Johna, by go powiadomić. Kiedy obaj wrócili na farmę, zauważyli zwęgloną dziurę blisko kuchennego stołu. Przyglądając się jamie, dostrzegli na ziemi pod podłogą kuchni zwęgloną czaszkę, kilka przepalonych kości i niewielką stertę popiołu. Koroner oświadczył, że Patrick zginął z powodu zaczadzenia dymem, ulatującym z ciała jego żony, które się paliło. Sąd nie wydał żadnego werdyktu. Pani Rooney zginęła w ogniu o niesłychanej temperaturze, który nie rozprzestrzenił się poza bezpośrednie otoczenie. Przekraczało to zdolności rozumowania farmerów z dziewiętnastowiecznego Middle West.

Doktor Dixon Mann w podręczniku medycyny sądowej podaje kilka przykładów spaleń. Jeden z nich dotyczy kobiety, po której pozostały tylko spalone kości na podłodze w pokoju. Mann, jak wielu autorów, którzy omawiali przypadki „spaleń spontanicznych", twierdził, iż ofiarami byli zwykle nałogowi pijacy i że to nadmiar alkoholu w organizmie powodował w niewytłumaczalny sposób nagłe spalenie. Rzeczywiście, wśród ofiar byli również alkoholicy, lecz inni nie pili ani kropli wódki. Teoria „alkoholowa" nie jest z całą pewnością zadowalająca.

Pisarz angielski, Eric Frank Russel, w swym dziele *Great World Mysteries* („Wielkie tajemnice świata", New York 1967) przestudiował dziewiętnaście przypadków spontanicznego spalenia istot ludzkich, które znalazł w dziennikach z roku 1958, a jest to bez żadnej wątpliwości tylko mała ich część.

Najbardziej widowiskowe zdarzenie miało miejsce w Chelmsford w Anglii. W samym środku balu pewna kobieta zaczęła płonąć i wśród jaskrawych, błękitnych płomieni w ciągu paru minut została z niej jedynie garstka zwęglonych popiołów. Coroner oświadczył: „Jeszcze nigdy w całej mojej karierze nie spotkałem wydarzenia równie tajemniczego jak to".

W sposób oryginalny odkrył Russel złowieszczą „regułę trzech" w pewnych obserwowanych przez niego wypadkach. 27 grudnia 1958 kobieta spaliła się w Downham w Kent, inna w Brixton, a mężczyzna w Balinie w Irlandii. Żadna z tych osób nie znajdowała się w pobliżu ognia ani nie paliła papierosów.

Sprawa trzech zmarłych w dniu 7 kwietnia 1958 była jeszcze bardziej niepokojąca. Na pokładzie statku towarowego „Ulrich", na pełnym morzu u wybrzeży Irlandii, drugi oficer zauważył, że statek raptownie zszedł z kursu i że sternik zniknął. Tylko garść popiołu pozostała przed kołem sterowym. Nie było śladu ognia: koło, kompas, podłoga pomostu, nawet buty zmarłego nie zostały uszkodzone. Inni marynarze pracowali na pokładzie niedaleko od tego miejsca, lecz nikt nie usłyszał krzyku ani jakiegoś poruszenia. Podejrzewano, że to piorun uderzył, lecz niebo było jasne i nikt nie słyszał grzmotu.

Również w tym samym dniu w pobliżu Upton-by-Chester-Chester w Anglii samochód ciężarowy wylądował w rowie. Policja stwierdziła, że kierowca, George Turner, został doszczętnie zamieniony w popiół, gdy tymczasem wyściełane siedzenie nie poniosło żadnego uszczerbku! Zbiornik z benzyną pozostał nietknięty. Nie było ognia w kabinie oprócz tego, który ogarnął jedynie ciało kierowcy.

Trzeci wypadek, ciągle 7 kwietnia 1958, wydarzył się koło Nimegue w Holandii. William Ten Bruick został znaleziony w swym volkswagenie martwy, „spalony tak doszczętnie, że nie ma jakiejkolwiek możliwości indentyfikacji". Uszkodzenia samochodu były nieznaczne, a do baku z benzyną ogień nie dotarł wcale. I tym razem nie było żadnego wyjaśnienia faktu spopielenia Tena Bruicka. Dlaczego historia tych trzech zmarłych: Greeleya, Turnera i Tena Bruicka była tak bardzo niepokojąca? Zdarzenia, rozrzucone w przestrzeni, oddalone były jedne od drugich o setki kilometrów, lecz... działy się dokładnie w tej samej chwili! Sugeruje to pewną łączność między tymi trzema tak dziwnie zmarłymi, chociaż dzieliły ich od siebie wielkie odległości.

Dlaczego naukowcy tak bardzo unikają mieszania się do przypadków spontanicznych spaleń? Po części dlatego, iż nie zdajemy sobie w pełni sprawy z częstotliwości, z jaką te zjawiska występują, gdyż nie zawsze wiadomości o każdym takim wypadku zamieszczane są w prasie, a czasopisma naukowe piszą o nich tylko bardzo rzadko. Dla naukowca i lekarza takie wydarzenia muszą mieć posmak średniowiecznego zabobonu, więc nie próbują ich zgłębiać.

Przypadek Petera Veseya daje pewne podstawy do podejrzewania związku ze zjawiskami okultystycznymi. Vesey przez wiele lat pisał powieści fikcyjno-naukowe z dziedziny astrologii i włączył się w jakiś sposób do okultyzmu. Pracował w swym gabinecie, w domu na odosobnionej farmie. Pewnego razu zapragnął w samotności przemyśleć pewien zupełnie wyjątkowy projekt i poprosił żonę i syna, aby udali się na godzinną przechadzkę. Kiedy wrócili, znaleźli na podłodze salonu zwęglone szczątki Petera Veseya. Nic innego nie spłonęło. Niewielki ogień palił się w kominku w drugim końcu pokoju, lecz nie mogło to mieć związku z jego śmiercią.

Lista wypadków wydłuża się z roku na rok. Oto opis jeszcze jednego, który wydarzył się nie tak dawno we Francji, jak można się dowiedzieć z wycinka gazety, znalezionego przez Jacques'a Bergiera. Nie udało się, niestety, ustalić dokładnej daty. Czterdziestoletni Leon Eveille został znaleziony w stanie całkowitego spopielenia w swej simce, w świerkowym lesie koło Arcis-sur-Aube (departament Aube). Najdziwniejszy w tym wypadku jest fakt, że szyby samochodu zostały całkowicie stopione. Otóż płonący samochód nie wywołuje temperatury wyższej od 700° C, a szkło topi się dopiero przy 1000° C.

Nikt nie znalazł wytłumaczenia dla powstania gwałtownego ognia, który stopił szkło...

Może dosyć oryginalnie próbuje Bergier skonfrontować ten wypadek z opisem zjawiska, które w roku 1954 miał podobno zaobserwować niejaki M. Réveille – jak wiadomo, prasa często przekręca nazwiska, Réveille – Eveille, to brzmi rzeczywiście bardzo podobnie – w odległości około dwudziestu kilometrów od miejsca wydarzenia opisanego powyżej: zobaczył on tam świecący przedmiot, wytwarzający straszliwy żar. I chociaż padał ulewny deszcz, miejsce, na którym osiadł ten przedmiot, zanim odleciał, pozostało suche jeszcze ponad pół godziny z powodu rozgrzania ziemi...

Można przytoczyć również przypadek nie znanego z nazwiska profesora uniwersytetu z Nashville w Tennessee. Działo się to przed rokiem 1835 – profesor wrócił ze spaceru i wszedł do swego gabinetu. Kiedy zapisywał wskazania przyrządów meteorologicznych, poczuł nagle, jakby coś parzyło go w lewą nogę. Rozcierał nogę, żeby zmniejszyć ból, który jednak narastał. Na nogawce spodni zobaczył płomień wielkości jednego do dwu centymetrów. Zdusił go dłonią, żeby odciąć dopływ tlenu, i ogień wkrótce zgasł. Zdjął spodnie i zobaczył, że skóra na nodze była zdarta na długości siedmiu i pół centymetra. W kalesonach widniała wypalona dziura, lecz na spodniach prawie nie było znaku uszkodzenia.

Oparzenie nogi goiło się bardzo powoli. Ten przypadek określono wówczas jako „częściowe spalenie spontaniczne".

I jeszcze jeden przykład z XIX wieku. W Londynie matka niejakiego Johna Wrighta nagle stanęła w płomieniach, w chwili gdy siedziała ze swą damą do towarzystwa przed kominkiem, gdzie tlił się niewielki ogień. Udało się ugasić płomienie na ubraniu, lecz po chwili to samo powtórzyło się. I tym razem płomienie zostały ugaszone. Jednak następnego dnia znaleziono starszą panią w kuchni, przemienioną w żywą pochodnię. Ugaszono ogień i zaprowadzono ją do łóżka. Tam jeszcze raz ogarnęły ją płomienie. Wright oskarżał opiekunkę o spowodowanie wypadku, lecz jego matka zaprzeczyła energicznie. Oświadczyła, że było to „coś nadprzyrodzonego", co ją atakowało.

Chociaż prawie się o nich nie wspomina, przypadki „spontanicznego spalania" są bardzo liczne. Charles Fort przytacza wiele z nich w swojej książce *Wild Talents* („Dzikie talenty", New York 1941), Vincent Gaddis jednocześnie w *Mysterious Fires and Lights* („Tajemnicze ognie i światła", New York 1967), jak również wymieniony wyżej Eric Frank Russel.

Można by tak uzupełniać listę w nieskończoność, lecz jakie może być wyjaśnienie tych straszliwych faktów? Często naukowcy próbują łączyć je z płomieniami z kominka albo z nieostrożnością palacza, który zaprószył ogień na ubraniu czy w łóżku, lecz prawie we wszystkich przypadkach są to tylko doraźne „wyjaśnienia", wsuwane zwykle po to, by zdjąć kłopot z głów naukowców, którzy nie mają zielonego pojęcia o przyczynach tego zjawiska. Często ofiary nie są palaczami, znajdują się bardzo daleko od jakiegokolwiek ognia, a ponadto w naszych czasach kominek bez osłony jest już raczej rzadkością. Autorzy w XIX wieku uważali, jak to już było wyżej wspomniane, że niektórzy palący się byli pijakami, podejrzewali bowiem, iż istota ludzka, nasączona alkoholem, spalałaby się łatwiej. Tymczasem wszystkie doświadczenia, podczas których próbowano nasycić wielkimi ilościami alkoholu tkanki zwierzęce, wykazały, że teoretycznie było zupełnie niemożliwe przez rozżarzenie ich, a zwłaszcza spalenie, osiągnięcie fantastycznej temperatury 2500°C, koniecznej do spalenia ciała i kości. Jednakże mogłaby istnieć jakaś wyjątkowa sytuacja biochemiczna, która wytwarzałaby się w ciele ludzkim i spowodowałaby to rozżarzenie. Przypadek profesora z Nashville wydaje się wskazywać na taką możliwość, lecz trudno sobie wyobrazić, jakie mogłyby być jej uwarunkowania.

Czy niektóre z omawianych przypadków mogłyby być samobójstwami „psychicznymi"? Istotnie, wiele z nich dotyczy osób starszych, szczególnie kobiet, które mogą się czuć opuszczone i zapomniane. Czy jest możliwe, że tak samo jak buddyjscy asceci Lung Gompa, którym przypisuje się zdolność do siadania na śniegu i topienia go aż do dwu i pół metra wokół siebie, ofiary wypadków mogłyby podświadomie uruchomić w swym ciele energię emitującą intensywne ciepło, powodujące całkowite unicestwienie?

Przypadki spaleń spontanicznych, oprócz zestawienia dokonanego przez Bergiera, wydają się nie mieć żadnego związku z niezidentyfikowanymi przedmiotami latającymi – inaczej mówiąc „latającymi spodkami" – a przynajmniej nikt z zainteresowanych osób o tym nie donosił. Charles Fort przytacza w *Wild Talents* wydarzenia, które wiązały się z demonstracjami poltergeistów. Przypadki, w których ciało zostaje zwęglone, a ubranie nie spalone, są szczególnie trudne do wyjaśnienia.

Rzadkie są wydarzenia, znane nam lub też przytaczane przez autorów wymienionych wyżej, które wydają się mieć specjalny związek z warunkami atmosferycznymi w chwili spontanicznego spalania. Tylko w przypadku Greeleya warunki te zostały zauważone – gdyby była burza, piorun mógł być wówczas wyjaśnieniem. Być może, nie ma tu związku z żadnym zjawiskiem meteorologicznym, będzie to jedynie zbieranie informacji, które kiedyś mogą wskazać drogę do rozwiązania zagadki.

Wyjaśnienie wypadków „spontanicznego spalania" może okazać się bardziej niezwykłe niż wszystko, co da się wyobrazić. Studiując przypadki przytoczone przez Russela, Michael McDougall powiedział na temat trzech ofiar z 7 kwietnia 1958: „To odbyło się tak, jakby jakieś stworzenie galaktyczne o niewyobrażalnych rozmiarach sondowało ziemię czymś w rodzaju trójzęba, trzech ostrzy ognia, które spalają tylko ciało".

Czy jest możliwe, że istnieją jakieś niewiarygodne płomienne kreatury, obdarzone zmysłami, które w ten sposób dotykając pewnych osób, spopielają je w tajemniczy sposób? Przykładem może tu być oświadczenie pani Wright, że coś „nadprzyrodzonego" atakowało ją. Powód, który popychał te stwory do działania, leży poza zasięgiem naszej wyobraźni, lecz wiele spraw we wszechświecie jest dla nas nie do pojęcia.

Strach o tym myśleć, zwłaszcza przed snem!...

STRASZLIWY OGIEŃ – CZY MOŻLIWE JEST WYJAŚNIENIE?

Straszne tajemnice wymagają nieraz makabrycznych zabiegów. I dlatego właśnie profesor uniwersytetu David Gee znalazł się w swym laboratorium, dokonując upiornego doświadczenia.

Zaczął od wałkowania płatu tłuszczu pochodzącego z ludzkiego ciała – aż do uformowania go w kształt przypominający świecę dwudziestoczterocentymetrowej długości. Przedmiot ten owinął starannie warstwą ludzkiej skóry, następnie przyodział w tkaninę, tak jakby to było żywe ciało. Wreszcie podpalił swoje dzieło z jednego końca.

Profesor Gee przygotował się w ten sposób do rozwiązania tajemnicy, która od ponad dwóch stuleci ekscytuje lekarzy i naukowców, a także intrygowała pisarzy, od Karola Dickensa po kapitana Marrysta. Czy rzeczywiście ludzkie istoty mają zdolność zupełnie samoistnego stawania w płomieniach, w wyniku czego ulegają całkowitemu spaleniu?

Profesora Gee, gdy był jeszcze młodym medykiem sądowym, wezwano do pewnego przypadku w listopadzie 1963 roku w Leeds. Znalazł on tam szczątki starszej kobiety, spalone niemal całkowicie, z wyjątkiem prawej stopy. Wokół zwłok znajdowały się jednak nietknięte, łatwo palne przedmioty. Dywanik przed kominkiem zniszczony był tylko w tym miejscu, gdzie upadło ciało. W odległości zaledwie trzydziestu centymetrów od zwłok wciąż leżała starannie złożona ściereczka do naczyń, z lekka tylko osmalona. Deski podłogi uległy spaleniu, ale również tylko pod ciałem kobiety.

Zaintrygowało to młodego doktora Gee. Wiedział przecież, że do spalenia ludzkich szczątków potrzeba temperatury co najmniej 250° C. Pedantyczni inkwizytorzy kościoła katolickiego odkryli, że do wypalenia herezji z krnąbrnych dusz i spopielenia ciał, w których zagnieździł się podobny występek, trzeba było całych furgonów drewna. Skromniejsze środki powodowały jedynie przypalenie i upieczenie grzesznika. W czasach współczesnych kroniki medycyny sądowej wciąż dowodzą, jak próżne są wysiłki morderców, próbujących usunąć ciała swych ofiar poprzez ich spalenie. A jednak wciąż mamy do czynienia z pochodzącymi z wiarygodnych źródeł relacjami na temat osób, samoistnie i bez żadnej widocznej przyczyny strawionych przez płomienie.

Doktor Mackenzie Booth z Aberdeen zanotował zdumiewający przypadek, kiedy to stary żołnierz spłonął na stryszku pełnym siana przy Constitution Sreet, znajdującej się w środku miasta.

„Najbardziej uderzyło mnie to – zanotował – że pomimo obfitości łatwo palnego materiału otaczającego żołnierza, a więc siana i drewna, zasadniczy skutek spalenia ograniczył się do ciała, gdyż poza nim ucierpiał jedynie niewielki odcinek podłogi oraz drewnianej konstrukcji w bezpośredniej bliskości głowy tego człowieka. Ciało, choć niemal zupełnie spopielone, zachowało swój kształt oraz rysy twarzy tak dokładnie, że znający denata za życia nie mieli żadnych trudności z rozpoznaniem go. Obie dłonie oraz prawa stopa spaliły się do cna i spadły wraz z popiołami poprzez strop do znajdującej się poniżej stajni. Włosy wraz ze skalpem osunęły się z czaszki, obnażając jej wypalony kształt. Tkankę twarzy pokrywał tłusty popiół, zachowując obraz jej rysów, zaś zwęglone wąsiki wciąż jeszcze wyrażały ową wojowniczą ekspresję, typową dla oblicza starego wiarusa".

Wszystko to wprawiało doktora Bootha w zakłopotanie. Dwa lata wcześniej pewien lekarz w Ameryce jakoby rzeczywiście widział „samoistne spalenie". Był właśnie z wizytą u pacjenta na przedmieściu miasteczka Ayer w stanie Massachusetts, gdy przybiegła doń dziewczyna z błaganiem, by zechciał pójść do jej matki, która paliła się żywcem. Działo się to w pobliskim lesie, w odległości zaledwie dwustu metrów. Doktor przybył tam, by stwierdzić, że ramię, tułów oraz obie nogi kobiety wciąż się jeszcze palą.

„Płomienie wydobywały się z niej na odległość trzydziestu, czterdziestu centymetrów – opowiadał lekarz. – Ogień strawił już niemal zupełnie ciało kobiety. Gdy dotarłem na miejsce, kości prawej nogi pękły z głośnym trzaskiem, wskutek czego stopa zawisła jedną stroną na ścięgnach i mięśniach, z drugiej zaś była już zupełnie spalona". Jednakże, o dziwo, ubranie matki paliło się tylko w tych miejscach, w których płonęło jej ciało, gdzie indziej zaś pozostawało nietknięte. Wełniana spódnica, bawełniany kaftanik, perkalowy fartuch i bielizna miejscami nie spaliły się wcale. Poza kilkoma zwęglonymi liśćmi i lekko nadpalonym, leżącym o metr dalej słomkowym kapeluszem, grunt był wolny od śladów jakiegokolwiek pożaru. Kobieta owa pracowała w lesie przy porządkowaniu poszycia i rzeczywiście rozpaliła ognisko, od którego mogło się zająć jej ubranie. W żaden jednak sposób doktor Hartwell nie potrafił wytłumaczyć łatwości palenia się ludzkiej istoty, ponieważ nigdy dotąd czegoś podobnego nie widział.

Oba przypadki pochodzą sprzed niemal stu lat. Jednak incydenty nie ustawały, powodując przez następne stulecie zamieszanie w wynikach badań prowadzonych nad właściwościami płomienia.

W Boże Narodzenie 1967 roku strażak Jack Stacey został wezwany do wypadku w zdewastowanej części dzielnicy Vauxhall w południowym Londynie. Meldunek donosił o pożarze. Gdy zajechały wozy strażackie, powitała je grupka wykolejeńców zamieszkujących starą kamienicę. Wewnątrz znajdowały się zwłoki jednego z włóczęgów. Jak powiedział Stacey, „ciało wciąż się paliło, a ogień wydobywał się z dziesięciocentymetrowej szpary w brzuchu tego mężczyzny. Płomienie miały niebieskawe zabarwienie. Wyglądało to tak, jakby ogień zaczął się palić wewnątrz ciała". Sam budynek nie był zniszczony przez pożar, choć pod zwłokami podłoga była przypalona.

Pod koniec 1985 roku telewizja BBC nadała program, w którym oficer policji, John Haymer, złożył świadectwo na temat dziwnego przypadku śmierci z 1979 roku w Południowej Walii. Gdy tylko przybył na miejsce, uderzyła go pomarańczowoczerwona poświata, widoczna w największym pokoju.

„Ze ścian emanowało gorąco. Zarówno okno, jak i żarówkę pokrywała pomarańczowa substancja. Żarówka była nie osłonięta, gdyż stopił się plastikowy abażur. Sofę wciąż jeszcze przykrywała narzuta. Dywan w ogromnej części pozostawał nie zniszczony.

Na podłodze stała para ludzkich stóp w skarpetkach. Stopy łączyły się z wyższymi partiami ciała ubranego w spodnie, zachowane w całości aż do wyraźnej granicy ognia. Z nogawek sterczały wypalone kości, zaś powyżej kolan ciało przechodziło w amorficzną chmurę popiołu".

Te szczątki były wszystkim, co pozostało po mieszkającym tu mężczyźnie w starszym wieku. Choć Haymera wystarczająco zdumiało niemal doszczętne unicestwienie ciała, to jeszcze bardziej zdziwił go brak zniszczeń wokół zwłok. Odbiornik telewizyjny nadal funkcjonował, mimo że jego plastikowe pokrętła uległy stopieniu. Palenisko kominka znajdowało się w całkowitym porządku, podobnie jak leżące na swoim miejscu i nie zapalone polana. Nigdy nie odkryto jakiejkolwiek przyczyny tego zgonu ani też przyczyny powstania ognia. Haymer, osobnik trzeźwo myślący, który prowadził śledztwa w najrozmaitszych przypadkach i którego nigdy nie bawiły jakieś niezwykłości, do dnia dzisiejszego utrzymuje, że zdarzenie to przeczy wszelkim racjonalnym wyjaśnieniom.

Współczesne przypadki zupełnego spopielania się ciał z jednoczesnym zachowaniem w całości otoczenia tych zwłok są dla badaczy tym bardziej niezrozumiałe, że technika unicestwiania szczątków ludzkich poprzez spalenie jest obecnie dobrze opanowana, a to dzięki modzie na kremację, rozprzestrzeniającej się zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i w Ameryce. Obecnie, gdy coraz więcej osób wyraża wolę, aby ich doczesna powłoka była błyskawicznie usunięta, krematoria stały się ultranowoczesnymi i zautomatyzowanymi obiektami. Piece, w których dokonuje się tej operacji, pracują w temperaturze co najmniej 800° C, a mimo to nawet po godzinie lub później można jeszcze znaleźć w nich całkiem spore fragmenty kości. Rzadko następuje tam całkowite spopielenie, które wszak jest charakterystyczne dla zjawisk „samoistnego spalenia".

Spalenia te dokonują się zazwyczaj bez świadków, dysponujemy więc jedynie pośrednimi dowodami na temat długości trwania tego procesu. W kilku jednak współczesnych przypadkach „samoistne spalenia" odbyły się w sposób najbardziej spektakularny i przerażający, kiedy to ludzie stawali w płomieniach na oczach przyjaciół, rodziny czy przechodniów. Były to zdarzenia, które miast intrygować – wstrząsały pechowcami, mającymi nieszczęście obserwować to. Oto poirytowany sprzeczką z sąsiadem mężczyzna wybucha płomieniem, oto leżące w swym wózeczku dziecko, które w 1973 roku nagle staje w ogniu, oto wreszcie sześciu Nigeryjczyków, strawionych całkowicie przez płomienie w 1976 roku w pokoju, który bynajmniej nie ucierpiał wskutek pożogi. Wszystkie te tragedie trafiły na łamy gazet, bez jakiegokolwiek jednak wytłumaczenia czy próby głębszych dociekań.

W zimie 1985 roku w Cheshire zdarzył się jednak wypadek, który został zbadany natychmiast przez policję, oficerów pożarnictwa, chemika medycyny sądowej z Brytyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a także przez szacowny Shirley Institute z Manchesteru. Siedemnastoletnia studentka Jacqueline Fitzimon wraz z grupą koleżanek schodziła po schodach w zawodowym college'u Haltona w Widnes, gdy nagle buchnęła płomieniem. Mimo że trzech członków personelu błyskawicznie znalazło się na miejscu i stłumiło ogień, Jacqueline zmarła w następstwie tego wypadku.

Zeznający podczas śledztwa świadkowie w apokaliptycznej konwencji opisali wydarzenia tego lutowego poranka. Z Jacqueline mijały się na schodach dwie dziewczyny – Carina Leazeri Rachel Heckle. Corina powiedziała koronerowi, że nad prawym ramieniem Jacqueline dostrzegła dziwną, jasną poświatę, która pojawiła się z powietrza, by następnie spłynąć wzdłuż pleców ofiary. Na schodach znajdowali się również dwaj starsi studenci. Trzydziestoczteroletni John Foy, który był pracownikiem zakładów chemicznych, usłyszał krzyk dziewczyny, na który obaj obejrzeli się i ujrzeli ogarniętą płomieniami Jacqueline. „Wyglądała jak kaskader w telewizji – powiedział – ogień ją po prostu połykał". Ani on, ani jego towarzysz Neil Gargan nie dostrzegli w momencie mijania dziewczyny śladu dymu czy tlenia się czegokolwiek, choć działo się to zaledwie kilka sekund wcześniej. Obaj pomagali ugasić ogień. Sama Jacqueline skarżyła się jedynie na poparzony palec jako skutek próby tłumienia płomieni, mimo że całe jej plecy pokrywał stopiony nylon. Studentka zmarła w szpitalu.

Początkowo wyjaśnienie wydawało się proste. Jacqueline uczyła się sztuki kulinarnej i miała zajęcia w pomieszczeniu kuchennym, wyposażonym w dużą ilość palników gazowych. Dziewczyna zakończyła pracę wcześniej i stała w pobliżu, rozmawiając z przyjaciółmi. Przyjęto, że prawdopodobnie pochyliła się nad zapaloną kuchenką, wskutek czego jej biały roboczy kitel zaczął się tlić, a później, gdy wyszła na schody, zwiększona ilość tlenu, a także strumień powietrza spowodowały wybuch płomienia.

Z wolna jednak zaczęły się rodzić wątpliwości, przeczące tej prostej teorii. Dookoła było mnóstwo ludzi, a mimo to nikt nie zauważył, aby plecy Jacqueline tliły się albo smażyły. Mało tego –

dziewczyna schodząc po schodach trzymała się za ręce z dwiema koleżankami, które także niczego nie spostrzegły. Następnie wykładowca kulinarny, Robert Carson, zaklinał się, że wszystkie palniki zostały wyłączone na godzinę przed zakończeniem zajęć. „A w każdym razie – wyznał koronerowi – w ciągu dwudziestu lat nie widziałem płonącego kitla". Wreszcie chemiczny ekspert z MSW, Philip Jones, opisał swoje nieudane próby rozdmuchania ognia z tlącego się kitla, mimo umieszczenia go w silnym strumieniu powietrza. Również raport z Shirley Institute potwierdził niemożliwość dokonania tego. Jeśli zaś kitel został podpalony bezpośrednio, spłonął doszczętnie w ciągu dwudziestu pięciu sekund. Wszystkie wszakże dowody świadczyły o tym, że między wyjściem Jacqueline z kuchni a tragiczną pożogą na schodach upłynęło kilka minut, a więc znacznie więcej czasu.

Werdykt sądu brzmiał: „nieszczęśliwy wypadek". Mało kto jednak, zarówno spośród świadków, jak i uczestniczących w dochodzeniu, uznał, że jest to wystarczające wytłumaczenie przyczyny, dla której siedemnastoletna dziewczyna miałaby bez żadnego ostrzeżenia zostać pochłonięta przez ogień, w chwili gdy pewnego lutowego poranka schodziła po schodach ramię w ramię z koleżankami.

Od chwili gdy przed trzystu laty rozpoczął się pęd ku „nauce i oświeceniu", nie ustawano w wysiłkach zmierzających ku wyjaśnieniu zjawiska, które systematycznie przykuwało uwagę dziennikarzy i medyków.

W roku 1800 Pierre-Aimé Lair napisał dla paryskiego wydawnictwa medycznego *Essai sur les combustions humaines* („Esej o samoistnych spaleniach"). Większość cytowanych tam przez niego przykładów pochodzi z brytyjskiego „Annual Register" („Wykaz roczny") oraz z *Transactions of the Royal Society* („Raport o ludności królestwa"). Lair opisuje zniknięcie Grace Pitt z Ipswich, która zmarła w kwietniu 1744 roku. Córka, która ją znalazła, wylała na matkę dwa wazony wody. Wszystko zaś, co z tej kobiety zostało, to – jak pisze Lair – tylko kobierzec popiołu, naszpikowany grudkami białego żużlu. Autor przytacza również pochodzące z 1779 roku sprawozdanie chirurga o nazwisku Muraire z Aix-en-Provence. Wdowa Marie Jauffret, „nieduża, tłusta i przepadająca za butelką", spaliła się na popiół, zostawiając po sobie nie strawione przez ogień „jedną rękę, stopę oraz kości czaszki".

Troską Laira było dowieść, że do „samoistnych spaleń" prowadzi nadużywanie „spirytualiów". Według jego teorii, większość ofiar, o których wspomina, to osoby otyłe i o alkoholicznych skłonnościach. Uważał on, że alkohol odkłada się w ich tkankach, by ostatecznie spowodować ognistą eksplozję – tak jak płonąca na bożonarodzeniowym puddingu brandy.

Diagnoza ta – popularna oczywiście wśród wojujących abstynentów – pozostawała uznanym wytłumaczeniem przez większą część stulecia, podczas gdy lista ofiar tego „nieziemskiego ognia" systematycznie rosła.

Znamy obecnie setki przypadków, posiadamy wiele zdjęć, żyje mnóstwo wiarygodnych świadków, jest też niemało medycznych i sądowych orzeczeń, dowodzących, że ludzka istota może obrócić się w popiół. W wielu przypadkach powtarza się charakterystyczna i groteskowa cecha „samoistnego spalenia": ręka lub stopa pozostawione na miejscu pożaru bez jakiegokolwiek innego śladu. Elementem niezmiennym jest to, że mimo dowodów na powstawanie bardzo wysokiej temperatury, znajdujące się w pobliżu zwłok łatwo palne przedmioty pozostają nienaruszone. Na nieszczęście dla Pierre-Aimé Laira i jego następców w żaden sposób nie można się było dopatrzyć reguły o alkoholizmie ofiar.

Taka była tradycja, która doprowadziła profesora Gee z Leeds do rozpoczęcia upiornego, lecz niezbędnego eksperymentu z ludzką pochodnią. Gee wiedział, że tłuszcz z ciała człowieka, nawet stopiony w tyglu, spala się dopiero w temperaturze około 250° C. Jednakowoż sporządzony z materiału i wetknięty do płynnego tłuszczu knot będzie się palił w temperaturze zaledwie 24°C. Mając to na uwadze, Gee wykonał ludzką świecę, owiniętą w warstwy tkaniny. Następnie na jednym jej końcu umieścił palnik Bunsena. W ciągu minuty tłuszcz zajął się płomieniem. Oto beznamiętne sprawozdanie profesora Gee:

„Mimo że w tym momencie palnik został usunięty, wzdłuż wałka następowało powolne spalanie tłuszczu i tkaniny – żółtym, zmieszanym z dymem płomieniem i z obfitym wydzielaniem się sadzy. Cały wałek spłonął po upływie godziny. Podczas doświadczenia zastosowano strumień powietrza z nadmuchu usytuowanego w ten sposób, że kierunek spalania był przeciwny do ruchu powietrza".

Inny profesor medycyny sądowej, Keith Mant, w wydanej w 1984 roku pracy pt. *Taylor's Principles and Practice of Jurispru-*

dence („Zasady Taylora a praktyka prawoznawstwa") podsumował obecny stan domniemań w tej kwestii:

„Wszystko wskazuje na to, że kolejność zdarzeń w podobnych przypadkach jest następująca: ofiara przewracając się – na przykład wskutek ataku serca lub zaczadzenia – upada tak, że którąś częścią ciała wchodzi w kontakt ze źródłem ognia, takiego jak niewielki domowy kominek. Część ta, a jest to zazwyczaj głowa, zapala się, zaś warstwa tłuszczowa ciała po stopieniu się wsiąka w odzież, która – na przykład w wypadku wiekowej damy – składa się z wielu warstw. Ubranie, spełniające rolę knota, stapia kolejny płat tkanki tłuszczowej i proces ten powtarza się na całej długości ciała. Jeśli deski podłogi pod ofiarą zajmą się ogniem, następuje przepalenie stropu na wylot, wskutek czego nagły podmuch powietrza powoduje wzrost temperatury i spopielenie się reszty ciała. Przez ten czas ogień dosięga dolnych kończyn, pokrytych cieńszą warstwą tkanki tłuszczowej i raczej nie osłoniętych odzieżą – i tu proces ulega zatrzymaniu".

Scenariusz ten jest mocno naciągnięty i nie zgadza się z wszystkimi znanymi faktami. Pozostaje poza tym jeszcze ogromny margines spraw nieuchwytnych. Czy możliwe jest wytworzenie się tak wysokiej temperatury, by nawet kości uległy rozpyleniu, a mimo to nie ucierpiały w najmniejszym stopniu znajdujące się tuż obok łatwo palne obiekty, takie jak odzież, papier, a nawet siano i słoma? A te płomienie wydobywające się z jamy brzusznej ofiary? Albo przerażające przypadki stawania w ogniu na oczach przyjaciół i przechodniów?

Zjawisko „nieziemskiego ognia" wciąż narzuca pytania, które nie pozostają w żadnym związku z dochodzeniami laboratoryjnymi i palnikiem Bunsena.

LUDZIE POD WYSOKIM NAPIĘCIEM

Bardzo rzadkim i niewytłumaczalnym przypadkiem są ludzie, którzy wydają się być naładowani prądem elektrycznym o wysokim napięciu. Medycyna nie umie wytłumaczyć tego zjawiska, więc niechętnie się o tym mówi...

Doktor Ashcraft nie wierzył w zasłyszane opowieści o dziewczynie naładowanej prądem o wysokim napięciu, więc wyciągnął rękę i dotknął jej. Natychmiast padł porażony na podłogę.

Jennie Moran, sprawczyni tego wypadku, mieszkała blisko miejscowości Sedalia, w stanie Missouri. W 1895 roku była kruchą, nerwową nastolatką. Zjawisko, które zwróciło na nią powszechną uwagę, ujawniło się, kiedy skończyła czternaście lat. Wtedy Jennie nagle zaczęła zachowywać się niczym bateria o dużej pojemności. Kiedy dotykała uchwytu pompy, iskry strzelały z jej palców, a napięcie prądu było tak wysokie, że iskrzenie sprawiało jej ból. Tym bardziej nieprzyjemne było dla osób, którym zdarzyło się dotknąć Jennie.

Nie trzeba dodawać, że Jennie miała niewielu przyjaciół. Od kiedy jej ulubiony kot zaczął jej unikać, odczuwszy na własnej skórze siłę elektrycznych wstrząsów, uznała, że jest przeklęta.

Dziwne elektryczne właściwości ciała Jennie zniknęły wraz z dojrzałością; stała się więc normalną młodą dziewczyną, ku swojej ogromnej radości.

W dokumentacji medycznej i w prasie zanotowano inny przypadek kobiety-baterii. Była nią Caroline Clare z Bondon, w stanie Ontario. W 1877 roku, kiedy miała siedemnaście lat, była zdrową dziewczyną, ważącą pięćdziesiąt osiem kilogramów. Mieszkała z rodzicami i sześciorgiem rodzeństwa. Pewnego razu zachorowała, straciła apetyt i zaczęła niknąć w oczach. Lekarze nie wykryli u niej żadnej poważnej choroby, lecz ona chudła, aż jej waga spadła poniżej czterdziestu kilogramów.

Dziewczyna zaczęła cierpieć na ataki czy – jak to określili lekarze – konwulsje. Kiedy jej ciało stawało się sztywne, wbijała oczy w jeden punkt, mamrotała godzinami, mówiąc o odległych miejscach i okolicach, których nigdy nie widziała. Opowieści te spotykały się ze zdziwieniem, ponieważ jej przyjaciele wiedzieli, że Caroline nigdy nie wyjeżdżała z rodzinnego miasteczka.

Ten dziwny stan trwał półtora roku i dopiero po upływie tego czasu zaczęła się zmiana na lepsze. Jednak nie była to poprawa, jakiej oczekiwano, bo kiedy pod względem fizycznym i psychicznym Caroline wróciła do zdrowia, okazało się, że dotknięcie dziewczyny grozi porażeniem elektrycznym. W dodatku Caroline wytwarzała nie tylko prąd elektryczny – stawała się też jakby namagnesowana. Za każdym razem, kiedy dotknęła metalowego przedmiotu, udawało się go oderwać od jej rąk dopiero przy użyciu dużej siły.

Tak jak w przypadku Jennie Moran, przeklęte napięcie elektryczne zniknęło, kiedy Caroline osiągnęła wiek dojrzały. Dokumenty dotyczące choroby złożono w Towarzystwie Medycznym w Ontario latem 1879 roku jako sprawę odłożoną *ad acta*.

W 1890 roku szesnastoletni Louis Hamburger przyjechał studiować farmację na uniwersytecie w Maryland. Jego zdolność przyciągania metalowych przedmiotów szybko uczyniła go sławną postacią na wydziale. Nauczyciele sprowadzili ekspertów w dziedzinie medycyny i fizyki, żeby zbadali młodego człowieka. Naukowców zdumiała zdolność Louisa Hamburgera do utrzymywania ciężkich, metalowych przedmiotów na czubkach palców jakby na potężnym magnesie, na przykład żelaznych prętów ponad trzydziestocentymetrowej długości i dwuipółcentymetrowej średnicy czy szklanego słoja wypełnionego żelaznymi opiłkami.

Naładowanie elektrycznością, które sprawiło tyle kłopotu Jennie Moran, Caroline Clare i Louisowi Hamburgerowi, przypominało chorobę, na jaką zapadł Frank McKinstry z Joplin, w stanie Missouri, około roku 1889. Napięcie elektryczne, które wytwarzał Frank, było niezależne od jego woli i nasilało się rano, kiedy był wyspany i wypoczęty. Potem w ciągu dnia stopniowo znikało. Szczególnie w zimne dni, kiedy większość ludzi akumuluje pewną ilość elektryczności, Frank bywał tak naładowany, że chodzenie sprawiało mu trudność. Czuł się, jakby stąpał po olbrzymim lepie na muchy.

On również był badany przez lekarzy, a potem zapomniany, ponieważ tak jak we wszystkich opisanych tu przypadkach medycyna zebrała tylko dowody, nie udzielając żadnego wyjaśnienia.

NIESAMOWITE FOTOGRAFIE

Robienie zdjęć w świetle błyskawic jest rzeczą tak łatwą, że można je wykonać najprostszym aparatem fotograficznym. Ale gdy błyskawica sama zaczyna fotografować – to już jest zagadka nawet dla ekspertów. Jak to się dzieje, nikt nie wie, ale czasami błyskawica robi zdjęcia, i to o zaskakującej czystości obrazu.

Przy drodze, między Cleveland a Chattanooga, w stanie Tennessee, mieszkała w 1887 roku starsza wdowa, znana w wiosce

Ooltewah jako babunia Osborne. Przykuta do łóżka, kurczowo trzymała się życia w skromnej chacie, gdzie ona i jej mąż mieszkali od wielu lat, wydzierając kamienistej ziemi tyle, by starczyło na skromne utrzymanie.

Na kilka godzin przed śmiercią zdołała unieść się na łokciach, chcąc przyjrzeć się gwałtownej burzy z piorunami, szalejącej nad doliną. Nagle potężne uderzenie pioruna roztrzaskało sosnę stojącą po drugiej stronie drogi. Babunia opadła na poduszkę, złożyła ręce i umarła.

Zaskoczenie przyszło później, gdy przybyli sąsiedzi ubrać nieboszczkę do trumny. Ku swemu przerażeniu odkryli, że babunia zdawała się wyglądać na nich z okna – jak zwykle w swoim nocnym czepku i z dobrotliwym uśmiechem. Bliższe oględziny ujawniły, że na szybie utrwalony został niesamowity obraz staruszki, tkwiącej w oknie podczas obserwacji ostatniej w swoim życiu burzy. Jakość wizerunku reporterzy opisali jako porównywalną pod względem szczegółów ze zdjęciem wykonanym aparatem fotograficznym – z tą tylko różnicą, że został on utrwalony na skutek jakiegoś nieznanego procesu na zwyczajnej szybie okiennej, gdzie był widoczny przez całe lata, dopóki nie wyblakł.

Przypadek babuni Osborne pod wieloma względami podobny jest do innego, który zdarzył się w Waszyngtonie w 1903 roku. Wtedy to goście na proszonym obiedzie zauważyli utrwalone na dużej szybie z płaskiego, walcowanego szkła, w oknie wychodzącym na ogród, dwie zadziwiające fotograficzne podobizny: starszego, krzepkiego mężczyzny i bardzo wątłej, wiekowej damy.

Gdy poprzedni właściciele tej posiadłości zostali powiadomieni o odkryciu, przyjechali i natychmiast zidentyfikowali te dziwne obrazy jako podobizny, jak żywe, ich ojca i babki, którzy zmarli przed wielu laty. Lubili oni obserwować burze z piorunami stojąc przed szybą z walcowanego szkła, które zapewniało im doskonałą widoczność.

W jaki sposób ich wizerunki zostały utrwalone na grubym, płaskim szkle, było tajemnicą, której nie potrafili wyjaśnić nawet eksperci ze Smithsonian Institute.

Szkło zostało ostrożnie wyjęte i zabrane do instytutu w celu przeprowadzenia badań, ale naukowcy mogli tylko stwierdzić, że w jakiś nie znany im sposób piorun utrwalił wizerunki w szkle wyraźnie niczym fotografia. Szkło zostało skatalogowane i zarejestrowane. Leży gdzieś pośród trzydziestu milionów eksponatów należących do Smithsonian Institute.

W New Albany, w stanie Indiana, pani Sophie Scharf zmarła 2 grudnia 1891 roku w swoim domu przy zbiegu East Fifth i Spring Street. Uroczystości pogrzebowe odbyły się trzy dni później, a następnego dnia po pogrzebie synowa zmarłej kobiety poszła do jej domu, aby zabrać parę rzeczy. Okropnie się przeraziła zobaczywszy twarz zmarłej, wpatrującą się w nią z okna od frontu. Obraz był wyraźny, ale w krótkim czasie zniknął tak nagle i nieoczekiwanie, jak się zjawił.

Po kilku tygodniach pojawił się ponownie – z początku zamazany, z czasem coraz wyraźniejszy. Wszyscy, którzy go oglądali, zgadzali się, że był doskonale wierną podobizną zmarłej, ale nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego i w jaki sposób na przezroczystej szybie dużego okna pojawił się ów tajemniczy wizerunek. Podejmowano różne próby, żeby obraz usunąć, jednakże bez powodzenia. W końcu syn pani Scharf, który jadąc z Kalifornii spóźnił się na pogrzeb, po prostu wziął chustkę do nosa i przetarł nią wizerunek zmarłej, a ten zniknął na zawsze.

Bardziej trwałą, ale równie intrygującą była „fotografia" w trzyskrzydłowym oknie w domu J. Smitha, sędziwego farmera mieszkającego dziesięć kilometrów na zachód od Demossville w Kentucky. Pojawiła się wczesną wiosną 1865 roku. Wojna domowa dobiegała końca i Smith, jak wszyscy jego sąsiedzi, czekał na wieści z frontu. Pewnego ranka po gwałtownej burzy Smith i jego żona ze zdumieniem dostrzegli wspaniałą tęczę – jednakże nie na niebie, jak można by się spodziewać. Ta wielobarwna wstęga o szerokości około piętnastu centymetrów biegła łukiem przez trzy dolne szyby ich frontowego okna. Była widoczna tylko z zewnątrz, ale nie ulegało wątpliwości, że jest trwałym elementem szyby. Gdy unoszono okno – tęcza unosiła się razem z nim.

Jej pojawienie sią wywołało prawie panikę. Setki ludzi przychodziły, żeby ją zobaczyć i spróbować powiązać z jakąś wróżbą dotyczącą wojny. Po kilku dniach wojna się skończyła, jednakże tęcza pozostała – wciąż tak samo wyraźna i kolorowa jak dwadzieścia lat później, gdy sprawę tę badał „Cincinnati Enquirer".

Pojawiające się po burzy obrazy na szybach... Jeszcze jedna udokumentowana zagadka, w obliczu której stajemy zdumieni.

PÓŁNOC W POŁUDNIE

Raz za razem historia notuje wypadki, kiedy to w środku dnia nagła ciemność spowija miasta i kraje.

Jak to się dzieje i dlaczego?

Część astronomów uważa, że przestrzeń kosmiczna wcale nie jest pusta. Gdy przemierzamy kosmos, do atmosfery ziemskiej każdego dnia zmiatane są biliony drobnych cząsteczek. Podejrzewa się istnienie pyłów i gazów kosmicznych tak gęstych, że aż nieprzezroczystych.

Jeżeli faktycznie istnieją w kosmosie gęste masy nieprzezroczystych czy półprzezroczystych ciał, nie jest wykluczone, że Ziemia przecina je od czasu do czasu, czemu towarzyszą niezwykłe efekty, o których tu mowa.

Cienka warstwa pyłu kosmicznego, zasłaniająca Słońce pod małym kątem, może spowodować zanik światła, nawet w środku dnia. Istnieją urzędowo zarejestrowane przypadki, gdy w słoneczne dni nagle zapadały ciemności, chociaż nie było zaćmienia słońca.

26 kwietnia 1884 roku miasteczko Preston w Anglii spowiły straszne ciemności, które zapadły w dzień. Komunikaty prasowe informują, że całe niebo stało się czarne, jakby naciągnięto na nie ogromną zasłonę. Strwożeni mieszkańcy szukali po omacku drogi, zwierzęta ułożyły się do snu, a pobożni ludzie zaczęli się modlić. Ciemność zniknęła tak nagle, jak się pojawiła i powrócił dzień. Zjawisko to nigdy nie zostało wyjaśnione.

W Aitkin, w stanie Minnesota, 2 kwietnia 1889 roku nagle zapadły ciemności, a z nieba strumieniami sypał się piasek! To zjawisko również pozostało nie wyjaśnione.

Londyn został nagle spowity mrokiem 19 sierpnia 1763 roku. Była to gęsta, paraliżująca ciemność, nie przepuszczająca nawet światła świec ani latarni. Astronomowie twierdzili, że nie było to zaćmienie.

W Oshkosh, w stanie Wisconsin, w biały dzień miało miejsce zagadkowe zaciemnienie, które zaczęło się o godzinie trzeciej po południu i w ciągu pięciu minut zatopiło miasto w gęstym mroku. Zaciemnienie trwało nie dłużej niż dziesięć minut i według oficjalnych danych, plama ciemności przesuwała się z zachodu na wschód po niebie, które było gęsto pokryte chmurami.

Gdy wstrząśnięte miasto odzyskało światło dzienne, okazało się, że miasta leżące na zachód od Oshkosh zostały podobnie doświadczone. Czym była niewielka plama gęstej ciemności, która przesuwała się od wybrzeża do wybrzeża w ciągu trzech godzin? Czy jakieś nieznane ciało stałe znalazło się między Ziemią a Słońcem, czy też, co jest tu mniej prawdopodobne, niezbyt duża, ale gęsta wstęga pyłu kosmicznego przesłoniła światło, gdy nasza planeta przemykała przez nią lub niedaleko niej?

Memphis w stanie Tennessee jak zwykle zajęte było swoimi sprawami o godzinie dziesiątej rano 2 grudnia 1904 roku, gdy z nie wyjaśnionych przyczyn zniknęło słońce i zapadł mrok. W ciągu dalszych piętnastu minut wielu ludzi przeżyło paniczny strach. W niektórych dzielnicach miasta przeraźliwie krzyczeli cierpiący katusze wierni, którzy bali się, że nadszedł koniec świata.

Być może, z przyczyn psychologicznych te rzadkie, ale wstrząsające okresy nieprzewidzianych ciemności w dzień są różnie tłumaczone: dymem z pożarów lasów, niezwykłymi uformowaniami chmur lub obłokami pyłu z odległych pustyń.

Istnieją wypadki, dla których takie wyjaśnienia są niewątpliwie uzasadnione. Są wszak inne przypadki, gdy te wyjaśnienia, mówiąc delikatnie, są sporne. Takie zdarzenie miało miejsce we wrześniu 1950 roku, kiedy to na dużym obszarze Stanów Zjednoczonych widziane było przedziwne, błękitne słońce, które jak gdyby słabo przeświecało przez gruby filtr. Zjawisko to zanotowano 24 września. 26 września słońce zbłękitniało dla Szkocji i Anglii. W Danii słońce było błękitne tylko dwie godziny, ale wystarczyło to, aby w bankach utworzyły się kolejki pragnących podjąć swoje oszczędności na wypadek końca świata.

Natychmiast udostępniono oficjalne wyjaśnienia. Opinię publiczną USA poinformowano, iż dziwny wygląd słońca został spowodowany dymem z rozległych pożarów lasów w prowincji Alberta w Kanadzie. Wyjaśniono, że dym uniósł się na dużą wysokość i działał jak gęsty filtr, zmieniając barwę światła słonecznego.

Wyjaśnienie to zawierało jeden poważny szkopuł. Wynikało z niego, że ów rzekomy dym, który zmienił kolor słońca, był niesiony wiatrem w kierunku wschodnim i równocześnie w kierunku zachodnim.

Jest to faktycznie dziwny wiatr, niosący dym w dwóch przeciwnych kierunkach w tym samym czasie!

ŚMIERĆ Z KOSMOSU

Pod koniec 1958 roku w serwisach informacyjnych cytowano czołowych meteorologów amerykańskich, którzy na podstawie badań doszli do wniosku, że na pogodę ziemską wpływa także pył kosmiczny – obłoki mikroskopijnych cząsteczek, przez które Ziemia przechodzi czasami w swoim szalonym pędzie przez przestrzeń kosmiczną.

Wiemy, że do wystąpienia zarówno opadów deszczu, jak i śniegu potrzebne są drobne cząsteczki, wokół których mogłyby formować się kropelki wilgoci, by później spaść w postaci deszczu lub śniegu. Wiadomo także, że miliardy drobnych cząsteczek przedostają się każdego dnia do atmosfery, gdy Ziemia przechodzi przez obłok czy warstwę pyłu kosmicznego – wtedy to powstają odpowiednie warunki dla wystąpienia deszczu, jeżeli w momencie pojawienia się pyłu w powietrzu jest wilgoć.

Astronomowie odkryli, iż okazałe warkocze komet są niezwykle rozrzedzonymi ciałami pyłowo-gazowymi, składającymi się z cząsteczek tak drobnych, że nawet niewiarygodnie małe ciśnienie światła może spowodować ugięcie się warkocza. Od czasu do czasu Ziemia przechodzi przez takie skupiska materii kosmicznej – warkocze komet – niekiedy z bardzo nieprzyjemnymi skutkami, które mogą być albo zwykłym zbiegiem okoliczności, albo i nie.

Już w starożytności zwrócono uwagę na możliwości istnienia związku między kometami i zarazami. *Biblia*, w *Pierwszej Księdze Kronik*, opowiada, jak to król Dawid ukrywał się na klepisku Ornana, kiedy jego przerażona świta ujrzała ogromną kometę ciągnącą za sobą ognisty warkocz wypełniający niebo – a wkrótce potem wybuchła wielka epidemia, pochłaniając siedemdziesiąt tysięcy istnień ludzkich.

W 1665 roku pojawiła się inna okazała kometa, z królewskim majestatem przesuwając się po niebie i ciągnąc za sobą warkocz, przez który przeszła Ziemia. Może znowu tylko dziwnym zbiegiem okoliczności zaraza nawiedziła świat... niesławna Czarna Zaraza, która zabiła miliony ludzi i zdziesiątkowała ludność globu.

Współczesna nauka odkryła, że wiele chorób wywołują maleńkie stworzonka, których część jest tak mikroskopijnie mała, że można je dostrzec i wykryć tylko przy fantastycznym powiększeniu mikroskopu elektronowego. Wiadomo także, iż wiele drobnoustrojów może przetrwać zamrożenie bez widocznej dla siebie szkody. To samo dotyczy wirusów.

Jeśli chorobotwórcze drobnoustroje lub wirusy występują także w pyle kosmicznym, zgodnie z logiką można przypuszczać, że pył nie tylko wywołuje zmiany pogody, ale również epidemie, jak utrzymywali już starożytni. A ponieważ niektóre rasy ludzkie są bardziej od innych odporne na pewne choroby, epidemie nie wśród wszystkich sieją takie samo spustoszenie. Istnienie czegoś, co można nazwać odpornością rasową, zostało udowodnione w przypadku dymienicy morowej, która w latach 1896–1897 zabiła w Indiach setki tysięcy tubylców, podczas gdy Europejczycy swobodnie i prawie bezkarnie poruszali się po terenach nawiedzonych przez tę chorobę.

Niekiedy choroby pojawiają się z dramatyczną raptownością i obiegają świat, nie oszczędzając żadnej rasy ani koloru skóry. Takim mordercą była w 1347 roku czarna śmierć, która nadciągnęła wkrótce po pojawieniu się komety i wydawało się, że zaatakowała całą Ziemię jednocześnie, zabijając w ciągu trzech strasznych lat prawie połowę jej mieszkańców.

Daniel Webster przeżył epidemię grypy, która zebrała obfite żniwo w wielu krajach, i to właśnie on zwrócił uwagę na pojawienie się choroby jako następstwa zbliżenia się komety. Możliwe, że błędnie interpretował on fakty – a może i nie.

Analiza spektroskopowa warkoczy komet ujawniła, że zawierają one ogromne ilości gazów, a niektóre z nich są śmiertelne dla ludzi. Przechodzimy więc przez warkocze komet, nawet o tym nie wiedząc – nic więc dziwnego, że wówczas nasza atmosfera wchłania część gazów i pyłu.

Przeprowadzono również badania naukowe nad długofalowym wpływem niewielkich ilości śmiercionośnych gazów na tkanki żywych istot. Czy osłabia je to do tego stopnia, że padają ofiarą popularnych chorób, na które normalnie byłyby odporne? Czy powolne, stopniowe przenikanie pyłu kosmicznego i kosmicznych gazów do naszej atmosfery odgrywa jakąś rolę w przygotowaniu ludzi do nadejścia epidemii?

Historia obfituje w epidemie i komety. Czy są one ze sobą powiązane, nikt nie jest w stanie powiedzieć, ale człowiek od dawna bał się obydwu – może słusznie mając ku temu powody!

ZDUMIEWAJĄCE DESZCZE

Niebo wydaje się być puste, lecz jest to złudne wrażenie, gdyż obserwacje i notatki mówią o tak dziwnych rzeczach spadających z nieba, że aż trudno uwierzyć.

Zdarzyło się to 22 grudnia 1955 roku. William Shannon i George Brinsmaid, profesjonalni ilustratorzy z RCA Service Company w Aleksandrii, stan Wirginia, jechali samochodem do pracy. Znajdowali się na równej, łagodnie wijącej się autostradzie Mt. Vernon Highway, gdy – jak relacjonują – „nagle rozległ się przeraźliwy huk i pojawiła się ogromna dziura w przedniej szybie". Na podłodze samochodu leżała duża, zamrożona ryba o długości dwudziestu pięciu centymetrów... Spadła prosto z nieba jak bomba, z taką siłą, że wybiła w bezodpryskowym, bezpiecznym szkle dziurę o średnicy trzydziestu centymetrów kwadratowych i spowodowała pęknięcie przedniej szyby w poprzek na całej długości.

W pobliżu nie było żadnych samochodów, samolotów ani nic takiego, co mogłoby wyjaśnić to zdarzenie. Tylko zamrożona ryba, potłuczona przednia szyba i dwoje przerażonych ludzi, którzy zawrócili i pojechali prosto do domu.

Nauczeni, że w niebie nie ma ryb, zamrożonych ani w żadnej innej postaci, niechętnie uznajemy takie świadectwa za prawdziwe. Aż do 1805 roku astronomowie naśmiewali się z pomysłu, że z nieba spadają kamienie i kawałki żelaza. W niebie nie ma kamieni, dlatego też nie mogą one stamtąd spadać. Wszystko było proste dopóty, dopóki Biot, sławny fizyk i członek akademii, nie zaczął badać spadających kamieni. Udowodnił, że one naprawdę spadły z nieba, o czym od lat mówili ciemni wieśniacy.

Niegościnne wrzosowiska, rozciągające się wzdłuż Kanału Brystolskiego na północ od hrabstw Devon i Somerset, znane są głównie ze wspaniałych owiec i robionych z ich wełny poszukiwanych tkanin.

Jednak nocą 10 listopada 1950 roku coś niezwykłego wpisało się do historii tej cichej okolicy.

Owej nocy Latham wielokrotnie słyszał zaciekłe szczekanie swego owczarka. Collie czynił to z reguły tylko wtedy, gdy coś było nie w porządku. Latham wstał i wyszedł na dwór. Niebo było bezchmurne. Nie zauważywszy niczego niezwykłego, pomyślał, iż pies po prostu oznajmiał, że stoi na posterunku, i to wszystko.

Wraz z nadejściem ranka Lathama czekała niespodzianka. Jego pies ponownie szczekał jak oszalały, tym razem jakieś pięćdziesiąt metrów od domu. Kiedy Latham dotarł na miejsce, znalazł tam jedną ze swych owiec, nieżywą, z głębokim, ukośnym rozcięciem wzdłuż grzbietu poniżej szyi, tak jakby była uderzona siekierą. Obok ciała owcy leżał klocek lodu, który – jak się okazało – ważył około sześciu kilogramów... Kawał lodu spadł na ziemię z taką siłą, iż wbił się na głębokość ponad dwudziestu centymetrów.

Latham powiedział później władzom: „Owca została zabita, jakby uderzył w nią piorun. Na całym polu i wzdłuż drogi znalazłem wiele innych bryłek przezroczystego, twardego lodu, większość z nich była wielkości talerza, chociaż były i większe".

Po długim dochodzeniu The British Air Ministry musiało przyznać, że nie jest w stanie wyjaśnić tego zjawiska. Lód nie pochodził z samolotów ani też nie powstał na skutek burzy, a ministerstwo stwierdziło: „Fakty nie sugerują, że mogło to być normalne zjawisko meteorologiczne lub też jakieś znane zjawisko przyrodnicze..."

Ledwie całe podniecenie tą sprawą przygasło, zdarzenie powtórzyło się 24 listopada 1950 roku. Tak jak poprzednim razem, nie było większego mrozu, a niebo było bezchmurne. We wczesnych godzinach nocnych bryła lodu, sześcian o boku trzydziestu centymetrów, spadła na ziemię. Przeszyła dach garażu w Wandsworth koło Londynu i narobiła tyle hałasu, że stróż nocny wezwał policję, zgłaszając wybuch bomby. Ponowne badania, przeprowadzone przez Air Ministry, nie przyniosły rozwiązania tej zagadki.

Te niewytłumaczalne spadki brył lodowych nie są zjawiskiem charakterystycznym dla Anglii. Gdzieś w połowie kwietnia 1958 roku deszcz lodowy spadł na podwórze państwa Kozłowskich w Napa, w Kalifornii; duże, postrzępione kawały lodu od dwudziestu pięciu do trzydziestu centymetrów średnicy. Niektóre z nich wbiły się w ziemię do połowy. Na tym obszarze nie było żadnych lotów samolotowych.

W tym miejscu należy także przypomnieć przeżycie, jakie było udziałem Edwina Groffa, farmera z okolic Reading w stanie Pensylwania. Usłyszał on gwiżdżący dźwięk, a w chwilę później ważący ponad dwadzieścia kilogramów kawał lodu spadł na ziemię tuż obok przerażonego farmera. Zawołał żonę i gdy tak stali, przyglądając się pierwszemu kawałkowi, drugi, odrobinę mniejszy, spadł ze świstem i wbił się w ziemię.

Wezwano szeryfa, ten powiadomił Air Force, zaś lotnictwo z kolei wezwało meteorologa. Stwierdził on, że jest to zwykły lód przyniesiony przez silny strumień powietrza, poruszający się z wielką prędkością. Teoria ta została jednak odrzucona, gdyż wiatr nie byłby w stanie podnieść brył lodu i unieść ich na taką wysokość.

Bryły lodowe Eda Groffa spadły na ziemię 30 lipca 1957 roku, 14 sierpnia 1957 roku w Gowen City w Pensylwanii na ziemię spadła większa ilość brył, a 8 września 1958 roku ogromny kawał lodu przeleciał przez dach składnicy przy 510 North Third Street w Chester, także w Pensylwanii. Jak w poprzednich przypadkach, nikt nie dał żadnego sensownego wyjaśnienia.

Ale chyba najdziwniejsze zdarzenie przytrafiło się państwu Bacigalupo z 336 Greystone Road, Old Bridge, w New Jersey. Wieczorem 2 września 1958 roku około godziny dwudziestej pierwszej oglądali oni telewizję w swoim living-roomie, kiedy pan Bacigalupo poszedł do kuchni, aby zrobić sobie kawy. Gdy ponownie usiadł przed telewizorem, usłyszał przeraźliwy rumor... Bryła lodu wywaliła metrową dziurę w dachu i w suficie kuchni.

4 lipca 1956 roku ogromne bryły lodu porozbijały samochody w Long Beach, w stanie Kalifornia. Celem ataku była ulica American Avenue z rzędami zaparkowanych samochodów. Trzy z nich zostały poważnie uszkodzone przez krystalicznie czysty lód, spadający ze świstem z bezchmurnego nieba.

W mieszczący się przy 1480 American Avenue parking używanych samochodów na sprzedaż L.A. Smitha trafiła ogromna bryła lodu – ciężki kloc, który uderzył w jeden z samochodów z taką siłą, że maska i błotnik zostały zerwane odsłaniając silnik. Pracujący na parkingu H.A. Boyd powiedział gazecie „Los Angeles Examiner": „Właśnie skończyłem czyścić ten samochód i odszedłem od niego na odległość około półtora metra, gdy usłyszałem świst. Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że w powietrzu pełno jest dużych i błyszczących kawałków spadającej w dół materii. Ogromna bryła lodu wielkości ludzkiej głowy rozbiła się na tym samochodzie, a kawałki lodu spadały na cały parking".

Lekko po przekątnej, po drugiej stronie ulicy, gdzie spadły bryły lodu, były pilot P-38, Charles Roscoe, siedział w swym biurze, gdy nagle usłyszał huk. Później powiedział władzom: „To brzmiało jak wybuch armatni. Wybiegłem więc, aby zobaczyć, co się dzieje. Kiedy doskoczyłem do drzwi, coś grzmotnęło w dach biura z takim łoskotem, jakby zwaliła się wielka skała. Spojrzałem w górę. Słońce oświetlało wielkie bryły spadające z wysokości około sześciu kilometrów. Obracały się w powietrzu i miałem wrażenie, że na ziemię spływa lodowy wodospad. Szukałem samolotu, ale żadnego nie zauważyłem".

Meteorologowie odrzucili całą tę sprawę stwierdzając, że były to po prostu bryły lodu, które odpadły od poszycia samolotu. Ich wyjaśnienia zostały jednakże uznane za nieprawdopodobne przez władze lotnictwa, które stwierdziły, że niemożliwe jest, aby tak duże bryły lodu utworzyły się na powierzchni samolotu, a do tego żaden samolot nie mógłby zrzucić tyle lodu w jedno miejsce w ciągu dwóch minut.

W 1921 roku w Portland, w stanie Oregon, biała, błyszcząca materia, przypominająca kawałki wypolerowanej porcelany, spadła migocząc wraz z towarzyszącymi jej sporymi kawałkami lodu na obszar o powierzchni około trzydziestu metrów kwadratowych.

Dziesiątki kilogramów poszarpanego na strzępy mięsa spadły 9 sierpnia 1869 roku w Los Nietos Township, w stanie Kalifornia, na posiadłość zaskoczonego i zdenerwowanego właściciela gospodarstwa hodowlanego, niejakiego Hundsona.

Mięso, w postaci drobnych strzępów i pasków o wymiarach wahających się od wielkości dolara do rozmiarów ludzkiej ręki, było świeże, ale szybko uległo zepsuciu. Zajmujący się jego badaniem zauważyli, że po jednej stronie miało drobną, czarną szczecinę, nie potrafili jednak wyjaśnić, skąd się ona wzięła ani też jakim cudem mięso spadło z nieba na gospodarstwo hodowlane pana Hundsona.

1 marca 1876 roku w Bath County, w stanie Kentucky, spadło coś, co specjaliści z uczelni Lexington określili jako: „pół fury kawałków mięsa pokrojonego w cienkie paski, niektóre dość krwiste, porozrzucanych na przestrzeni o szerokości około piętnastu i długości około dziewięćdziesięciu metrów na dwóch polach miejscowej farmy".

Z nieba – według relacji świadków – spadają tak dziwne rzeczy jak: skały, kawałki żelaza, orzechy laskowe, żaby, ogromne bryły lodu... a czasem także świeże mięso. Ciekawe, skąd się to wszystko bierze...

WĘŻE SPADŁY NA MEMPHIS

Memphis, w stanie Tennessee, słynie z wielu miejsc, ludzi i wydarzeń. Z pewnością nie jest znane z ponurych osobliwości – z jednym wyjątkiem: deszczu węży, który spadł na miasto w styczniu 1877 roku.

W pamiętnym roku Memphis było portem rzecznym, zamieszkałym przez czterdzieści pięć tysięcy osób. Po roku połowa mieszkańców opuściła miasto, uciekając przed żółtą febrą. Z tych, którzy pozostali, jedna trzecia zmarła – Memphis posiadało już tylko trzynaście tysięcy mieszkańców. Niewątpliwie epidemia przyczyniła się do zapamiętania deszczu węży przez mieszkańców miasta. Czasopismo „Reader's Digest" z 1982 roku publikuje w artykule *Nie wyjaśnione zagadki* część opisu z 10 lutego 1877 roku, zamieszczonego przez „Scientific American":

„...deszcz żywych węży w Memphis, stan Tennessee. Tysiące małych gadów o długości od trzydziestu do pięćdziesięciu centymetrów pojawiło się w południowej części miasta. Zostały prawdopodobnie przyniesione przez huragan i uniesione w powietrzu na dużą odległość; ale w jakim miejscu węże istnieją w takiej obfitości, jest tajemnicą..."

Tego rodzaju incydenty były znane nawet w roku 1877. W książce *Lo* (1931) kronikarz anomalii Charles Fort pisał, że zebrał dwieście dziewięćdziesiąt cztery przypadki, kiedy to żyjące stworzenia spadły z nieba. W większości jednak były to żaby, ropuchy, ryby i węgorze. Fort znał tylko cztery przypadki, w których pojawiają się węże. Memphis pozostaje udokumentowanym zdarzeniem, gdy na ulice spadło mnóstwo żywych węży.

W swej klasycznej pracy z roku 1919 *Księga rzeczy wyklętych* Fort poświęcił prawie dwie strony sprawie deszczu węży w Memphis. Cytował sprawozdania z wydarzenia z czasopism „Scientific American", „Monthly Weather Reviev" (styczeń 1877) i „New York Times". Wszystkie trzy źródła stwierdzały to samo: tysiące żywych węży spadły podczas ulewy w Memphis.

Czytając zwięzłe opisy z gazet w Memphis, opublikowane zaraz po zdarzeniu, jasne jest, że deszcz węży był w najlepszym wypadku kontrowersyjny. We wszystkim, co napisano o wydarzeniu, nie było wzmianki o żadnej osobie, która widziałaby spadające węże. Fort trafnie jednak zauważył, że niewiele osób spaceruje w czasie ulewnego zimowego deszczu.

W poniedziałek 15 stycznia 1877 roku około dziesiątej dwadzieścia rano gwałtowna ulewa dotarła do Memphis z południowego zachodu. Deszcz padał około piętnastu, dwudziestu minut. Kiedy przestało lać, w południowej części Memphis ludzie zauważyli, że ich podwórka, chodniki, rynsztoki i ulice pokryte są małymi, niejadowitymi, wężami, pełzającymi we wszystkich kierunkach.

Węże były brązowe, czarne i z ciemnymi plamkami oraz miały małe, ale charakterystyczne czarne główki. Wykazywały tendencję do zbijania się w masę i robiły się jaśniejsze po włożeniu do świeżej wody na cały dzień. Szacowano, że było ich tysiące, a nawet miliony. Stwierdzono, że następnego dnia liczba ich zmniejszyła się, a w środę zostało już tylko kilka.

Pewien człowiek w południowej części Memphis zgromadził około tuzina węży w butelce z wodą i przyniósł je do biura miejscowej gazety „Weekly Public Ledger". Gazeta ta wychodziła we wtorki i opisywała wydarzenia z poprzedniego tygodnia, więc dziewięciozdaniowa wzmianka o deszczu węży nie ukazała się przed 23 stycznia, ale gazeta przekazała historię dalej telegraficznie. Ten przekaz był podstawą dla wszystkich innych relacji o tym wydarzeniu.

Jako pierwszy opisał je „New York Times" 18 stycznia w artykule *Tysiące węży w Memphis*. Interesujący jest fakt, że większość mieszkańców Memphis nie miała pojęcia o wydarzeniu, dopóki nie ukazał się artykuł w gazecie „Ledger" sześć dni później.

Wzmianka „New York Timesa" głosiła: „Podczas gwałtownego deszczu w poniedziałek w południowej części miasta zaobserwowano spadające małe, żywe węże. Jeszcze wczoraj były ich tysiące. Mają długość od trzydziestu do pięćdziesięciu centymetrów".

„New York Herald" opublikował dłuższą relację 29 stycznia. Porównując deszcz węży do doniesień o wężach morskich, gazeta dodaje, że „łatwowierność czytelników powinna jeszcze to wytrzymać", chociaż historia o wężach w Memphis „to już być może za dużo". Gazeta pisała, że próbowała bezskutecznie zainteresować wielu przyrodoznawców z Nowego Jorku, przesyłając okazy do identyfikacji.

„Herald" skontaktował się następnie z mieszkańcem Memphis, doktorem Schererem, który przyznał, że czytał artykuł w gazecie „Ledger" 23 stycznia. Powiedział, że węże zostały przyniesione do redakcji. Stwierdził też, że sierżant McElroy wyznał mu, iż sam poszedł na miejsce wydarzenia 17 stycznia i zebrał kilka węży.

McElroy potwierdził, że węże znajdowały się tylko w dwóch rejonach w południowym Memphis, przy ulicach Vance, St. Paul, Orleans i Lauderdale, odpowiednio na północy, południu, wschodzie i zachodzie. W 1877 roku w rejonie tym stały domy w stylu wiktoriańskim i domki służących.

Sierżant McElroy powiedział Schererowi, że węże, które złapał, różniły się długością – miały od piętnastu do trzydziestu centymetrów, a średnicę mniej więcej taką jak drut do robienia swetrów. Miały charakterystyczne główki, nie lubiły być dotykane i zdechły po paru dniach. McElroy twierdził, że nie poruszały się jak węże, ale posuwały przednią część ciała do przodu i podciągały resztę, tworząc coś w rodzaju haczyka. Mogły podnosić się również w górę na kilkanaście cetymetrów, jakby szukały podparcia.

Z odkryć doktora Scherera „Herald" wysnuł wniosek, że stworzenia te nie były z pewnością wężami. Gazeta spekulowała: „Silny poryw wiatru porwał kolonię robaków z zarośli i wirując, cicho opuścił ją w Memphis wraz z ulewą ku niezadowoleniu samych robaków".

Z powodu krytycyzmu „Heralda" i całkowitego braku zainteresowania zjawiskiem innych gazet w Memphis 6 lutego „Ledger" przedrukowała artykuł „Heralda" z 29 stycznia pod tytułem *Nowojorski Herald ma robaki.* Była to ostatnia publikacja na temat tego wydarzenia.

Dokładna identyfikacja stworzeń, które nawiedziły Memphis w 1877 roku, pozostaje tajemnicą. Rozmowy z przedstawicielami armii amerykańskiej nie pozostawiły wątpliwości, że nie ma notatek na temat „węży" w raportach wojsk łączności.

Kiedy opisano te stworzenia Jamesowi Jacobowi, specjaliście od kręgowców z Uniwersytetu Stanowego w Memphis, stwierdził on od razu, że nie mogły to być węże. Żaden wąż nie porusza się wyginając ciało na podobieństwo haczyka. Profesor biologii z tego samego uniwersytetu, Carl Brown, podzielił zdanie doktora Jacoba.

Doktor Brown zasugerował przy tym, że owe zwierzęta mogły być nitnikowcami, ale poprosił o konsultację eksperta od rzadkich bezkręgowców, Jamesa Payne'a.

Tak jak jego poprzednicy, James Payne był wprawdzie zafascynowany starym sprawozdaniem, ale był również sceptyczny.

Twierdził, że u podstaw tej historii leży brak wiedzy na temat bezkręgowców w połączeniu z rozdmuchaniem całej sprawy. Payne wykazał też, że przed rokiem 1910 nitnikowce nie były dobrze znane. Według wierzeń ludowych, kiedy włos z ogona końskiego spadnie do wody, kilka dni później zmienia się w żywego robaka. W naturalnych zbiornikach wodnych często kończą życie owady. Przed 1910 rokiem nie znano związku między nitnikowcami i owadami.

Nitnikowce skręcają się i zbijają w masę. Payne twierdził, że widuje się je często w Memphis po ulewie.

Zaczynają swe istnienie jako pasożyty rozwijające się wewnątrz żuków, pasikoników i innych dużych owadów. Kiedy znajdą się w wodzie, następuje dalsze stadium ich rozwoju i wychodzą z owadów w postaci długich, cienkich, skręconych nitek. Żyją krótko, dopóki się nie rozmnożą. Skręcają się i zbijają w masę w celach reprodukcyjnych.

W Ameryce nazywane są często wężami włosia końskiego, ponieważ myli się je z wężami. Są czarne o długości od piętnastu do czterdziestu pięciu centymetrów i grubości szpilki lub cienkiego drutu. Payne dopuszczał możliwość, że właśnie te stworzenia pojawiły się w Memphis.

Ale owa identyfikacja prowokuje do paru pytań. Jest mało prawdopodobne, że tysiące martwych owadów, zaatakowanych przez nitnikowce, znalazło się w tym samym rejonie.

Jest nieprawdopodobne (chociaż nie niemożliwe), żeby wszystkie wyszły w tym samym czasie w środku zimy. W żadnym wypadku nie mają one charakterystycznych główek i plamek. Nie jaśnieją w świeżej wodzie i nie poruszają się przyjmując kształt haczyków. Payne przyznaje, że jeśli weźmiemy pod uwagę opisy świadków, mamy do czynienia z innymi stworzeniami i prawdopodobnie chodzi tu o pijawki. Pijawki z północnych wód osiągają swój ilościowy szczyt w środku zimy. Wodne pijawki gromadzą się w masy w ilości siedmiuset sztuk na metr sześcienny. Tornado, trąba wodna lub huragan mógł przenieść dużą kolonię i upuścić na Memphis.

Chociaż deszcz węży okazuje się o wiele mniej dziwnym zjawiskiem, niż się wydawało, są szanse, że będziemy czytać o tym w książkach poświęconych tajemnicom naszego świata.

NIEWIDZIALNE KŁY

Raz po raz coś zatapiało kły w ciało krzyczącej dziewczyny, nawet wtedy gdy trzymał ją policjant. Ale nikt nie wiedział, co to było. I nikt tego nie wie do dziś.

Noc 10 maja 1951 roku w Manili była ciepła i spokojna, aż do momentu gdy policja przywiozła do swego głównego biura histeryzującą dziewczynę.

Lekarka sądowa założyła kapelusz i sapnęła: – Nonsens! Nonsens! Wyciągacie mnie z łóżka w środku nocy, żebym obejrzała dziewczynę w ataku epilepsji.

Burmistrz Manili nic nie powiedział. Patrzył zaskoczony to na rozdrażnionego lekarza, to na krzyczącą dziewczynę. Na jej ramieniu widział pręgi i ślady zębów. Czy naprawdę sama się tak okaleczyła w paroksyzmie ataku epilepsji, czy też zrobiło to jakieś okrutne stworzenie, coś... lub ktoś, kto zaatakował ją w zamkniętej celi, jak twierdziła?

Burmistrz Arsenio Lacson nie wiedział, co o tym myśleć, jednakże sprawa była tak dziwna, że wezwano naczelnika policji, a on z kolei sprowadził lekarkę sądową. Razem udali się do więzienia, aby zbadać przyczynę zdenerwowania osiemnastoletniej Clarity Villaneuva, jednej z niezliczonych bezdomnych, młodych dziewcząt, które wojna zostawiła na bruku. Policja znalazła ją w centrum małego zbiegowiska ludzi na rogu ulicy. Krzyczała, że jest atakowana i gryziona. Gapie, w większości męty z okolicznych szynków, dodawali jej otuchy i porozumiewawczo mrugali do siebie, dając do zrozumienia, że dziewczyna jest obłąkana.

Może narkotyki? Albo absynt? Cokolwiek to było, policja zostawiła to komu innemu do ustalenia. Chwycili szamoczącą się dziewczynę i zabrali ją do więzienia.

Gdy drzwi celi zatrzasnęły się za nią, Clarita szlochając upadła na podłogę. Policjanci zignorowali jej prośby, aby obejrzeć osiem śladów zębów, gdzie, jak twierdziła, to Coś ją ugryzło. Coś? Ale co? Clarita potrafiła powiedzieć tylko, że to Coś przypominało człowieka, który miał wyłupiaste oczy i nosił czarną pelerynę, a także potrafił unosić się w powietrzu.

Po chwili zaczęła krzyczeć, że to Coś znów nadchodzi.

Zirytowany policjant otworzył drzwi celi i wprowadził do sali wrzeszczącą nieludzko dziewczynę. Jego oczom ukazały się nowe ślady zębów na jej ramionach i barkach... sine ślady otoczone czymś, co przypominało ślinę. Oficer pobiegł po kapitana... a kapitan wezwał naczelnika.

Kiedy lekarka wróciła już do domu, burmistrz i naczelnik policji osobiście obejrzeli ślady na ciele dziewczyny. Sama je sobie zrobiła? Śmieszne, stwierdzili obaj. Nikt nie byłby w stanie ugryźć się w kark lub w barki z tyłu. To było naprawdę dziwne!

Clarita Villaneuva spędziła resztą nocy na ławce we frontowym pomieszczeniu komisariatu policji w Manili, gdzie zapłakana w końcu usnęła.

Następnego dnia rano, gdy policjanci załatwiali formalności związane z oskarżeniem o włóczęgostwo, dziewczyna znów zaczęła krzyczeć. To Coś wróciło i gryzło ją. Dwóch silnych policjantów chwyciło ją mocno za ręce – i na ich zdziwionych oczach oraz na oczach dziennikarzy i lekarki głębokie ślady zębów pojawiły się na jej ramionach, dłoniach i szyi. Atak ten trwał co najmniej pięć minut, aż dziewczyna zemdlała i osunęła się na podłogę. Doktor Mariana Lara zbadała ją ponownie i zmieniła swe orzeczenie. Ta dziewczyna wcale nie miała ataku epilepsji. Ugryzienia były prawdziwe, ale to nie ona sama się pogryzła. Lekarka poprosiła o natychmiastowe wezwanie burmistrza i arcybiskupa.

Upłynęło około pół godziny, zanim przybył burmistrz. Do tego czasu Clarita odzyskała przytomność. Ugryzienia na jej ramionach spuchły, spuchła też dłoń jednej ręki i posiniała, w miejscu gdzie ślady zębów były bardzo głębokie. Gdy burmistrz i lekarka towarzyszyli jej w drodze do szpitala więziennego, Clarita zaczęła ponownie krzyczeć, że to Coś znów ją goni: tym razem ma pomocnika – drugie stworzenie o oczach robaka. Burmistrz Lacson zeznał później, że na jego oczach ugryzienia pojawiły się na jej karku i na palcu wskazującym, zaś na ręce dziewczyny, nawet w chwili gdy sam ją trzymał, także pojawiły się głębokie ślady zębów.

Trwająca kwadrans droga do szpitala więziennego była koszmarem dla burmistrza Manili, lekarki, dziewczyny i kierowcy samochodu. Gdy znaleźli się na miejscu, ataki skończyły się i stan Clarity zaczął się poprawiać. Już nigdy więcej nie przeżyła czegoś podobnego. „To jest coś, czego nie da się wyjaśnić" – powiedział burmistrz Lacson, zaś doktor Mariana Lara, stwierdziła: „Byłam po prostu śmiertelnie przerażona".

Powyższy przypadek nie jest bynajmniej odosobniony. Kroniki medyczne notują podobne wypadki, kiedy to na ciele pojawiają się różnego rodzaju ślady lub rany. Jednym z bardziej znanych jest historia kobiety o nazwisku Chris Sizemore, która będąc małą dziewczynką, przeżyła silny wstrząs na skutek zapalenia się na niej ubrania. To koszmarne przeżycie pozostawiło w jej psychice tak silny uraz, że jeszcze w wieku pięćdziesięciu lat doznała ataku, podczas którego na jej ciele wystąpiły ślady poparzeń, a stara blizna zaczerwieniła się krwawo. Poparzone niegdyś ramię zrobiło się tak gorące, że wprost parował przyłożony doń mokry ręcznik.

Inny wypadek dotyczy pewnego oficera armii brytyjskiej i opisany został w fachowym czasopiśmie medycznym „Lancet" w 1946 roku przez londyńskiego psychiatrę Roberta Moody'ego. Jego pacjent przebywał w swoim czasie w szpitalu w Indiach, gdzie leczony był z powodu drobnego zakażenia. Ponieważ był lunatykiem, pielęgniarki wiązały go podczas snu. Z powodu lunatyzmu i agresywnego zachownia leczony był po kilku latach w Woodside Hospital w Londynie. Pewnej nocy zauważono, jak miotał się, próbując rozerwać nie istniejące więzy. Kiedy lekarz zapalił światło, na obu przedramionach chorego widniały wyraźne pręgi po sznurach, a po krótkim czasie zaczęła sączyć się z nich krew.

W obu ostatnich przypadkach ślady na ciele wystąpiły na skutek autentycznych przeżyć. Czy prawdziwość takich szokujących przeżyć jest koniecznym warunkiem wystąpienia śladów lub ran? Czy możliwe jest pojawianie się śladów także na skutek przeżyć urojonych? Czy to właśnie zdarzyło się Claricie – dziewczynie, w której ciele zatapiał kły ktoś będący jedynie produktem jej wyobraźni?

STYGMATY

Każdego roku w Wielki Piątek u pewnych ludzi zaczynają krwawić rany, będące odbiciem ran Chrystusa na krzyżu. To niemożliwe, wydawać by się mogło, zjawisko powtarza się z niepokojącą regularnością.

Prawie w każdym przypadku stygmatyk był osobą głęboko religijną, wyjątkowo wrażliwą i prawdziwie uczuciową. Czynniki te sprawiają, jak utrzymuje wielu badaczy, że stygmaty są wynikiem kontroli umysłu nad ciałem, ponieważ umysł stygmatyka chce, aby ciało otworzyło się i krwawiło, co też się dzieje. Inni wybitni uczeni stwierdzają, że domniemana kontrola umysłu nad ciałem jest absolutnie niewystarczająca, a w niektórych przypadkach zupełnie niemożliwa.

Są to interesujące teorie, ale nic więcej.

Dwoma najbardziej znanymi stygmatykami byli: Theresa Neumann z Konnersreuth w Niemczech i ojciec Pio z klasztoru San Giovanni Rotondo w południowo-wschodnich Włoszech. Tych dwoje nadzwyczajnych ludzi, różniących się pod względem temperamentu i usposobienia, obdarowanych zostało wspólną fizyczną osobliwością – krwawiącymi ranami, odpowiadającymi ranom ukrzyżowania. Dla panny Neumann był to stan, z którym musiała sobie radzić od 1926 roku, kiedy to na jej ciele po raz pierwszy pojawiły się rany. Podobnie jak rany ojca Pio, nigdy się one nie goiły ani nie uległy infekcji.

Dziesiątki tysięcy amerykańskich żołnierzy odwiedziło ojca Pio podczas drugiej wojny światowej. Jego rany krwawiły wówczas bezustannie, jak zresztą od wielu już lat. Wyróżniał się on jednak czymś szczególnym – miał wszystkie pięć znaków ukrzyżowania, po jednym na każdej ręce i stopie oraz długą na około osiem centymetrów ranę ciętą na boku, z której płynąca krew nasączała od trzech do pięciu chustek dziennie. Był pierwszym oficjalnie zarejestrowanym księdzem katolickim, mającym święcenia kapłańskie, który posiadał wszystkie pięć stygmatów.

Ojciec Pio urodził sią jako Francis Porgione we włoskiej prowincji Benerento w 1887 roku. Pochodził z licznej rodziny chłopskiej. Jako mały chłopiec wykazywał oznaki wyjątkowej pobożności i w wieku kilkunastu lat wstąpił do zakonu Ojców Franciszkanów, aby kształcić się tam na duchownego.

Nie wyróżniał się niczym niezwykłym aż do 20 września 1918 roku. Tego dnia rano jak zwykle zaczął dzień modlitwą. Nagle zrobiło mu się słabo i stracił przytomność. Kiedy potem otworzył oczy, odkrył, że jego ręce i stopy są przekłute i krwawią. Po kilku chwilach otworzyła mu się brocząca krwią rana na boku.

Bracia zakonnicy wezwali lekarzy, ale ci nie potrafili zatamować krwawienia. Badania wykazały, że ksiądz Pio ma przedziurawione na wylot dłonie i stopy, a cięta rana na boku ma kilka centymetrów głębokości. Wszystkie te rany były trwałe i od tamtego momentu nieustannie krwawiły, pomimo podejmowanych uporczywych i nieprzerwanych wysiłków, aby je wypalić lub wyleczyć.

Dla władz Kościoła katolickiego wiadomość o stygmatach ojca Pio nie była niczym innym jak tylko następnym rozdziałem starej historii. Przez wieki zarejestrowano ponad trzystu stygmatyków, w większości zakonnic i zakonników. Zgodnie z dawno już ustalonym trybem postępowania w takich przypadkach, Kościół nakazał ojcu Pio nie pokazywać się publicznie dwa lata.

W tym czasie był on poddawany intensywnym badaniom zarówno przez autorytety z zakresu medycyny, jak i władze Kościoła, a kiedy badania się już zakończyły, ponownie pozwolono mu pojawiać się publicznie. Badania wykazały między innymi, że rany są trwałe i bezsprzecznie obecne oraz że wyjątkowo pokorny i chrześcijański tryb życia ojca Pio sprawił, iż doświadczył on tak szczególnej łaski.

Aby zabezpieczyć się przed pogonią za sensacją, nakazano mu, aby nie pokazywał swych stygmatów bez uprzedniego uzyskania specjalnego pozwolenia. Ojciec Pio nosił zwykle cienkie, brązowe rękawiczki, zakrywające rany na rękach. Zdejmował je tylko wtedy, gdy odprawiał mszę. Tak jak u Theresy Neumann, krwawienie z ran było najobfitsze w Wielki Piątek – co potwierdzają liczni świadkowie.

W miarę jak sława ojca Pio rozchodziła się po świecie, tysiące chorych ludzi przybywało do San Giovanni Rotondo, aby prosić go o modlitwę w ich intencji, a dziś obok klasztoru stoi nowoczesny szpital, nazwany imieniem burmistrza Nowego Jorku, La Guarii, który pomógł zgromadzić fundusze na jego budowę.

Pojawienie się stygmatów nie zostało jak dotąd wyjaśnione w sposób nie podlegający dyskusji. Są one niezaprzeczalnym faktem, ale dlaczego na ciele niektórych ludzi występują krwawiące rany, odpowiadające ranom męki Chrystusa i jaki jest tego mechanizm – nikt nie jest w stanie powiedzieć.

Wiadomo tylko, że ma to związek z wiarą religijną i że jest to prawdopodobnie jakiś fantastyczny przejaw wpływu psychiki na ciało. Jeśli tak, to człowiek mógłby w ogromnym stopniu wpływać na zachodzące w jego organizmie procesy fizjologiczne i chemiczne. A gdyby tylko wiedział, jak opanować tę drzemiącą w nim siłę, można by wyleczyć wiele śmiertelnych dziś chorób.

PŁACZĄCE OBRAZY

Jaka tajemnica kryje się za zjawiskiem płaczących madonn, krwawiących i pocących się świętych obrazów i figur, o których opowiada się na całym świecie i które znamy z każdego okresu w historii? Cyceron mówił o nich w czasach starorzymskich i twierdził uparcie, że musi istnieć jakieś racjonalne wytłumaczenie tego zjawiska, choć jemu samemu nie udało się go znaleźć. Kościół zadowala się nazywaniem takich zjawisk cudami, co jest równoznaczne z intelektualnym poddaniem się.

16 marca 1960 roku mała, kolorowa litografia Madonny roniła łzy w domu pani Pagony Catsounis w Island Park, w stanie Nowy Jork. Obraz ten – oprawiony, pod szkłem – był prezentem ślubnym. Klęcząc przed nim podczas odmawiania wieczornych pacierzy, pani Catsounis zauważyła, że coś błyszczy na twarzy Madonny. Przyjrzawszy się z bliska, wydało jej się, że oczy Madonny otworzyły się i zamknęły. Później z oczu spłynęły dwie łzy.

Nowina o płaczącej Madonnie rozeszła się szybko. Ojciec George Papadeas, ksiądz z kościoła św. Pawła, i inni ludzie widzieli, jak łzy cicho spływały w dół, w kierunku ramy, i znikały. Dom został poświęcony i obraz przestał ronić łzy.

W Syrakuzach, we Włoszech, 29 sierpnia 1953 roku, figurka będąca prezentem ślubnym, przedstawiająca Niepokalane Serce Marii, zaczęła płakać nad łóżkiem pani Antoinetty Jannuso. Łzy płynęły z przerwami pięć dni. Tak jak w przypadku obrazu pani Catsounis, analiza chemiczna wykazała, że ciecz ta to ludzkie łzy. W gazetach nic nie pisano o fizycznym ani psychicznym stanie zdrowia pani Catsounis, lecz podano dramatyczne szczegóły dotyczące Antoinnetty Jannuso.

Oczekiwała ona narodzin dziecka. W czasie ciąży miała ataki epilepsji, od czasu do czasu traciła wzrok i mowę, wykazywała oznaki zupełnego wyczerpania nerwowego. Mówiono o zatruciu ciążowym (toksemii), ale żadne leczenie nie przynosiło jej ulgi, do momentu gdy figurka zaczęła ronić łzy. Pod wpływem ogromnego podniecenia wywołanego tym wydarzeniem powróciła ona do takiego samego kwitnącego stanu zdrowia, w jakim była, gdy prowadzono ją do ołtarza.

Religia mówi o tajemniczym połączeniu. Jedność jest określeniem bardziej precyzyjnym. Poprzez ekstazę religijną lub trans pani Catsounis i litografia Madonny w jakimś sensie połączyły się, stając się jednością. Cokolwiek by to pojęcie znaczyło, kształt i przestrzeń, które je dzieliły, nagle zniknęły i Madonna roniła teraz łzy pani Catsounis... jej własne łzy rozczulania się nad sobą. Po poświęceniu domu, poczuła się silna i zdrowa. Jej rozczulenie się nad sobą i łzy zniknęły, bo nie miała powodu do płaczu.

W przypadku Antoinetty tę wyjątkową sytuację spowodowała nieprawidłowo przebiegająca ciąża. Poprzez głębokie uczucia religijne wytworzyła się jakaś tajemnicza jedność i po pięciu dniach ronienia łez figurka albo wybujała wyobraźnia pani Jannuso sprawiła, że powróciła ona do zdrowia.

Taka sama jedność może się wytworzyć z żywym wyobrażeniem Chrystusa na krzyżu – i wywołane siłą psychiki rany pojawiają się w postaci stygmatów; Chrystus i cierpiący stają się jednością.

Innym wariantem tego zagadnienia jest coroczne skraplanie krwi św. Januarego z Neapolu. Podczas ceremonii musi być obecna co najmniej jedna osoba, której krew stanowi jedność z ciemną, czerwonawą, skrzepniętą substancją w fiolce podawanej przez księdza do ucałowania.

W jednym z przypadków, jakie notuje parapsychologia, użyto pośrednika, aby osiągnąć ów stan jedności. Była to „Nona" – tzw. czysty duch pani Linczegh-Ignath. Podczas eksperymentalnego seansu w Oslo poprosiła ona, aby przed obrazem Madonny Sykstyńskiej siedziało siedem osób, modląc się żarliwie. Modliły się one gorąco, po czym łzy pojawiły się w oczach obrazu i spływały po twarzy Madonny.

Potęga uczuć religijnych, osiągając kulminacyjny punkt w uzyskaniu jedności, może być wyjaśnieniem „brata wilka" w historii świętego Franciszka, a także jego znajomości języka ptaków. Słowem, które określa potęgę uczuć religijnych, jest wiara. Z badań nad Wolnym Kościołem Zielonoświątkowym w stanie Kentucky, Tennessee oraz w części stanu Wirginia i Północna Karolina, przeprowadzonych przez Bertholda E. Schwartza („The Psychiatric

Quarterly" z lipca 1960 roku) wynika wyraźnie, że sam trans nie wystarczy, aby nadać członkom tej sekty odporność na działanie ognia, trucizn i ukąszeń węży. Ich wiara musi mieć siłę „niezłomnej obsesji". Podstawowym elementem ich wiary jest dosłowna interpretacja *Biblii.*

Podczas ceremonii chodzenia po ogniu, tj. rozżarzonych węglach, ludzie nie koncentrują się na *Biblii*, dlatego też musimy dojść do wniosku, że religijna jedność nie zależy od wyznania. Są również inne sposoby, jak narkotyki, miłość, mistyczne śluby, seanse okultystyczne i głodzenie, aby w końcu osiągnąć najwyższą formę jedności, zwaną przez niektórych świadomością kosmiczną.

To ją właśnie opisuje Walt Whitman jako „niezwykłe światło – światło rzadko spotykane, o którym nie sposób opowiedzieć, świecące światłem będącym poza wszelkimi znakami, opisami i językami".

Według Richarda M. Bucke'a (*Cosmic Consciousness*, Filadelfia 1910) doznanie to przychodzi nagle, bez ostrzeżenia, jako wrażenie zanurzenia się w ogniu różowego obłoku, czemu towarzyszy uczucie ekstazy oraz moralnego i intelektualnego oświecenia, kiedy to w jednej chwili ukazane zostaje umysłowi jasne pojęcie sensu i celu istnienia Wszechświata. Człowiek, który doświadcza takiego przeżycia, zauważa, że Kosmos jest żywą obecnością, że życie jest wieczne, a dusza człowieka nieśmiertelna, że podstawą świata jest miłość i że szczęście każdego człowieka jest absolutnie pewne.

Ale czy jest to rzeczywista prawda czy tylko złuda wyprodukowana przez naszą psychikę?

TELEPATYCZNE WIZJE

El yage – una planta misteriosa – roślina pnąca o długości dochodzącej do trzech metrów, która rośnie bujnie w dżunglach nad Amazonką, zawiera prawdopodobnie psychodeliczny narkotyk, który działa tak, jakby przenosił człowieka w inny punkt czasoprzestrzeni. Po zażyciu go człowiek może widzieć to, czego nigdy nie widział, i być w miejscach, w których nigdy nie był.

Zainteresowanie yage było do tej pory ograniczone do dwóch lub w najlepszym razie trzech kategorii ludzi: pierwsza z nich to czarownicy, którzy używali yage jako środka do utrzymania władzy nad współplemieńcami; druga grupa to naukowcy: botanicy, chemicy i farmakolodzy; trzecią grupę stanowią prawdopodobnie specjaliści z wywiadu wojskowego, ponieważ wiadomo, że przynajmniej były ZSRR wykazywał znaczne zainteresowanie yage – zainteresowanie podejrzane, biorąc pod uwagę odległość dzielącą dorzecze Amazonki od Związku Radzieckiego.

Pierwsze wiadomości o yage, które nie były przeznaczone wyłącznie dla specjalistów, ukazały się w hiszpańskojęzycznej publikacji Pan American Union – „Americas", w wydaniu z grudnia 1962 roku. W czasopiśmie tym Alfredo Granguillhome z Meksyku zaprezentował artykuł: *El yage, una planta misteriosa*. Ci, którzy zapoznali się z tym materiałem, wiedzą doskonale, że yage w pełni przysługuje nazwa: „tajemnicza roślina".

Znany jest tzw. święty grzyb z jego zdolnościami odblokowywania najbardziej tajemniczych obszarów umysłu. Być może yage jest rośliną z nim spokrewnioną lub należy do innej grupy roślin, których tajemnicze alkaloidy mają moc poszerzania ludzkich doznań. Możliwe, że pozwala ona sięgnąć do głębszych nawet obszarów podświadomości, umożliwiając umysłowi przekroczenie bariery ograniczeń czasoprzestrzennych, jeśli jest to w ogóle możliwe.

Nie bez znaczenia jest fakt, iż jeden z alkaloidów otrzymanych z tej rośliny nosi nazwę „telepatyna" i że hiszpańskojęzyczni naukowcy zmienili nazwę rośliny na „telepatina".

Ta zadziwiająca roślina oraz inne jej pokrewne, włącznie z tzw. pnączem zmarłych, używane są w obrzędach co najmniej trzydziestu pięciu plemion, żyjących w dorzeczu górnej Amazonki i Orinoko. Do plemion tych należą także łowcy głów Jivaros, pozostałe plemiona znane są przeważnie tylko antropologom – są to zamieszkujący dżunglę dzicy, których tajemnice, nawet po wielu wiekach częstych kontaktów z mieszkańcami Brazylii i innych krajów Ameryki Łacińskiej, są dalej równie nieznane tak w Ameryce Południowej jak w USA.

Wiadomo, że większość tych plemion używa yage i pokrewnych roślin do przygotowania głównego rytualnego napoju, do którego jedne dodają taki, a drugie inny zestaw składników, uzyskując w zależności od skutku, o jaki im chodzi, napój trujący, leczniczy lub narkotyczny.

Główny napój jest naparem, który przygotowuje się, gotując kawałki łodyg i potłuczonej kory *Banisteriopsis caapi* cały dzień w dużym glinianym garnku. Od czasu do czasu dodaje się wody, aby uzupełnić tę, która wyparowała.

W efekcie otrzymuje się przypominający syrop, brązowy lub czerwony napar. Uważa się, że jest to specyfik przeciwko malarii oraz że zapobiega on ewentualnym infekcjom. Zalecany jest również jako lekarstwo na chorobę beri-beri.

W celu wywołania zdolności telepatycznych dodaje się liście i młode pędy yage. Granguillhome twierdzi, że to właśnie one nadają napojowi dziwny niebieskawy lub zielonkawy odcień o prawie fluoryzującej intensywności.

Po wypiciu narkotyzujących napojów dzieją się dziwne rzeczy. Granguillhome pisze: „Jak się wydaje, oddziaływanie yage na Indian jest zupełnie inne niż w przypadku białych ludzi. Indianie opisują ze szczegółami sceny i wydarzenia, w których nigdy przedtem nie brali udziału ani ich nigdy wcześniej nie widzieli. Jednemu z badaczy, którzy przyjechali w te strony, zupełnie prymitywny dzikus – proszę wybaczyć to określenie – który nigdy nie opuścił swej wioski ani swego regionu, opisał z najdrobniejszymi szczegółami defiladę czy paradę wojskową, wspominając nie tylko o wspaniałych mundurach i koniach (zwierzę nieznane w tym rejonie dorzecza Amazonki), ale także o orderach na mundurach oficerów.

Badacz, botanik Richard Spruce, jako pierwszy Europejczyk podał w 1851 roku opis tej rośliny wraz z listą jej zastosowań. Odkrył on stosowanie tej rośliny przez Indian Tukanoan, zamieszkujących nad wodami rzeki Uaupes. Używali oni tej rośliny w celu przepowiadania przyszłości oraz wróżenia, co odbywało się na drodze doświadczania „przerażająco realistycznych, kolorowych halucynacji wizualnych".

Gdyby yage wywoływała halucynacje jedynie takiego rodzaju, jakie wywołuje haszysz, byłby to po prostu kolejny niebezpieczny narkotyk, który lepiej pozostawić w spokoju. Ale wizje powstające pod wpływem haszyszu nie przekazują telepatycznie tego, co wydarzyło się gdzie indziej.

Granguillhome pisze: „Przed siedmioma laty pułkownik Custadio Morales, intendent wojskowy z Calcedo w pobliżu Riohacha w Kolumbii, z ciekawości zażył jedenaście kropli yage, które dał mu doktor Creda Bayon. (chodzi tu prawdopodobnie o ekstrakt narkotyku). Następnego dnia przerażony pułkownik oznajmił lekarzowi, że miał sen, iż jego ojciec mieszkający w Bogocie umarł, a jedna z jego sióstr jest ciężko chora. Kiedy wkrótce potem nadeszła poczta, pułkownik otrzymał w liście informację, która już wcześniej objawiła mu się podczas wizji".

Jedno ze źródeł podaje, że przy zastosowanu jednego z wariantów napoju yage odurzone osoby pozostają nieprzytomne trzy dni, zanim ponownie odzyskają świadomość, lecz może to być wynikiem mieszania napoju z innymi substancjami, takimi jak np.: tytoń lub tropikalne drzewo bieluń, używanymi przez niektóre plemiona w celu urozmaicenia skutków działania.

W 1958 roku Villavicencio podał, że spokrewnione ze sobą rośliny, znane pod nazwą yage, używane są w należącej do Ekwadoru części Amazonki dla celów „czarów, czarnej magii, przepowiadania przyszłości i wróżenia". Ta wczesna wzmianka, wraz z innymi o podobnym charakterze, wskazuje, że jedna z tych roślin zawiera substancję, która zmusza jakoś umysł do zajmowania się sprawami przyszłości.

Upokarzająca jest świadomość, że „dzicy" posiadają wiedzę dotąd nie odkrytą przez wykształconych naukowców i badaczy. Powinniśmy jednak pamiętać, że czarownicy i znachorzy rozumieli i wykorzystywali psychologię i psychiatrię, zanim jeszcze człowiek cywilizowany je odkrył.

Yage wydaje się ogromnie poszerzać możliwości, wrażliwość i doznania ludzkiego umysłu. Być może daje także szansę otwarcia drzwi, dziś jeszcze głucho zamkniętych przed teologiem i badaczem zdolności parapsychicznych.

DŹWIĘKOWA LEWITACJA

Co jakiś czas Amerykanie i Europejczycy przywożą ze wschodu wiadomości o zdumiewających zjawiskach, których sekrety nie są chętnie wyjawiane. Z pewnością część tych zadziwiających doniesień należy włożyć między bajki, ale nie wszystkie.

Każdy, kto oglądał film *Szokująca Azja,* nakręcony przez ekipę włoskich filmowców, musiał być wstrząśnięty widokiem płonącego mnicha buddyjskiego. Samospalenia nie są oczywiście domeną wschodu, gdyż zadarzają się w krajach o różnej kulturze.

W wypadku *Szokującej Azji* musiał jednak zdumiewać fakt, iż palący się mnich był zupełnie nieczuły na potworny ból, spowodowany płonącą benzyną, którą został oblany. Palił się, nie wykonując najmniejszego ruchu, jak kawałek drewna, dopóki nie opadł z pozycji siedzącej do tyłu. Zostało po nim trochę zwęglonych szczątków.

Przed podpaleniem człowiek ten wprowadził się w rodzaj transu, który uniewrażliwił jego ciało na ból, dając oczywisty, zarejestrowany przez kamerę dowód niesamowitego i niemożliwego do wyjaśnienia wpływu psychiki na ciało. Od tej pory nie należy się już wyśmiewać z opowieści o wpływie świadomości na ciało materialne, ale jaki jest tego mechanizm i na czym to wszystko polega, tego nie wie nikt.

Inna zagadka ze wschodu dotyczy tzw. lewitacji, czyli uniesienia się w powietrze tylko za pomocą siły woli. Nikt chyba nie dowiódł realności tego zjawiska w sposób nie budzący zastrzeżeń, tak że do tej pory nie wiadomo, co o tym sądzić. Większość relacji o tego rodzaju wyczynach jest mocno naciągana lub niewiarygodna. W klasycznej lewitacji chodzi o uniesienie się w górę człowieka, jakby wbrew prawu przyciągania. Są także doniesienia o unoszeniu się martwych przedmiotów.

Jednym z najdziwniejszych przypadków tego rodzaju jest historia spisana przez nie żyjącego już Henry'ego Kjelssona. Na pierwszy rzut oka wydaje się tak nieprawdopodobna, że niewarta uwagi, jednakże H. Kjelsson był nie byle kim, bo jednym z ojców szwedzkiego przemysłu lotniczego – osobą o nienagannym wykształceniu technicznym, a zarazem człowiekiem cieszącym się dobrą opinią. Nie ma więc podstaw, by uznać go za blagiera bądź łatwowiernego laika.

Podczas pobytu w Tybecie H. Kjelsson zetknął się, jak powiada, z najniezwyklejszym w świecie sposobem stawiania potężnych kamiennych murów na wysoko położonych progach skalnych. Odbywało się to w sposób następujący:

Mnisi buddyjscy gromadzili najpierw odpowiednią ilość bloków skalnych o rozmiarach około półtora metra kwadratowego, które wciągano na płaskowyż przy użyciu jaków. Następnie blok skalny umieszczano nad wykopaną w ziemi jamą o średnicy jednego metra i głębokości piętnastu centymetrów. Jama ta znajdowała się w odległości około stu metrów od podnóża stromej ściany górskiej, na której szczycie miała powstać kamienna budowla. Sześćdziesiąt trzy metry z tyłu za jamą stanęło dziewiętnastu mnichów wyposażonych w instrumenty: różnej wielkości bębny i trąby. Byli oni tak ustawieni, że tworzyli jedną czwartą obwodu koła, czyli kąt między dwoma najbliższymi wynosił pięć stopni. Za muzykami stanęło z kolei dwustu innych mnichów w taki sposób, że za każdym człowiekiem z instrumentem znajdowało się ośmiu lub dziesięciu innych.

W skład wyposażenia, oprócz bębnów średniej wielkości i mniejszych, wchodziło kilka olbrzymich bębnów o wadze około stu pięćdziesięciu kilogramów, które umocowane były do specjalnej ramy, tak aby nie dotykały ziemi. Było też sześć trąb, wycelowanych w znajdujący się nad jamą kamień – dęto w nie dwa razy na minutę. Waleniu w bębny i dźwiękom trąby towarzyszył śpiew mnichów.

Po upływie około czterech minut od rozpoczęcia tego niezwykłego koncertu na bębny, trąby i ludzkie głosy stała się rzecz granicząca z cudem: spoczywający nad otworem kamień uniósł się, po czym poleciał po krzywej w górę, na szczyt ściany skalnej, przebywając w powietrzu odległość czterystu metrów! W ciągu godziny owej akustycznej lewitacji mnisi byli w stanie umieścić na szczycie od pięciu do sześciu głazów, z których część rozpadała się przy lądowaniu.

Oto tajemnica, która czeka na wyjaśnienie.

Na wytłumaczenie czeka także bliźniacza zagadka, znana z kręgu bliższego nam geograficznie i kulturowo: historia zburzenia murów Jerycha, które, jak twierdzi *Biblia*, miały się rozpaść od śpiewu, bicia w bębny i dźwięków trąb. Niektórzy naukowi interpretatorzy *Biblii* uważali to za zwykłą bujdę, podczas gdy inni proponowali pewne racjonalne wyjaśnienie.

Przypuszczali, że dziwaczna procesja wyposażona w instrumenty muzyczne obchodziła mury Jerycha i dęła w trąby w celu odwrócenia uwagi obrońców od rzeczywistego zagrożenia, którym był podkop pod murami miasta. Śpiewy, dźwięki trąb i bębnów miały zagłuszyć hałas spowodowany drążeniem podziemnych tuneli. Kiedy najeźdźcy dostali się pod mury, stemplowali podkopy drewnianymi palami, po czym, gdy była już podstemplowana znaczna część murów, drewno podpalono i mury zwaliły się. Może i tak było, ale mogło też być całkiem inaczej.

W czasie drugiej wojny światowej Niemcy skonstruowali potężne działo dźwiękowe, zwane Wirbelwind. Było to urządzenie wyrzucające wiązkę dźwiękową o takiej mocy, że, jak się mówi, mogło ono zburzyć murowaną ścianę z odległości pół kilometra.

W latach sześćdziesiątych naukowiec francuski Vladimir Gawreau z Centre National de la Recherche Scientifique skonstruował wraz ze swoimi współpracownikami coś w rodzaju lasera dźwiękowego, emitującego spójną wiązkę fal akustycznych o niszczącej sile. Szczególnie interesowały go tzw. infradźwięki, niesłyszalne ludzkim uchem, ale będące w stanie spowodować rozpad rozmaitych ciał przez wprowadzenie w drgania cząsteczek, z których są zbudowane. Eksperymenty z groźnymi infradźwiękami przerwano na skutek protestów pracowników sąsiednich laboratoriów, którzy na własnej skórze doświadczyli efektów badań Gawreau.

Infradźwięki są falami akustycznymi o niskiej częstotliwości – poniżej dwudziestu herców. W przedziale między dwadzieścia a dwadzieścia tysięcy herców mieszczą się fale dźwiękowe, rejestrowane przez ucho ludzkie. Powyżej dwudziestu tysięcy herców mieszczą się fale akustyczne o wysokiej częstotliwości, zwane ultradźwiękami.

Także ultradźwięki są w stanie doprowadzić do rozsypania się, na skutek wewnętrznych drgań, rozmaitych twardych przedmiotów. Ta ich właściwość jest już od pewnego czasu wykorzystywana w praktyce. Kamienie nerkowe i żółciowe, będące przyczyną bardzo silnych bólów, są w ostatnich latach coraz powszechniej kruszone za pomocą ultradźwięków, bez konieczności przeprowadzania zabiegu chirurgicznego.

Czy również mury Jerycha rozpadły się na skutek emisji wiązki fal infradźwiękowych lub ultradźwiękowych, produkowanych przez procesję obchodzącą mury miasta? Może wydawać się to nieprzekonujące, ale pamiętajmy – a to już nie ulega wątpliwości – że ludzkie struny głosowe są w stanie wydać dźwięk, na skutek którego pękają szklanki. Zresztą, być może, sprawa nie polega jedynie na wytworzeniu silnych fal dźwiękowych, lecz o takiej częstotliwości, która wytwarza w ciałach stałych wewnętrzne drgania – rezononans powodujący ich rozpad.

Zjawiska te mogą leżeć u podstaw zadziwiającej sztuki mnichów buddyjskich, których wyczyny transportowe obserwował Szwed H. Kjelsson. Towarzysz Kjelssona nakręcił podobno film z tej operacji, ale nie wiadomo, czy ów film jeszcze istnieje, a jeśli tak, to kto jest w jego posiadaniu. Czy kiedyś ujrzymy na własne oczy, jak wielkie głazy wzlatują w powietrze na skutek bicia w bębny i śpiewu mnichów?

TAJEMNICZE ZNIKNIĘCIA

WYMARŁA WIOSKA

Było coś niezrozumiałego i zadziwiającego w fakcie, że mała eskimoska wioska, u wrót której stał traper Joe Labelle, wydawała się całkowicie wyludniona. Lodowaty wiatr, wiejący znad jeziora Anjikuni, trzepotał skórą wiszącą w drzwiach jednej z chat. Kilka zniszczonych kajaków było porozrzucanych na brzegu. Nie szczekał żaden pies, ani jeden głos nie brzmiał w tej niesamowitej ciszy. Joe zadał sobie oczywiste w takiej sytuacji pytanie: gdzie są ludzie?

Na to pytanie, zadane owego surowego, listopadowego dnia 1930 roku, nikt do dziś nie odpowiedział...

Wiele lat Joe przyjaźnił się z mieszkańcami tej małej wioski eskimoskiej, leżącej jakieś osiemdziesiąt kilometrów na północ od siedziby policji konnej w Churchill. Tego fatalnego dnia Joe zboczył wiele kilometrów ze swego szlaku, aby spędzić kilka godzin ze swymi przyjaciółmi, ale przywitała go złowieszcza, głucha cisza.

Zgodnie z jego sprawozdaniem dla policji w Northwest, zatrzymał się on na skraju wioski i wykrzyknął pozdrowienie. Niestety, nie usłyszał żadnej odpowiedzi, co było zupełnie niepodobne do tej tak bardzo przyjaznej społeczności. Doszedłszy do jednej z chat, odsłonił w drzwiach zasłonę ze skór karibu i ponownie zawołał. Znów cisza. To samo spotkało go we wszystkich namiotach.

Joe pozostał w wiosce jeszcze godzinę, badając wszystko w nadziei, że może trafi na ślad, który pomógłby mu odpowiedzieć na pytanie, co stało się z ludnością wioski. Znalazł naczynia pełne jedzenia, wiszące wciąż nad paleniskami, jakby w oczekiwaniu na powrót gospodyni, która zostawiła je tylko na chwilę. W jednej z chat leżała wyprawka z foczej skóry dla malutkiego dziecka, z wbitą igłą, co świadczyło, że matka raptownie porzuciła pracę.

Na plaży natrafił na szczątki kajaków, włącznie z tym, który należał do wodza wioski. Te kruche łodzie zostały rozdarte i porozrzucane przez fale, co było dowodem, że od dłuższego czasu nikt ich nie używał.

Zarówno Joe, jak i policjanci, którzy wszczęli poszukiwania, znajdowali w czasie oględzin pustych chat i namiotów najbardziej zadziwiające świadectwa. W każdym z domostw stały wsparte obok drzwi karabiny Eskimosów, czekając na swoich właścicieli, którzy nigdy nie wrócili po nie. Na dalekiej północy karabin jest czymś więcej niż rzeczą, jest swego rodzaju polisą ubezpieczeniową na życie. Żaden Eskimos przy zdrowych zmysłach nie wyjdzie na długą wędrówką bez swego karabinu – jednak w tym wypadku karabiny zostały, a Eskimosi odeszli.

Nasuwa się następne pytanie: a co z psami, z ogromnymi, silnymi bestiami, które były prawie tak samo ważne w tym surowym klimacie jak karabiny?

Jakieś sto metrów od obozu Joe i policjanci znaleźli siedem psów. Były przywiązane do drzew i wszystkie padły z głodu, co zostało później potwierdzone przez kanadyjskiego patologa.

Jednak najbardziej zdumiewające było znalezisko obok obozu, w pobliżu padłych psów. W owym miejscu, pod kamiennym kopcem, Eskimosi zwykli chować zmarłych członków swego plemienia. Grób był rozkopany, ciała usunięte, a kamienie starannie ułożone w dwie kupki. Rabowanie grobów jest rzeczą niedopuszczalną w kulturze eskimoskiej. Gdyby zaś sprawcą były jakieś zwierzęta, nie mogłyby przecież poukładać kamieni.

Policja wezwała ekspertów, którzy spędzili całe dwa tygodnie na badaniu najdrobniejszego nawet szczegółu, szukając czegokolwiek, co mogłoby rzucić światło na tę zagadkową sprawę. Doszli do wniosku, że Eskimosów nie było w wiosce od dwóch miesięcy, licząc od dnia, gdy przybył do niej traper Labelle. Ustalenie to zostało dokonane w oparciu o gatunek jagód, które znaleziono w niektórych naczyniach kuchennych.

Wszystko wskazywało na to, iż wioska, licząca około trzydziestu mieszkańców, gdzie prowadzono normalne, spokojne życie, nagle z jakiegoś dziwnego, niewytłumaczalnego powodu w pośpiechu została opuszczona przez ludzi, z których nikt już nigdy nie powrócił. Dla nieznanej przyczyny mieszkańcy wsi – mężczyźni, kobiety i dzieci – porzucili ją ze swej własnej woli albo też i nie. Odeszli, tak jak stali i w takim pośpiechu, że zostawili gotujące się jedzenie, karabiny, psy, ubrania... Doświadczeni tropiciele nie znaleźli żadnego śladu, który świadczyłby o ich odejściu i pokazał kierunek, w jakim poszli przez tundrę. Porzucone na brzegu łodzie były niezbitym dowodem, że nie wypłynęli oni na jezioro, a splądrowane groby jeszcze jednym fragmentem nie wyjaśnionej zagadki.

Miesiące cierpliwych i prowadzonych na szeroką skalę poszukiwań nie przyniosły niczego, co pomogłoby wyjaśnić los mieszkańców wsi Anjikuni. Policja konna umieściła akta tej sprawy w kartotece z nagłówkiem: „NIE ROZWIĄZANE..." i tak już zostało.

ZAGINIONE ZWŁOKI

W Muzeum Hugonotów w Cape Town, w Afryce Południowej, przechowywany jest nagrobek z imieniem młodego człowieka, który przez śmiercią ostrzegł władze, że mogą pozbawić go życia, ale nie mogą zatrzymać jego ciała w grobie. Okazało się, że miał rację.

Kiedy ksiądz Dupré wszedł do celi prowincjonalnego więzienia w Cape Town, skazany wstał. Dwóch żołnierzy trzymało straż przy drzwiach. Więzień powoli wyciągnął rękę i wyjął *Biblię* z dłoni księdza.

– To jest moja księga i moje życie – powiedział. – Żyłem według niej i przysięgam na Boga, że nie zabiłem Pierre'a Villiersa. Idę na śmierć niewinny.

Ksiądz położył ręce na ramionach chłopca.

– Wierzę ci, mój synu – rzekł – ale sąd zdecydował, że zostaniesz powieszony dziś rano.

Chwilę później naczelnik więzienia wszedł do celi i odczytał dokument, który stwierdzał, że John Gebhard został skazany na śmierć przez powieszenie za zabicie Pierre'a Villiersa, parobka.

– Czy skazany ma cokolwiek do powiedzenia?

– Tak – odpowiedział więzień. – Jestem niewinny.

W jasny poranek listopadowy 1856 roku John Gebhard przeszedł krótką drogę do szubienicy pewnym krokiem. Stał bez wzruszenia przy kołyszącej się pętli, która wkrótce miała odebrać mu życie. Kiedy ksiądz Dupré zaczął czytać zwyczajowe kazanie pogrzebowe, Gebhard zwrócił się do niego i powiedział:

– Niech ksiądz nie marnuje czasu. Oni mogą zniszczyć moje ciało, ale nie mogą zabić duszy.

W tej chwili kat założył mu pętlę na szyję i zaciągnął węzeł za uchem. Gebhardowi zostały sekundy życia. Sam założył czarny kaptur na twarz i rzekł:

– Żaden grób mnie nie przyjmie! Słyszycie? Żaden grób mnie nie przyjmie! Nie uda wam się mnie pochować, bo umieram niewinny...

Rozległ się trzask zapadni i John Gebhard przeniósł się do wieczności.

Jakieś dwie godziny później, po obowiązkowych badaniach lekarskich i wystawieniu aktu zgonu, jak nakazuje prawo, ciało umieszczono w zwykłej, czarnej trumnie. Z powodu rozgłosu, jaki zyskała ta sprawa, władze więzienne kazały przybić wieko i zapieczętować je, zanim włożono trumnę na wóz, który miał ją zawieźć na cmentarz na stoku góry Paarl, za więzieniem.

Strażnicy złożyli trumnę w grobie głębokim na dwa i pół metra i przykryli stosem kamieni. Zgodnie z instrukcją naczelnika, zbrojna straż stała dwa miesiące przy grobie dzień i noc, żeby udaremnić ewentualną próbę wykradzenia ciała.

W tym czasie zaszły wypadki, które całkowicie zmieniły pogląd na sprawę winy Johna Gebharda. Na farmie, gdzie oskarżono go o morderstwo, właściciel zauważył portfel Villiersa w rękach innego parobka, Petera Lorenza. Kiedy Lorenz próbował uciec, zatrzymała go policja. W jego kufrze znaleziono pierścień i zegarek nieszczęsnego Villiersa. Lorenz przyznał się, że to on zabił Villiersa, a że był głównym świadkiem oskarżenia, był winnym również śmierci Gebharda.

Sąd popełnił straszną pomyłkę. John Gebhard poszedł na śmierć za zbrodnię, której nie popełnił. Gubernator prowincji Dobrej Nadziei rozkazał, by imię Gebharda oczyszczono z niesławy, a jego matce wypłacono tysiąc funtów odszkodowania. Miała również otrzymać rentę w wysokości stu ośmiu funtów rocznie, co zapewniło jej utrzymanie. Gubernator rozkazał również, żeby ciało Johna Gebharda ekshumowano i pochowano w poświęconej ziemi na koszt rządu. Pani Gebhard towarzyszyła oficjalnemu orszakowi, który przybył na zbocze góry Paarl, na miejsce gdzie dwa miesiące wcześniej pochowano jej syna. Stała tam, kiedy żołnierze usuwali kamienie oraz ziemię i w końcu wydobyli trumnę na powierzchnię. Naczelnik więzienia sprawdził pieczęcie. Strażnicy podważyli wieko. Trumna była pusta.

Przeprowadzono dochodzenie, które wykazało, że grób pozostawał pod strażą cały czas od chwili pogrzebu. Przeszukano dziesiątki sąsiednich grobów – bez rezultatu. Ciała Johna Gebharda nie znaleziono.

Niemal sto lat później, w sierpniu 1956 roku, kilka osób urządziło piknik na zboczu góry Paarl. Znaleźli tam przewróconą ciężką płytę z czarnego marmuru. Napis na niej głosił: „Poświęcone pamięci Johna Gebharda. Błogosławieni, którzy spoczywają w Panu".

Płyta ta przechowywana jest teraz w muzeum w Cape Town i przypomina o słowach Johna Gebharda, że żaden grób go nie przyjmie.

ZAGINIONE ZAŁOGI

W niebezpiecznym 1942 roku zawsze istniała ponura możliwość, że łódź podwodna wroga wślizgnie się do portu San Francisco. Typowy patrol morski posługiwał się sterowcami wywiadowczymi marynarki wojennej – powolnymi, niezgrabnymi worami wypełnionymi gazem, mieszczącymi dwuosobową załogę. Tamtego pamiętnego ranka L-8 uniósł się przy dobrej pogodzie z bazy sterowców na Treasure Island, aby według ustalonego porządku sprawdzić, czy nikt niepożądany nie zbliża się do zatoki.

Na pokładzie było dwóch doświadczonych ludzi: porucznik Cody i chorąży Adams. Wyruszyli parę minut po szóstej. Za dziesięć ósma porucznik Cody podał przez radio do bazy, że zauważył na wodzie sporą plamę ropy, co znaczyło, iż prawdopodobnie wroga łódź podwodna czai się w kanale. Cody poinformował, że sprowadza sterowiec na wysokość trzystu metrów, aby dokładniej zbadać sytuację.

Gdy łowiący w pobliżu ludzie na dwóch łodziach rybackich spostrzegli sterowiec krążący na tak małej wysokości, zdali sobie sprawę, że szuka on łodzi podwodnej, i czym prędzej odpłynęli na bezpieczną odległość, na wypadek gdyby rzucano bomby głębinowe. Dwie łodzie patrolowe również trzymały się trochę z boku, oczekując rezultatów zwiadu.

Ale zamiast rzucać bomby, sterowiec nagle wzbił się gwałtownie w powietrze i zniknął w chmurach.

Dwie godziny później dwaj wędkarze łowiący niedaleko artyleryjskiej stacji patrolowej wybrzeża zobaczyli, jak L-8 spada w ich kierunku. Gdy gondola dotknęła piasku, wędkarze pochwycili liny, by ją przytrzymać. Zanim sterowiec wyrwał im się, zdążyli zauważyć, że drzwi gondoli stały otworem i że nikogo nie było na pokładzie. L-8 ciągnął wędkarzy jeszcze ze sto metrów wzdłuż plaży, zanim wyrwał im się z rąk.

Podskakując jak piłka, sterowiec uderzył w pewnej chwili o nadbrzeżną skałę i jedna z bomb głębinowych, ważąca sto trzydzieści kilogramów, obluzowała się i spadła, wbijając się głęboko w ziemię. Tak odciążony sterowiec wzniósł się i poleciał dalej, aby po półgodzinie wylądować w centrum Daly City, przedmieścia San Francisco.

Ekipa ratownicza zdemontowała statek i zabrała go do bazy na dokładne oględziny, które miały wyjaśnić zagadkę szalonego sterowca oraz zaginionej załogi.

Szczegółowa kontrola wykazała, że w gondoli wszystko było w porządku. Zarówno gumowa tratwa ratunkowa, jak i spadochrony, zwinięte i nienaruszone, leżały na swoich miejscach. Brakowało dwóch jasnożółtych kamizelek ratunkowych, ale było to zrozumiałe. Noszenie ich podczas lotów nad wodą było obowiązkowe, zniknęły więc razem z Codym i Adamsem, gdziekolwiek się teraz znajdowali.

Pod pokładem gondoli nie było ani kropli wody, dlatego też eksperci z marynarki wnioskowali, iż sterowiec nie dotknął powierzchni oceanu nawet na krótką chwilę. Czyżby porucznik Cody i jego pomocnik wypadli ze sterowca, gdy ten krążył trzysta metrów nad plamą ropy? Czyżby nagła utrata ciężaru spowodowała, że sterowiec gwałtownie wystrzelił w górę?

Chociaż teoretycznie takie wyjaśnienie było możliwe, jednak trzeba je było odrzucić, gdyż załogi dwóch łodzi patrolowych, cumujących kilkaset metrów dalej, obserwowały każdy ruch L-8 i nie zauważyły ludzi w jaskrawych kamizelkach ratunkowych, wpadających do morza. Również nikt z łodzi rybackich nic takiego nie widział.

Upadek z wysokości trzystu metrów do wody byłby śmiertelny, gdyby rzeczywiście się zdarzył. Podążając tym tokiem rozumowania, trzeba jednakże pamiętać, że siła rozpędu zdarłaby przynajmniej jedną z dwu kamizelek. Nikt jednak nie widział, żeby coś spadło, nikt nie widział rozbryzgu wody, a pomimo intensywnego przeszukiwania morza i powietrza, nie odnaleziono ani kamizelek, ani ciał zaginionych oficerów. Przypadek porucznika Cody'ego i chorążego Adamsa był zagadką w 1942 roku i pozostał nią do dziś.

Zaginione załogi to bardzo stara historia z morskich annałów. Taką klasyczną tajemnicą sprzed stu lat jest przypadek statku „Seabird", żeglującego z Hondurasu do Newport z ładunkiem kawy, drogocennego twardego drewna, sośniny i drzewa farbiarskiego.

Po czteromiesięcznej podróży „Seabird" pojawił się pewnego pięknego poranka 1850 roku, płynąc pod pełnymi żaglami w kierunku rafy przy Easton's Beach, niedaleko Newport, na Rhode Island. Tłum na plaży bezradnie patrzył, jak statek nieuchronnie zmierza ku zagładzie. Ale o dziwo, wielka fala wyniosła go ze strefy zagrożenia i nietknięty osadziła przy brzegu.

Kiedy ani jeden oficer, ani nikt z załogi nie pojawił się na statku, obserwatorzy dobrnęli do niego i weszli na pokład. Jedyną żywą istotą, którą znaleźli, był pies, kundel. Kapitan John Durham i jego załoga zniknęli. W czajniku gotowała się kawa. Przyrządy leżały na swoich miejscach. Zapis w dzienniku okrętowym mówił, że statek minął rafę Branton zaledwie niecałe dwie i pół mili od wybrzeża Newport – na tym odcinku kapitan i załoga zniknęli bez śladu.

Po kilku dniach, gdy towar był już rozładowany, „Seabird" wyśliznął się nocą z portu, może po to, by na zawsze dołączyć do swego kapitana i załogi, ponieważ nigdy więcej już go nie widziano.

NIKT NIE POWRÓCIŁ

Co się stało ze statkiem parowym, który w biały dzień zniknął za zakrętem rzeki, dosłownie rozpływając się w powietrzu na stosunkowo krótkim odcinku uczęszczanego szlaku wodnego? Albo z armią, która maszerowała w dół drogi i zniknęła bez śladu, jakby zapadła się pod ziemię...

Ostatni robotnik portowy schodził długim pomostem ze statku na brzeg rzeki. Ładunek bawełny i melasy był już załadowany. Dwa długie gwizdy potężnej syreny dla ostrzeżenia małych łodzi znajdujących się w pobliżu i parowiec „Iron Mountain", buchając ogniem i dymem, wypłynął z Vicksburga w jasny czerwcowy poranek 1872 roku. W parę chwil później zniknął za zakrętem rzeki, ciągnąc za sobą kilka barek. Miał płynąć do Louisville z czterystoma belami bawełny, potem do Cincinnati, a na końcu do Pittsburga. Prawdopodobnie nigdy nie będzie wiadomo, co się stało ze statkiem, lecz jakikolwiek spotkał go los, był on szybki i, miejmy nadzieję... miłosierny.

Pierwsze podejrzenie, że stało się coś złego, nasunęło się w kilka godzin później, gdy inny parowiec, „Iroquois Chief", wzburzył wody rzeki, płynąc pełną mocą silników, aby uciec z kursu znoszonych prądem barek. Takie rzeczy zdarzały się czasami, gdy zerwały się liny holownicze, tak więc „Iroquois Chief" zastosował się do rutynowego w takiej sytuacji obowiązku niesienia pomocy. Dogonił barki, wyprzedził je – i pozostawał w gotowości, oczekując powrotu „Iron Mountain".

Podczas oczekiwania załoga „Iroquois Chief" zauważyła dziwną rzecz. Lina holownicza barek nie zerwała się – była przecięta – ...środek, który podejmowany jest tylko wówczas, gdy statek parowy walczy o przetrwanie.

„Iron Mountain" nigdy już więcej nie widziano. Gdyby wybuchł pożar, musiałby widzieć go inny, przepływający w pobliżu statek. Gdyby natrafił na karpę i zatonął, zgromadzone na pokładzie beczki melasy i bale bawełny zaśmieciłyby rzekę na przestrzeni wielu mil; a gdyby kocioł parowy rozerwał wszystko na kawałki – dowody biłyby w oczy.

Zamiast tego, nie było nic.

„Iron Mountain", statek rzeczny o długości pięćdziesiąt pięć metrów i szerokości jedenaście metrów, zabrał swój ładunek, pasażerów oraz członków załogi i zawiózł wszystko w nieznane.

Rankiem 14 grudnia 1928 roku duński statek szkolny „Kopenhaven" przygotowywał się do opuszczenia portu w Montevideo. Oczekiwał tylko na przybycie pięćdziesięciu kadetów, którzy brali udział w uroczystości w konsulacie duńskim. Miał to być ich ostatni rejs na statku szkolnym. Po powrocie do Danii mieli się zaciągnąć na statki jako marynarze w pełni zdolni do pełnienia służby. Przyszłość rysowała się chłopcom w jasnych kolorach. Na szczęście litościwy los ukrył przed nimi prawdę – mieli bowiem przed sobą tylko kilka godzin.

Krótko przed południem kadeci kołysząc się wmaszerowali śpiewając na pokład „Kopenhaven". Statek powoli wypłynął z portu, omijając kilka małych statków rybackich... i zniknął. Statki, które wpływając do portu powinny go widzieć, nie widziały ani jego, ani najmniejszego po nim śladu. „Kopenhaven", podobnie jak „Iron Mountain", popłynął w nicość.

Historia zna także kilka niepojętych przypadków zniknięcia całych armii, jak choćby wojska liczącego cztery tysiące wyszkolonych i uzbrojonych żołnierzy, którzy obozowali jedną noc nad małym strumieniem w Pirenejach podczas hiszpańskiej wojny sukcesyjnej. Następnego ranka mieli spotkanie z przeznaczeniem. Zwinęli obóz, uformowali szeregi i pomaszerowali w kierunku wzgórza, aby zniknąć z oczu współtowarzyszy na zawsze i bez śladu. Cztery tysiące osób zniknęło, jakby zapadło się pod ziemię albo poleciało w kosmos...

Podzielili los sześciuset pięćdziesięciu żołnierzy francuskich wojsk kolonialnych, maszerujących w 1858 roku w kierunku Sajgonu w Indochinach. Z trudem posuwając się szosą biegnącą przez szczere pole, w odległości zaledwie dwudziestu pięciu kilometrów od miasta zniknęli z powierzchni ziemi.

Współczesne oficjalne dokumenty wojskowe notują także suche szczegóły podobnej tajemnicy, równie trudnej do wyjaśnienia. Japończycy splądrowali Nankin 10 grudnia 1939 roku. Chiny środkowe były olbrzymim krajem, ale całkowicie bezradnym wobec siejących spustoszenie agresorów. Nakazem chwili było powstrzymanie Japończyków tak długo, jak tylko możliwe, ponieważ dla oblężonych sił chińskich liczyła się każda godzina. Aby zapewnić skuteczną obronę, pułkownik Li Fu Sien rozmieścił swoje wojsko na pagórkowatym terenie na południe od Nankinu.

W dwie godziny później adiutant zameldował mu, że żołnierze nie odpowiadają na wezwania radiowe. Ich karabiny znaleziono złożone przy małych ogniskach, ale samych żołnierzy nigdzie nie było. Niemożliwe, żeby zdezerterowali w szczerym polu i nikt ich nie widział – ba, nikt nie widział nawet jednego żołnierza. W dokumentach japońskich nie ma najmniejszej sugestii lub aluzji, by wzięto ich do niewoli. Od owego fatalnego dnia nikt nigdy już nie widział żadnego spośród trzech tysięcy żołnierzy. Od żadnego z nich rodziny nigdy nie otrzymały najmniejszej wieści!

TAJEMNICA ZNIKNIĘCIA DAVIDA LANGA

Czy to możliwe, żeby człowiek dosłownie rozpłynął się w powietrzu na oczach świadków? Zanim ktokolwiek zaprzeczy, zapoznajmy się z przypadkiem Davida Langa.

Stało się to dosłownie w mgnieniu oka, w jasne, słoneczne popołudnie 23 września 1880 roku na farmie Davida Langa, kilka kilometrów od Gallatin w Tennessee.

Los umiejscowił scenę tej tragicznej tajemnicy w całkiem przyjemnej okolicy. Dom Langa zbudowany był z cegły i niemal całkowicie obrośnięty winoroślą. Wokół rozciągało się czterdziestoakrowe, wyskubane przez bydło pastwisko, wysuszone przez długie i wciąż jeszcze trwające suche lato.

Tego szczególnego popołudnia dwoje dzieci Langa, ośmiolatek George i jedenastoletnia Sarah, bawiło się nowym drewnianym wózkiem z konikami, zabawką, którą ojciec przywiózł im tego ranka z Nashville. W chwili gdy rodzice wyszli przed dom, dzieciaki bawiły się na frontowym podwórku.

Pani Lang powiedziała do męża: „Wróć szybko, Dave. Chciałabym, abyś zawiózł mnie do miasta, zanim zamkną sklepy". Pan Lang był już przy płocie na drodze prowadzonej przez pastwisko. Chciał rzucić okiem na swoje cztery konie, z których był dumny. Zatrzymał się, żeby zerknąć na kieszonkowy zegarek, i pomachawszy żonie, odpowiedział: „Będę z powrotem za kilka minut".

Ale David Lang nigdy nie wrócił. Tylko trzydzieści sekund dzieliło go od spotkania z przeznaczeniem – czymkolwiek to było!

Dzieci zauważyły wóz zbliżający się w stronę domu i zaprzestały zabawy, aby się mu przyjrzeć. Poznały bryczkę sędziego Pecka, który zawsze miał dla nich jakieś prezenty. Pani Lang i David także rozpoznali wóz, gdyż pomachali sędziemu.

David Lang nie zrobił więcej niż kilkanaście kroków, gdy nagle... zniknął na oczach wszystkich obecnych. Pani Lang krzyknęła. Dzieci stanęły oniemiałe. Odruchowo wszyscy pobiegli w stronę miejsca, gdzie kilka sekund temu widzieli Langa. Sędzia August Peck ze swoim szwagrem wyskoczyli z bryczki i pobiegli przez pole. Cała piątka dotarła do miejsca zniknięcia Langa prawie jednocześnie. Nie było ani jednego drzewa, krzewu czy wzniesienia, które przesłaniałyby pole widzenia. Nie było też żadnego zagłębienia, które mogłoby tłumaczyć zniknięcie Davida Langa.

Histeryzującą i spazmującą panią Lang odprowadzono do domu. Zaalarmowano sąsiadów, bijąc w olbrzymi dzwon, który stał na bocznym dziedzińcu.

Dorośli z maniackim uporem w kółko przeszukiwali teren, choć było oczywiste, iż Dawid Lang, gdyby tam był, w żaden sposób nie mógłby pozostać nie zauważony. Przed zapadnięciem zmroku dziesiątki ludzi były na miejscu zdarzenia, wielu z latarniami. Przeszukano każdy centymetr terenu, na którym kilka godzin wcześniej po raz ostatni widziano Langa. Ludzie chodzili po twardej, suchej ziemi w nadziei znalezienia jakiejś dziury czy zagłębienia, w które David mógłby wpaść, ale nic nie znaleźli.

Davida Langa nie było. Zniknął na oczach swojej żony, dwojga dzieci i dwu mężczyzn w bryczce. W jednej sekundzie był tam, idąc przez oświetlone słońcem pole... a w następnej chwili po prostu go nie było.

Wiele tygodni władze musiały utrzymywać ciekawskich z dala od farmy. Pani Lang była przykuta do łóżka z powodu szoku, jaki przeżyła. Cała służba, z wyjątkiem starego kucharza rodziny, Sukie, odeszła.

Późniejsze przesłuchania świadków ujawniły, że wszyscy widzieli to samo, w tym samym czasie i tym samym miejscu. Okręgowy inspektor zbadał teren, na którym zniknął Lang, i ustalił, że stało się to na grubym, wapiennym podłożu bez żadnych zagłębień czy dziur. Nigdy nie odbył się pogrzeb Davida Langa ani żadne ceremonie żałobne. Jego żona, która żyła jeszcze wiele lat, miała wciąż nadzieję, że kiedyś w jakiś sposób David Lang jednak powróci.

Ostatecznie pani Lang pozwoliła sędziemu Peckowi dzierżawić całą farmę, z wyjątkiem krytycznego miejsca przed domem. Ten kawałek pastwiska pozostał nienaruszony do końca jej życia.

Z czasem podniecenie, towarzyszące nadzwyczajnemu zniknięciu Dawida Langa przygasło. Jednakże stało się coś jeszcze.

Było równie dziwne jak samo zniknięcie, a przytrafiło się dzieciom Langa pewnego cichego i ciepłego wieczoru kwietniowego 1881 roku , mniej więcej siedem miesięcy po zniknięciu ojca.

W miejscu, w którym ich ojciec był widziany po raz ostatni, dzieciaki zauważyły krąg wypalonej słońcem trawy o średnicy około pięciu metrów. Tego wieczora, gdy stali obok owego miejsca, jedenastoletnia Sarah zawołała ojca. Ku ich zdumieniu rozległ się jego głos, wołający o pomoc. Głos wołał i wołał... aż zamarł gdzieś w oddali na zawsze.

TAJEMNICZE OBIEKTY

ZAGADKA KAMIENNYCH KUL

W wielu miejscach Ameryki Środkowej leżą na ziemi kamienne kule. Ich rozmiary sięgają się od kilku centymetrów do około trzech i pół metra średnicy, zaś waga dochodzi do kilkunastu ton. Niektóre, nawet największe, sa prawie idealnie okrągłe, z dokładnością do pięciu milimetrów, i patrząc na nie, trudno oprzeć się wrażeniu, że musiały być zrobione przez człowieka.

Kto je wykonał, kiedy i w jakim celu ?

W 1945 roku w meksykańskim stanie Veracruz, na terenie liczących około trzech tysięcy lat ruin olmeckich, doktor Matthew W. Stirling odkrył liczne bazaltowe kule o średnicy około osiemdziesięciu centymetrów. Później w pobliżu Palmar Sur (Costa Rica) znalazł znacznie większe, tym razem granitowe kule, o średnicy przekraczającej wzrost dorosłego mężczyzny. Nie leżały bezładnie porozrzucane, lecz były pogrupowane w rzędy i tworzyły konfiguracje najwyraźniej celowe.

Po dwudziestu latach, w roku 1967, M. W. Stirling otrzymał telefon, który sprawił, że tajemnica kamiennych kul zaczęła się rozjaśniać, choć nie wyjaśniła się do końca. Dzwonił inżynier górnictwa, Ernest Gordon, powiadamiając, że natknął się w Meksyku na kilka olbrzymich kul o rozmiarach od metra osiemdziesiąt do dwóch i pół metra średnicy. Spoczywały na zboczu góry w stanie Jalisco, w środkowozachodniej części Meksyku, w pobliżu starej kopalni srebra, zwanej Piedra Bola. Wiele lat przedtem inżynier pracował w owej kopalni jako nadzorca i już wówczas widział jedną z takich kul. Znajdowała się u wejścia do kopalni. Zaciekawiony był jej pochodzeniem, jednak nie mógł przeprowadzić żadnych badań z powodu kręcących się w pobliżu bandytów. Kiedy po latach ponownie znalazł się w kopalni, odkrył cztery nowe kule.

M. Stirling i E. Gordon, wraz z żonami, zorganizowali ekspedycję badawczą, do której przyłączyła się, *nomen omen*, Doris Stone (słowo „stone" oznacza kamień), autorka pierwszego naukowego artykułu, poświęconego zagadce kamiennych kul z Costa Rica.

Gdy uczestnicy wyprawy przybyli na miejsce, wspięli się po zboczu i w pobliżu wierzchołka ujrzeli wspaniałe, choć naruszone zębem czasu, olbrzymie kamienne kule. Były częściowo zasypane, więc zatrudniono miejscowych robotników, trzech braci Lopez, którzy zajęli się ich odkopywaniem i oczyszczaniem. Wkrótce znaleziono w sąsiedztwie sześć kolejnych kul, a następnego dnia jeszcze więcej, tym razem jedenaście.Wszystkie dwadzieścia dwie kule nie leżały przypadkowo porozrzucane, lecz tworzyły foremny prostokąt. Ktoś zadał sobie kiedyś wiele trudu, żeby je tak rozmieścić. Ale kto to był, tego nikt nie wiedział.

Trzeciego dnia jeden z braci, Jesus Lopez, rzucił od niechcenia uwagę, która zelektryzowała badaczy. „W Aqua Blanca – powiedział – zaraz za szczytem wzgórza jest mnóstwo takich kul, leżących na ziemi".

Naukowcy oniemieli. W gorączkowym pośpiechu wynajęto konie i wszyscy ruszyli na poszukiwanie nowych kul. Gdy przybyli na miejsce, stanęli jak wryci, urzeczeni niezwykłym widokiem.

Jesus Lopez mówił prawdę, ale to nie wszystko. To bowiem, co zobaczyli, przeszło ich najśmielsze oczekiwania. Początkowo ujrzeli tylko jedną. Zaraz za nią leżała jednak następna, a dalej, w wąwozie, leżały setki dalszych. Wypełniały całą dolinę, tworząc gigantyczną aleję kamiennych kul!

Większość miała metr osiemdziesiąt średnicy. Wszystko byłoby jeszcze do zniesienia, gdyby nie ta potworna ich ilość. W tej sytuacji badacze zaczęli wątpić w ich sztuczne pochodzenie... A jeżeli były tworem przyrody, to w jaki sposób powstały? I co zrobić z ich granitowymi siostrami, które w żadnym wypadku nie sprawiały wrażenia tworu natury?

Stanąwszy przed zagadką, z którą nie mogli sobie poradzić, archeolodzy wezwali na pomoc geologów: Williama Melsona ze Smithsonian Institution i Roberta Smitha z U.S. Geological Survey.

W marcu 1968 roku do Aqua Blanca wyruszyła nowa wyprawa. Przeprowadzono liczne badania w „alei kul" i zagadka została wyjaśniona.

Wielkie kamienne kule z Aqua Blanca powstały czterdzieści milionów lat temu, w trzeciorzędzie, na skutek krystalizacji wyrzuconego w powietrze tufu wulkanicznego. Twórcą kamiennych kul są prehistoryczne wulkany !

Ale co z granitowymi kulami z Costa Rica ? Czy i one są zaskakującym tworem sił przyrody ?

Eksperci ponownie wzięli się do pracy. Tym razem diagnoza była całkowicie odmienna: granitowe kule zostały zrobione ręką człowieka! Doktorzy W. Melson i Robert Smith nie mieli żadnych wątpliwości: „W sposób naturalny skała granitowa w żadnych warunkach nie utworzy formy idealnie kulistej".

A więc jednak Aztekowie, Olmekowie lub inni dawni mieszkańcy Ameryki Środkowej przyłożyli do tego swoją rękę.

Tajemnica kamiennych kul została tylko częściowo wyjaśniona. Są dwa, różniące się pochodzeniem, rodzaje kul – fakt, który do pewnego stopnia zbijał z tropu dotychczasowych badaczy. Jedne są tworami naturalnymi, powstałymi przed milionami lat na skutek wybuchów czynnych w owym czasie wulkanów, drugie są sztuczne, gdyż zostały obrobione ręką człowieka.

Aztekowie wierzyli, że ciała niebieskie są piłkami, w które grają bogowie. Może chcieli ich sobie zjednać, proponując im grę na Ziemi, na przygotowanym przez nich boisku? Na myśl, że bogowie grają w niebiańską piłkę, mogły naprowadzić kamienne kule z Aqua Blanca i innych miejsc, o których nie mieli pojęcia, że powstały na skutek wybuchów wulkanów. Czyżby myśleli, że bogowie ich porzucili, zostawiając boiska zapełnione kamiennymi piłkami ? A może układając kule, tak naturalne jak obrobione przez nich samych, w geometryczne formacje, odtwarzali w ten sposób wygląd nieba, przesuwając kule zgodnie z ruchem planet na niebie ?

NIERDZEWNA KOLUMNA

Na przedmieściach Delhi, stolicy Indii, wśród ruin budowli Kutub Minar stoi żelazna kolumna ośmiometrowej wysokości. Stoi tak sobie prawie od tysiąca sześciuset lat i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie pewien zaskakujący i trudny do wytłumaczenia fakt: ten żelazny słup jest w ogóle nie podatny na korozję.

Wszystkie wykonane przez człowieka żelazne przedmioty w większym lub mniejszym stopniu zżerane są przez rdzę, co jest jednym z poważniejszych problemów technicznych współczesnej cywilizacji. Oczywiście, nowoczesna technologia zna sposoby wytwarzania nierdzewnej stali, ale są one całkiem świeżej daty. Nic nikomu nie wiadomo, by ponad półtora tysiąca lat temu ktoś potrafił wytwarzać żelazo odporne na korozję. Odkrywane przez archeologów żelazne przedmioty każdorazowo pokryte są rdzą, a mnóstwo innych zabytków przeszłości z powodu korozji po prostu się rozpadło. Tymczasem żelazna kolumna z Delhi drwi sobie z korozji, zmuszając do zrewidowania naszej wiedzy na temat metalurgicznych umiejętności naszych przodków.

Kolumna została zbudowana prawdopodobnie około 415 roku nowej ery przez króla Kumaraguptę I na cześć jego ojca Czandragupty II. Zachowany do dziś walec był jedynie cokołem, na którym stał posąg Garudy – człowiekoptaka, rumaka boga Wisznu. Co się stało z posągiem Garudy i czy również on wykazywał odporność na rdzewienie, nie wiadomo. Zniknął gdzieś w mrokach historii i ocalał tylko cokół, dostarczając trudnej do rozwiązania zagadki.

Starożytni Hindusi byli ludźmi pod wieloma względami zacofanymi technicznie, ale ich wiedza metalurgiczna musi zadziwiać. Mnich buddyjski Fa Sien, podróżujący po Indiach w V w.n.e., donosił, iż mieszkańcy tego kraju posługują się żelaznymi łańcuchami, na których zawieszają mosty.

W czasach rzymskich Indie były jednym z dwóch najbardziej rozwiniętych ośrodków metalurgicznych ówczesnego świata. Drugi znajdował się na terenach dzisiejszej Austrii. To właśnie z Indii wysyłano do Damaszku sztaby żelaza, z którego sporządzano słynną stal damasceńską, dzięki której niejedna armia odniosła zwycięstwo nad wojskami wyposażonymi w żelazne klingi gorszej jakości.

W jaki sposób dawni mistrzowie hinduscy potrafili produkować żelazo odporne na korozję?

Niektórzy uczeni tłumaczą zaskakującą właściwość kolumny Kumaragupty I niezwykłą czystością użytego do jej budowy żelaza (co nie jest wszak żadnym wytłumaczeniem, ponieważ właśnie chodzi o to, w jaki sposób przed wiekami potrafiono wytwarzać tak czyste żelazo) w połączeniu z suchym klimatem. Suchy klimat także wzbudza sprzeciw, jako że klimat Indii wcale nie jest taki suchy, zważywszy na często zdarzające się tam ulewne deszcze. Wszystkie inne żelazne obiekty na terenie Indii są podatne na korozję, mimo iż znajdują się w takim samym klimacie, a więc diabeł nie tkwi w klimacie, lecz w czym innym.

Zdumiewającą odporność na korozję cokołu Garudy próbowano też tłumaczyć jakąś reakcją chemiczną, zachodzącą między żelazem a potem tysięcy rąk wiernych dotykających kolumny. Wyjaśnienie to również nie wygląda najlepiej, ponieważ nawet najbardziej wierny z wiernych nie jest w stanie sięgnąć dłonią na wysokość ośmiu metrów, a kolumna jest odporna na korozję na całej swojej długości.

Nierdzewna kolumna Kumaragupty I nie doczekała się porządnych badań naukowych, nie bardzo więc wiadomo, czy została ona odlana, czy też sporządzono ją na drodze zespolenia określonej liczby żelaznych kręgów, które po wygładzeniu połączono ze sobą, tworząc coś w rodzaju lekko zwężającego się ku górze walca. Gdyby kolumna została odlana, byłoby to tym bardziej zdumiewające, gdyż trudno uwierzyć, by metalurdzy sprzed półtora tysiąca lat byli w stanie odlać dziesięciotonowy walec z nierdzewnego żelaza.

Żeby zamienić żelazo w płyn, potrzebna jest temperatura 1530°C. Aż do XIV wieku znane były tylko prymitywne piece dymarki, niezdolne do zamiany żelaza w płyn. Temperatura, którą wytwarzały, była w stanie zamienić twarde żelazo w brudną, ciastowatą masę, z której niepodobna uzyskać żelaza przyzwoitej jakości.

Znana nam technologia dopiero w XVIII wieku umożliwiła roztopienie rudy żelaza do stanu płynnego, jednakże wchodziły tu w grę jedynie ważące kilkadziesiąt kilogramów bryły, a nie masa o wadze około dziesięciu ton. Nawet dziś, pod koniec XX wieku, trudno uzyskać (o ile to w ogóle możliwe) niepodatne na korozję żelazo metodą prostego odlewania „na wolnym powietrzu", zatem trzeba by właściwie przyjąć, że zagadkowa kolumna Kumaragupty I nie została wykonana techniką odlewniczą.

Kto wyjaśni żelazną zagadkę sprzed szesnastu wieków?

CZASZKA Z KRYSZTAŁU

W 1970 roku w Muzeum Indian Amerykańskich w Nowym Jorku można było podziwiać kryształową czaszkę naturalnych rozmiarów. Wykonano ją z jednego kawałka kryształu górskiego (kwarcu) z wielką dbałością o szczegóły anatomiczne – czaszka ma wewnętrzne żyłki i otwory, zaś pewne detale sugerują, że modelem była czaszka kobiety. Dolna szczęka stanowi oddzielną całość i jest ruchoma. Łuki policzkowe mają wydrążone kanaliki dla wpadających promieni światła, a podstawa czaszki jest pocięta, tworząc pryzmat, co daje razem fantastyczne efekty optyczne. Czaszka mierzy 12,7 centymetra wysokości, 17,8 centymetra długości i 12,7 centymetra szerokości. Kto sporządził to arcydzieło sztuki rzeźbiarskiej, kiedy i dla jakich celów, nie wiadomo.

Została rzekomo odkopana w Ameryce Środkowej w ruinach miasta Majów Lubaantun w 1927 roku przez Annę Mitchell-Hedges, adoptowaną córkę znanego w swoim czasie badacza i podróżnika, Fredericka Mitchella-Hedgesa. Ze względu na szacunek, jakim cieszyła się rodzina Hedgesów, miejsce oraz okoliczności odkrycia nie są kwestionowane. Sprawa pochodzenia czaszki nie jest jednak wolna od wątpliwości.

Majowie, Aztekowie, Mikstekowie i inne ludy Ameryki Środkowej, często posługiwali się motywem czaszki, co było związane z ich wierzeniami dotyczącymi śmierci i powtórnych narodzin. Na zajmowanych przez nich terenach znajduje się czaszki wykonane z kości, muszli, gliny, drewna, a także kwarcu, jednak żadna z nich nawet nie zbliża się do znalezionej w Lubaantun – tak pod względem mistrzostwa wykonania, koncepcji artystycznej, jak i stopnia wyrafinowania. Ten, kto ją zaprojektował i wykonał, musiał być prawdziwym mistrzem, choć pewien fakt sugeruje, że mogła mieć więcej niż jednego twórcę.

Badana pod mikroskopem czaszka nie nosi żadnych śladów skrawania czy użycia metalowego narzędzia. Powierzchnia jest gładko wypolerowana. Prawdopodobnie kryształowy blok, z którego ją wykonano, był ścierany piaskiem. Czy Majowie posiadali jakieś urządzenia służące do tego celu, czy też robiono to wyłącznie ręcznie, też nie wiadomo. Jeżeli nie posługiwano się swego rodzaju „wiertarką” z nasadką ścierną lub innym przyrządem mechanicznym, który mógłby radykalnie przyspieszyć proces obróbki materiału (co samo w sobie byłoby archeologiczną sensacją), ręczne ścieranie twardego kwarcytu i wymodelowanie wszystkich detali, włącznie ze zrobieniem otworów i żyłek wewnętrznych, musiałoby zająć około stu pięćdziesięciu lat ciągłej, żmudnej pracy – kilka pokoleń.

Zabobonni Indianie, którzy w liczbie trzystu pracowali w Lubaantun pod kierunkiem Anny Mitchell-Hedges, na widok czaszki padli na kolana, całowali ziemię i modlili się dwa tygodnie.

Także mniej zabobonne osoby, spośród tych, które zetknęły się z kryształową czaszką, przypisywały jej niezwykłe właściwości.

Frank Dortland, restaurator zabytków sztuki, który sześć lat przeprowadzał z czaszką różne doświadczenia, stwierdził, że pewnego razu ujrzał czaszkę otoczoną świetlistą aurą. Chociaż zwykle jest ona przezroczysta, czasami miały się w jej wnętrzu ukazywać obrazy, przedstawiające twarze, maski, góry i inne rzeczy. Niekiedy czaszka miała ponoć wydzielać dziwną, specyficzną woń, zaś w domu Dortlanda, gdzie się znajdowała, miały się rozlegać wysokie, kryształowo czyste dźwięki, jakby dźwięczały małe dzwoneczki.

Prawdopodobnie owe magiczne efekty, rzekomo wytwarzane przez kryształową czaszkę, jak np. dźwięki dzwoneczków, należy przypisać wyobraźni obcującego z nią tak długo restauratora. W każdym razie, podczas trwającej cały rok wystawy w Muzeum Indian Amerykańskich nie stwierdzono żadnych cudownych efektów. Tym niemniej jest prawdą, że ze względu na wyrafinowaną budowę (kanaliki, wydrążenia i pryzmat u podstawy) oświetlana i obracana czaszka wytwarza wspaniałe zjawiska optyczne.

Wydaje się prawie pewne, iż rzeczywiście pochodzi ona z Ameryki Środkowej, jak twierdzi jej odkrywca, Anna Mitchell-Hedges. Czy wykonano ją pięćset, tysiąc czy dwa tysiące lat temu, nie sposób powiedzieć, gdyż współczesne metody datowania nie pozwalają ocenić wieku kawałka kryształu w latach absolutnych. Ze względu na wysiłek, włożony w jej wykonanie i najwyraźniej celowy zamysł, by czaszka wytwarzała efekty świetlne, musiała ona odgrywać jakąś wielką rolę. Być może w rytuałach religijnych. Świadczyłby o tym fakt, iż odkopano ją w ruinach czegoś, co wygląda na kompleks świątynny.

Frank Dortland, Anna Mitchell-Hedges i wielu innych, którzy obcowali z czaszką i podziwiali wspaniałe zjawiska świetlne, produkowane przez to arcydzieło sztuki, sądzą, że przedmiot ten służył do wpływania na ludzkie uczucia, myśli i nastroje.

ŻYWE SKAMIELINY

Żywe istoty w środku kamienia? To niemożliwe!

A jednak...

22 kwietnia 1881 roku Joe Molino pracował na głębokości osiemnastu metrów w kopalni Wide West w pobliżu Ruby Hill, w Nevadzie. Wwiercał się właśnie w skałę, by usunąć nieregularny kawałek kamienia, który wystawał z bocznej ściany tunelu. Kamień obluzował się i spadł mu na nogę, co rozwścieczyło górnika do tego stopnia, że sięgnął po młot i rozwalił bryłę na pół. Ku jego zdziwieniu w kamieniu było zagłębienie wielkości dużej pięści, pełne białych robaków. Joe wyjął je. Nie dawały wprawdzie znaku życia, ale nie minęło kilkanaście minut, gdy kilka robaków zaczęło się poruszać, zaś w przeciągu godziny grupka zdziwionych górników przyglądała się stworzeniom, pełzającym wolno po podłodze tunelu. Kierownictwo kopalni wysłało ten zadziwiający eksponat do U.S. Bureau of Mines (Biura Kopalnianego Stanów Zjednoczonych). Otrzymali odpowiedź, że zdarzenie było zapewne wynikiem jakiegoś nieporozumienia, ponieważ to, co opisali, nie mogło mieć miejsca.

Tak samo zagadkowy był przypadek pospolitego, czerwonoszarego żuczka, którego znaleziono pogrzebanego w dobrze doń pasującej grudce rudy żelaza, wydobytej ze sławnej kopalni Longfellow koło Clifton w Arizonie w 1892 roku. Żuka i grudkę rudy wysłano do geologa w El Paso, Z.T. White'a. Położył on żuka na kawałku papieru i umieścił w szklanym naczyniu, które stało w bibliotece. Po tygodniu geolog zaobserwował we wnętrzu żuka jakieś ruchy.

Posługując się szkłem powiększającym, White dostrzegł, że z ciała dużego chrząszcza wypełza mały. Natychmiast wezwano świadków. Nowo narodzony żuczek został umieszczony w słoiku i żył kilkanaście miesięcy. White wysłał następnie bryłkę rudy i obydwa żuki do Smithsonian Institute w Waszyngtonie, którego specjaliści wyrazili jedynie zakłopotanie.

W 1873 roku w kopalni Black Diamond na górze Diablo, opodal San Francisco, górnicy odkryli dużą, żywą żabę, jakby wtopioną w warstwę wapienia, który wysadzili w powietrze. Gdy żabę wyjęto z jej kamiennego grobu, w wapieniu pozostał odcisk jej ciała. Żaba była ślepa i mogła poruszać tylko jedną nogą. Żyła jeden dzień. Okaz wysłano do Akademii Nauk w San Francisco. Niestety, nikt nie potrafił przedstawić żadnego sensownego wyjaśnienia.

Żywe skamieliny odkrywa się w najdziwniejszych miejscach. Na przykład, w październiku 1893 roku w tartaku The Brown and Hall Sawmill w Acton, w Ontario, piłowano ogromny pień sosnowy. Kiedy odcięto jego wierzchnie kawałki, drwale ujrzeli czarną plamę w drewnie. Zaprzestali pracy, gdyż sądzili, że trafili na kawałek metalu. Wszyscy byli zaskoczeni, gdy zamiast metalu odkryli małą, dziesięciocentymetrową dziuplę, a w niej żywą ropuchę. Dziupla była zupełnie gładka, tak jakby ropucha cały czas poruszała się w niej.

Ścięte drzewo liczyło około dwustu lat, zaś część, w której znaleziono żabę, znajdowała się jakieś osiemnaście metrów nad ziemią i miała grubość około osiemdziesięciu centymetrów.

Innym tego rodzaju odkryciem było znalezienie małej żabki w granitowym bloku w 1829 roku podczas wymiany filarów pod dokami w George's Basin w Liverpoolu. Jeden z wyciągniętych z wody granitowych bloków został rozcięty i w jego wnętrzu odkryto małą żabkę. Stworzonko żyło kilka godzin, podczas których usiłowało powstać, aż w końcu znieruchomiało.

Brytyjscy naukowcy, którzy badali ropuszkę i jej „grób", nie znaleźli żadnego rozsądnego wyjaśnienia tej niezwykłej zagadki.

MUMIA Z WYOMING

Najmniejszą mumią na świecie, a zarazem jedną z największych zagadek archeologicznych jest mumia człowieka, który miał zaledwie trzydzieści pięć centymetrów wzrostu. Jest tak stara, że nie znaleziono dotąd żadnej innej z podobnie odległej epoki.

Uczeni z różnych krajów świata oglądali tę mumię i zdumiewali się. Nie przypomina niczego, co widziano do tej pory. Stoi na półce w Casper w stanie Wyoming i nasuwa przypuszczenie, że nauka mogła przeoczyć cały gatunek istot człekokształtnych.

W październiku 1932 roku dwóch poszukiwaczy złota pracowało w wąwozie u stóp gór Pedro, około stu kilometrów na zachód od Casper. Znaleźli „kolor" w twardej ścianie wąwozu i przygotowali większy ładunek dynamitu, żeby dostać się w głąb skały.

Potężny wybuch odsłonił wejście do naturalnej jaskini w granitowej skale, szerokiej i wysokiej na metr dwadzieścia i długiej na cztery i pół metra. Kiedy dym i pył rozwiały się, górnicy zeszli do jaskini i przeżyli największy szok w swoim życiu: stali twarzą w twarz z mumią maleńkiej istoty ludzkiej.

Człowieczek siedział w kucki na kamiennym stopniu, ręce złożone miał na kolanach. Jego skóra była ciemnobrązowa i bardzo pomarszczona, a twarzyczka prawie małpia. Jedna powieka opadła na oko i miało się wrażenie, jakby ten dziwny stworek mrugał do ludzi, którzy go znaleźli.

Poszukiwacze złota ostrożnie podnieśli go, owinęli w koc i zawieźli do Casper, gdzie wiadomość o odkryciu niezwykłej mumii wzbudziła powszechne zainteresowanie. Naukowcy byli nastawieni sceptycznie, ale zaciekawieni. Archeologia nie znała dotąd przypadku, żeby żywa istota została pochowana w litym granicie, jednakże mieli przed sobą namacalny dowód, że było to możliwe.

Istniały przypuszczenia, że nie był to zmumifikowany żywy organizm, lecz falsyfikat, ale prześwietlenia rentgenowskie wykazały, że była to autentyczna istota ludzka, a przynajmniej podobna do człowieka. Na zdjęciu wyraźnie było widać czaszkę, kręgosłup, żebra oraz kości rąk i nóg.

Maleńkie stworzenie za życia miało trzydzieści pięć centymetrów wzrostu, zmumifikowane waży około trzydziestu czterech dekagramów. Czoło jest bardzo niskie, nos płaski z szerokimi nozdrzami, usta bardzo szerokie, wąskie wargi zastygłe w sardonicznym półuśmiechu.

Prześwietlenie ujawniło komplet zębów. Biolodzy, którzy widzieli zdjęcie, stwierdzili, że w chwili śmierci człowieczek miał około sześćdziesięciu lat. Ale kiedy żył? Nikt tego nie wie i żaden z uczonych nie wypowiedział swojej opinii na ten temat.

Wydział Antropologii Uniwersytetu Harvarda ogłosił, że mumia jest bez wątpienia prawdziwa. Henry Shapiro, dyrektor działu archeologii Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej, stwierdził, że rentgen odsłonił bardzo mały szkielet ludzki pokryty wyschłą skórą, bardzo stary, nieznanego gatunku i pochodzenia. Według doktora Shapiro, dziwna mumia jest najmniejszą ze wszystkich istot ludzkich, których szczątki dotąd znaleziono.

Czy jest to mumia dziecka? Antropolodzy są zdania, że stworzenie to osiągnęło swój pełny wzrost przed śmiercią. Kustosz działu egiptologicznego muzeum w Bostonie zbadał mumię i stwierdził, że przypomina ona mumie egipskie, mimo braku opasek, którymi w Egipcie zawijano ciała, żeby uniemożliwić dostęp powietrza.

Kolejny ekspert, Henry Fairfield, przypuszcza, że mumia z gór Pedro może być jednym z antropoidów, które zamieszkiwały Amerykę Północną w pliocenie.

Oczywiście, jaskinia została dokładnie zbadana. Uczeni nie znaleźli żadnych śladów ludzkiej obecności, żadnych przedmiotów, rzeźb, pisma – nic oprócz kamiennego stopnia, na którym mumia spoczywała niezliczone wieki. Możliwe, że stworzenie to było traktowane jako kuriozum już za swoich czasów i wśród własnego plemienia. Natura od czasu do czasu wydaje na świat karłowate istoty i ta właśnie mogła być człowiekiem niewiarygodnie zminiaturyzowanym i z tego powodu otaczanym szacunkiem. Fakt ten mógłby tłumaczyć niezwykłość pochówku jedynego członka rasy, która swoich zmarłych na ogół traktowała z mniejszą atencją.

Drugiego zmumifikowanego liliputa znaleziono w 1920 roku na skraju Jaskini Mamutów w Kentucky. Miał około dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu, ale został pochowany zaledwie sto lat wcześniej.

Tajemnica mumii z gór Pedro nie została wyjaśniona i być może, nigdy się to nie stanie. Jej istnienie podważa ustalenia archeologii i antropologii. Uczeni wolą więc zostawić ją w spokoju na wystawie w Casper i nie próbować wyjaśnić jej zagadki.

KONIEC TAJEMNICY CAŁUNU TURYŃSKIEGO

Legandarny Całun Turyński, rzekome płótno grobowe Chrystusa sprzed dwóch tysięcy lat, okazał się czternastowiecznym fałszerstwem!

Wiele lat Kościół uporczywie odmawiał zgody na przeprowadzenie badań wieku Całunu, jako powód podając konieczność zniszczenia części płótna. Wprawdzie pobrane dla celów analizy fragmenty płótna byłyby tylko małymi skrawkami, i to pobranymi z brzegu tkaniny, bez szkody dla samego odbicia rzekomej postaci Chrystusa, ale w grę wchodziła cenna relikwia, zatem stanowisko Kościoła można zrozumieć. Oczywiście prawdziwy powód był inny: obawiano się, że Całun nie wytrzyma próby i okaże się zwykłym oszustwem – co się zresztą stało.

Tymczasem metoda datowania, którą miano się posłużyć, polegająca na mierzeniu w badanej substancji zawartości węgla radioaktywnego, rozwinęła się na tyle, że można już było wyznaczyć wiek Całunu na podstawie doprawdy mikroskopijnych skrawków tkaniny. W 1988 roku trzy renomowane laboratoria przeprowadziły analizę zawartości węgla radioaktywnego w płótnie i uzyskały ten sam wynik: płótno pochodzi z lat 1260 –1390. Całun Turyński powstał w średniowieczu i nie jest płótnem, w które mogłoby być zawinięte ciało Chrystusa!

Rezultat analizy okazał się druzgocący dla wszystkich wierzących, iż Całun jest autentykiem, chociaż nie zaskoczył tych, którzy twierdzili, że płótno jest zwykłą mistyfikacją.

Twierdzenia takie nie były nowe.

Od samego początku podejrzenia wzbudzał fakt, że ani w *Biblii*, ani w innych źródłach pisanych, ani nawet w tradycji ustnej nie ma wzmianki, by po śmierci ciało Chrystusa zostało zawinięte w jakieś płótno dużych rozmiarów. Sprawa Całunu budziła wątpliwości już w XIV wieku, kiedy to płótno pojawiło się nagle, jakby wychynęło z niebytu, w średniowiecznej Francji i było obnoszone w procesjach jako widomy dowód męki Chrystusa. Miejscowy biskup, Henryk de Poitiers, przeprowadził dochodzenie i wykrył (jak pisze jego następca biskup Piotr d'Arcis w liście do papieża Klemensa VII w 1489 roku) „oszustwo oraz sposób, w jaki wspomniane płótno zostało chytrze pomalowane".

Niestety. W liście biskup nie wdawał się w szczegóły i nie przedstawił sposobu, w jaki średniowieczny artysta, którego znaleziono i przesłuchano, sporządził wizerunek ludzkiej postaci na płótnie, powołując w ten sposób do życia zagadkę, nad którą bezskutecznie łamały sobie głowę rzesze współczesnych naukowców.

Próby odkrycia sposobu powstania obrazu postaci ludzkiej były podejmowane od dawien dawna, zarówno przez sceptyków, jak i osoby wierzące w autentyczność Całunu, ale nikomu to się nie udało. Tajemnica pogłębiała się i rosło przekonanie wierzących, że odbicie postaci ludzkiej musiało powstać w jakiś cudowny sposób, zwłaszcza gdy badania prowadzone przez naukowców amerykańskich ujawniły, że wizerunek zawiera w sobie informacje, pozwalające sporządzić jego trójwymiarową wersję.

Podobny szok przeżył w 1898 roku turyński prawnik, Secondo Pio, który jako pierwszy sfotografował Całun. Kiedy wywołał klisze, jego zdumionym oczom ukazał się nie zamglony obraz ludzkiej postaci, jak jest w oryginale, lecz wyraźny realistyczny wizerunek młodego mężczyzny ze śladami krwi spływającej z rąk i nóg (rany po ukrzyżowaniu), krwią spływającą z prawego boku (od włóczni wbitej w bok Jezusa przez rzymskiego żołnierza) i śladami krwi na głowie (rany spowodowane koroną cierniową). Obraz na kliszy był tak realistyczny, ponieważ obraz na płótnie okazał się negatywem – miejsca ciemne na płótnie występowały jako jasne i odwrotnie. Fotografując oryginalny negatywowy obraz Pio otrzymał na swojej negatywowej kliszy pozytyw, ponieważ klisza odwraca barwy. Całun Turyński okazał się więc negatywowym odbiciem ludzkiej postaci, co miało wskazywać na najwyraźniej cudowny charakter jego powstania, a na dodatek okazał się negatywem, z którego, po obróbce komputerowej, można wydobyć trójwymiarowość, czego ze zwykłą fotografią czy obrazem nie da się zrobić. Zwolennicy autentyczności Całunu triumfowali.

I oto przyszedł rok 1988 i trzy światowej sławy laboratoria techniczne, w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych i Szwajcarii, wydały wyrok: Całun Turyński powstał w średniowieczu i jest falsyfikatem. Wyrok ten zamyka raz na zawsze usta zwolennikom autentyczności Całunu, chyba że ktoś jest wyjątkowym głupcem lub ignorantem.

Pozostawała jednak jeszcze jedna tajemnica: w jaki sposób średniowieczny artysta spowodował pojawienie się na płótnie wizerunku ludzkiej postaci? Mimo przeprowadzonych w ostatnich latach licznych prób sporządzenia repliki obrazu, oczywiście z jego „cudownymi" właściwościami, nie udało się jej uzyskać. Sposób wystąpienia obrazu na Całunie pozostawał okryty całunem tajemnicy.

Całun jest cienkim płótnem lnianym o wymiarach 4,36 x 1,10 metra. Po jednej jego stronie znajdują się dwa wizerunki, przedstawiające przód i tył nagiego mężczyzny o wzroście metr osiemdziesiąt. Obie sylwetki zwrócone są do siebie głowami, tak jakby powstały w ten sposób, iż na rozłożoną na ziemi tkaninę położono na plecach człowieka i przykryto je drugą połą. Dolna część płótna, na której spoczywało ciało, dała odbicie tyłu, zaś górna, którą ciało zostało przykryte – przodu.

Wizerunek z całą pewnością nie został namalowany. Wskazuje na to brak kierunkowości, jaka musiałaby wystąpić w przypadku użycia pędzla. Analiza chemiczna nie wykryła także śladu farby. Brak śladów farby dowodzi, że średniowieczny artysta nie posłużył się również techniką polegającą na nakładaniu farby palcami.

Jak wykazały inne próby, obraz na płótnie nie mógł także powstać na skutek stykania się z samymi zwłokami – zawinięte w płótno martwe ciało ludzkie nie tworzy odbicia sylwetki ani żadnych szczegółów.

Dopiero w ostatnich latach badania Całunu dały odpowiedź na zasadnicze pytanie: przez co utworzony jest obraz? Okazało się, że włókna celulozy płótna są odwodnione i to właśnie tworzy obraz postaci. Dało to powód do przypuszczeń, iż ciało Chrystusa wyemitowało jakiś rodzaj energii cieplnej czy też świetlnego promieniowania i utrwaliło swój obraz. Nawet trzeźwi uczeni zaczęli przebąkiwać, że obraz powstał na skutek jakiegoś rodzaju termonuklearnego błysku, a w każdym razie jakiegoś nie znanego nauce procesu fizycznego.

Przeprowadzono też próby, polegające na umieszczeniu gorącego posągu między dwiema warstwami płótna. Powstający na skutek gorąca obraz przypominał barwą wizerunek z Całunu, ale był bardzo niewyraźny i nie dawał efektu trójwymiarowości. Przypuszczano, że być może jakiś wpływ miały wonności i substancje eteryczne, którymi natarte było ciało Chrystusa. Także i te próby nie doprowadziły do powstania repliki wizerunku z Całunu Turyńskiego. Zaiste, nadzwyczaj chytry musiał być to sposób, skoro przez pół tysiąca lat nikt nań nie wpadł.

Najnowsze wieści w sprawie Całunu Turyńskiego nadeszły z Polski i wskazują, że chyba nadszedł wreszcie koniec jego największej tajemnicy. Zbigniew Blania-Bolnar, znany do tej pory ze swoich związków ze sprawami cywilizacji pozaziemskich, przedstawił sposób, za pomocą którego średniowieczny artysta mógł spreparować trójwymiarowy, negatywowy wizerunek ciała ludzkiego na płótnie.

W artykule *How the Shroud of Turin was made?* („Jak został zrobiony Całun Turyński") czytamy:

„Jak należało się spodziewać, Całun Turyński okazał się średniowiecznym falsyfikatem. Pozostaje jeszcze wyjaśnić sposób wywołania na tkaninie wizerunku ciała ludzkiego, charakteryzującego się pewnymi, rzekomo niemożliwymi do wyjaśnienia i zreplikowania, właściwościami: obraz powstał na skutek przyłożenia raczej energii niż substancji, odznacza się negatywowością i swego rodzaju trójwymiarowością.

Fakt, że wizerunek powstał w średniowieczu, każe przyjąć, iż artysta posłużył się jakąś bardzo prostą techniką. Często najprostsze metody mają to do siebie, że trudno jest na nie wpaść, i wówczas nazywa się je metodami genialnie prostymi...

Głównym powodem, dzięki któremu Całun Turyński mamił nas przez tyle lat, jest przyjęcie fałszywego założenia, iż obraz powstał po wewnętrznej stronie obu płatów płótna. Założenie to jest wywołane bezwładnością myślenia, skądinąd zrozumiałą, gdyż, skoro mówiło się o całunie jako płótnie, w które owinięte było ciało Chrystusa, nieodparcie nasuwało się przekonanie, że wizerunek musiał powstać po stronie wewnętrznej. Ta pułapka skierowała myślenie na fałszywe tory i jeśli ktoś już w nią wpadł, sporządzenie repliki obrazu stawało się niemożliwe.

Tymczasem wcale nie jesteśmy zmuszeni przyjąć, że obraz powstał po wewnętrznej stronie płótna. Sceptycznie nastawieni specjaliści, zajmujący się Całunem, badali obiekt podejrzewając, że nie jest płótnem grobowym Chrystusa, ponieważ jednak przyjmowali, że wizerunek powstał od wewnątrz, tym samym bezwiednie zakładali, że Całun jest płótnem gorobowym Jezusa. Pułapka okazała się bardzo skuteczna... W istocie obrazy na płótnie wywołano na zewnętrznej stronie płótna.

Druga, choć wątła wskazówka sposobu spreparowania wizerunku na Całunie Turyńskim to określenie użyte przez biskupa Piotra d'Arcisa na opis zastosowanej przez fałszerza techniki. W oryginale mamy łacińskie słowo *depingere*, które oznacza przede wszystkim «malowanie», ale także, że coś zostało «odbite».

Owo «namalowanie» sprawiło, że tyle czasu i energii poświęcono próbom wykrycia chemicznych składników farb malarskich, których w końcu i tak nie wykryto. Obraz został więc w jakimś sensie odbity.

Trzecia, bardzo ważna wskazówka to przyczyna wystąpienia wizerunku. Obraz powstał na skutek emisji energii cieplnej, a więc mówiąc prozaicznie, na skutek gorąca. Oprócz analizy obrazu potwierdza to także fakt, że ślady po nadpaleniu, spowodowane pożarem w 1532 roku, w zasadzie nie różnią się od miejsc, na których znajduje się wizerunek.

Czwarta, być może najważniejsza wskazówka, jakimś trafem przeoczona, to fakt, że odstęp między dwiema głowami wizerunków jest bardzo mały – głowy te prawie stykają się ze sobą. Zamiast rozważać karkołomne i niekonieczne hipotezy o tajemniczym promieniowaniu czy nieznanym procesie energetycznym, należało zwrócić uwagę na to, że odstęp ów jest tak mały. Jeśli ciało Chrystusa leżało między dwoma płatami płótna grobowego i wyemitowało jakiś rodzaj energii, np. energię cieplną, to odstęp między głowami obu wizerunków powinien być równy grubości głowy Jezusa.

Teraz są już w ręku wszystkie kawałki łamigłówki, z wyjątkiem jednego – narzędzia, którym posłużono się do spreparowania odbicia.

W jaki sposób średniowieczny artysta spreparował Całun?

Sporządził on płaskorzeźbę (grubość płaskorzeźby równa jest odstępowi między głowami wizerunku), po czym umieścił ją między płatami płótna. Mocno nagrzanym żelazkiem (lub kawałem blachy) prasował płótno, tak by zaczęło się przypalać. Następnie odwrócił całość na drugą stronę i przeprasował, przypalając płótno pokrywające drugą stronę płaskorzeźby. Po wyjęciu płaskorzeźby wystarczyło złożyć płótno wizerunkami do środka, aby wszystko zgadzało się z twierdzeniem, że obrazy spowodowało ciało Chrystusa zawinięte w płótno.

Niewykluczone, że fałszerz użył dwóch oddzielnych płaskorzeźb, tj. z reliefem tylko po jednej stronie (druga strona byłaby wówczas gładka), chociaż ze wstępnych prób wynika, że aby otrzymać wyraźny obraz, relief musi być bardzo płytki, a tym samym «podwójna» płaskorzeźba mogłaby płasko leżeć na warstwie płótna.

Takie elementy jak ślady po biczowaniu, rany zadane koroną cierniową, rany po gwoździach na rękach i nogach oraz rana w boku zostały uwzględnione przez fałszerza podczas przygotowywania płaskorzeźby. To samo dotyczy krwawych wybroczyn, które dodatkowo mogły być «podretuszowane» prawdziwą krwią ludzką. Wydaje się, że dla wywołania silnego efektu i podniesienia wiarygodności artysta rzeczywiście posłużył się krwią, na co mogą wskazywać (choć dyskusyjne) wyniki badań laboratoryjnych. Nie powinien też właściwie dziwić fakt, co podnosili zwolennicy autentyczności Całunu, że ewentualny fałszerz musiałby wykazać ogromną troskę o skądinąd mało znane, a prawdziwe szczegóły, takie jak: monety kładzione przez Żydów na oczach zmarłych, splatanie warkocza z tyłu itp. Odpowiedź na to jest prosta. W XIV wieku wiedza o krzyżowaniu ludzi i rytuałach grzebalnych Żydów była jeszcze całkiem świeża, a ponadto każdy artysta, który przyjmuje zamówienie, powinien dowiedzieć się tego i owego, jeżeli traktuje zamówienie poważnie.

Eksperyment z uzyskaniem efektu takiego jak na Całunie Turyńskim można przeprowadzić domowym sposobem. Jedna z zabaw dziecięcych polega na tym, że bierze się monetę, kartkę papieru i ołówek. Papier umieszcza się na monecie i pociera ją boczną stroną grafitu, otrzymując negatywowy, trójwymiarowy obraz monety. Moneta jest płaskorzeźbą, papier płótnem, a ołówek rozgrzanym żelazkiem.

Dlatego też można sądzić, że tajemnicę Całunu Turyńskiego najprędzej odkryłyby dzieci".

TAJEMNICZE ISTOTY

PRZEDZIWNI NAPASTNICY

Wiadomo, że niejedna farma była oblegana w różnych czasach, miejscach i przez różnych napastników. Ale oblężenie, które przeżyła rodzina Suttonów nocą 21 września 1955 roku na swojej farmie w Kelly-Hopkinsville w Kentucky, może z powodzeniem przejść do historii oblężeń jako bez wątpienia najdziwniejszy wypadek tego rodzaju. Chociaż ofiary widziały swoich napastników, po dziś dzień nie wiedzą, kim byli, a jeśli chodzi o ścisłość, nie potrafi tego powiedzieć nikt. Najbardziej przerażające było to, że oblegający nie byli ani ludźmi, ani nie należeli do żadnego ze znanych gatunków zwierząt!

Wszystko zaczęło się dość niewinnie. Jeden z członków jedenastoosobowej rodziny Suttonów wrócił na farmę z wiadomością, że w pobliżu widział lądowanie dziwnego obiektu latającego. Opowiadanie spotkało się z lekką drwiną i dowcipkowaniem, jednakże po upływie godziny przeraźliwe ujadanie psa na podwórku postawiło całą rodzinę na równe nogi. Dwóch uzbrojonych mężczyzn wyszło przed dom, żeby zobaczyć, kto nadchodzi...

Do drzwi powoli zbliżała się niezwykła postać: mały, otoczony poświatą człowieczek, z olbrzymimi, okrągłymi jak talerzyki oczami i rękami uniesionymi nad głową, tak jak robi to ktoś, „kogo właśnie obrabowują". Bardziej prawdopodobne, że gestem tym istota chciała pokazać, że nie ma żadnych złych zamiarów. Suttonowie należeli jednak do tych zdecydowanych i twardych ludzi z Kentucky, którzy „najpierw strzelają, a pytanie, kto idzie, zostawiają na potem".

Obaj mężczyźni wystrzelili prawie jednocześnie, gdy świetlista istota znajdowała się około sześciu metrów od nich, jeden ze strzelby kaliber 22, drugi z rewolweru. Według określenia jednego ze strzelających, rozległ się dźwięk, „jakbym trafił w wiadro". Istota wykonała szybki ruch i cofnęła się w ciemność.

Nie minęło wiele czasu, gdy nowy stwór pojawił się w oknie i został przywitany strzałami. Mężczyźni wyszli na ganek, żeby zobaczyć, czy kule trafiły napastnika. Gdy idący przodem zatrzymał się pod wystającym okapem, postępujący za nim dostrzegli, jak z dachu opuszcza się ręka z dłonią zakończoną pazurami i dotyka jego włosów.

Do napastnika znajdującego się na dachu oddano kilka strzałów i jednocześnie otworzono ogień do drugiego stwora, który niespodziewanie pojawił się na gałęzi pobliskiego drzewa. Ten ostatni został trafiony, ale nie spadł, lecz spłynął na ziemię i czmychnął. Nieskuteczność strzałów najwyraźniej przeraziła Suttonów, którzy zabarykowali się w domu i ze strachem obserwowali okna, za którymi od czasu do czasu pojawiali się niesamowici goście.

Po upływie trzech godzin, około dwudziestej trzeciej, cała rodzina zebrała się na odwagę i wybiegła na dwór. Jedenaście osób wcisnęło się do dwóch samochodów i pojechało do miasta po policję.

Po powrocie policja wraz z Suttonami przeszukała teren, jednak nic nie znaleziono. W tej sytuacji policjanci wrócili do miasta, zaś znękani farmerzy zabarykadowali się w domu.

Gdy zapadły ciemności i zapanowała cisza, dziwaczne stworzenia pojawiły się ponownie. Tym razem obyło się już bez incydentów, chociaż cała rodzina nie zmrużyła oka do świtu, kiedy to istoty odeszły tam, skąd przybyły.

Zostały opisane jako niewielkie, delikatnej budowy ciała, z okrągłymi i wielkimi jak spodki oczami, rozstawionymi na piętnaście centymetrów. Głowy istot były kuliste i kompletnie łyse. Nikt nie był pewien, czy stwory miały szyję, nikt nie potrafił opisać wyglądu nosa, zaś usta prawdopodobnie tworzyły cienką, poziomą kreskę. Szczególnie osobliwe były ręce – prawie dwukrotnie dłuższe od nóg, z olbrzymimi dłońmi.

Kim lub czym były te niezwykłe stworzenia, niepodobne do niczego znanego na Ziemi, i czego tu chciały? Czy przybyły z innego układu gwiezdnego? Sugerowałaby to relacja jednego z Suttonów, który na krótko przed rozpoczęciem oblężenia widział lądujący nie opodal obiekt latający.

Kimkolwiek były, nie wydaje się, by chciały wyrządzić komuś krzywdę. Uniesione do góry ręce pierwszego zbliżającego się do drzwi cudacznego gościa wskazują na to dość wymownie. Przestraszeni Ziemianie nie są, doprawdy, zbyt gościnni.

UFONAUCI

Kim były istoty, które z pokładu wiszącego nad ziemią pojazdu machały rękami w odpowiedzi na pozdrowienia ludzi?

Skąd przybyły i czego tu chciały?

Boainai jest wioską położoną nad brzegiem rzeki Mase w Nowej Gwinei. Na terenie wsi znajduje się misja Wszystkich Świętych, kierowana przez duchownego anglikańskiego, wielebnego ojca Williama Gilla. Pracował tu od trzydziestu lat, a jego podstawowym zajęciem była działalność oświatowa. W wywiadzie udzielonym dziennikarzom australijskim ojciec Gill stwierdził, że zanim zdarzyły się te wypadki, sądził, iż UFO „są wytworem wyobraźni albo jakimiś zjawiskami o charakterze elektrycznym".

Aż nadszedł czerwcowy wieczór 1959 roku i razem z trzydziestoma siedmioma osobami, uczniami misji i nauczycielami, ojciec Gill był świadkiem czegoś, co całkowicie zmieniło jego poglądy na sprawę UFO.

Było to około osiemnastej trzydzieści. Niebo było czyste, ale zbierały się już deszczowe chmury. Ojciec Gill wyszedł właśnie na dwór z jadalni i spojrzał w niebo, żeby zobaczyć, czy wzeszła już planeta Wenus. Wenus była na niebie, ale było tam też coś znacznie dziwniejszego: bardzo jasny, iskrzący się statek latający. Ksiądz Gill mówi:

„...miałem właśnie skręcić za róg domu, kiedy coś na niebie przykuło mój wzrok i spojrzałem w górę w kierunku zachodnim. Zobaczyłem pod kątem około 45° to olbrzymie światło. Sądziłem, że niektórzy ludzie mogą sobie coś takiego wyobrażać, ale nigdy ja. A to się właśnie stało. Zawołałem Erica Kodawarę i spytałem: Co widzisz tam w górze?! Powiedział: Zdaje się, że to jest światło. A na to ja: Idź i powiedz nauczycielowi Stevenowi Moi. Każ mu przyjść szybko. Eric zebrał ludzi, ilu tylko mógł, i wszyscy staliśmy i wpatrywaliśmy się w to. Później podeszliśmy bliżej, na boisko, a zjawisko trwało dalej. Opisałem je. Wziąłem wtedy bardzo szybko notatnik i ołówek i napisałem, że jeżeli coś ma się zdarzyć, zdarzy się teraz i z pewnością jutro obudzę się i będę myślał, że to był sen, że nie widziałem tego naprawdę. Jeżeli zapiszę to, będę przynajmniej wiedział, że nie śniłem".

Obiekt przypominał wielki dysk o średnicy około trzynastu metrów u podstawy i siedmiu metrów na szczycie. Miał okrągłą nadbudówkę, a na niej jeszcze jedną okrągłą, znacznie mniejszą, która wydawała się pełnić rolę mostka kapitańskiego. Od spodu były cztery „nogi", skierowane parami ukośnie w dół. Wydawały się być przymocowane na stałe i przypominały nogi statywu.

Obiekt zniżył się i zawisł nad ziemią jakieś sto, sto pięćdziesiąt metrów. Kiedy cała misja stała, patrząc z rozdziawionymi ustami na to cudo widniejące nad ich głowami, z wnętrza latającego spodka wyszli... ludzie. Pojawili się na szczycie dysku, stojąc na mostku kapitańskim. Najpierw było ich czterech, później dwóch, potem jeden, potem trzech, następnie znowu czterech...

Ze środka pokładu wychodził promień niebieskiego światła. Ludzie na pokładzie byli pochyleni do przodu, czasem prostowali się, czasem spoglądali w dół w kierunku patrzących, ale interesowało ich tylko to, co działo się na pokładzie. Przyglądający się im z dołu mieli wrażenie, że istoty z latającego spodka coś naprawiają. Niebieskie światło zapalało się i gasło jak promień skierowanego w niebo reflektora...

Zaczęto dawać sygnały latarką. Najwyraźniej w odpowiedzi obiekt zaczął poruszać się ruchem wahadłowym. Kiedy skierowano nań światło latarki, najpierw uniósł się, a potem zaczął opadać i znalazł się bardzo nisko nad ziemią. Wszyscy myśleli, że za chwilę wyląduje, ale nie stało się tak i wszyscy byli bardzo rozczarowani...

Ojciec Gill stwierdza: „Kiedy jeden z ludzi znajdujących się na pokładzie przechylił się przez coś, co wydawało się poręczą, i zdawał się patrzeć na nas, uniosłem rękę i pomachałem. Figurka zrobiła to samo! Jak kapitan statku, który macha do kogoś na przystani. Samej poręczy nie widziałem, ale figurka stała w pozycji, sugerującej istnienie poręczy. Widzieliśmy z dołu, że człowiek ten był wychylony. W pewnej chwili Anamias, nauczyciel, zamachał nad głową obiema rękami i dwie postaci na górze również zamachały oburącz nad swoimi głowami. Potem Anamias i ja zamachaliśmy ponownie i wszystkie postaci odmachały nam. Nie ma żadnych wątpliwości, że odpowiadały w ten sposób na nasze sygnały dawane rękami".

Uczniowie misji byli zaskoczeni, lecz i zachwyceni. Mali chłopcy wykrzykiwali i gestami zapraszali istoty do zejścia na dół, ale one nie zeszły.

Długotrwała obserwacja latającego spodka i pracujących na jego pokładzie istot poprzedzona była licznymi, wcześniejszymi doniesieniami o dziwnych latających światłach na niebie. Pod wpływem tych relacji ojciec Gill napisał do przyjaciela kierującego sąsiednią misją list, w którym jeszcze powątpiewał:

„Drogi Dawidzie,

Spójrz na te niezwykłe dane. Jestem prawie przekonany do teorii «odwiedzin». Nie mam żadnych wątpliwości co do istnienia tych rzeczy... ale mój prosty umysł ciągle domaga się naukowego dowodu, zanim będę mógł uwierzyć, że prawdopodobnie UFO są czymś więcej niż jakąś formą zjawisk elektrycznych lub czymś związanym z wybuchami bomb atomowych... Zbyt trudno jest mi to wszystko zrozumieć. Wolę poczekać, aż jakiś bystry chłopak złapie coś takiego, żeby można było to pokazywać w Martin Square...

Twój wątpiący William".

Po obserwacji istot, z którymi wymieniano pozdrowienia, drugi list był już inny.

„Drogi Dawidzie,

Życie jest dziwne, nieprawdaż? Wczoraj napisałem do Ciebie list, wyrażając opinię o UFO. Teraz, po niespełna dwudziestu czterech godzinach, zmieniłem w pewnym sensie swoje poglądy. Ostatniej nocy obserwowaliśmy około czterech godzin działalność UFO i nie ma wątpliwości, że był on kierowany przez jakieś istoty. Chwilami było to absolutnie oszałamiające. Oto sprawozdanie. Proszę, prześlij je dalej, ale pamiętaj o zachowaniu wielkiej ostrożności, gdyż nie mam kopii...

Cześć – Przekonany Bill".

Nic tak dobrze nie wpływa na zmianę przekonań, jak zobaczyć na własne oczy.

YETI

Wyśmiewanie się z opowieści tubylców o niewiarygodnych bestiach nie jest rzeczą rozsądną... Tubylcy czasem wiedzą, co mówią. Potwierdziło się to w drugiej połowie XIX wieku, kiedy amerykański badacz, Paul Du Chailliu, przywiózł z jednej ze swych wypraw skórę i szkielet gigantycznego goryla, ku wielkiemu zakłopotaniu krytyków.

Do tej pory nikt nie znalazł ani skóry, ani sierści legendarnego Człowieka Śniegu z Himalajów. Mimo to są naukowcy, którzy wierzą, iż może się to zdarzyć w każdej chwili.

Ludy zamieszkujące ten surowy region naszego globu nazywają te stwory yeti, co znaczy ohydny, odrażający, straszny. Zgodnie z tym, co podają tubylcy, yeti żyją wysoko, w niedostępnych kryjówkach Himalajów. Problem polega na tym, że od czasu do czasu stwory te schodzą w dół, do wiosek. Według opowieści Szerpów, yeti nie ograniczają się do jedzenia żab ze stawów w dolinach czy też delikatnych pędów drzew lub krzewów. Zaspokajają głód również świeżym mięsem – czasem kozą, czasem młodym jakiem, a nawet porwanym dzieckiem albo samotnym pastuchem, który popełnił ten błąd, iż spał samotnie w słońcu.

Ponieważ to właśnie brytyjska kolonia w Indiach rozciągała się aż do budzących grozę Himalajów, Brytyjczycy byli pierwszymi, którzy zetknęli się z relacjami o tych dziwnych stworach. Uznali je za wymysły tubylczej wyobraźni. Pierwsza mała rysa na tej wyrosłej przez lata ogromnej ścianie ignorancji i wątpliwości pojawiła się w roku 1913, kiedy grupa chińskich myśliwych zraniła i wzięła do niewoli jakieś dziwne, człekopodobne stworzenie, które Tybetańczycy nazywali Człowiekiem Śniegu.

Chińczycy mówili, że stwór o czarnej, małpiej twarzy, pokryty srebrnożółtą, długą na kilka centymetrów sierścią, o nadzwyczaj silnych dłoniach i bardzo podobnych do ludzkich stopach, był trzymany w klatce w Patang, w prowincji Sinkiang. Stwór chrząkał i wydawał gardłowe dźwięki, ale większość czasu spędzał z zaciśniętymi ustami lub wydawał charakterystyczne głośne gwizdanie. Po jakichś pięciu miesiącach stworzenie zachorowało i zmarło.

Wybuch pierwszej wojny światowej uniemożliwił wszelkie naukowe ekspedycje w ten rejon. W 1937 roku brytyjski badacz, Frank Smythe, przybył do Tybetu z doniesieniem o człekopodobnych dzikich stworach nieznanego gatunku, które panoszyły się w górnych partiach Himalajów, żywiąc się owadami i gryzoniami albo większymi zwierzętami, jeśli tylko mogły je upolować.

Smythe znalazł ich tropy na wysokości około 4200 metrów. Jego przewodnicy, Szerpowie, odmówili pójścia dalej, kiedy zauważyli ślady.

Pomiary odcisków wykazały, że były one zdumiewająco podobne do ludzkich, z tą różnicą, że palce stopy były odbite na pięcie stopy poprzedniej. Rozmiar: około trzydzieści trzy centymetry długości i trzynaście centymetrów szerokości.

Od tego czasu wiele ekspedycji znajdowało różne ślady, wskazujące, że Człowiek Śniegu faktycznie istnieje, i jest nadzieja, że któregoś dnia zostanie wreszcie schwytany.

Brytyjski major Alan Cameron, który brał udział w wyprawie na Mount Everest w 1923 roku, szedł z grupą himalaistów drogą w kierunku szczytu, kiedy jeden z przewodników zauważył sznur żywych istot, wolno poruszających się wzdłuż jednego z klifów, dobrze ponad linią śniegu. Dwa dni później, kiedy grupa Camerona dotarła do tegoż miejsca, znalazła ogromne, podobne do ludzkich odciski stóp na śniegu.

Więcej dziwnych tropów na linii śniegowej lodowatych stoków Everestu napotkała pod koniec 1936 roku pierwsza ekspedycja Shiptona. H.W. Tilman, członek ekspedycji, który szedł owymi tropami wiele kilometrów, zanotował, że jest wykluczone, by ślady te mogło pozostawić jakieś czworonożne zwierzę. Tilman w końcu zgubił trop na grani gołych skał.

W 1958 roku amerykański naukowiec, Norman Dyrenfurth, donosił z Katmandu w Nepalu, że znalazł dowody, które przekonały go, iż Człowiek Śniegu należy albo do gatunku *Homo sapiens*, albo jest nieznaną istotą człekokształtną. Przeszukiwał on jaskinie, w których istoty te żyły bez ognia, zbierał resztki jedzenia, włosy, zarówno srebrnoszare, jak i rudawobrązowe, sporządzał gipsowe odlewy odcisków stóp i gromadził inne drobiazgi, by udowodnić, że nieuchwytny Człowiek Śniegu naprawdę istnieje: duże osobniki mają wzrost około dwa metry czterdzieści centymetrów, a małe metr dwadzieścia.

W 1958 roku pewien antropolog wysunął przypuszczenie, że odciski stóp nie należą do Człowieka Śniegu, lecz do tubylców, których palce wystają ze znoszonych sandałów, na co „Chicago Tribune" odpowiedziała: „Jest to dobre wytłumaczenie dla kogoś, kto tam nie był..."

Niezwykłe zainteresowanie yeti wykazał pewien sierżant milicji z Azerbejdżanu.

Latem 1947 roku w pobliżu małej wsi azerbejdżańskiej sierżant Ramazan, uważany za człowieka uczciwego i zdyscyplinowanego funkcjonariusza, wracał nocą ze służby, kiedy niespodziewanie spoza drzew wyskoczyło wielkie, nagie, owłosione stworzenie, obezwładniło go i zaniosło pod drzewo. Najwyraźniej siedziała tam towarzyszka życia napastnika – nieco niższa od samca, z obwisłymi piersiami i długimi włosami. Zarówno samiec, jak i samica byli mocno owłosieni – z wyjątkiem przerażających, ciemnych, małpich twarzy. Dzikie stwory wydawały nieartykułowane dźwięki i zaczęły z zainteresowaniem obmacywać sierżanta, zwracając szczególną uwagę na błyszczące guziki jego munduru. Próbowały przekonać się nawzajem, że zdobycz jest niepodzielną własnością jednego z nich. Warczały, popychały się, a nawet się pobiły. Dopiero o świcie oddaliły się i zniknęły w lesie. Skromny milicjant z Azerbejdżanu może więc powiedzieć o sobie, że jest prawdopodobnie jedynym człowiekiem, o którego pobiły się yeti!

Doniesienia o Człowieku Śniegu napływały w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, co pozwala przypuszczać, iż yeti nie wyginęły i dalej wiodą życie w mało dostępnych zakątkach Azji. Najświeższe doniesienie pochodzi z 1990 roku. Złożył je nie byle kto, bo sam R. Messner, zdobywca wszystkich ośmiotysięczników i najlepszy himalaista świata. Podczas swojej ostatniej wyprawy napotkał i oglądał na własne oczy Człowieka Śniegu, co nie bez pewnych wahań ujawnił na konferencji prasowej. Ponieważ zdobył już wszystkie ośmiotysięczniki, Messner ma teraz nowy cel w życiu: organizuje specjalną wyprawę w Himalaje, aby schwytać yeti.

Czy obejrzymy wkrótce na ekranach telewizorów legendarnego Człowieka Śniegu? A jeśli tak, to czy okaże się on bardziej zwierzęciem czy bardziej człowiekiem?

SASQUATCH

Coś zostawia te przeklęte ślady i ja to wykryję – poprzysiągł sobie René Dahinden, kanadyjski tropiciel Dzikiego Człowieka Lasów, żyjącego ponoć w bezludnych rejonach dawnej Kolumbii Brytyjskiej i północno-zachodniej części Stanów Zjednoczonych. Jak dotąd nikomu nie udało się dostarczyć żywej lub martwej olbrzymiej istoty, która podobnie jak jej azjatycki kuzyn – yeti pozostawia jedynie ślady swoich stóp i tylko czasem uda się ją komuś zobaczyć.

Nie musi być w tym jednak nic podejrzanego. Tereny, na których żyją rzekomo północnoamerykańscy Dzicy Ludzie Lasów, są nie zamieszkane i porośnięte dziewiczą puszczą. Tylko ci nieliczni, którym zdarzy się przebywać w tych okolicach, mają szansę zobaczyć te stworzenia, chyba że zapędzą się one w pobliże ludzkich osiedli.

Opowieści o Człowieku Lasów krążą od dawien dawna. Stworzenie to dobrze znane było Indianom, którzy nazwali je Sasquatch, zaś w Stanach Zjednoczonych nazywa się je Bigfoot. Obie te nazwy znaczą „Wielka Stopa". Mimo tak długiej historii i stosunkowo licznych w tym czasie spotkań z nimi, nie wiadomo, czy chodzi tu o nie znany nauce gatunek gigantycznej, człekopodobnej małpy czy raczej o jakąś rasę praludzi. Według zeznań naocznych świadków, bardziej przypominają istoty ludzkie niż małpy.

Nikomu nie udało się schwytać Wielkiej Stopy, ale być może prawdą jest, że stało się coś dokładnie przeciwnego: Sasquatch schwytał cywilizowanego człowieka...

Najdziwniejsza historia, jaką można znaleźć w bogatych materiałach René Dahindena, dotyczy Alberta Ostmana, sezonowego drwala z Fort Langley, który twierdzi, że... został porwany przez dorosłego samca Sasquatcha i był więziony w jego kryjówce!

Miało się to wydarzyć w 1924 roku w bezludnym rejonie leśnym przeszło sto sześćdziesiąt kilometrów na północ od Vancouver w Kanadzie. Ostman skończył właśnie pracę i wziął urlop, zamierzając zająć się poszukiwaniem zapomnianej kopalni złota. W tym celu wynajął starego Indianina jako przewodnika i ruszyli na poszukiwania.

Indianin był przestraszony możliwością napotkania Sasquatcha. Pewien biały człowiek, który przynosił regularnie złoto z opuszczonej kopalni, nagle w zagadkowy sposób zniknął i Indianin podejrzewał, że kryje się za tym Bigfoot. Jednakże Ostman, który nigdy nie słyszał o Dzikim Człowieku Lasów – wyśmiał go.

Kiedy osiągnęli brzeg małej zatoczki, Ostman rozbił obóz i przykazał Indianinowi, by czekał na niego trzy tygodnie, sam zaś udał się na poszukiwania złota. Miał ze sobą śpiwór, strzelbę typu Winchester, a wśród drobiazgów w plecaku także kilka blaszanych pudełek z tytoniem do żucia – rzecz, która później odegra ważną rolę.

Po kilku dniach samotnej włóczęgi znalazł się w całkowicie dzikim terenie. Trudno było wyobrazić sobie, że oprócz zwierząt, można tu spotkać jakąś żywą istotę, a jednak... Pewnego ranka Ostman spostrzegł, że niektóre przedmioty są porozrzucane. Nic nie zginęło, ale w nocy ktoś najwyraźniej grzebał w jego rzeczach!

„Następnej nocy – relacjonował drwal – załadowałem starannie strzelbę. Miałem jeszcze pełne pudełko, zawierające dwadzieścia naboi, nie licząc całego magazynka i sześciu naboi luzem w kieszeni kurtki. Strzelbę schowałem pod śpiwór.

Kiedy obudziłem się rano, plecak był wypróżniony. Ktoś wywrócił go do góry nogami. Dalej wisiał na tyczce, zaczepiony na ramiączku, tak jak go powiesiłem. Później zauważyłem, że zginęło pół paczki suszonych śliwek. Zniknął także placek. Poprzedniej nocy myślałem, że odwiedził mnie jeż, ale gdyby tak było, zniknęłaby sól, ponieważ jeże bardzo ją lubią. Sól pozostała jednak nietknięta, więc uznałem, że musiało to być coś innego".

Z powodu złej pogody Ostman nie opuszczał obozowiska trzy dni. Wizyty tajemniczego gościa powtarzały się noc w noc. Jednak następnej nocy nie było już mu dane przespać.

„Obudziłem się, ponieważ coś mnie podniosło do góry. Byłem jeszcze półprzytomny i w pierwszej chwili nie wiedziałem, gdzie jestem. Gdy zebrałem myśli, przypomniałem sobie, że jestem na wyprawie i leżę w śpiworze. Moją pierwszą myślą było, że ześlizguję się po śniegu, ale nie było żadnego śniegu. Następnie miałem wrażenie, że jadę na koniu, ale to coś, co mnie niosło, najwyraźniej kroczyło. Dyszało ciężko i czasami wydawało z siebie kaszlnięcie. Teraz już wiedziałem, że musi to być Sasquatch – jeden z tych mieszkających w górach olbrzymów, o których mówił Indianin".

Po pewnym czasie niesamowita podróż na plecach skończyła się i położono Ostmana na miękkiej ziemi. Było jeszcze ciemno i nie dawało się rozróżnić szczegółów, dopóki blask wschodzącego słońca nie oświetlił niezwykłej scenerii.

Wokół drwala stały cztery przerażające istoty. Wszystkie były olbrzymie i pokryte czarnymi, długimi włosami. Tworzyły najwyraźniej rodzinę: stary Sasquatch, który przytaszczył Ostmana, był najpotężniejszy, mając prawie dwa metry czterdzieści centymetrów wzrostu. Jego samica była o trzydzieści centymetrów niższa i wyglądała na jakieś dwieście pięćdziesiąt, dwieście siedemdziesiąt kilogramów wagi. Młody samiec mierzył podobnie jak jego matka dwa metry dziesięć centymetrów wzrostu i miał około stu czterdziestu centymetrów obwodu w klatce piersiowej. Najmiejsza była młoda samica, najwyraźniej w wieku dziecięcym, gdyż nie miała jeszcze rozwiniętych piersi. Jedynymi nie pokrytymi włosami częściami ciała były: wewnętrzna strona dłoni i podeszwy stóp, górna część nosa i okolice oczu. Nie było widać uszu, gdyż zasłaniała je szczecina włosów. Włosy na głowach miały około piętnastu centymetrów długości; na ciele były krótsze, ale znacznie grubsze.

Kiedy Ostman oprzytomniał i wyzwolił się z pierwszego strachu, rozejrzał się z ciekawością dookoła. Znajdował się w głębokiej, maleńkiej kotlince o wysokich ścianach skalnych. Na północnym wschodzie znajdował się otwór szeroki na dwa i pół metra, a wysoki na sześć metrów w najwyższym punkcie. Był to otwór, przez który dostali się do środka.

Jakkolwiek przestraszony, Ostman wkrótce uspokoił się. Miał większość swoich rzeczy, łącznie z plecakiem, w którym znajdowało się jedzenie i kawa, oraz strzelbę z pełnym magazynkiem i dodatkowymi nabojami.

Dwa dni wytężał umysł, próbując wymyślić, w jaki sposób uciec, a ponieważ nic zadowalającego nie przychodziło mu do głowy, po prostu podszedł do otworu prowadzącego na wolność. Jednakże stary Sasquatch z okrzykiem, który brzmiał jak: „Soaka, soaka", popchnął go z powrotem. Ostman był zdecydowany strzelać, ale obawiał się, czy kula z winchestera powali tak ogromne cielska.

W czasie swojej niewoli dokonał pewnych spostrzeżeń co do sposobu odżywiania się włochatych istot i ich trybu życia. Nigdy nie widział, by jedli mięso. Zbierali korzonki, orzechy i inne jadalne rośliny. Spali na wymoszczonych mchem i trawą łożach, znajdujących się na czymś w rodzaju półki skalnej. Mieli też w rodzinie podział czynności.

Okazja do ucieczki nadarzyła się siódmego dnia niewoli. Ostman rozpalił ogień i zrobił sobie kawy. Kiedy zjadł i napił się, wyciągnął jedno ze swoich pudełek z tytoniem do żucia. Stary Sasquatch sięgnął po nie ręką i odebrał mu je, po czym zjadł całą jego zawartość, wylizując pudełko.

„Po kilku minutach – mówił Ostman – zaczął przewracać oczami i patrzył prosto przed siebie. Było jasne, że zrobiło mu się niedobrze. Złapał dzbanek z wystygłą już kawą i wypił ją, ale nie przyniosło mu to ulgi. Włożył głowę między kolana i zaczął się kiwać. Następnie zaczął kwiczeć jak zraniona świnia.

Złapałem strzelbę. Powiedziałem do siebie: teraz albo nigdy. Jeżeli będzie chciał mnie zatrzymać, wypalę mu między oczy. Ale jemu potrzebna była woda i powlókł się w stronę źródełka. Zapakowałem wszystkie moje rzeczy do plecaka. Młody Sasquatch pobiegł po matkę, która też zaczęła kwiczeć. Ruszyłem w kierunku otworu wejściowego. Samica była tuż za mną. Odwróciłem się i dałem ognia ponad jej głową".

Nikt go nie ścigał. Wkrótce zobaczył szczyt znajomej góry. Kiedy po upływie półtora dnia oddalił się od kryjówki Sasquatcha na dużą odległość, poczuł, że jest uratowany.

Oto najdziwniejsza historia związana z Dzikimi Ludźmi Lasów. Historia sezonowego drwala Alberta Otsmana, który tydzień był jeńcem rodziny Sasquatchy.

SPOTKAŁEM MATAH KAGMI

Leśni Ludzie z Ameryki (Wielkie Stopy), tybetańscy Ludzie Śniegu (yeti) i ich odpowiednik z Malajów stwarzają ekscytujący problem. Tybet i Malaje to tereny mało spenetrowane, a zresztą „łatwo kłamać, gdy się sprawdzić nie da".

Trudno jednak uwierzyć, że w uprzemysłowionej Ameryce spacerują swobodnie humanoidy o wzroście dwa do czterech metrów.

Lasów amerykańskich strzegą helikoptery i samoloty, zaopatrzone w detektory działające w podczerwieni (aby zapobiegać pożarom). Dlaczego zatem detektory nie reagują? Interesujące byłyby wyniki badań lasów amerykańskich za pomocą używanych w Wietnamie wykrywaczy poruszających się istot. Zbyt dużo jest doniesień, i to zbyt szczegółowych, aby sądzić, że straszliwi Leśni Ludzie amerykańscy są tylko legendą.

Mój dziadek urodził się w 1853 roku w Kalifornii, u podnóża góry Shasta. Brał udział w wojnie 1872–1873, którą prowadzili Indianie Modoc w obronie własnego kraju – była to jak zwykle ta sama historia: porażka i zesłanie do rezerwatu.

Opowiadał mi tę historię, kiedy byłem dzieckiem. Pewnego dnia latem 1897 po raz pierwszy opowiedział mi o Sasquatchu. O zmierzchu szedł tropem jelenia, wzdłuż jeziora, gdy nagle zobaczył przed sobą coś, co przypominało wysoki krzak. Zbliżył się do niego trochę i wtedy poczuł ostry zapach, zalatujący nieco piżmem. Przyjrzał się więc dokładniej i nagle spostrzegł, że nie był to wcale krzak, tylko stwór pokryty od stóp do głowy grubą, szorstką sierścią, podobną do włosia końskiego. Zrobił krok do przodu, lecz stworzenie wydało dźwięk czy krzyk, coś podobnego do „Najjaaaah!" Dziadek zrozumiał wtedy, że stworzenie to najstarsi ludzie nazywają Sasquatchem.

Chociaż zapadła noc, widział wyraźnie dwoje brązowych oczu, jasno błyszczących w kudłatej głowie. Gdy stworzenie poruszyło się lekko, dziadek zrobił przyjacielski gest i położył na ziemi paczkę z upieczonymi rybami, które miał ze sobą. Sasquatch zrozumiał to widocznie, ponieważ szybko złapał ryby i uciekł do pobliskiego wysokopiennego lasu. Zatrzymał się tylko na chwilę i ponownie wydał okrzyk, którego dziadek nigdy nie zapomni... długi i głuchy dźwięk: „Eeegoooooоumm!"

Nie opowiadał nigdy o tym wydarzeniu nikomu spoza rodziny i mówił o tych stworzeniach jak o istotach ludzkich, nazywanych Matah Kagmi. Bardzo interesujący jest fakt, iż mieszkańcy Tybetu nazywają sławnego Człowieka Śniegu Metoh Kangmi. Te dwie nazwy są bardzo zbliżone i wątpliwe jest, żeby to miał być tylko zwykły zbieg okoliczności.

Kilka tygodni po spotkaniu z Matah Kagmi dziadka obudziły rano jakieś dziwne hałasy wokół szałasu. Kiedy wyszedł, znalazł stos skór jelenich, świeżo zdartych i gotowych do garbowania. Z oddali usłyszał znów dziwny okrzyk: „Eeegoooooumm!" Potem pojawiały się inne rzeczy: drzewo na opał, jagody i dzikie owoce.

Kilka lat później znów spotkał Sasquatcha i było to jeszcze bardziej zdumiewające. Pracował z kilku białymi w okolicy San Francisco, pomagając im w poszukiwaniu skarbu, który miał się rzekomo znajdować na wzgórzu Shasta.

Kiedy małą grupą dotarli do podnóża góry, biali urządzili pijaństwo. Dziadek powiedział, że sam sprawdzi kilka urwistych, skalnych ścieżek. Wcześnie rano poszedł górską dróżką i po długiej i uciążliwej wspinaczce dotarł do urwiska, które miał zamiar zbadać. Wówczas to się właśnie wydarzyło. Został ugryziony w nogę przez grzechotnika (*Crotalus horridus*)!

Zabił węża i próbował zejść niżej w jakieś wygodniejsze miejsce, lecz szedł z coraz większym trudem. Złapał go ból brzucha i zemdlał. Kiedy odzyskał świadomość, wydawało mu się, że śni, gdyż stali nad nim trzej wielcy Sasquatche, wysocy na dwa i pół, trzy metry. Lekko nacinali ukąszone miejsce, różnymi sposobami usuwali jad i przykładali świeży mech na ranę. Jeden wydał coś w rodzaju pomruku i dwaj pozostali ponieśli dziadka ścieżką, której nie znał. Gdy zeszli ze zbocza, położyli go pod gęstym krzakiem i zostawili. I znowu dziadek usłyszał posępny okrzyk Sasquatcha: „Eeegoooooumm!"

Po chwili poczuł się lepiej, wyjął swój stary pistolet skałkowy kaliber 44 i wystrzelił kilka razy w powietrze. W końcu poszukiwacze złota znaleźli go, a on nie opowiadał o tym, co się wydarzyło. Zaprowadzono go na miejsce, gdzie były przywiązane muły juczne, a stamtąd do najbliższego miasteczka. Po kilku dniach odpoczynku wrócił nad jezioro Tule. Od tej pory za żadną cenę nie chciał nikogo prowadzić na górę Shasta. Mawiał: – Matah Kagmi istnieją! To jest miejsce święte, mam tam przyjaciół.

Przez całe lata od czasu do czasu, w ciszy wieczoru albo często późno w nocy, słyszał okrzyk, który dobrze znał: „Eeegoooooo-umm" – zawołanie Sasquatchów. Mówił, że Matah Kagmi nie są źli, lecz bardzo prymitywni i dzicy, zwłaszcza w zetknięciu z białymi ludźmi, i że wychodzą zazwyczaj tylko wieczorem lub nocą. Żywią się przede wszystkim korzeniami i jagodami, a mięso jadają tylko w czasie najostrzejszych mrozów. Mieszkają w głębokich grotach na zboczach gór, nieznani człowiekowi.

NEANDERTALCZYK W BRYLE LODU?

Czy gdzieś na Ziemi żyją jeszcze praludzie – przodkowie współczesnego człowieka, rzekomo wymarli przed dziesiątkami tysięcy lat?

W połowie lat sześćdziesiątych mieszkańcom Stanów Zjednoczonych dane było oglądać zakonserwowane w lodzie zwłoki jakiejś na pół zwierzęcej, na pół ludzkiej istoty. Za jednego dolara i siedemdziesiąt pięć centów niejaki Frank Hansen pokazywał ciekawskim człekopodobne ciało, pokryte dość rzadkimi, ale długimi włosami. Według plotki, przemycono je w chłodni statku do połowu fok gdzieś z Syberii, być może z Kamczatki, i sprzedano w jednym z chińskich portów, skąd trafiło do USA.

Wożono je z miejsca na miejsce specjalnie do tego celu przystosowaną furgonetką i wystawiano na pokaz w metalowej trumnie z pokrywą z czterowarstwowego szkła. Pojemnik miał zainstalowane urządzenie chłodnicze i podświetlenie umożliwiające lepszą widoczność przez przezroczystą warstwę lodu. Zakonserwowany osobnik został uśmiercony strzałem w prawe oko, lewe zaś wydawało się być wysadzone z oczodołu siłą uderzenia kuli. Prawdopodobnie drugi strzał zgruchotał mu dłoń i przedramię lewej ręki, uniesionej nad głową jakby w geście obronnym. Rany były wyraźne, z ręki sterczały odłamki kości.

Jeżeli osobnik ów został zastrzelony, to oczywiście musiało się to zdarzyć całkiem niedawno. Tak więc przypuszczenie, że w pewnych bezludnych rejonach Ziemi zachowały się jeszcze niedobitki praludzi, zyskiwałoby na wiarygodności, zwłaszcza że istnieją także ustne relacje świadków, którzy rzekomo zetknęli się oko w oko z podobnymi istotami.

Tajemnicze zwłoki, być może człowieka prehistorycznego, były oglądane nie tylko przez ciekawskich laików, lecz także fachowców – biologów: Amerykanina Ivana Sandersona i Belga Bernarda Heuvelmansa.

Badali je trzy dni w grudniu 1968 roku w miejscowości Rollingston w stanie Minnesota podczas urządzonych tam pokazów. Właściciel zwłok nie chciał się zgodzić na ich rozmrożenie w celu wykonania sekcji ani użycie aparatu rentgenowskiego twierdząc, że faktycznie to nie on jest właścicielem, lecz ktoś inny, kto zapłacił za trupa mnóstwo pieniędzy – on miał zajmować się tylko organizowaniem pokazów.

Zanim F. Hansen zorientował się, że ma do czynienia nie z maniakami, lecz zawodowcami, Heuvelmans i Sanderson zdążyli dokonać skrupulatnych oględzin i przeprowadzić pomiary, po czym zabroniono im wstępu do furgonu.

Istota, której zwłoki oglądali, mierzyła sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i była potężnej postury – ocenili jej wagę na około sto piętnaście kilogramów. Tułów osobnika, inaczej niż u współczesnych ludzi, zwężał się nie w pasie, lecz w biodrach. Szyja wydawała się bardzo krótka, co jest zgodne z naszą wiedzą o człowieku neandertalskim, uzyskaną na podstawie wykopalisk. Również żuchwa podobna była do żuchwy okazów kopalnych – masywna, szeroka i pozbawiona tzw. guzowatości bródkowej. Tak samo jak neandertalczyk, zamrożona istota miała szeroką twarz z mocno wystającymi kośćmi policzkowymi.

Zagadkowy osobnik miał ciemnożółtawą karnację skóry, a jego ciało pokryte było długimi, siedemdziesięciocentymetrowymi włosami, porastającymi z rzadka co jeden, dwa milimetry. Nie owłosione były: twarz (chociaż na policzkach występowały rzadkie, pojedyncze włoski), wewnętrzna strona dłoni, podeszwy, pachy i narządy płciowe. Te ostatnie były wyraźnie typu ludzkiego, a nie małpiego. Dotyczy to również paznokci, które wydawały się jakby starte. Włosy na piersiach układały się na prawo i lewo od „przedziałka" na środku klatki piersiowej.

Co ciekawe, dwie opuszki na podeszwie znajdowały się za paluchem, z czego wynika, że ruchami jego kierowały oddzielne mięśnie i w odróżniniu od małpy, istota ta stąpała głównie na przyśrodkowej stronie stóp.

Zgadza się to z odkrytymi na Węgrzech odciskami stóp małpoluda z czasów czwartorzędu oraz ze śladami rzekomo żyjących jeszcze praludzi w górach Kaukazu i Tien-szan. Na wewnętrznej stronie dłoni opuszka umiejscowiona była nie poniżej kciuka (jak u nas), ale przy małym palcu. Tak więc prehistoryczny człowiek chodził także na czworakach, podobnie jak małpa, opierając dłonie na zewnętrznych krawędziach.

Jedna rzecz wydaje się nadzwyczaj charakterystyczna. Według przypuszczeń naukowych, przodkowie człowieka współczesnego umieli wydawać okrzyki, gwizdy, jęki, ryki i temu podobne dźwięki, ale nie byli jeszcze w stanie posługiwać się mową artykułowaną, tj. nie potrafili wymawiać słów. Rozwój mowy wykazuje silny związek z wykształceniem się praworęczności. Tak więc fakt, iż zabita istota zasłoniła się odruchowo przed strzałem lewą ręką, sugeruje, że była leworęczna – poszlaka, iż może się to więzać właśnie z brakiem mowy.

Ivan Sanderson i Bernard Heuvelmans są przekonani, że zwłoki, które oglądali, były ciałem z krwi i kości, a nie gumową lub plastikową kukłą, spreparowaną dla osiągnięcia korzyści finansowych.

Prócz wielu zaskakujących podobieństw do kopalnych szczątków człowieka neandertalskiego i opisywanych przez świadków żywych praludzi, przemawiał za tym także wyraźny trupi odór rozkładającego się, mimo wszystko, ciała, w miejscu gdzie warstwa lodu była bardzo cienka. Obaj badacze nie mają wątpliwości, że oglądali okaz istoty zbliżonej do człowieka, a nie małpę. Podobnego zdania jest także radziecki naukowiec B. Porszniew, od wielu lat zajmujący się zbieraniem dowodów potwierdzających istnienie w bezludnych rejonach żywych istot człekopodobnych, które wcale, jak twierdzi, nie wymarły z kretesem.

Co się stało z eksponatem F. Hansena, nie wiadomo. Hansen przepadł gdzieś bez wieści, zabierając ze sobą tajemnicę, której rozwiązania prawdopodobnie także on sam nie znał. Być może, zwłoki uległy rozkładowi i po prostu wyrzucił je...

WĄŻ KAPITANA SEABURY'EGO

Opowiadania o wężach wodnych zwykle uważane są za fantazję, ale tylko przez osoby, które nie zetknęły się ze sprawą statku „Monongahela" i jego niesamowitego połowu.

„The New Bedford Morning Mercury" jako pierwszy opublikował sprawozdanie z tej wyprawy w jednym z lutowych numerów 1853 roku, prawie rok po całym wydarzeniu.

Dane mówią, że kapitan Seabury, doświadczony w wielu wyprawach, był dowódcą statku „Monongahela" tego fatalnego poranka 13 stycznia 1852 roku, kiedy to jeden z majtków zwrócił jego uwagę na coś niezwykłego w wodzie, około pół mili od portu.

Kapitan Seabury spojrzał przez lunetę. Zobaczył jakieś ogromne stworzenie, które wiło się w wodzie jakby w agonii. Statek płynął wolno w lekkich, choć zwodniczych podmuchach bezwietrznej strefy Pacyfiku.

Żeby dokładniej przyjrzeć się morskiemu potworowi, kapitan wysłał trzy łodzie. Sam również popłynął. Gdy przepływali obok stworzenia, wydał wszystkim łodziom rozkaz do ataku i jako pierwszy wbił harpun głęboko w ciało potwora. Jak zwykle w takich wypadkach, załogi wszystkich łodzi wiosłowały co sił, żeby uciec z zasięgu rozwścieczonego zwierzęcia.

W chwilę później ogromna głowa, długa na przeszło trzy metry, wynurzyła się z kipieli i runęła na łodzie. Dwie z nich wywróciły się do góry dnem w ułamku sekundy. Potwór zanurkował. Kapitan Seabury uskoczył przed liną, którą stwór ciągnął z wbitym w jego cielsko harpunem. Patrzył z przerażeniem, że lada moment zabraknie liny, a wtedy razem z łodzią zatonie. Nagle stwór zatrzymał się, jakby osiągnął dno albo wyczerpał siły.

W czasie gdy toczyła się walka, „Monongahela" podpłynęła bliżej. Potwór nadal nie dawał żadnych oznak życia. Seabury rozkazał zamocować sztywno linę na statku, a sam popłynął na spotkanie z kapitanem Samuelem Gavittem na „Rebecca Sims", która płynęła nie opodal.

Następnego ranka, zgodnie z tym, co mówił kapitan Gavitt, „Monongahela" rozpoczęła wciąganie liny. Marynarze zdążyli wciągnąć ją zaledwie do połowy, gdy ogromne zwłoki wypłynęły na powierzchnię. Był to gigantyczny, potworny zwierz, niepodobny do żadnego stworzenia żyjącego na ziemi lub w wodzie.

Kolosalne cielsko miało średnicę około sześciu metrów, było grube na przeszło trzy metry i dłuższe od „Monongaheli", mierzącej trzydzieści pięć metrów. Szyja zakończona była trzymetrowej długości głową, przypominającą łeb gigantycznego aligatora, a w olbrzymich szczękach naliczono dziewięćdziesiąt cztery zęby. Miały osiem centymetrów długości i były wygięte do tyłu jak zęby węża.

Stworzenie było brązowoszare, z biegnącym wzdłuż całego ciała jasnym pasem o szerokości jednego metra. Nie miało ani płetw, ani też żadnych innych kończyn. Przyjęto więc, że stwór poruszał się za pomocą swego długiego na cztery i pół metra ogona – guzowatego tworu, podobnego do ogona jesiotra.

Kapitan Seabury wydał rozkaz, by zwierzę rozciągnięto na pokładzie i przygotowano przyrządy do rozbierania wielorybów. Odcięto ogromny i budzący grozę łeb, zaś resztę zwłok wrzucono do morza. Przedtem jednak sporządzono rysunek potwora, pod którym cała załoga złożyła podpisy. Łeb został włożony do chłodni. Kapitan Seabury napisał raport o pojawieniu się i zabiciu potwora, a następnie przekazał go kapitanowi Gavittowi, aby ten dostarczył go do New Bedford, gdyż „Monongahela" musiała już ruszać w rejs.

Sprawozdanie kapitana dotarło bezpiecznie i zostało bez większego entuzjazmu wsadzone między inne akta. Ale co stało się z „Monongahelą" i jej bezcennym skarbem, nigdy się nie dowiemy. Wiele lat później na brzegach wyspy Umnak znaleziono kawałek burty z jej nazwą. Los statku i potwora stały się kolejną tajemnicą morza.

STWORZENIA Z GŁĘBIN

Coś dziwnego dzieje się w głębinach. Od czasu do czasu dobiegają wieści o wykryciu podwodnych obiektów, poruszających się szybciej od naszych łodzi podwodnych, o niesamowitym świeceniu wody, o niezwykłych obiektach dostrzeżonych na ogromnych głębokościach lub na dnie oraz innych zagadkach podmorskich. Tego rodzaju doniesień zebrało się już tyle, że Ivan T. Sanderson opublikował książkę *Niewidoczni mieszkańcy* (The World Publishing Company, USA, 1970), w której z całą powagą zastanawia się nad możliwością istnienia rozumych, nie będących ludźmi istot, żyjących w oceanie.

W rok później w czasopiśmie „I.N.F.O." (nr 7) opublikowano fotografię. Wykonano ją specjalną kamerą, spuszczoną na głębokość ponad cztery tysiące metrów ze statku oceanograficznego „Eltanin" 29 sierpnia 1964 roku, tysiąc sześćset kilometrów na zachód od przylądka Horn. Przedstawia ona rodzaj kopuły. Ponieważ na takiej głębokości nie jest to naturalne zjawisko, wysunięto hipotezę, że może to być maszyna, której nie skonstruował człowiek.

Obok tego przypuszczenia pojawiło się pytanie, czy nie jest to po prostu nieznany gatunek zwierzęcia. Można by je porównać do polipa *Umbellula* z rodziny *Pennatulidae*, z długą, gładką łodygą, wysoką na metr, z wiązką odnóży, podobnych do macek stułbi.

Inne zdjęcie, przedstawiające, być może, nieznane, olbrzymie zwierzę, zostało wykonane pięćset sześćdziesiąt pięć kilometrów na zachód od Przylądka Dobrej Nadziei przez statek oceanograficzny „Kane" na głębokości czterech tysięcy ośmiuset pięćdziesięciu metrów. *Umbellula* była już znana przedtem, a nawet ją złowiono (przypuszczalnie jest zwierzęciem fosforyzującym).

W głębiach oceanicznych zdaje się istnieć więcej istot żywych, niż dotychczas sądzono. W połowie XIX wieku uważano, że ogromne ciśnienie uniemożliwia rozwój życia poniżej kilkuset metrów głębokości, z wyjątkiem kilku mikroskopijnej wielkości żyjątek. Kiedy jednak ekspedycja „Challengera" i następujące po niej zbadały głębiny morskie, stało się jasne, że życie występuje także na ogromnych głębokościach. Statek oceanograficzny „John Elliot Pillsburg" wydobył z głębokiego na osiem tysięcy metrów (!) rowu oceanicznego w Porto Rico rybę z rodzaju *Bassogigas* (rodzina brotulowate).

W książce *Le matin des magiciens* („Poranek magów") Pauwels i Bergier donoszą o dziwnych śladach, sfotografowanych przez sondy oceaniczne w mulistym dnie na głębokości czterystu pięćdziesięciu metrów. Od tego czasu pojawiły się także inne zdjęcia, ukazujące stworzenie zostawiające dziwne ślady: jelitodysznego rodzaju *Balanoglossus*.

Tajemniczy kopulasty obiekt w głębinach Pacyfiku mógł być odmianą zwierzęcia z rodzaju *Umbellula*, a może i nie... Istnieją też inne zagadkowe ślady na dnie. W Oceanie Arktycznym, sześćset pięćdziesiąt kilometrów od bieguna, doktor Kenneth Hunkins spuścił kamerę poprzez lód aż na głębokość dwóch tysięcy stu metrów i zrobił zdjęcia „kurzych śladów", długich na sześć centymetrów, i szerokich na trochę ponad centymetr („New York

Times" z 24 lutego 1958 roku). W rowie Kermadec natomiast, na północ od Nowej Zelandii, Nikita Zenkevitch sfotografował „wielkie, nieznane zwierzę morskie" na głębokości ponad dziewięciu i pół tysiąca metrów („Manchester Guardian" z 19 marca 1958 roku).

Na podstawie tych dwu przykładów można podejrzewać, że w głębinach mogą żyć jakieś niesamowite stwory.

A może obiekt widoczny na zdjęciu wykonanym w 1964 roku ze statku „Eltanin" jest zwierzęciem dziwniejszym jeszcze, niż można sobie wyobrazić?

UPIORNY PTAK Z DOLINY RIO GRANDE

Armando Grimaldo upiera się, że kiedy to się stało, „nie był pijany, nie palił marihuany ani nic z tych rzeczy". Siedział po prostu spokojnie na podwórku farmy swojej macochy i palił papierosa. Jego żona spała w domu. Była dwudziesta druga trzydzieści, 14 stycznia 1976 roku. Miejsce wydarzeń: Raymondville w Dolinie Rio Grande, w Teksasie.

„To stało się nagle – mówi. – Usłyszałem dźwięk podobny do łopotu skrzydeł nietoperza i coś w rodzaju gwizdu. Psy zaczęły ujadać. Rozejrzałem się dookoła, ale nic nie zobaczyłem. Nie mam pojęcia, dlaczego nie spojrzałam do góry. Uważam, że powinienem to zrobić, ale zamiast tego ruszyłem, żeby sprawdzić, czy nic się nie dzieje na tyłach budynku. Wtedy poczułem, że coś złapało mnie w szpony. Odwróciłem się, zobaczyłem to i chciałem uciekać. Jeszcze nigdy w życiu nie byłem śmiertelnie przerażony – wtedy stało się to pierwszy raz. Była to najbardziej przerażająca rzecz, jaka kiedykolwiek mnie spotkała".

Grimaldo widział to dostatecznie długo, aby móc później opisać. Było jego wzrostu (sto siedemdziesiąt pięć centymetrów) i miało skrzydła o rozpiętości trzy, trzy i pół metra. Z twarzy, czy jak to nazwać, przypominało małpę lub nietoperza. Miało okrągłe, czerwone, pałające oczy wielkości pięciu, może siedmiu centymetrów. Miało też czarnobrązową skórę, pozbawioną piór czy futra, tak samo odrażająco gładką jak skóra nietoperza.

Grimaldo zrobił niewiele więcej, niż mógł zrobić w tej sytuacji. Krzycząc ze strachu padł twarzą na ziemię i zasłaniał się rękami przed atakiem latającego napastnika. Kiedy zerwał się do ucieczki, jego palto, spodnie i koszula były porozrywane. Wskoczył pod drzewo, zaś stwór, dysząc ciężko, zrezygnował z dalszego ataku i odleciał, wtapiając się w ciemność.

Christina, żona Grimalda, została wyrwana ze snu łomotaniem w drzwi wejściowe i krzykami męża, że coś spadło na niego z nieba i chciało go porwać lub zabić. Zadzwoniła po policję, która błyskawicznie znalazła się na miejscu wydarzenia. Policjanci zastali Grimalda w stanie szoku. Bełkotał w kółko jak obłąkany: pájaro... pájaro... pájaro (po hiszpańsku: ptak). Był w tak złym stanie, że zabrano go do szpitala. Dwa następne dni chorował i leżał w łóżku.

Grimaldo nie był pierwszym Teksańczykiem, który natknął się na podobnego stwora latającego. Nie sprawdzone pogłoski o upiornym wielkim ptaku krążyły w Dolinie Rio Grande przynajmniej od listopada 1975 roku. Miejscowe gazety pisały o niesamowitym stworzeniu, wysokim, według robionych na gorąco ocen, na jakieś metr trzydzieści, z ciałem ptaka, ale z ludzką głową.

Natychmiast powiązano te doniesienia z pewnym dziwnym wypadkiem z 26 grudnia 1975 roku, który miał miejsce na farmie Joe Suareza, także mieszkańca Raymondville. Wieczorem jak zwykle zamknął w corralu swoją kozę i poszedł spać. Kiedy rankiem wyszedł z domu, by ją wypuścić, leżała martwa w kałuży krwi, prawie rozerwana na kawałki. Coś musiało ją tak zmasakrować całkiem niedawno, jako że krew była nie zaschnięta i jeszcze ciepła. Policja, która przybyła dokonać oględzin, stwierdziła, że brakowało serca i płuc, a głowa kozy została odcięta. Zwrócono też uwagę na jeden wielce wymowny szczegół: na ziemi nie było żadnych śladów, jakby coś, co poszarpało kozę, spadło z nieba.

1 stycznia 1976 roku, czternaście dni przed obserwacją Grimalda, najwyraźniej ten sam upiorny ptak widziany był w okolicy Harlingen przez dwójkę dzieciaków: jedenastoletnią Tracey Lawson i jej kuzynkę, czternastoletnią Jackie Davies.

W przeciwieństwie do pozostałych, incydent ów wydarzył się nie w godzinach wieczornych lub nocnych, lecz w biały dzień.

Dziewczynki bawiły się na podwórku domostwa Lawsonów, zaś ich rodzice spali po noworocznej zabawie. W pewnej chwili Tracey zauważyła coś niezwykłego, stojącego w odległości paruset metrów. Wbiegła do domu, chwyciła lornetkę i kiedy nastawiła ostrość, zobaczyła coś w rodzaju olbrzymiego, czarnego ptaka o „przerażającym wyglądzie". Miał ponad półtora metra wysokości, wielkie, czerwone oczyska i ogromne skrzydła. Twarz wydawała się szarawa i była podobna do twarzy goryla. Dziób był gruby i ostro zakończony. Głowa łysa. W pewnej chwili stwór wydał z siebie przenikliwy, głośny krzyk, coś w rodzaju skrzeczenia: eeeee...!

Następnie dziewczynki zobaczyły, jak stwór biegł lub nisko leciał, pojawiając się i znikając między zabudowaniami. Dziewczęta wbiegły do domu i przestraszone nie wychodziły na dwór, dopóki nie obudzili się rodzice, którzy nie potraktowali jednak ich opowieści poważnie. Z wyjątkiem ojczyma Jackie. Ciągle wprawdzie sceptyczny, poszedł jednak w miejsce wskazane przez dziewczęta, a kiedy wrócił, już nie był tak pewny siebie: na ziemi widniały ślady .

Pierwsze trzy tuż za płotem. Czwarty jakieś dwadzieścia metrów dalej w głębi pola, a piąty dwadzieścia metrów za nim. Ślady były trzypalczaste i zagłębione prawie na cztery centymetry w ziemi. Stan Lawson, ojciec Tracey, człowiek ważący osiemdziesiąt kilogramów, postawił swoją stopę obok odcisku ptasiego pazura i stanął na jednej nodze: jego but praktycznie nie zagłębił się w gruncie. „To coś musiało nieźle ważyć" – powiedział później. Zauważył także, że coś dziwnego stało się z jego psem. Jak nigdy dotąd, siedział cicho w swojej budzie, jakby bał się wyjść. Zdołał go namówić do wyjścia dopiero wówczas, gdy przyniósł mu jedzenie. Tej nocy za otwartym oknem swojej sypialni usłyszał dźwięk przypominający łopot ogromnych skrzydeł. Podbiegł do okna, odsunął zasłonę i wyjrzał, ale nic nie zobaczył. Nie pamięta, czy było to już przedtem, ale kiedy obudził się rano, zasłona była rozdarta.

Chyba już nigdy nie dowiemy się, co tej nocy grzmotnęło w dach samochodu sierżanta policji Sama Esparzy, mieszkającego w najbliższym sąsiedztwie domu Lawsonów. Wiadomo natomiast, co uderzyło w dach ciężarówki niejakiego Alverica Guajarda, również mieszkańca Doliny Rio Grande, który w przeciwieństwie do leniwego sierżanta policji, wybiegł natychmiast z domu, kiedy usłyszał, że „coś walnęło w ciężarówkę, jakby ktoś rzucił w nią workiem cementu".

Guajardo wyszedł na zewnątrz i nie mając latarki, wsiadł do swojego samochodu osobowego, wolno okrążył ciężarówkę i skierował reflektory w podejrzane miejsce. Kiedy rozbłysło oślepiające światło, zobaczył „coś z innej planety". Kiedy światła uderzyły weń, stwór podniósł się i runął w kierunku kierowcy, błyskadwie lub trzy minuty stworzenie stało i wlepiało oczy w człowieka, który ze strachu nie mógł zrobić żadnego ruchu.

Stwór mierzył około metra trzydziestu wzrostu, miał czarną skórę i dziób metrowej długości. Z jego gardła wydobywał się „przerażająco brzmiący dźwięk" i widać było, jak krtań pulsuje. Ramiona otaczały długie, nietoperzopodobne skrzydła. Na koniec stworzenie cofnęło się i zaczęło odchodzić. Kiedy Guajardo zebrał się wreszcie w garść i ruszył w stronę najbliższego domu, ptasiopodobny upiór znikał w mroku nocy.

Następnego ranka reporter miejscowej gazety „Brownsville Herald" po przeprowadzeniu wywiadu z Guajardem powiedział: „To nie jest żadna głupia gadka. Ten facet naprawdę coś widział. Jest najbardziej przekonującym świadkiem spotkania z Wielkim Ptakiem, z jakim kiedykolwiek rozmawiałem. Jeśli któraś z tych historii jest prawdziwa, to właśnie ta".

Od czasu do czasu przyroda płata figle i rodzi się jakiś dziwoląg: a to kot ze skrzydłami, to cielę z dwiema głowami lub inne biologiczne niesamowitości. Czy w tym wypadku przyroda sprawiła nam takiego figla i w Dolinie Rio Grande szalał jakiś ptasi odpowiednik Quasimoda – ohydnego dzwonnika z Notre Dame? Od kiedy człowiek zaczął przeprowadzać próby z bombami atomowymi, mutacje wśród roślin i zwierząt wyraźnie się nasiliły.

A może było to coś całkiem innego? Kto wie, co wylezie na nas jutro z ciemności...

ODCISKI STÓP DIABŁA

Spokojni mieszkańcy wyspy Canvey nigdy nie widzieli czegoś podobnego. Wyciągnęli bestię z płytkiej wody i pociągnęli wzdłuż plaży, następnie przykryli wodorostami i posłali po lokalne władze.

Miejscowe władze zwróciły się po pomoc do Londynu, zaś rząd Wielkiej Brytanii zadanie wyjaśnienia tak dziwnej zagadki powierzył parze kompetentnych zoologów. Zoolodzy przebadali niezwykłego stwora wzdłuż i wszerz, zrobili zdjęcia i przyznali, że coś takiego widzą pierwszy raz w życiu.

Stworzenie wyglądało na zwierzę morskie, ale miało stopy i nogi uformowane w taki sposób, iż mogłoby chodzić, gdyby tylko chciało. W wyprostowanej pozycji mierzyło około osiemdziesięciu centymetrów, miało grubą, brązowoczerwoną skórę i gąbczastą głowę z parą wystających oczu. Naukowcy przeprowadzili pomiary, sfotografowali... i poddali się. Zwłoki stwora zostały spalone.

Ale jeśli ktoś sądził, że w ten sposób sprawa bestii z wyspy Canvey zostanie zapomniana, to się pomylił.

11 sierpnia 1954 roku wielebny Joseph Overs przechadzał się po plaży na Canvey Island, kilka kilometrów od miejsca, gdzie znaleziono stworzenie. Naraz natknął się na groteskowe, martwe ciało zwierzęcia, przewalające się w małej sadzawce utworzonej przez przypływ. Wystarczył rzut oka i pastor natychmiast zawiadomił policję. Policjanci wyciągnęli zwłoki na brzeg i tak jak za pierwszym razem, posłali po ekspertów.

Stworzenie, które znaleziono poprzednio, miało jakieś osiemdziesiąt centymetrów wysokości. Drugie nieco poniżej metra trzydzieści. Ważyło około jedenastu kilogramów i było w stanie nadającym się do badań. W raporcie, który zakłopotani naukowcy przedłożyli rządowi brytyjskiemu, stwierdza się, że dziwna istota miała dwoje oczu, otwory nosowe i rozwartą jamę gębową z silnymi, ostrymi zębami.

Posiadała skrzela, ale nie była pokryta łuską, lecz różową skórą, twardą jak skóra zdrowej świni. Ale chyba najbardziej wartym zanotowania był fakt, iż stwór ów, tak samo jak poprzedni, miał dwie krótkie nogi z prawidłowo wykształconymi stopami, zakończonymi pięcioma małymi palcami, ułożonymi w kształcie litery U.

Ponieważ nikt nie był w stanie zidentyfikować niesamowitych stworzeń, raport z ich badań nigdy nie został podany do publicznej wiadomości. Jednakże wiele osób, które zetknęły się z owymi zagadkowymi stworami, skojarzyło je sobie z wydarzeniami pewnej lutowej nocy 1855 roku, kiedy to okolice angielskiego hrabstwa Devonshire nawiedził dziwny gość, który mógł być spokrewniony ze stworzeniami znalezionymi sto lat później na brzegach wyspy Canvey.

W historii tej chodzi o ciąg małych odcisków stóp na śnieżnym kobiercu, jaki utworzył się nocą 7 lutego w całej okolicy. Śnieg przestał padać owej nocy gdzieś około dwudziestej trzeciej i między tą godziną a świtem Devonshire dało gościnę jakiemuś zagadkowemu przybyszowi... czemuś, co biegło przez ogrodzenia, pola, po ścianach i dachach domów... pozostawiając za sobą nieprzerwaną linię odcisków stóp, jakby chciało udokumentować swoją obecność.

Co to mogło być?... Jaka istota mogła żwawo wędrować po ziemi, ścianach i dachach domów bogobojnych i dobrych ludzi z Devonshire, gdy wszyscy spali. Skąd to coś przyszło i dokąd poszło? Skąd przybyło, pozostanie zagadką, ale dokąd poszło, zostało zapisane na śniegu: od Topsham i Bicton na północy do Dawles i Totnes na południu... szlak długości ponad stu sześćdziesięciu kilometrów.

Piekarz z Topsham był pierwszą osobą, która zauważyła ów dziwny trop. Spostrzegł on jakieś niezwykłe znaki na śniegu, które prowadziły koło drzwi jego małego sklepiku, po czym ostro skręcały w prawo, w stronę półtorametrowej wysokości muru – delikatna czapa śniegu na murze była naruszona przez te same małe odciski. Piekarz nie był zbytnio zaniepokojony tym dziwnym zjawiskiem. Inni nie byli jednak tak spokojni.

Przed zmrokiem w całej okolicy podniósł się alarm – niektórzy z mieszkańców przypisywali odciski na śniegu samemu diabłu. Małe znaki w kształcie podkowy w równych odstępach dwudziestocentymetrowych ciągnęły się od... Exmouth... poprzez pola i dachy domów... do zatoki w pobliżu Powderham Castle... aby pojawić się na nowo po drugiej stronie zatoki i tam ciągnąć się aż do Totnes... wiele kilometrów na południe.

Londyński „Times" i inne gazety poświęciły wiele kolumn dziwnej historii z Devonshire. Pojawiły się próby wyjaśnienia tego zjawiska. Przypisywano odciski wilkom, ptakom, a nawet kangurom. Jednak żadna z hipotez nie mogła być zaakceptowana, gdyż żadna nie pasowała do faktów. Jedno tylko było pewne: ktoś lub coś biegło przez pola, przebiegając po dachach, po czym weszło do wody i nikt już o nim nigdy nie usłyszał.

Chyba że były to istoty tego samego rodzaju, których przedstawicieli znaleziono na brzegu wyspy Convey w 1953 i 1954 roku. Ale nawet gdyby tak było, nie rozwikłana pozostaje główna tajemnica – zagadka samych tych istot.

ŚLADY STÓP DIABŁA, CZYLI NIE ROZWIĄZANA ZAGADKA

Jak się rzekło, wczesnym rankiem 8 lutego 1855 roku mieszkańcy rozległego regionu na południu Devonshire w Anglii zauważyli na śniegu wiele dziwnych śladów, przypominających odciski kopyt. Było ich mnóstwo i ciągnęły się na trasie o długości ponad stu sześćdziesięciu kilometrów!

Rysunki przedstawione poniżej dają pojęcie o ich wyglądzie. Są to kopie rysunków zamieszczonych w „Illustrated London News" z 3 marca 1855 roku i pokazują ich obraz w dwu kierunkach. Każdy ślad liczył około dziesięciu centymetrów długości i siedmiu centymetrów szerokości. Pojawiały się w regularnych odstępach co dwadzieścia do dwudziestu dwóch centymetrów i szły po linii prostej.

W poszukiwaniu sprawców wysunięto szereg hipotez, od kangurów zaczynając, poprzez ptaki, a kończąc na najbardziej niesamowitym przypuszczeniu, że ślady pozostawił jakiś przybysz pozaziemski. Z oczywistych powodów ta teoria nie znalazła nigdy zwolenników w szeregach zawodowych zoologów.

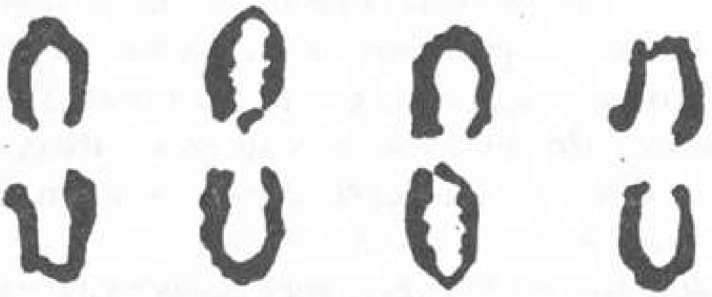

Różne kształty odcisków stąpnięć diabła.

Istnieje kilka wartych uwagi punktów, dotyczących problemu identyfikacji sprawców lub sprawcy:

a) Jeśli ślady należą do jakiegoś zwierzęcia ziemskiego (włączając w to ptaki), to najtrudniejszym problemem do wyjaśnienia i jednocześnie najważniejszym będzie kwestia niezwykłego ich rozmieszczenia: „Tajemniczy gość przechodził przeważnie tylko jeden raz przez każdy ogród czy każde podwórze i czynił tak w prawie wszystkich obejściach wśród wielu dzielnic różnych miast i na fermach rozrzuconych po okolicznych terenach.

W szczególnych wypadkach tę regularną trasę przemierzał po dachach domów, po stogach siana czy po bardzo wysokich murach (z których jeden mierzył cztery i pół metra), nie poruszając śniegu ani z jednej, ani z drugiej strony i nie zmieniając odległości między śladami, jak gdyby przeszkoda wcale nie sprawiała mu kłopotu. Ogrody za zamkniętymi bramami, otoczone wysokimi żywopłotami lub murami, były nawiedzane tak samo jak te, które nie miały ogrodzeń ani zamknięć...

Jeden z naukowców doniósł, że szedł tą samą drogą przez pole aż do stogu siana. Powierzchnia stogu pozostała nietknięta, lecz z przeciwnej strony, w kierunku odpowiadającym dokładnie trasie wytyczonej aż do tego miejsca, ślady znowu się pojawiały! Ten sam fakt zaobserwowano po obu stronach muru... Dwaj inni mieszkańcy tej gminy szli po linii śladów trzy i pół godziny, przechodząc wzdłuż szeregu krzaków porzeczkowych i szpalerów drzew owocowych, gubiąc następnie trop i odnajdując go na dachach domów, do których przywiodły ich poszukiwania". („Illustrated London News" z 24 lutego 1855). Fragment artykułu zawiera też informację, że tropy prowadziły przez „okrągły otwór o około trzydziestocentymetrowej średnicy" i przesuwały się przez środek „piętnastocentymetrowego drenu". Wydawało się też, że przechodzą w poprzek zatoki o szerokości prawie trzech i pół kilometra.

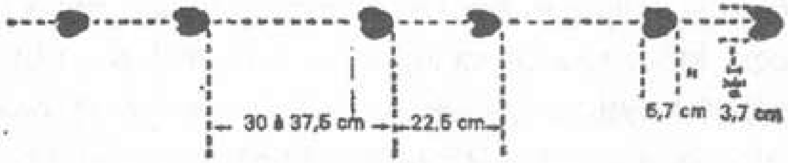

Ślady kroków diabła ze skalą długości

Niczego nie wyjaśni przypisanie śladów więcej niż jednemu zwierzęciu (taki wniosek wydaje się zresztą nieunikniony), ponieważ i tak nie wiemy, w jaki sposób mogłyby „przechodzić przez mur" albo kroczyć po dachach, jakby nie stanowiły żadnej przeszkody, i prawdopodobnie posiadać również umiejętność przeciskania się przez małe otwory o średnicy mniejszej niż trzydzieści centymetrów. Jednocześnie należy zauważyć, jeśli wierzyć opisom, że ślady nie zawracały ani też nie błądziły w kółko na los szczęścia, co jest zdumiewające.

b) Wielu badaczy sądziło, że przyczyny tego zjawiska leżą w skutkach działania powietrza na podłoże, lecz dlaczego miałoby powstać takie właśnie odkształcenie w ziemi, a nie inne? Obok na śniegu widoczne były wyraźne świeże ślady kotów, psów, królików, ptaków i ludzi. Dlaczego więc trasa jeszcze wyraźniej określona – tak wyraźnie, że nawet strzałka pośrodku każdego kopyta była bardzo widoczna – dlaczego ta szczególna trasa miałaby być jedyną poddaną specjalnemu oddziaływaniu atmosferycznemu, a wszystkie inne pozostawione w pierwotnym stanie? Ponadto wszędzie tam, gdzie widniał ten osobliwy znak, śnieg był usunięty całkowicie, tak jakby ślad został obrysowany ostrzem albo naznaczony rozpalonym żelazem. Nie chodzi tutaj o jego wygląd potem, kiedy został zadeptany albo zamazany przez ciekawskich. W jednym przypadku droga prowadziła do zakrytego hangaru, gdzie powietrze nie mogło oddziaływać niszcząco, i przecinała go wychodząc przez wyłom w przeciwległej ścianie.

Autor poprzedniej wypowiedzi (w tym samym artykule z „Illustrated London News") spędził pięć zimowych miesięcy w lasach środkowej Kanady i posiada duże doświadczenie w badaniu śladów zwierząt i ptaków na śniegu. Może on zaświadczyć, że „nigdy nie widział drogi wyraźniej wytyczonej ani takiej, która wydawałaby się równie mało uszkodzona przez warunki pogodowe". Te okoliczności są bardzo kłopotliwe. Zwykle ślady oczywiście powstają przez uciśnięcie i dlatego bardzo wyraźnie widać znaki odkształcenia w śniegu, który otacza każdy trop. Lecz jeśli te, o które chodzi, zostały wycięte w śniegu? Jak więc wytłumaczyć to zjawisko?

c) Innym szczegółem, zanotowanym przez Charlesa Forta, jest fakt, że zgodnie z zapisem (jakkolwiek dokonanym trzydzieści pięć lat po wydarzeniu), ślady z Devonshire następowały po sobie kolejno w „odstępach ogromnych, lecz regularnych, przeplatając się z czymś, co wydawało się odciskiem zakończenia laski" (*Księga rzeczy wyklętych*).

d) Charles Fort, Rupert T. Gould, Bernard Heuvelmans i Eric Frank Russel podkreślali dziwnie podobne relacje, pochodzące z okolic geograficznie bardzo odległych, choć niektóre opisy, jeśli nie wszystkie, mogą nie mieć żadnego związku z przypadkiem z Devonshire. A oto one: Szkocja 1839–1840 (londyński „Times", 14 marca 1840); Wyspa Kerguelena, Ocean Indyjski 1840 (*Podróż odkryć i poszukiwań po morzach Południa i oceanie antarktycznym, opisana przez kapitana Jamesa Clarka Rossa*); Polska około roku 1855 („Illustrated London News" z 17 marca 1885); Belgia 1945 (artykuł E.F. Russella w „Doubt" nr 20 przedstawia mniejsze rozmiary śladów i inne ich rozstawienie niż w Devonshire); Brazylia przed 1954 (B. Heuvelmans, *Na szlaku nieznanych zwierząt*, 1955).

Autorzy powołują się na pewne wydarzenia, jednak nie zawsze poparte rzeczowymi dowodami. Jeden z nich mówi: „Po trzęsieniu ziemi 15 lipca 1757 roku na piaskach Penzance w Cornouailles na obszarze około stu metrów kwadratowych odnaleziono ślady w kształcie kopyt, tyle że nie były uformowane w półksiężyc" (dostrzegamy bliskość Devonshire). Tropy z Brazylii również nie miały kształtu półksiężyca. Wzmianka jeszcze bardziej niejasna znajduje się we fragmencie z kronik chińskich i dotyczy wydarzenia zbliżonego do wypadku z Devonshire: „Mieszkańcy pałacu, budząc się pewnego ranka i widząc na pałacowym dziedzińcu ślady podobne do tropów wołu (...), przypuszczali, że to szatan je zostawił". Należy zauważyć, że w niektórych opisach nie ma mowy o śniegu, lecz tropy odkryto w piasku albo w błocie.

W „New York Herald Tribune" z 10 lipca 1953 w kronice Williama Chapmana White'a zamieszczono historię, która przywędrowała z Burham-on Crouch w Essex w Anglii. Kierownik obozu młodzieżowego obiecał, że przybędzie iluzjonista wraz z „pięcioma dzikimi kangurami". Iluzjonista nie miał kangurów, ale sensacyjna zapowiedź wzbudziła zainteresowanie przedstawieniem raczej banalnym. Kiedy iluzjonista przybył, kierownik znalazł wytłumaczenie: kangury uciekły. Skoro tylko nowina ta dotarła do ludzi z okolicy, natychmiast zaczęły napływać doniesienia od tych, którzy „widzieli" kangury na terenach oddalonych o trzydzieści pięć kilometrów...

Niektóre teorie wyjaśniające ślady diabła przypominają trochę tłumaczenia kierownika obozu w sprawie zbiegłych kangurów... Sugeruje się, że to trop jakiegoś zwierzęcia, i znajdują się fakty, które potwierdzają to wyjaśnienie.

Należy przypomnieć szydercze stwierdzenie Forta: „Według mnie, śnieg w Devonshire został oznakowany przez co najmniej tysiąc jednonogich kangurów, każdy w bucie wyposażonym w małą podkowę".

Trudno przypuszczać, że znamy wszystkie istniejące na ten temat publikacje. Spośród autorów należałoby jeszcze wymienić Alfreda G. Leutschera, który uważał, że odpowiedzialną za tropy z Devonshire jest mysz zaroślowa (*Apodemus sylvaticus*) (artykuł z londyńskiego „Journal of Zoology" nr 148, 1966: *Ślady kroków diabła – rozwiązanie stuletniej zagadki*). W liście do P. Willisa z 21 czerwca 1966 doktor Burton pisze, iż uważał „hipotezę A. Leutschera za najbardziej interesującą", lecz powiada dalej, „sprawdziłem ślady tej myszy w śniegu i taka interpretacja wydaje się niemożliwa do przyjęcia. Trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób myszy mogłyby skakać po dachach albo po murach o wysokości cztery i pół metra".

Bardzo ciekawe wydarzenie z diabolicznego cyklu opisano w jesiennym numerze „Tomorrow" z 1957 roku pod tytułem: *Czy znowu diabeł na przechadzce?*

Autorem był doktor Eric J. Dingwall, angielski pisarz erudyta, jeden z bliskich współpracowników zmarłego doktora Alfreda Kinseya, znanego ze swoich głośnych prac antropologicznych i seksuologiczno-psychologicznych. „Spośród wszystkich dziwnych wydarzeń, o których słyszałem – pisał E. Dingwall – to [...] było najbardziej osobliwe i najtrudniejsze do wyjaśnienia".

Zdarzenie opowiedział niejaki Wilson, Anglik, który przybył jako młody człowiek do Ameryki i odniósł sukces w interesach w Nowym Jorku. W następstwie krachu na giełdzie stracił wiele pieniędzy. Wrócił do Anglii, gdzie zamieszkał w niewielkim mieście i w krótkim czasie założył małe przedsiębiorstwo handlowe.

Któregoś dnia w ilustrowanym czasopiśmie przeczytał artykuł o „śladach diabła" z 1855 w Devon. Nigdy dotąd nie słyszał o tej zagadce.Wymieniono tam nazwisko E. Dingwalla, więc Wilson napisał do niego list. Do tej pory tak był wstrząśnięty swoją przygodą, że opowiedział o niej tylko trzem zaufanym przyjaciołom.

Doktor Dingwall udał się do Wilsona, aby przeprowadzić z nim wywiad. Wilson okazał się człowiekiem wysokim, solidnie zbudowanym, o umyśle praktycznym. Nie był „z całą pewnością marzycielem, który zmyśla niewiarygodne historie".

W październiku 1950, opowiadał Wilson, zdecydował się udać na wakacje do małego miasteczka na zachodnim wybrzeżu Devon, gdzie ongiś spędzał młode lata. W ostatnim dniu pobytu poszedł obejrzeć dawny dom rodzinny i plażę, na której bawił się jak dziecko. Mała plaża otoczona jest urwistymi klifami. Można tam dotrzeć przez wąskie przejście pod dwiema ogromnymi skałami, zagrodzone wysoką żelazną kratą. Latem, aby wejść na plażę, trzeba kupić bilet wstępu przy ogrodzeniu. Tego smutnego jesiennego popołudnia krata była już zamknięta na zimę.

Dom lat dziecinnych znajdował się niedaleko. Wilson przypomniał sobie, że można było dostać się na plażę idąc przez ogród i wykorzystując inne przejście. Udał się tą drogą i wkrótce znalazł się na piasku opustoszałej plaży. Był okres przypływu i morze sięgało aż do najwyższego brzegu, wtedy jednak rozpoczął się odpływ, który pozostawił piasek gładki jak szkło. Wtedy właśnie Wilson dokonał wstrząsającego odkrycia.

Ślady zaczynały się w górnej części plaży tuż pod pionowym klifem i przecinały piasek w prostej linii, schodząc aż do morza. Były niezwykle wyraźne, „jakby zostały wycięte ostrym narzędziem". Powtarzały się mniej więcej co metr osiemdziesiąt i przypominały ślady kopyt dwunożnego stworzenia, jakby dużego, nie podkutego kuca. Nie były porysowane. Zapadały w piasek głębiej niż odciski stóp Wilsona, który ważył ponad osiemdziesiąt kilogramów.

Zaciekawił go pewien szczegół: piasek nie był „rozmyty" na brzegach śladów – „można by powiedzieć, że każdy trop został odciśnięty w piasku żelazkiem do prasowania". Próbował porównać je ze swoimi, stąpając tuż obok, potem skacząc od jednego do drugiego, lecz odstęp między nimi był zbyt duży nawet dla człowieka wysokiego, o długich nogach. Nie zauważył śladów powracających od morza, a przecież wąską plażę ograniczały na obu krańcach strome skały.

Doktor Dingwall stawia więc pytania bez odpowiedzi: Jakie domniemane stworzenie lądowe czy morskie mogło pozostawić te tropy? Jaki musiało mieć wzrost, żeby stawiać tak wielkie kroki? Jaki rodzaj kopyt mógł odcisnąć ślady tak wyraźnie wykrojone? Jeśli było to zwierzę morskie, dlaczego miało kopyta? Jeśli było to zwierzę lądowe, po co miałoby wchodzić do morza? Czy miało skrzydła?

Wilson oświadczył, że ślady były świeże, ponieważ morze w trakcie odpływu znajdowało się tuż za ostatnim śladem. Co zobaczyłby, gdyby przyszedł trochę wcześniej?!

E. Dingwall sygnalizuje, że podobne ślady kroków widziano w 1908 w Stanach Zjednoczonych wzdłuż zbocza w New Jersey między Newark i przylądkiem May. Przypisywano je „Diabłu z Jersey". Dodaje: „Ponadto posiadano tam opisy śladów jakby kopyt kuca, odciśniętych w grubej warstwie śniegu, a dalej z relacji można się dowiedzieć, że tropy prowadziły do zakratowanego ogrodzenia, po czym ciągnęły się dalej z drugiej strony, mimo że pręty kraty oddalone były od siebie tylko o kilka cali".

Dingwall doszedł do wniosku, że im więcej stawia się pytań, tym tajemnica staje się trudniejsza do wyjaśnienia. I ma rację. Tak zwane odciski stóp diabła są do dziś nie wyjaśnioną zagadką.

TAJEMNICZE MIEJSCA

ZAGADKA SKAŁY W DIGHTON

Od wielu lat wysiłki uczonych, żeby odczytać napis wyryty na skale w Dighton, nie przynoszą żadnych rezultatów. Jeśli kiedykolwiek próba odczytania go powiedzie się, wówczas historia wzbogaci się o nowy, fascynujący rozdział.

Napis na skale w Dighton liczy sobie ładnych kilka wieków, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ktoś pracowicie spędzał kilka miesięcy, wykuwając w skale znaki, cokolwiek one oznaczają, metalowym, nie znanym bliżej narzędziem, na brzegu morza, gdzie rzeka Taunton wpada do ujścia Assonet, w Massachussetts. Wierzchołek skały wystaje nad powierzchnię wody nawet w czasie przypływu. Pismo widać najlepiej, kiedy słońce świeci ukośnie.

Spory o treści napisu na skale trwają od 1690 roku. Wtedy to słynny kaznodzieja, Cotton Mather, napisał: „Jedną z ciekawostek Nowej Anglii jest potężna skała, częściowo zakryta wodą podczas dużego przypływu. Na jej płaskim szczycie widnieje dziesięć głęboko wyrytych wersetów, niemal na trzy i pół metra wysokich, zapisanych dziwnymi znakami, których kształt przywodzi na myśl ludzi, którzy byli tu przed nami".

Nikt z żyjących nie wie, kiedy ani jak powstał ten zagadkowy pomnik. Od czasów Cottona Mathera nie ustają domysły co do pochodzenia i przeznaczenia zagadkowego napisu. Niektóre hipotezy są bardzo interesujące i warto o nich opowiedzieć, nawet jeśli nie dają właściwego rozwiązania.

Autorem pierwszej próby rozwiązania zagadki skały w Dighton był hrabia de Gebelin z Paryża, który przyjechał, zachwycił się i odjechał, żeby przemyśleć całą sprawę. Po jakimś czasie oznajmił, że rozszyfrował znaki. Według niego, żelgarze z Kartaginy, którzy żyli pewien czas wśród Indian na wybrzeżu Massachussetts, napisali na skale o tym, jak radzili się wyroczni, czy pozostać, czy też wrócić do rodzinnego kraju. Było to przypuszczenie ciekawe, ale mało prawdopodobne.

W 1807 roku Samuel Harris Junior z Harvardu przedstawił inną interpretację. Twierdził, że napis sięga czasów starożytnych i jest sporządzony w języku hebrajskim. Podobno dopatrzył się fenickich liter i słów oznaczających kapłana, króla i bóstwo.

Następne rozwiązanie zostało ogłoszone po dwudziestu czterech latach. Ira Hill, nauczyciel z Maryland, zaintrygowany dziwnym pismem, spróbował dać jeszcze jedno wyjaśnienie. Zwrócił uwagę na fragment *Starego Testamentu*, opowiadający o tym, jak Hiram i Salomon wysłali ekspedycję po złoto Ofiru. Hill był przekonany, że tekst na skale w Dighton jest opowieścią o tej wyprawie, która zresztą zamiast od Ofiru, dotarła do Massachussetts.

Szczęśliwie dla późniejszych badaczy w 1690 roku pewien pastor sporządził kopię napisu. Dzięki temu badania nad tekstem są możliwe nawet dzisiaj, gdyż wichry i fale zdołały zniszczyć niektóre fragmenty napisu.

Wszyscy zgadzają się, że znaki zrobione są celowo i pochodzą z odległych czasów. Nie wydaje się, żeby ich autorem mógł być Indianin, ponieważ użyto narzędzia nie znanego plemionom Ameryki Północnej. Warto również zaznaczyć, że napis wyryto po tej stronie skały, która zwrócona jest ku morzu, czyli umieszczono go tak, żeby każdy statek poszukujący przystani i wody pitnej mógł go z łatwością zauważyć.

W 1837 roku duński uczony Carl Rafn opublikował pracę, wiążącą historię napisu z wyprawą Leifa Szczęśliwego, który dopłynął w roku tysięcznym do wybrzeży Ameryki Północnej. Według Rafna i jego współpracowników, na skale w Dighton widnieją runy opisujące zwycięską wyprawę Thorfina, przywódcy skandynawskich kolonistów, który z drużyną liczącą stu pięćdziesięciu jeden wojowników pokonał Indian.

Interpretacja ta ma jednak poważny feler: na skale wyryta jest cyframi rzymskimi liczba 131, którą Rafn wziął za runiczne cyfry 151.

Napis na skale w Dighton tak elastycznie poddaje się zupełnie sprzecznym interpretacjom, jakby wykuty był nie w głazie, lecz odciśnięty w gumie. Do tak odległych od siebie teorii jak biblijna wyprawa i podbój Wikingów doszła jeszcze jedna przedstawiona przez indiańskiego mędrca Chingwauka z plemienia Algonkinów. Poproszony przez historyka Henry'ego Schoolcrafta o wypowiedź na temat skały w Dighton, Chingwauk natychmiast wystąpił z teorią, że napis upamiętnia wielką bitwę między dwoma narodami indiańskimi. Ta odpowiedź wydaje się jeszcze bardziej fantastyczna niż poprzednie.

Najnowszą próbą odczytania napisu jest praca profesora E.B. Delabarre'a z Brown University. Profesor najpierw systematycznie obala poprzednie teorie, a potem stwierdza, że znaki opisują historię Gaspara Cortereala, „z woli Bożej przywódcy Indian". Być może jest to prawda. Cortereal nigdy nie powrócił do Portugalii. Starannie wyryte na skale znaki opowiedzą może kiedyś jego historię, jeśli ktoś potrafi je odczytać po czterech wiekach. Delabarre przyznał jednak: „O treści napisu z Dighton można dyskutować bez końca, wszystko zależy od tego, jak się nań spojrzy".

SKARB W STUDNI

Jeśli pragniesz złota, prawdziwego złota, które chcesz wydobyć i stać się jego właścicielem, to Oak Island – Wyspa Dębów może okazać się dla ciebie żyzną oazą. Jak przysłowiowy miraż na pustyni, złoto często jest ułudą, jednak na Oak Island znajduje się ono bez wątpienia! Jedynie nieliczni szczęśliwcy dotknęli go. Pozostali poszukiwacze, choć wyposażeni w nowoczesny sprzęt, obserwowali tylko, jak wskazówki elektronicznych urządzeń drgały w rytmie ich podenerwowanych serc i musieli przyznać się do porażki. Skarb z Oak Island jest bowiem tak sprytnie ukryty, że obraca wniwecz wszelkie wysiłki wydobycia go od prawie dwustu lat. Skarb jest, a nie można go dotknąć.

Wyspa Dębów jest małym, skalistym wzgórzem, wystającym z chłodnych, błękitnych wód zatoki Mahone w południowej Nowej Szkocji. Do 1795 roku nikt nie przykładał wagi do tego skrawka ziemi. W kwietniu tegoż roku pewnego pogodnego, niedzielnego poranka trzej młodzi ludzie powiosłowali w stronę wyspy. Mieli tego żałować do końca życia.

Tony Vangham, Danny McGinnis i Jack Smith wiedzieli, że Oak Island była wykorzystywana jako kryjówka i przystań przez piratów, którzy w owych czasach stanowili prawdziwą plagę mórz. Piraci zarzucali kotwicę w jednej z dogodnych głębokich zatoczek na północnym krańcu wyspy, wystawiali czujkę na najwyższym drzewie i spokojnie mogli zająć się przeładunkiem łupów ze statku w jakieś względnie bezpieczne miejsce.

Jak niosła plotka, pojawiali się tam Teach, Morgan, Steve Bonney i wielu innych słynnych morskich rozbójników. Przybywali, by handlować z obrotnymi mieszkańcami Nowej Szkocji, zaś miejscowym władzom hojnie płacili za przymykanie oczu na ich postoje na Wyspie Dębów.

Z czasem piratów powywieszano bądź przegnano z mórz i kiedy Smith, Vangham oraz McGinnis przypłynęli na wyspę w 1795 roku, wiedzieli, że nie było tam żadnych morskich rozbójników, oficjalnie czy nieoficjalnie, przynajmniej od siedmiu lat. Wiedzieli również, że piraci pozostawili po sobie wiele śladów: pistolety, noże, a czasami na małej plaży, gdzie grali w kości, bili się i pili, można było wygrzebać parę złotych monet.

To Tony Vangham zwrócił uwagę swych towarzyszy na przetarte miejsce na konarze wielkiego dębu i na zagłębienie w ziemi, znajdujące się dokładnie pod tym konarem. Zgodnie stwierdzili, że przez konar były prawdopodobnie przerzucone grube liny, na których opuszczano coś do dołu, dokładnie potem zasypanego.

Pracując spokojnie w wolnym czasie, trzech młodych ludzi w ciągu kilku lat wykopało studnię o głębokości jedenastu metrów. W 1803 roku Smith opowiedział doktorowi Johnowi Lyndowi o ich dziwnym znalezisku i grubych warstwach mat z włókien kokosowych, które odkryli jedenaście metrów pod powierzchnią ziemi. Dzień, w którym po raz pierwszy stanął nad studnią, przeklinał Lynd do końca życia: poszukując skarbu, co do istnienia którego nie miał najmniejszych wątpliwości, stracił cały majątek.

Opłaceni przez doktora robotnicy wyciągali z kolejnych poziomów studni warstwy ciężkiej tarcicy dębowej, warstwę kitu okrętowego i wiele grubych, twardych warstw włókna kokosowego, sprowadzonego przez piratów zapewne z Indii Zachodnich, odległych o trzy tysiące sześćset kilometrów. Pod warstwą tarcicy dębowej, na głębokości dwudziestu pięciu metrów, robotnicy znaleźli płaski kamień, pokryty niezrozumiałymi hieroglifami. Złota nadal nie było...

Gdy fundusze niemal całkowicie się wyczerpały, Lynd chwycił się ostatniej szansy. Sprowadził ogromny świder, który wwiercił się trzydzieści jeden metrów w głąb ziemi, przedarł przez warstwę kruchego wapienia i twardego drewna, by dotrzeć do podziemnej komory. Kolejny obrót świdra ścigającego się z wodą, której poziom w studni zaczął gwałtownie wzrastać, przyniósł kilka drobinek złota, kawałek papieru, a w chwilę później... katastrofę. Woda wdarła się do studni z taką siłą, że zatopiła trzech robotników.

Lynd zbankrutował. Niczego nie osiągnął, choć poświęcił swój majątek i dziewięć lat życia. Udowodnił tylko, że złoto znajdowało się w czymś w rodzaju piwnicy na głębokości około trzydziestu metrów pod starym, naznaczonym dębem.

Minęło czterdzieści sześć lat. I oto Lynd pojawia się na scenie powtórnie. W epoce gorączki złota w 1840 roku, stary i wyniszczony reumatyzmem, zebrał niewielką grupę ludzi, którzy poparli go finansowo. Robotnicy ponownie otworzyli zawalony szyb, pogłębili go i dotarli do warstwy cementu. Świder przedarł się do tej samej komory co kiedyś, wydobył fragment złotego łańcucha i... kiedy sukces wydawał się być na wyciągnięcie dłoni, woda znów zalała szyb, niwecząc całe przedsięwzięcie.

Inni poszukiwacze skarbów, w tym prezydent Stanów Zjednoczonych Franklin D. Roosevelt, stracili tam mnóstwo czasu i pieniędzy. Potwierdzili, iż złoto rzeczywiście jest na Oak Island, że sprytnie chroni je morska woda, doprowadzona pomysłowo kanałami, i że... prawdopodobnie tam pozostanie. W 1957 roku inżynierowie stwierdzili: złoto na Oak Island jest w takim samym stopniu prawdziwe co nieosiągalne.

Nie zraziło to jednak poszukiwaczy. W 1959 roku Bon Restall zamieszkał na Oak Island, oczyścił pięćdziesięciometrowy stary szyb i wykopał osiem ośmiometrowych dołów, by zakorkować kanały doprowadzające wodę. Zginął w 1965 roku wraz ze swym synem i dwoma robotnikami na skutek śmiertelnego zatrucia spalinami pompy wodnej, pracując w jednym z szybów.

W tym samym roku skarbowi z Wyspy Dębów rzucił wyzwanie Robert Dunfield, geolog z Los Angeles, który sprowadził na wyspę siedemdziesięciotonowy żuraw. Mimo podjęcia olbrzymiego wysiłku, musiał uznać się za pokonanego.

W 1971 roku do wydobycia skarbu zawiązała się spółka Triton Alliance, z kapitałem liczącym pół miliona dolarów. W wyniku prac z jamy wydobyto kamienne serce, w którym naukowcy ze

Smithsonian Institute w Waszyngtonie rozpoznali znak piratów, umieszczany przez nich u wejścia do schowków, zwanych „pirackimi bankami". Do jamy spuszczono także kamerę telewizyjną, która zarejestrowała obraz jakiejś pieczary, w niej trzy skrzynie i pływającą w wodzie rękę ludzką. Na tym właściwie zakończyły się sukcesy Triton Alliance.

Dziś w 1992 roku jama skarbów, dzieło nieznanego, genialnego inżyniera sprzed wieków, ciągle pozostaje nie zdobyta, zaś zagadka, kto i co w niej ukrył, nie wyjaśniona.

GŁOŚNE PIASKI

Są takie miejsca na Ziemi, gdzie zwykły piasek ma prawie magiczne, muzyczne właściwości. O piaskach buczących, ryczących, szczekających, piszczących i świszczących mówi się w mrocznych legendach, podaniach ludowych i opowieściach wędrowców od ponad piętnastu wieków – najwcześniejsze wzmianki znaleziono w kronikach Chin i Środkowego Wschodu. Marco Polo opisuje swoje zetknięcie z tym zjawiskiem podczas podróży przez pustynię Gobi; Charles Darwin wspomina o nim, pisząc o podróży po Chile; pojawia się ono także w twórczości Henry'ego Davida Thoreau.

Legendy bardziej działające na wyobraźnię mówią o „pieśni pustyni", o jękach bóstw podziemia wśród nocnej ciszy, o magicznych zaklęciach duchów, o biciu w bębny w podziemnych grotach lub o głosach dzwonów zasypanego przez piachy klasztoru.

W rzeczywistości dźwięki powstają, gdy piasek przemieszcza się w dół spadzistych powierzchni niektórych rzadkich wydm lub piaszczystych zasp, znanych jako buczące wydmy. Brytyjski fizyk R.A. Bagnold dwukrotnie doświadczył tego osobiście w południowo-zachodnim Egipcie.

„Zdarzyło się to cichą, spokojną nocą. Nagłe, wibrujące buczenie było tak głośne, że musiałem krzyczeć, aby usłyszał mnie mój towarzysz. Wkrótce potem odezwały się inne dźwięki i do pierwszych odgłosów dołączyły one swą muzykę na tak podobną nutę, że wyraźnie wyczuwalny był powolny takt. Ten przedziwny chór trwał około pięciu minut, po czym ponownie nastała cisza i ziemia przestała drżeć".

Optycznie nie można odróżnić wydm piasku buczącego od wydm zwykłego piasku. Podstawowe różnice między ziarenkami piasku ujawnia dopiero skaningowy mikroskop elektronowy.

W literaturze wymienia się trzydzieści jeden miejsc występowania buczących wydm, w większości na Środkowym Wschodzie i w Afryce. W USA są cztery takie miejsca: w stanach Kalifornia i Nevada po jednym oraz dwa na Hawajach.

Aby piaski buczące wydawały dźwięki, potrzebna jest susza. Deszcz lub nawet wilgoć wykluczają buczenie. Buczenie może powstawać spontanicznie, w wyniku naturalnego przemieszczania się piasku na zawietrznej stronie wydm, tam gdzie utworzył on zbocze osiągające maksymalny kąt pochylenia. Można je także spowodować, na przykład, spychając piasek w dół. Daje się wtedy słyszeć głośny, grzmiący odgłos, przypominający dźwięki *staccato* zagrane na tubie kontrabasowej.

Ciągłe przemieszczanie się piasku na wydmie buczącej powoduje wydawanie odgłosów o niskich częstotliwościach (około pięćdziesięciu do stu herców, czyli cykli na sekundę), które mogą przypominać czyste tony organów albo skrzypiec basowych. Nieraz do złudzenia przypominają buczenie trzmieli albo warkot przelatującego nad głową śmigłowca. Wydawaniu dźwięków przez wydmy towarzyszą fale sejsmiczne – wibracje ziemi, które mogą być odczuwane przez stopy czy dłonie jako łagodne wstrząsy elektryczne.

Intensywność i czas trwania takich dźwięków zależy od pola powierzchni przemieszczającego się piasku. Przemieszczanie się kilku metrów kwadratowych piasku powoduje wydawanie dźwięków słyszalnych na odległość pięćdziesięciu, stu metrów, podczas gdy duże „lawiny" na wydmach w Chinach lub na Środkowym Wschodzie „odpowiedzialne są za odległy turkot wozów, bicie w bębny albo grzmoty pioruna", są słyszalne i odczuwane na odległość do szesnastu kilometrów.

Natomiast bardziej znane dźwięki plażowego piasku piszczącego – krótkie tony o częstotliwości około tysiąca herców – można słyszeć z odległości nie większej niż kilkadziesiąt metrów. Najkorzystniejsze warunki do plażowego muzykowania występują w ciepłe i słoneczne dni po przelotnym deszczu.

Mimo że nie ma już dziś wątpliwości co do muzycznych właściwości piasku, nie jest dokładnie znany mechanizm, dzięki któremu energia mechaniczna przemieszczających się wyszlifowanych ziarenek zamieniona zostaje na dźwięki.

Teorie dotyczące głośnych piasków są w najlepszym razie tymczasowe.

Ostatnie badania naukowe koncentrowały się na dokładnej analizie wielkości, kształtów i struktury ziarenek oraz na sposobach gromadzenia się odpowiedniej mieszaniny cząsteczek na plaży lub wydmie. Zarejestrowano zarówno akustyczne, jak i sejsmiczne efekty działania wydm buczących, zaś podobne badania piasku piszczącego zostały przeprowadzone w laboratoriach.

Nie ma obecnie żadnego powszechnie przyjętego wyjaśnienia, tylko domysły i hipotezy...

STREFA CISZY

Meksyk jest krajem tajemnic, zaś jedną z najbardziej intrygujących zagadek tego kraju jest „strefa ciszy", nazwana tak z powodu zaniku transmisji radiowych w tym rejonie.

„Strefa ciszy" znajduje się na południe od miasta Jimenez. Otoczona jest przez stany: Chinauhna, Durango i Coahuila; dokładnie leży na 23° 40' szerokości i 103° 45' długości geograficznej.

Oprócz ciszy radiowej, w strefie tej występują także inne niezwykłe zjawiska, które spowodowały ogromne zainteresowanie mieszkańców Meksyku i zagranicznych naukowców. Wszystko zaczęło się na początku lipca 1970 roku w bazie nuklearnej w stanie Utah, gdzie odbywały się przygotowania do realizacji ważnego projektu kosmicznego.

Rakieta „Atena" z głowicą nuklearną została wystrzelona o świcie 11 lipca 1970 roku. Zaprogramowany tor lotu miał zaprowadzić ją na teren poligonu White Sands w Nowym Meksyku w godzinę po wystrzeleniu. Zgubiono jednak ślad rakiety, która nie dotarła do miejsca przeznaczenia. Po wielu skrupulatnych badaniach stwierdzono, że musiała spaść w rejonie na północ od miasta Gomez Palacio w stanie Durango w Meksyku. Wiele tygodni armia robotników przeczesywała każdy metr tego pustynnego rejonu. 2 sierpnia 1970 roku rakieta została znaleziona wewnątrz krateru, koło miasta Ceballos, w stanie Durango. Dzięki grupie amerykańskich techników szczątki rakiety „Atena" zostały usunięte.

Nie rozwiązano jednak głównego problemu, ciągle bowiem nie znano odpowiedzi na pytanie: dlaczego rakieta zboczyła z kursu? Dlaczego poleciała i spadła właśnie w „strefie ciszy"? Czy nie jest podejrzane, że amerykańska technologia, umożliwiająca dotarcie człowieka na Księżyc na odległość czterystu tysięcy kilometrów, pozwoliła rakiecie zboczyć z kursu aż o tysiąc dwieście kilometrów? Czy był to niemożliwy do przewidzenia błąd, czy też kryje się za tym coś innego?

Przypadek „Ateny" jest, być może, jeszcze jednym z wielu dziwnych zjawisk, które zdarzają się w tej strefie. W każdym razie, owo wydarzenie na nowo rozbudziło zainteresowanie tajemnicami rejonu, w którym pojawiają się tajemnicze światła w nocy, występuje wyjątkowa akumulacja meteorytów, przerwy w przekazywaniu fal radiowych, fantastyczne mutacje fauny i flory...

Siedem lat wcześniej Harry Augustus De La Pena, inżynier, metalurg i chemik w jednej osobie, przebywał w tym rejonie przeprowadzając badania w poszukiwaniu złóż ropy, kiedy jego radio nagle przestało odbierać stację z Ceballos. Gdy odjechał na pewną odległość, transmisja znów się pojawiła a po powrocie na miejsce znowu zanikła. Zaintrygowany De La Pena zorganizował więc badania szczegółowe, których wynik potwierdził zachodzenie dziwnego zjawiska zaniku fal radiowych w „strefie ciszy".

Jego hipoteza była następująca: zanik fal jest spowodowany koncentracją magnetycznego żelaza pod ziemią, które wytwarza jakby wir magnetyczny. Teoria ta nie została potwierdzona, zaś występowanie innych zjawisk skomplikowało tajemnicę jeszcze bardziej.

Badania wykazały, że pewne okazy fauny i flory różnią się całkowicie od swoich odpowiedników z sąsiednich rejonów.

Tych różnic również nie potrafiono wyjaśnić. Zaobserwowano, że żółwie z terenu Ceballos mają na skorupach wzór trójkąta, w przeciwieństwie do normalnego wzoru, jakim jest nieregularny pięciokąt lub sześciokąt. Krocionogi z tego regionu mają purpurową pigmentację, różną od normalnych okazów. Także flora wykazywała podobne zmiany.

W wyniku studiów przeprowadzonych na Uniwersytecie Kalifornijskim żółwie z Ceballos zakwalifikowano jako nowy gatunek.

Dalsze badania odkryły jednak coś nieprawdopodobnego: gdy „nowy gatunek z Ceballos" rozmnożył się poza „strefą ciszy", potomstwo odzyskało swój normalny wzór na skorupie! Badacze zgodzili się, że mutacje spowodowane są wysokim poziomem promieniowania w tym rejonie, ale skąd ono pochodzi – z wnętrza Ziemi czy z przestrzeni kosmicznej – co do tego nie było zgody.

De La Pena przychylał się do opinii, że było to spowodowane wpływem promieniowania kosmicznego.

Wkrótce kolejne, coraz bardziej zadziwiające zagadki zaczęły zaskakiwać naukowców. W „strefie ciszy" występują kawałki czarnych skał o bardzo błyszczącej teksturze. Miejscowi nazywają te skały *guijolas*. Analizy laboratoryjne wykazały, że *guijolas* zawierają wiele minerałów metalicznych; stwierdzono również, że te dziwne skały pochodzą z przestrzeni kosmicznej. Nie było na nich pyłu, nie były zakopane lub osadzone w gruncie, po prostu leżały na ziemi.

Ustalono także, że „strefa ciszy" jest czymś w rodzaju otwartych drzwi do kosmosu. W rejonie tym występuje wyjątkowa obfitość meteorytów, a niektóre z nich są szczególnie interesujące. Jeden z nich spadł na miasto Allende 8 lutego 1969 roku. Badania przeprowadzone przez amerykańskich naukowców pozwoliły ustalić, że materia, z której zbudowany był meteoryt, była najstarszą, jaką kiedykolwiek znaleziono lub wiedziano, że istnieje we wszechświecie.

W innym przypadku napotkano na powierzchni meteorytu tak dziwne figury, że aż chciałoby się powiedzieć, iż nie mogły powstać w sposób naturalny.

W czasie gdy przeprowadzano te wszystkie badania, amerykańscy meteorolodzy z Przylądka Kennedy'ego zauważyli w kosmosie meteor. Zbliżał się szybko do Ziemi i najwyraźniej był na linii kolizji z sondą kosmiczną „Mariner". Tuż przed zderzeniem meteor jakby przepuścił sondę, a później podjął znów swój kurs w kierunku Ziemi. Następnie wszedł na orbitę okołoziemską i kiedy dotarł nad „strefę ciszy", spadł czy też wylądował.

To nowe wydarzenie wywołało falę kolejnych pytań. Czy był to naprawdę zwykły meteor czy też coś, czym kierowały istoty rozumne?

Innym dziwnym zjawiskiem w „strefie ciszy" są oślepiające światła widziane nocą. Wydają się przypominać silne światła pojazdu, ale bardzo szybko podnoszą się i opadają, a później poruszają się poziomo nad równiną. Niektórzy obserwatorzy brali je za światła potężnego pojazdu robiącego nocne wycieczki, ale nikt nigdy nie znalazł żadnych śladów.

Starzy mieszkańcy mówią, że światła należą do wozu, zwanego Band Wagon. Jest to legenda opowiadana od wielu pokoleń. Mówi ona o dyliżansie z dawnych czasów, który przejeżdżał przez wszystkie miasteczka tego regionu. Według legendy, Band Wagon wraca z zaświatów, aby nawiedzać okolice, przez które jeździł. Teoria De La Peny odnośnie owych świateł brzmi następująco: światła są skutkiem tego, iż miliony lat temu obszar ten był oceanem, zaś później jeziorem (jezioro Myran). Istnieje więc możliwość występowania koncentracji siarki i fosforu, które w połączeniu z dużym natężeniem pola magnetycznego mogą wytworzyć luminescencję, opisywaną przez wiele osób.

Richard Downs z NASA jest przekonany, że owe liczne fenomeny spowodowane są powstawaniem, na skutek obrotu Ziemi, elektronicznych i magnetycznych wirów w pewnych rejonach naszej planety. Jeden z takich obszarów ma znajdować się między 26° i 20° szerokości geograficznej – „stefa ciszy" leży między tymi równoleżnikami.

Podczas orbitalnego ruchu Ziemi, wir z Ceballos działa jak pompa ssąca, chwytająca znajdujące się w pobliżu ciała niebieskie. Wnętrze wiru może być podobne do tunelu umożliwiającego bezpośrednie wejście promieniowaniu kosmicznemu, które – jak się przypuszcza – jest przyczyną zadziwiających mutacji w „strefie ciszy".

Niektórzy ludzie wierzą, że rejon wokół Ceballos jest portem pozaziemskich statków kosmicznych, najbliższym dojściem do naszej planety dla obcych astronautów. Wielu pyta, czy różnokolorowe światła widziane w „strefie ciszy" są rzeczywiście zjawiskiem przyrodniczym. A może są to światła statków kosmicznych, które przechodzą przez magnetyczny tunel?

Jakkolwiek by było, tajemnice „strefy ciszy" czekają na swego odkrywcę.

NAJDZIWNIEJSZE MIEJSCE NA ZIEMI

Kiedy znajdziesz się w tym miejscu, masz wrażenie, że przyroda zwariowała. Jeśli jedziesz konno, zwierzę instynktownie trzyma się odeń z dala. Ptaki raptownie zmieniają kierunek lotu i udają się w mniej denerwujące okolice. Nawet drzewa sprawiają wrażenie, że uległy wpływom siły, spod której nie mogą się wyzwolić: wewnątrz tego kręgu grawitacyjnego szaleństwa gałęzie rosną w dół, a pnie pochylają się w kierunku magnetycznej północy, chociaż nie opodal inne drzewa rosną prosto do góry.

Jest to słynne miejsce, zwane Wirem Oregońskim. Leży nad brzegiem potoku Sardine, około pięćdziesięciu kilometrów od Grant's Pass w stanie Oregon. Wiadomo powszechnie, co się tam dzieje, ale nie wiadomo jak ani dlaczego.

Wir ma w przybliżeniu pięćdziesiąt metrów średnicy, ale badania wskazują, że jego rozmiar zmienia się co dziewięćdziesiąt dni. Ma kształt mniej więcej kolisty. Wewnątrz kręgu stoi stara, drewniana szopa, która służyła niegdyś za stację pomiarową, lecz opuszczono ją w 1890 roku, gdy przyrządy przestały działać. Wówczas budynek stał na zboczu pagórka, około dwunastu metrów od brzegu wiru. Od kiedy ludzie wyprowadzili się, część pagórka przesunęła się do takiego położenia jak obecnie.

Szopa jest skrzywiona, ale trudno powiedzieć, czy to z powodu przyciągania czy też za sprawą ruchów pagórka.

Kiedy wchodzisz do środka, znajdujesz się jakby w innym świecie. Czujesz potężne przyciąganie od dołu, jakby grawitacja nagle wzrosła. Mimowolnie pochylasz się pod kątem około dziesięciu stopni w kierunku kręgu. Jeśli chcesz się wyprostować, masz niepokojące uczucie, że coś ciągnie cię do środka – przyrządy wskazują, że tak właśnie się dzieje.

Wielu naukowców prowadzi eksperymenty w wirze, próbując rozwiązać jego zagadkę. Stalową kulę o wadze czternastu kilogramów powieszono na łańcuchu spuszczonym ze stropu stodoły. Turyści mogą zobaczyć, że kula wisi pod kątem, podważając prawo grawitacji. Odchyla się wyraźnie w kierunku środka kręgu. Z łatwością można ją pchnąć w tę stronę, natomiast trudno jest odciągnąć ją w kierunku obwodu wiru.

Wewnątrz nawet dym z papierosów zachowuje się inaczej.

Wypuszczony w szopie obłok dymu zaczyna wirować coraz prędzej, dopóki nie zniknie.

Turystom pokazuje się i inne sztuczki. Na pochyłej desce stawia się pusty słoik, który sam wędruje pod górę. Dziecięca piłka z gąbki lub gumy, położona na ziemi blisko brzegu wiru, toczy się powoli do środka kręgu. Garść rzuconych w powietrze papierowych skrawków wiruje, jakby za sprawą niewidzialnego wiatraka.

To odległe leśne miejsce, gdzie natura zachowuje się jak szalona, dobrze znane jest Indianom, którzy solennie zapewniali pierwszych białych osadników, że okolica jest przeklęta. Blade twarze musiały jednak same zobaczyć, a kiedy zobaczyły, zaczęły dociekać. I robią to do dziś.

NIEZWYKŁE ZDARZENIA

MORDERSTWO ZA POMOCĄ HIPNOZY

Czy jeden człowiek jest w stanie zawładnąć umysłem drugiego człowieka i sprawić poprzez hipnozę, że ten drugi popełni zbrodnię? Większość specjalistów temu przeczy, lecz sąd orzekł, że tego morderstwa dokonano „za pomocą hipnozy".

W ciągu trzydziestu trzech lat swego życia Palle Hardrupp nigdy nie popadł w konflikt z prawem. Teraz też czuł, że rewolwer w jego kieszeni jest obcy, zimny i trudny w obsłudze. Cztery razy przeszedł obok banku jak w odrętwieniu, jedną ręką bawiąc się rewolwerem, a drugą przytrzymując pod szyją postawiony kołnierz płaszcza, bo 29 marca 1951 roku był w Kopenhadze dniem zimnym i mokrym.

Bank, który Palle wybrał jako cel rabunku, był niewielki, choć trafniej byłoby powiedzieć, iż niewielki był bank, który został mu wybrany. To hipnotyzer bowiem raz po raz nakazywał, by Palle wziął rewolwer i poszedł do banku: „Weź rewolwer i idź do tego banku". Wreszcie Palle, odrętwiały i niezdarny z rewolwerem w kieszeni, zatrzymał się przed drzwiami.

Jego umysł toczył przegraną bitwę z wolą innego człowieka, kiedy potykając się wszedł do banku i podszedł do pierwszego okienka. Kasjer Kaj Moller spojrzał w górę i uśmiechnął się, lecz uśmiech zamarł mu na wargach, gdy dostrzegł dziwny, szalony błysk w oczach Hardruppa. Palle nie wie, czy zażądał od kasjera pieniędzy, a Kaj Moller nigdy już nic nie powie, gdyż wycelowany w jego twarz pistolet wypalił dwa razy i Moller padł martwy.

Pracownicy banku rzucili się na podłogę w swoich kantorach, zaś klienci wybiegli przez frontowe drzwi, tylko Hans Wisbom, dyrektor banku, ośmielił się spojrzeć w twarz bandyty uzbrojonego w rewolwer. Swą odwagę przypłacił życiem, padając na podłogę z kulą w mózgu. Palle Hardrupp chwilę tępo wpatrywał się w swoją ostatnią ofiarę, po czym wsunął rewolwer z powrotem do kieszeni i potykając się wyszedł z budynku, coś do siebie mamrocząc.

Gdy oskarżony o podwójne morderstwo Palle został przyprowadzony na rozprawę sądową, miał do opowiedzenia dziwną historię. Wyjaśnił ławie przysięgłych, jak to poddał się hipnozie Björna Nielsena, i opowiedział, w jaki sposób Nielsen trzy miesiące trzy razy w tygodniu wmawiał mu, że musi ograbić bank, mimo że nie chciał on obrabować tego ani żadnego innego banku. Nakazywał mu też zastrzelić kasjera, gdyby ten nie dał pieniędzy, chociaż on – Palle Hardrupp – nie chciał zastrzelić nikogo z żadnego powodu.

Pod narastającą presją, jak powiedział sądowi, czuł się nie lepiej niż trup przywrócony do życia – jak istota, która straciła panowanie nad własną wolą, zmuszona do popełnienia zbrodni, której nie była w stanie się przeciwstawić.

Mimo iż sąd przyjął za prawdę twierdzenie Nielsena, że nie było go w pobliżu miejsca zbrodni, kiedy została ona popełniona, to uwierzył też w opowieść Hardruppa, że był on tylko robotem, sterowanym i kierowanym poprzez hipnozę siłą woli Nielsena. Nielsen został postawiony w stan oskarżenia za zaplanowanie napadu i nakłanianie do zabójstwa.

Było to oskarżenie bezprecedensowe. Aby dowieść winy Nielsenowi, prokurator musiałby udowodnić, że Nielsen rozmyślnie zmusił Hardruppa do popełnienia zbrodni sprzecznej z jego wolą oraz że wielokrotnie hipnotyzował Hardruppa, aby stopniowo przygotować jego umysł do przyjęcia polecenia dokonania zbrodni. Było to bardzo trudne, gdyż istnieje powszechna opinia, że hipnozą nie można posłużyć się w celu zmuszenia lub nakłonienia kogoś do popełnienia czynu, którego osoba ta nie popełniłaby z własnej woli, nie będąc pod wpływem hipnozy.

Jednak dwaj szanowani obywatele zginęli z rąk osobnika będącego pod wpływem hipnotyzera! Czy władze będą w stanie udowodnić, że Nielsen przy użyciu hipnozy spowodował ich śmierć?

Rozprawa sądowa pod wieloma względami była sensacją. Tak jak przypuszczano, Palle Hardrupp został uznany winnym dwóch morderstw i usiłowania obrabowania banku. Skazano go na pobyt w zakładzie dla chorych psychicznie, skąd miał szansę zostać wypuszczony po dwóch latach, jeśli wykazałby oznaki wyjścia ze stanu, w jakim był w momencie popełnienia zbrodni. Kara, jak widać, łagodna.

Jednakże Nielsen to zupełnie inna sprawa. Żeby doprowadzić do jego skazania, konieczne były opinie biegłych i przekonujące dowody. Głównym biegłym powołanym przez prokuratora był doktor Paul Reiter, były dyrektor zakładu dla obłąkanych i ordynator oddziału psychiatrycznego szpitala miejskiego w Kopenhadze.

Według jego opinii, popełniając zbrodnię Hardrupp działał w sprzeczności ze swym normalnym sposobem rozumowania i swoimi pragnieniami, działał właściwie jak na wpół świadomy szaleniec, ubezwłasnowolniony przez wielokrotny, sugestywny wpływ hipnotyczny i nakłoniony do popełnienia zbrodniczego czynu za pomocą impulsu z zewnątrz.

Co więcej – twierdził Reiter – każdy człowiek może być zdolny do popełnienia każdego czynu i hipnotyzer może namówić większość ludzi do zbrodni poprzez wielokrotne przedstawienie tej zbrodni jako godnego i uczciwego czynu. W przypadku Hardruppa, jak wykazał prokurator, Nielsen sprytnie wmówił ofierze swego podstępu, że pieniądze zrabowane z banku będą użyte do walki z komunizmem.

Inni wybitni psychiatrzy poparli Reitera. Podczas badań psychiatrycznych Nielsen przyznał, że ponosi moralną odpowiedzialność za podwójne morderstwo i że wymyślił oraz przeprowadził ten plan tylko po to, aby sprawdzić swe zdolności hipnotyzerskie.

Björn Nielsen dostał wyrok dożywotniego więzienia za zbrodnię bez precedensu: za popełnienie morderstwa za pomocą hipnozy.

NIESPOKOJNY UMARŁY

Zajmijmy się teraz dziwnym wydarzeniem, jakie miało miejsce po południu 24 sierpnia 1943 roku, kiedy to grupa członków masonerii otworzyła zapieczętowany grób na wyspie Barbados.

Był to grobowiec sir Evana McGregora, który został pochowany w roku 1841. Jednakże masoni nie byli zainteresowani sir Evanem. Chcieli spłacić dług Aleksandrowi Irvinowi, ojcu masonerii na Barbados. Szczątki Irvina złożono w tym samym grobie co McGregora, tyle że wcześniej.

Krypta została wycięta w kamieniu. Jej górna część wystawała na jakieś metr dwadzieścia ponad powierzchnię, opierając się na podmurówce z cegły i betonu, wkopanej w ziemię też na około metr dwadzieścia. Do grobowca można było wejść schodząc po sześciu stopniach, po uprzednim otwarciu zapieczętowanych drzwi. Kiedy ciężka płyta została usunięta, okazało się, iż wejście do krypty jest zamurowane.

Podczas rozbierania muru, gdy oczekujący wolnomularze oblewali się potem, robotnicy zwrócili uwagę na metalowy przedmiot, widoczny przez szczelinę powstałą po wyjęciu pewnej ilości cegieł.

Kiedy usunięto więcej cegieł, okazało się, że tym metalowym przedmiotem jest pokryta ołowianą blachą trumna, wsparta o tylną ścianę jedynych drzwi krypty i odwrócona do góry nogami. Wolnomularska delegacja była zdziwiona. W jaki sposób ważąca dwieście siedemdziesiąt kilogramów ołowiana trumna sir McGregora przesunęła się ze swego miejsca po przeciwnej stronie krypty, zapieczętowanej przed mniej więcej stu laty? I co spowodowało powstanie trzech malutkich dziurek w ołowianej pokrywie w miejscach łączenia cyną?

Choć masoni byli bardzo zmieszani, nie mieli czasu, by zastanawiać się nad tą zagadką, gdyż już czekała ich następna. W grobowcu nie było śladu po trumnie ze zwłokami Alexandra Irvina! Zniknęła z niszy grobowca, gdzie z całą pewnością była, kiedy chowano zwłoki McGregora. Oba ciała zostały złożone jedno obok drugiego w ciężkich ołowianych trumnach i ustawione na betonowych półkach. Teraz jedna z trumien zniknęła, a druga w sobie tylko wiadomy sposób zdołała przesunąć się ze swego pierwotnego miejsca i stanąć przy zapieczętowanych drzwiach.

Wolnomularze postawili straż przy grobie, zaś sami poszli szukać rozwiązania zagadki. Powiadomione władze wyspy natychmiast zwołały kilku uczonych mężów, którym zlecono przeprowadzenie dochodzenia. Śledztwo i wnikliwa analiza wszystkich danych wykazały, że obaj mężczyźni na pewno zostali pochowani w tej samej krypcie, a grobowiec został zapieczętowany.

Naoczni świadkowie potwierdzili, że kiedy robotnicy rozpoczęli otwieranie grobu 24 sierpnia 1943 roku, pieczęcie nie były naruszone, zaś wygląd grobowca nie nasuwał żadnych podejrzeń co do jakiejkolwiek dewastacji. Jednakże w jakiś niewytłumaczalny sposób w zapieczętowanym, doskonale utrzymanym grobowcu miały miejsce bardzo dziwne wydarzenia.

Tego rodzaju niepokoje w grobowcach nie są rzeczą wyjątkową. Także na Barbados, choć na innym cmentarzu, wiele kilometrów od tego, na którym pochowano zwłoki Irvina, władze miały utrapienie z przerażającymi figlami, jakie wyprawiały trumny w krypcie rodziny Chase.

Co jakiś czas zmarli członkowie owej rodziny byli chowani w grobowcu, jednakże za każdym razem, gdy otwierano zapieczętowaną kryptę, trumny wcześniej tam złożone znajdowały się w niesamowitym nieładzie. Za każdym razem pokrywa grobowca i pieczęć były nienaruszone.

Trumna z ołowiu, do której zostały złożone zwłoki Thomasa Chase, była tak ciężka, że dopiero ośmiu silnych mężczyzn mogło ją unieść, a mimo to znaleziono ją przewróconą do góry nogami po drugiej stronie krypty w stosunku do miejsca, gdzie była uprzednio złożona. Dziwnym, ale zapewne ważnym znakiem był fakt, że tylko dwie trumny pozostawały za każdym razem nie poruszone: pani Goddard, pierwszego lokatora tego grobowca, i małej dziewczynki, wnuczki pani Goddard. Straże, które postawiono obok grobowca, nie były, w stanie zapobiec powtarzaniu się tych dziwnych zajść wewnątrz... W końcu ciała rodziny Chase usunięto i pochowano w innym miejscu.

Na starym cmentarzu Christ Church na Barbados krypta rodziny Chase wciąż stoi – ze swoją ciężką pokrywą, koralową pieczęcią i zwieńczeniem w kształcie znaku zapytania – pamiątką po niespokojnym umarłym.

ZAGADKA ŚMIERCI NAPOLEONA

Współczesna medycyna do dziś poszukuje rozwiązania sprawy, która nie daje spokoju historykom od ponad stu pięćdziesięciu lat – zagadki śmierci Napoleona.

W miasteczku Baleycourt nad Mozą we Francji wyblakła strona z kroniki miejskiej prawdopodobnie zawiera klucz do tajemnicy. Na stronie tej zapisano imię François Eugene Robeaud i adnotację: „urodzony w tym mieście w 1771 roku... zmarł na Wyspie Świętej Heleny..." Data jego rzekomej śmierci na piaszczystej, spalonej słońcem wyspie jest nieczytelna, jakby zamazana dawno temu – niewykluczone, że celowo, ponieważ w świetle pewnych faktów wydaje się całkiem możliwe, iż człowiek ten zmarł na Wyspie Świętej Heleny 1 maja 1821 roku, uchodząc za Napoleona Bonaparte, do którego był uderzająco podobny.

Bonaparte zawsze przykładał wielką wagę do zapewnienia sobie sobowtórów. Miał ich w sumie czterech. Jednego z nich otruto tuż przed bitwą pod Waterloo, drugi został kaleką po upadku z konia, trzeci zginął od zabłąkanej kuli i tylko czwarty, Robeaud, dożył chwili, kiedy fortuna odwróciła się od cesarza. Zamieszkał ze swoją siostrą, niepozorną starą panną, w małym domku w Baleycourt.

Napoleona zesłano na Świętą Helenę u wybrzeży Afryki. I Anglicy, i Francuzi byli zgodni co do tego, że Napoleonowi nie można pozwolić uciec, jak zdarzyło się to na Elbie. Francuzi strzegli go na wyspie, podczas gdy Anglicy patrolowali wody wokół niej.

Napoleon miał przyjaciół, pieniądze i cierpliwość. Połączone stanowiły potęgę, która mogła go uwolnić. A oto co się stało.

W 1818 roku francuski generał Gourgard zrezygnował z dowództwa na Świętej Helenie i został zastąpiony przez generała Bertranda. Gourgard wrócił do Paryża, oficjalnie po to, żeby przejść na emeryturę. Jakieś dwa miesiące później do Baleycourt przybył wspaniały powóz. Woźnica zapytał o drogę do domu François Robeauda. Kto jechał powozem i po co szukano cesarskiego sobowtóra, nigdy się nie dowiedziano. Robeaud i jego siostra nadal zajmowali się gospodarstwem.

Powóz? To tylko pewien lekarz chciał kupić kilka królików dla przyjaciela. Doprawdy, nic ważnego.

W miesiąc po tym wydarzeniu Robeaud i jego siostra zniknęli. Była jesień 1818 roku. Nigdy potem nie widziano ich w Baleycourt. Siostrę widziano później w Tours, gdzie żyła w dostatku. Twierdziła, że rachunki płaci za nią znajomy lekarz i że robi to z czystej dobroci, przez posłańca. A co z bratem? Wyjaśniła, że François jest na morzu, ale nie powiedział jej, dokąd ani na jak długo się udaje. François taką ma naturę, że mało mówi o sobie.

Żeby uciec ze Świętej Heleny, Napoleon potrzebował czterech rzeczy: sobowtóra, statku, przyjaciół i pieniędzy. Teraz miał już wszystko.

Zimą 1818 roku, w miesiąc po zniknięciu Robeauda, żona generała Gourgarda napisała do przyjaciółki: „Odnieśliśmy sukces. Napoleon opuścił wyspę!"

W ostatnich dniach 1818 roku zamożnie ubrany nieznajomy, podający się za pana Revarda, przybył do Werony.

Mówił, że jest kupcem z północnej Francji, wdowcem i że chce otworzyć interes, konkretnie zakład jubilerski, specjalizujący się w brylantach. Znalazł wspólnika, Petrucciego, który właściwie sam prowadził interesy i żartobliwie zwracał się do Revarda „Wasza Cesarska Mość", gdyż Revard był niezwykle podobny do Napoleona.

Zgodnie z zeznaniami Petrucciego i innych osób, złożonymi pod przysięgą w sierpniu 1823 roku, Revard przyjął u siebie posłańca. Po przeczytaniu listu sprawiał wrażenie ogromnie wzburzonego. Powiedział Petrucciemu, że musi wyjechać w bardzo ważnej sprawie.

Dwie godziny później wsiadając do powozu wręczył Petrucciemu zapieczętowany list i polecił mu doręczyć go królowi Francji, jeśli nie powróci w ciągu trzech miesięcy.

Dwanaście dni później, 4 września 1823 roku, tuż po jedenastej w nocy pałac Schonbrunn w Austrii cały płonął od świateł. Syn Napoleona chorował ciężko na szkarlatynę.

Strażnik usłyszał szelest w zaroślach i zobaczył ciemną postać, skradającą się do zamku. Wystrzelił, a intruz padł, ranny śmiertelnie w brzuch. Dowódca straży spojrzał na zwłoki tylko raz i wezwał pułkownika.

Sprawa doszła aż do ambasady francuskiej, ale żona Napoleona zażądała, żeby nieznajomego pochowano w grobowcu jej rodziny. Tak się też stało. Revard nigdy nie powrócił do Werony. Petrucci doręczył jego list królowi Francji. Zapłacono mu hojnie za przysługę i za milczenie.

Na Świętej Helenie śmierć przyszła w końcu po więźnia uważanego za Napoleona, po człowieka, który nie mówił jak Napoleon ani nie pisał jak Napoleon.

W 1821 roku zmarł on na raka żołądka. Kiedy w 1956 roku rząd brytyjski ogłosił, że jest w posiadaniu fragmentu jelit Napoleona, z próbki jasno wyniknęło, że cesarz zmarł nie na raka jak więzień ze Świętej Heleny, ale z powodu rany od kuli jak nieznajomy w ogrodzie zamku Schonbrunn.

CIEŃ WĘŻA

Od obdartego ulicznika śpiącego w rynsztoku do jednego z najbogatszych ludzi w świecie to skok nie lada. A stało się to za sprawą... kobry.

Niewielu podróżuje po tej zakurzonej drodze w Indiach. Upał jest tak wielki, że nie ma czym oddychać. Za to bandytów i złodziei pełno. Władca tych ziem, zwany *gaekwar*, ktoś w rodzaju feudalnego księcia, wymusza haracz na wszystkich korzystających z drogi. Podróż jest więc i niebezpieczna, i kosztowna, toteż tylko żebracy albo ludzie bardzo odważni idą w upale, powłócząc nogami.

Wczesnym popołudniem, gdy pobierający opłatę za korzystanie z drogi drzemali na swoich posterunkach, brudny, obdarty i wygłodzony chłopiec, potykając się co chwila z wyczerpania, podszedł do małej studzienki i ukradkiem wypił łyk wody. Jego wzrok padł na wyrzucone przez strażników resztki obiadu. Chłopiec chwycił je, otarł z brudu i łapczywie zjadł. Poszedł potem kilkaset metrów w dół drogi, aż dotarł do niewielkiej polanki, nie opodal ścieżki. Rozciągnął się na trawie w miejscu doskonale widocznym z drogi. Nie miał nic, nikt nie mógł mu niczego zabrać i dlatego też nie bał się niczego. Znużony, po kilku chwilach zapadł w głęboki sen.

I wtedy nastąpiło jego spotkanie z przeznaczeniem. Położył się spać jako beznadziejny żebrak, a obudził się jako człowiek przeraźliwie bogaty.

Było to w połowie lat siedemdziesiątych XIX wieku. Indie znajdowały się pod panowaniem brytyjskim. Miejscowy książę, *gaekwar*, próbował otruć agenta sławnej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Brytyjczycy chcieli go ukarać, ale książę był zbyt potężny i niebezpieczny, by można było wydać nań wyrok śmierci. Brytyjczycy pozbawili go więc władzy za, jak to nazwali, złe jej sprawowanie, co można uznać za pewne niedomówienie. Usunięty w cień władca nie miał syna, który mógłby zostać jego następcą, zaś następca musiał być znaleziony, ponieważ władza *gaekwara* była dziedziczna. Żona księcia rozesłała więc ludzi po okolicy z rozkazem znalezienia następcy książęcego tronu.

Tak więc w owo upalne popołudnie, gdy wszystko, co żywe, pokładło się w cieniu, zniechęceni i zmordowani agenci państwowi wlekli się noga za nogą w poszukiwaniu swojego przyszłego władcy. Szli w milczeniu, aż w końcu dotarli do zakrętu drogi. Idący przodem stanął nagle jak wryty i chwycił za rękaw swojego towarzysza.

Na polance, kilka metrów od drogi, spał obdarty chłopiec. Spał snem sprawiedliwego, nieświadom, że tuż nad nim unosiła swą głowę śmiertelnie jadowita kobra. Cień trójkątnej głowy padał na twarz chłopca... A czyż nie jest napisane, że przeznaczeniem człowieka, nad którym kobra uniesie swoją głowę, jest rządzić?! Agenci nie posiadali się z radości. Ich długie i męczące poszukiwania zostały wreszcie uwieńczone sukcesem. Usiedli po turecku w cieniu najbliższego drzewa i cierpliwie czekali, aż kobra odpełznie. Kiedy to się stało, obudzili zaskoczonego chłopca i powiedzieli mu, jakie to szczęście go spotkało.

Przepowiednia przepowiednią, ale niektórym to nie wystarczało. Wszczęto więc dochodzenie i w końcu rzekomo odkryto, że przodkami chłopca żebraka mieli być królowie dawno wymarłego plemienia z gór – genealogia najwyraźniej spreparowana. Z takim to niejasnym pochodzeniem, za sprawą nieoczekiwanego kaprysu losu, chłopiec został nowym *gaekwarem*, władcą księstwa, znanego jako Baroda.

Kiedy nowy władca osiągnął pełnoletność, całkowicie przejął rządy w swoje ręce. Baroda była dotychczas krainą słynącą z korupcji, wyzysku i zacofania. Trzy miliony poddanych miało prawa niewiele większe niż zwykli niewolnicy. Dojście do władzy nowego *gaekwara* absolutnie zmieniło charakter tego państwa i warunki życia jego obywateli. Były żebrak zadbał o zapewnienie elementarnej edukacji dla wszystkich swoich poddanych, wprowadził postępowe reformy polityczne i gospodarcze. Baroda rozwijała się jak nigdy, a ludziom dobrze się działo. Nowy władca złamał też zaklęty, odwieczny system kastowy. Dopilnował, by każda wioska była zaopatrzona w czystą, zdrową wodę i miała przynajmniej jedną szkołę i jednego lekarza. Wprowadził i rozwinął parlamentarną formę rządów oraz nowe prawodawstwo, włącznie z zakazem poligamii i małżeństw między dziećmi, co było wyrazem wielkiej odwagi, gdyż sprzeciwiało się zakorzenionej tradycji. Na przełomie wieku Baroda była jedyną wyspą wolności i światła na morzu ludzkiego nieszczęścia i cierpienia, znanym jako Indie.

Były żebrak umiał wykorzystać swój spryt i inteligencję także we własnym interesie. Zakochał się w prześlicznej dziewczynie, która, niestety, była już żoną innego hinduskiego księcia. Dziewczyna pokochała go, ale jako hinduska nie mogła dostać rozwodu. Za radą *gaekwara* dziewczyna przeszła na mahometanizm i będąc mahometanką dostała rozwód. Ale teraz *gaekwar* jako hindus nie mógł poślubić mahometanki... Jego wybranka zmieniła więc ponownie wiarę, znowu stając się hinduską, i wkrótce mogła się już odbyć ceremonia zaślubin. Taka jest przedziwna, ale prawdziwa historia włóczęgi przemienionego w księcia dzięki cieniowi węża.

AZTEKOWIE XX WIEKU

W Yerba Buena w stanie Tamaulipas w Meksyku, jakieś dwieście kilometrów na południowy zachód od cywilizowanego Brownsville w Teksasie, 31 maja 1963 roku odbył się krwawy rytuał, stary jak historia Meksyku.

Tu w wąwozach skalnych gór Sierra Madre, tylko pięćdziesiąt kilometrów na południe od Monterrey, obchodzono święto Azteków – okrutne święto, w którym oddaje się żywą kobietę na ofiarę bogu Huixtocihuatl. Na terenie zupełnie odciętym od świata, gdzie nie ma elektryczności, telefonu, gazet ani dróg, z wyjątkiem szlaku wiodącego przez zadrzewione zbocza gór do szosy odległej o pół dnia wędrówki, grupa prostych rolników założyła sektę, której celem było przywrócenie dawnej religii Azteków.

Inspektor policji z pobliskiego miasteczka Villagran, Abelardo Gomez, twardy, doświadczony pracownik policji, zorganizował obławę na członków sekty. Według niego to, co robili ci ludzie, przekraczało okrucieństwem wszystko, co widział w swojej długoletniej służbie policyjnej.

„Indianie ciągle wymyślają nowe rodzaje religii. Nie wtrącamy się, jeżeli to, co robią, nie zakłóca spokoju. Magdalena Solis i jej brat Eleazar przybyli tu z jakiejś konfederacji religijnej w Monterrey. Myślę, że założyli sekty takie jak ta, w Yerba Buena, na wschód od Monterrey, a może nawet aż przy granicy z Teksasem nad rzeką Rio Grande".

Przy kilku butelkach meksykańskiego *cerveza* inspektor Gomez opowiada o tym, co sam widział i czego dowiedział się o krwawej sekcie:

Szesnastoletnia Magdalena Solis i jej brat bliźniak, Eleazar, opuścili Meksykańską Konfederację Spirytualistów i wyruszyli na wschód, żeby utworzyć swoje własne sekty wśród prostych Indian na pustyni i w górach. Zachęceni sukcesami, trafili do Yerba Buena i szybko zdobyli sobie zwolenników. W tej odizolowanej społeczności rolników, gdzie większość ludzi nie umie pisać ani czytać, znaleźli podatną glebę dla swoich szatańskich pomysłów.

Opierając religię na obrządkach i rytuałach Azteków i ubierając ją w formy zapożyczone z Konfederacji w Monterrey, bez problemu przekonali biednych rolników o autentyczności tego, co robią i głoszą. Z opisów inspektora Gomeza wynika, że rolnicy pojeni byli dziwną mieszanką krwi i liści marihuany. Nie wiedzieli, co to za mikstura, ale pijąc ją, po raz pierwszy zapomnieli o codziennych kłopotach i nudzie.

Książki medyczne informują, że po zażyciu marihuany pierwszym uczuciem, jakiego się doznaje, jest wielka radość. Występuje także wzmożona wrażliwość i wyostrzenie wszystkich zmysłów. Dostrzega się piękno świata. Człowiek pod wpływem marihuany czuje jedność ze światem. Ma wrażenie, że wszystko zostało stworzone tylko dla niego. Kiedy działanie jest silniejsze, czuje nawet, że jest bogiem.

Łatwo sobie wyobrazić sukces Magdaleny i Eleazara, kiedy ciemni Indianie po raz pierwszy spróbowali diabelskiego napoju. Ci młodzi ludzie z Monterrey przynieśli im religię, która łagodziła ich cierpienia, przynajmniej na jakiś czas.

Brat i siostra wnieśli dużo nowości do ceremonii Azteków. Magdalena stała się wcieleniem sławnej meksykańskiej uzdrowicielki – Wiarą, a Eleazar – wcieleniem świętego Franciszka z Asyżu.

Na 31 maja przypada azteckie święto boga Huixtocihuatla, w czasie którego składano w ofierze żywą kobietę. Rodzeństwo zorganizowało obchody tego święta, gdyż uwierzyli, że ich posłaniem jest przywrócenie religii Azteków, prawdziwej religii Meksyku, jak mówili.

Schwytani członkowie sekty opowiadali, że już przed festiwalem sprawy nie miały się dobrze. Zaczęły się walki o władzę. Niektórym z mniej wierzących rolników przestało się podobać, że muszą składać daniny na utrzymanie przywódców, często zabierane od nich siłą.

Magdalena i Eleazar wybrali dwóch robotników do prowadzenia uroczystości. Za najbardziej odpowiednich uznali braci Santosa i Cayetana Hernandezów, którzy byli żarliwymi wyznawcami wiary, a w dodatku Cayetano miał w sobie dziwną mieszankę dewocji, rozpusty i... był trochę obłąkany.

W nocy 31 maja napój z marihuany i krwi zadziałał jak zawsze. W szczytowym stanie upojenia Cayetano miał olśnienie, że w jaskini – miejscu ich spotkań – zakopane jest złoto, i że poświęciwszy bogu kobietę on, Cayetano, dowie się, gdzie dokładnie to złoto leży. Mając pieniądze, mogliby szerzyć swoją wiarę na innych terenach.

Kiedy zawołano, żeby zgłosiła się kobieta gotowa poświęcić się bogu, większość rolników była już w stanie głębokiego upojenia. Miała to być już dwunasta ofiara złożona bogu. Jak wcześniej tak i teraz ofiar nie trzeba było brać siłą. Zgłaszały się same.

Tym razem wystąpiła trzydziestoletnia Celina Salvana, matka dwojga nieślubnych dzieci. Jej przyjaciel z lat dziecięcych, Hector Solis, próbował ją powstrzymać.

Ale nie chciała go słuchać. Chciała być poświęcona bogu i żyć w błogosławieństwie na zawsze.

Solis widocznie nie pił tak dużo jak inni. Celina podała mu kamień, błagając, żeby ją nim zabił. Nie chciał. Bili się, ona upadła, wtedy podbiegli inni, odepchnęli Solisa, a ją tłukli kamieniami, aż straciła przytomność.

Głębiej w jaskini bracia Hernandezowie z pomocą Eleazara zbudowali drewnianą świątynię z czterema filarami i słomianym dachem nad wielkim, płaskim kamieniem, służącym za ołtarz. Na tym ołtarzu Cayetano i Santos rozcięli miękkie ciało Celiny i wyjęli jej serce, jeszcze bijące, by złożyć je w ofierze bogu Huixtocihuatlowi.

Wierzyli, że Huixtocihuatl czerpie życie z żyjącego jeszcze serca ludzkiego. W rogu jaskini spalili ciało ofiary i dołączyli jej kości do stosu kości innych kobiet, którym także wyrwano serca.

Solis próbował zabić ich wszystkich gołymi rękami. Zobaczywszy, że to nie ma sensu i że Celina już nie żyje, wrócił do swojej chaty, do żony i czwórki dzieci. O świcie wyruszył do Villagran, do kwatery inspektora Gomeza.

„Wypisał mi imiona wszystkich członków sekty. Powiedziałem, żeby wrócił do domu, jakby nic się nie stało. Zebrałem ludzi i wyruszyłem do Yerba Buena".

Solis wrócił. Bracia Hernandezowie już nań czekali i bez słowa poderżnęli mu gardło.

Kiedy inspektor Gomez i jego ludzie dotarli do wioski, bracia zgromadzili najbardziej fanatycznych wyznawców i wszyscy zamknęli się w chacie. Po kilku minutach wyszedł Cayetano.

„Powiedział, że jest rolnikiem jak inni. Mówił, że nie wie nic o religii, która zabija ludzi. Wiedziałem, że kłamie. Nie na darmo byłem policjantem tyle lat. Powiedziałem jednemu z moich ludzi, żeby wziął go na przesłuchanie, i wyjąłem z kieszeni listę nazwisk. Kiedy policjant podszedł do niego, Cayetano machnął swoim olbrzymim nożem i zabił go na miejscu, prawie obcinając mu głowę.

Zanim morderca zrobił krok w stronę chaty, naładowaliśmy go ołowiem. Ze środka Santos i inni otworzyli do nas ogień. Strzelaliśmy długo, by mieć pewność, że wszyscy w chacie nie żyją. Gdy weszliśmy do środka, wszyscy leżeli na ziemi, Santos wśród nich".

Gomez i jego ludzie wzięli ponad czterdziestu więźniów, wśród nich Magdalenę i Eleazara Solisów. Dowiedzieli się, że taka sama sekta powstała w sąsiedniej wiosce Delgado. Gomez sam nie dałby sobie rady. Poprosił oddziały federalne z Tampico o pomoc w poszukiwaniu świątyń w okolicznych jaskiniach oraz zbiegłych członków sekty z Yerba Buena.

Rozkazał też spalić słomianą świątynię i pogrzebać znalezione tam kości.

„To było najgrosze zadanie, jakie kiedykolwiek wykonywałem. Teraz już nic nie może mnie zaskoczyć".

Dlaczego to robili? Była to mała wioska, zupełnie odcięta od świata, zapomniana i omijana przez cywilizację. Tu, w krainie, gdzie czas nie gra żadnej roli, wciąż żywe były idee i kultura Azteków z imperium Montezumy, odległego tylko o czterysta lat.

Może niektórzy z tych rolników, wypiwszy diabelski napój, szczerze wierzyli, że objawił im się bóg? Dla innych religia była sposobem na frustracje i trudy. Dla jeszcze innych krwawe obrzędy były urozmaiceniem nudnego życia.

Dziś u wejścia do mrocznej jaskini stoi szkoła specjalnie wybudowana w tym miejscu „jako symbol walki z ciemnotą".

KTO TO NAPISAŁ?

Tajemnicze historie były jeszcze gatunkiem dość nowym, kiedy Wilkie Collins namawiał swego przyjaciela Charlesa Dickensa, aby zwrócił talent właśnie w tym kierunku. Dickens zastanawiał się nad tą propozycją wiele miesięcy, zanim zabrał się do pisania swojej pierwszej i jedynej powieści tego typu, *Tajemnicy Edwina Drooda*.

Zaplanował sobie, że książka będzie publikowana w pewnym magazynie w dwunastu comiesięcznych odcinkach, a do tego po raz pierwszy w całej swej karierze nalegał, aby w wypadku jego śmierci należność wypłacono spadkobiercom.

Jeśli to zabezpieczenie podyktowane zostało przeczuciem, było ono na pewno bardzo trafne, gdyż Dickens zmarł w roku 1870, kiedy ukończył zaledwie sześć części swej intrygującej, tajemniczej historii. Czytelnicy musieli się zastanawiać i czynią to do dziś, jakie zakończenie książki planował Dickens – niestety, sekret ten zmarł razem z nim, gdyż nie zostawił żadnych notatek na ten temat.

Jednakże rozwiązanie zagadki pojawiło się nieoczekiwanie za sprawą pewnego wędrownego drukarza, który pewnego razu zawitał do Brattleboro w Vermont, w rok po śmierci Dickensa. Thomas P. James był swawolnym, przystojnym, nieodpowiedzialnym kobieciarzem. Pewnego dnia, zauważywszy ładną dziewczynę, poszedł za nią i natychmiast wynajął pokój w domu *vis-à-vis* kamienicy owej dziewczyny.

Wkrótce odkrył, że dama, od której wynajmował pokój, była zwolenniczką spirytyzmu, wówczas bardzo modnego, i okrągły rok James uczestniczył w seansach spirytystycznych, odbywających się w jednym z saloników. 3 października 1982 roku poinformował gospodynię, że jest w kontakcie z duchem Charlesa Dickensa i że ten wybitny pisarz dał mu pełnomocnictwo, aby ukończył *Tajemnicę Edwina Drooda*.

Kobiecina była zupełnie oszołomiona myślą, że jej młody pensjonariusz lekkoduch został zaszczycony przez tak wybitnego człowieka jak Dickens. Aby mieć w tym choćby odrobinę udziału, zaoferowała młodzianowi darmowe jedzenie i pokój, do czasu aż ukończy swe zadanie. Liczni świadkowie potwierdzali później, że James zwykł wchodzić do pokoju, gdzie zagłębiał się w fotelu i zapadał w trans, niejednokrotnie trwający wiele godzin. Po takim seansie wyjaśniał przyjaciołom, że on sam nic nie tworzy... on tylko zapisuje tekst, który duch Dickensa dyktuje mu podczas transu.

Czasami materiał, zapisany przez Jamesa, zajmował wiele stron, innym razem składał się tylko z kilku linijek. Duchy lub jakkolwiek to nazwiemy, zdawały się mieć problemy z transmisją w czasie złej pogody, a także wówczas, gdy młody, wędrowny drukarz miał myśli i zmysły zajęte jakąś ładną dziewczyną (co zdarzało się dość często). Dickens musiał wtedy cierpliwie czekać... gdziekolwiek by nie był.

Jak można było się spodziewać, rozchodzące się plotki sprawiły, że gazety wywąchały całą sprawę, przepowiadając, że idzie tu o oczywiste oszustwo.

Wszyscy oczekiwali więc z niecierpliwością opublikowania manuskryptu, a kiedy 31 października 1873 roku pojawił się on na półkach księgarskich, nawet eksperci literatury byli zaszokowani. Oto leżało przed nimi dzieło nieznanego pisarza, które bez wątpienia wyglądało dokładnie tak, jakby wyszło spod pióra samego Dickensa albo, jak twierdził James, zostało przez mistrza podyktowane.

Młody, nieznany drukarz stał się sławny niemalże w ciągu jednej nocy. Jedna z gazet nazwała go „prawdziwym następcą Dickensa", zaś pewna gazeta bostońska stwierdziła: „James nie byłby w stanie napisać tej książki bez pomocy samego Dickensa – spirytualnej czy jakiejkolwiek innej".

Rozwiązanie tej dziwnej sprawy powierzono wreszcie sir Arthurowi Conan Doyle'owi, genialnemu twórcy nieśmiertelnego Sherlocka Holmesa. W grudniu 1927 roku w jednym z numerów dwutygodnika „Fortnightly Review" Doyle donosił, że James nie wykazywał absolutnie żadnego talentu literackiego ani przed, ani też po napisaniu tego dzieła. Jego edukacja zakończyła się w wieku lat trzynastu, co można przyrównać do piątej klasy szkoły podstawowej. Jednak w jakiś dziwny sposób udało mu się podjąć zarówno styl, jak i słownictwo oraz sposób myślenia charakterystyczny dla Charlesa Dickensa, co wydawało się niepodobne w wypadku tak słabo, a właściwie w ogóle nie wykształconego pracownika jednej z amerykańskich drukarń.

Thomas James zgasł równie szybko, jak zabłysnął i zmarł w nędzy. Tylko w niektórych bibliotekach pozostało kilka kopii tekstu, nazywanego obecnie Jamesowską wersją *Tajemnicy Edwina Drooda.* Tajemnica w tajemnicy.

PRZEKLĘTY SAMOCHÓD

Było to luksusowe auto. Spowodowało jednak śmierć mnóstwa ludzi, zanim los w końcu policzył się i z nim.

Jasnoczerwony sześcioosobowy kabriolet miał niespełna trzysta dwadzieścia kilometrów przebiegu, kiedy dwie osoby z cesarskiej rodziny wiózł na spotkanie ze śmiercią. Został on właściwie skonstruowany specjalnie dla tej pary z okazji wizyty w małej bośniackiej miejscowości Sarajewo. Zdarzenie to miało miejsce 28 czerwca 1914 roku. Sytuacja polityczna w Europie w każdej chwili groziła wybuchem wojny. Brakowało tylko iskry. Arcyksiążę Ferdynand i jego żona księżna Hohenburg wsiedli do wspaniałego pojazdu, żeby przejechać ulicami Sarajewa. Nigdy nie dowiedziano się, dlaczego nie kazali zawrócić szoferowi po tym, jak rzucono bombę na ich samochód. Bomba odbiła się od drzwi i potoczyła na ulicę. Wybuch zranił cztery osoby z orszaku, jadące konno za samochodem. Upewniwszy się, że ranni otrzymują pomoc, książę z małżonką pojechali dalej.

Nastąpiło drugie nie wyjaśnione zdarzenie. Szofer, który doskonale znał Sarajewo, pomylił drogę i wjechał w ślepą uliczkę. Z bramy w zaułku wyskoczył młody człowiek i wymachując pistoletem rzucił się na maskę samochodu, strzelając raz po raz do arcyksięcia i księżnej, którzy zginęli, nim osłupiali strażnicy zdążyli powalić zamachowca na ziemię.

Zamach na parę książęcą był zapłonem pierwszej wojny światowej, którą przypłaciło życiem dwadzieścia milionów ludzi. Po zamachu fatalny czerwony samochód nadal sprowadzał śmierć na tych, którzy do niego wsiedli. W tydzień po wybuchu wojny generał Potiorek zajął dom gubernatora w Sarajewie i przypadł mu w udziale także czerwony samochód arcyksięcia. Na efekty nie czekał długo. Dwadzieścia jeden dni później poniósł klęskę pod Valievo, utracił dowództwo i został odesłany do Wiednia. Wkrótce stał się zrujnowanym wariatem i zmarł w przytułku.

Czerwony samochód przeszedł w ręce innego Austriaka, byłego podwładnego generała Potiorka. Ale i ów kapitan wkrótce spotkał się ze swoim fatum. Jadąc z dużą prędkością przejechał i zabił dwóch chorwackich chłopów, wpadł na drzewo i kiedy przybyła pomoc, już nie żył. Był właścicielem samochodu dziewięć dni.

Po zakończeniu wojny właścicielem samochodu został nowo mianowany gubernator Jugosławii. Doprowadził on wóz do świetnego stanu, lecz miał cztery wypadki w ciągu czterech miesięcy i w ostatnim z nich stracił rękę. Rozkazał więc zniszczyć samochód; jego reputacja była tak zła, że wydawało się, iż nikt nie będzie chciał nim jeździć. Jednak pojawił się nabywca, doktor Srkis, który śmiał się z przekleństwa. Kupił samochód prawie za bezcen. Ponieważ nie mógł znaleźć szofera, postanowił prowadzić auto osobiście. Cieszył się swoim nabytkiem sześć miesięcy i coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że przekleństwo ciążące na samochodzie było wytworem ludzkiej wyobraźni. Pewnego ranka samochód znaleziono przy drodze. Leżał na dachu. Wyrzucone na zewnątrz ciało doktora zmiażdżył przewracający się pojazd.

Wdowie po doktorze udało się sprzedać samochód bogatemu jubilerowi. Używał auta rok, a później popełnił samobójstwo. Następnym właścicielem był również lekarz. Wkrótce jednak opuścili go pacjenci z obawy przed fatalnym samochodem. Odprzedał go więc szwajcarskiemu kierowcy wyścigowemu, który wystartował nim w wyścigu w Dolomitach, podczas którego samochód wpadł na kamienny mur i kierowca zginął.

Czerwone auto wróciło do Sarajewa. Nabył je zamożny rolnik, który dał samochód do naprawy i jeździł nim bezpiecznie kilka miesięcy. Pewnego dnia samochód stanął na szosie i rolnik przywiązał go do furmanki, żeby przyholować do miasta. Ledwo ruszyli, silnik zapalił, samochód odtrącił wóz i konie, przejechał właściciela i stoczył się do rowu na zakręcie. Zniszczony czerwony pojazd kupił Tiber Hirszfeld, mechanik, który naprawił go i pomalował na niebiesko. Nie znajdując nabywcy, jeździł nim sam. Pewnego dnia wiózł sześcioro przyjaciół na wesele. Kiedy z dużą prędkością wyprzedzał inny samochód, uderzył w drzewo. Hirszfeld i czworo pasażerów zginęli w wypadku. Samochód odnowiono z funduszy rządowych i odesłano do muzeum.

Zabił szesnaście osób. Przyczynił się do wybuchu wojny. Zniszczyła go dopiero następna wojna – dokonała tego aliancka bomba, zrzucona na budynek muzeum, w którym stał jako eksponat.

FATALNY KRĄŻOWNIK

Niemieccy marynarze nie byli z pewnością idiotami. Twierdzili jednak, że krążownik „Scharnhorst" przynosi nieszczęście, i unikali go jak ognia.

Była to jednostka bojowa o wyporności czterdziestu tysięcy ton, którą hitlerowscy naukowcy wyposażyli we wszystko, co możliwe. Lśniący nowy okręt miał prędkość umożliwiającą wyprzedzenie cięższych brytyjskich pancerników. Uzbrojony został w działa dalekiego zasięgu i potężne elektroniczne urządzenie do wykrywania celów, zanim one go wykryją.

Pierwszy sygnał, że okręt może sprawiać kłopoty, pojawił się, gdy zbudowany był zaledwie w dwóch trzecich. Z odgłosem miażdżonego drewna kadłub przewrócił się na bok, przygniatając śmiertelnie sześćdziesięciu jeden robotników i raniąc stu sześćdziesięciu innych.

Okręt podnoszono trzy miesiące. Trzeba było wręcz zmusić do pracy brygady robotników, ponieważ rozeszła się już plotka, że ten błyszczący, stalowy potwór przynosi nieszczęście.

W końcu jednak nadszedł dzień wodowania. Obecne były hitlerowskie „grube ryby": Hitler, Himmler, Goering, Heydrich, Hess i Doenitz.

Wodowanie miało być wielkim wydarzeniem, gdyż Hitlerowi zależało na zastraszeniu już zaniepokojonych sąsiadów możliwościami Niemców w wymyślaniu nowej, śmiercionośnej broni. Przybyli więc wszyscy najważniejsi dostojnicy hitlerowscy... Brakowało tylko głównego bohatera wydarzenia – samego „Scharnhorsta"!

Nocą „Scharnhorst" sam się zwodował, miażdżąc kilka barek, gdy zjeżdżał pochylnią na wody kanału. Zakłopotani hitlerowcy oświadczyli, że okręt zwodowano poprzedniej nocy, żeby ukryć nową, tajną metodę wodowania.

Tak czy inaczej, przynoszący nieszczęście okręt, duma Hitlera, znalazł się w końcu na wodzie.

Po zajęciu Gdańska Niemcy rozesłali po świecie kroniki filmowe, pokazujące, jak „Scharnhorst" zasypuje bezbronny port setkami ton śmierci i zniszczenia. Nie wspomnieli jednak, że podczas ataku na Gdańsk „Scharnhorst" zabił dziesięciu ludzi spośród swojej załogi, kiedy to wybuchło jedno z jego wielkich dział. I że gdy przestał funkcjonować system wentylacji, w jednej z wieżyczek armatnich udusiło się dwunastu podoficerów.

Zła sława „Scharnhorsta" dopełniła się w czasie oblężenia Oslo. Podczas gdy hitlerowskie okręty wojenne zasypywały pociskami kolejny bezbronny port, „Scharnhorst" został wielokrotnie trafiony. Płonął w dwunastu miejscach i trzeba go było odholować w bezpieczne miejsce za pomocą okrętu „Gneisenau".

Powrót do macierzystego portu był bardzo trudny, gdyż okręt musiał ukrywać się przed brytyjskimi bombowcami w dzień, a w nocy ukradkiem płynąć wzdłuż wybrzeża. Taką właśnie ciemną nocą wpłynął wreszcie na wody Łaby, będąc już prawie u kresu swej podróży.

Z nieznanego powodu jego radar nie wykrył obecności jednego z największych na świecie statków transatlantyckich, który znajdował się na jego kursie. Wachtowy uruchomił wprawdzie syrenę alarmową, jednak zbyt późno, i sam zginął w czasie kolizji, zaś potężny „Bremen" osiadł na mieliźnie, aby już do końca wojny pozostać tam w roli celu dla alianckich bombowców.

Gdy prace remontowe zostały zakończone i „Scharnhorst" znów był zdolny do pełnienia służby, gwiazda Hitlera już przygasła. Ogromny „Bismarck" zatonął w wyniku ataku z morza i powietrza. Trafiony torpedami „Tirpitz" leżał w norweskim fiordzie. Hitler nie miał innej możliwości, jak tylko ponownie wysłać „Scharnhorsta" do akcji, mimo że przynosił nieszczęście.

Znowu więc płynął po Łabie nocą, omijając doszczętnie zniszczony bombardowaniami wrak transatlantyku „Bremen", udając się na północ, wzdłuż wybrzeży Norwegii, aby atakować znienacka alianckie konwoje na Morzu Arktycznym. Wyglądał jak „mur" i mógł nim być dla drugiego statku.

Te same ciemności, które skrywały „Scharnhorsta" przed brytyjskimi samolotami, ukryły też uszkodzoną brytyjską łódź patrolową przed nim samym. Krążownik z impetem i hałasem przepłynął w odległości dosłownie kilkuset metrów od małego, unieruchomionego awarią silników statku i w ogóle go nie zauważył, lecz łódź patrolowa nadała ostrzeżenie. W ciągu kilku minut brytyjska flota zmieniła kurs i pełną mocą silników ruszyła w kierunku celu.

„Scharnhorst" był jednak zbyt szybki dla swoich przeciwników i po oddaniu kilku strzałów skrył się w atramentowych ciemnościach. Mimo to, brytyjski dowódca zaryzykował i oddał salwę całą burtą na odległość szesnastu tysięcy metrów. Nieszczęsny „Scharnhorst" wykonał obrót i znalazł się dokładnie w zasięgu pocisków. Raz po raz następowały kolejne uderzenia i trafiony okręt poszedł na dno.

Większość załogi zginęła w lodowatej wodzie, ale dwóm marynarzom udało się dotrzeć pontonem do brzegu. Znaleziono ich tam po paru miesiącach. Zginęli od wybuchu małego, awaryjnego piecyka na ropę naftową! Wymknęli się Brytyjczykom i wzburzonemu morzu, ale nie mogli uciec od klątwy „Scharnhorsta".

NIE KOŃCZĄCA SIĘ KATASTROFA

Dwudziestu dwóch mężczyzn walczyło z szalejącym morzem o swoje życie, lecz ilekroć osiągnęli jakieś drobne zwycięstwo, musieli ponownie stawać do walki.

Przypadek szkunera „Mermaid" i dwudziestu dwóch ludzi, którzy byli na jego pokładzie, znajduje się w obszernych kartotekach Lloyda w Londynie, lecz chociaż zawierają one opisy przeróżnych przypadków, to żaden nie może się z nim równać.

Wszystko zaczęło się bardzo przyjemnie rankiem 16 października 1829 roku, kiedy „Mermaid" wypłynęła z zatoki w Sydney, podążając do zatoki Collier na północnym wybrzeżu Australii. Wiał łagodny wiatr, a słońce lśniło na wierzchołkach przecinanych przez statek fal. Na pokładzie było osiemnastu krzepkich marynarzy, trzech pasażerów i kapitan Samuel Nolbrow, który stał przy sterze. Nie zdając sobie z tego sprawy, rozpoczynali podróż, która w historii wypraw morskich nie miała sobie równej.

W czwartym dniu po wypłynięciu z Sydney kapitan przekazał ster pierwszemu oficerowi i zszedł pod pokład na mały łyczek alkoholu ze skrzętnie zgromadzonych zapasów. Członkowie załogi porozchodzili się po pokładzie, gdyż nie mieli nic lepszego do roboty. Barometr nie zapowiadał w żaden sposób tego, co miało się wydarzyć. Wydawało się, że pogoda będzie ładna, a podróż minie bez przeszkód, aż na krótko przed godziną czternastą statek został unieruchomiony przez ciszę morską. Ciężkie, szare chmury zasłoniły tarczę słoneczną, zrobiło się ciemno.

Zaniepokojony bezruchem, kapitan Nolbrow odstawił butelkę i zataczając się wrócił na pokład, gdzie zobaczył, jak wskazówka barometru gwałtownie opada. Na chwilę przed zapadnięciem ciemności skończyła się cisza i zerwał się gwałtowny wiatr, który wkrótce przeszedł w szalejący sztorm. „Mermaid" walczyła o życie, gdyż znalazła się w krętej Cieśninie Torresa, wąskim kanale, który pochłonął wiele statków i załóg.

Wysokie fale roztrzaskały dziób statku i wrzały wokół sternika, który dla bezpieczeństwa przywiązał się do masztu. Poprzez spazmatyczne błyski światła kapitan Nolbrow widział dostatecznie dużo, żeby zdać sobie sprawę, że walczy z szalejącą burzą, a bitwa jest z góry przegrana. Wszyscy byli na pokładzie, kiedy olbrzymia fala cisnęła „Mermaid" o wierzchołek rafy i statek został rozłupany na pół niczym dojrzały melon. W kilka chwil później dwudziestu dwóch mężczyzn znalazło się w absolutnych ciemnościach.

Pośród wzburzonego oceanu jedna tylko rzecz dawała im nadzieję: skalisty wierzchołek, który sterczał nad wodą około stu metrów od tonącego statku. I cud nad cudami – kiedy zajaśniało znów światło dnia, dwadzieścia dwie pary rąk trzymały się kurczowo skały. Nikt nie zginął!

Trzy zimne, wilgotne dni i noce tkwili tam, właściwie nie mając żadnych szans. Jednak co za zrządzenie losu, cieśniną przepływała akurat barka „Swiftsure". Rozbitków dostrzeżono i zabrano na pokład.

Następnych pięć dni minęło spokojnie, dopóki „Swiftsure" nie zbliżyła się do wybrzeży Nowej Gwinei. Wtedy to i ona stała sią ofiarą fatum, które ciążyło na wyratowanych przez nią pasażerach. Bez żadnego ostrzeżenia potężny prąd, nie zaznaczony na mapach, porwał „Swiftsure" w swoje objęcia. Barka przechyliła się na burtę i rozbiła o skaliste wybrzeże. I tym razem wszyscy się uratowali!

Doczołgali się ostatkiem sił do plaży i nie minęło nawet pięć godzin, gdy byli ocaleni, tym razem przez szkuner „Governor Ready". Miał on na pokładzie trzydzieści dwie osoby, ale starczyło jakoś miejsca zarówno dla rozbitków z „Mermaid", jak i „Swiftsure". Szkuner pośpiesznie podniósł żagle i skierował się wzdłuż wybrzeża na... spotkanie z katastrofą. W trzy godziny po tym, jak rozbitkowie stanęli na jego pokładzie, „Governor Ready" stanął w ogniu.

Ładunek stanowiło drewno budowlane, płomienie rozprzestrzeniły się więc gwałtownie i wydano rozkaz opuszczenia statku. Wszyscy obecni na pokładzie stłoczyli się w kruchych łodziach bez żadnego ekwipunku. Otaczały ich setki mil otwartych wód, poza utartymi szlakami żeglugowymi. Perspektywy ratunku były mizerne, lecz niewiarygodne szczęście nie opuściło ich. Australijski kuter rządowy przypłynął przypadkowo w te okolice i zabrał rozbitków. Znowu nie zginął nikt.

Na pokładzie „Comet" słychać było głosy niezadowolenia. Załoga statku ratowniczego uważała, że na tłumie rozbitków ciąży złowieszcze przeznaczenie, mimo wielkiego szczęścia, które raz po raz ocalało im życie. Dokładnie po tygodniu kuter „Comet" wpadł w niespodziewany szkwał, który złamał maszt, zerwał nadburcia, pozbawił go steru i wydał na łaskę żywiołów. Załoga weszła do jedynej nadającej się do użytku łodzi ratunkowej i czym prędzej odpłynęła od skazanego na zagładę statku, pozostawiając nie chcianych gości samym sobie.

Osiemnaście godzin nieszczęśnicy trzymali się kurczowo wraku i odpędzali rekiny, nim dotarł do nich statek pocztowy „Jupiter" i jeszcze raz wyrwał ich z paszczy morza. Kapitanowie zrobili zbiórkę i po raz czwarty okazało się, że mimo czterech katastrof, wszyscy pozostali przy życiu!

Tej zadziwiającej historii towarzyszy jeszcze jeden osobliwy splot wydarzeń. Pasażerką „Jupitera" była starsza kobieta, Sarah Richey z Yorkshire, która płynęła do Australii w poszukiwaniu swojego syna Petera, zaginionego przed piętnastu laty. Odnalazła go niespodziewanie – był jednym z członków załogi „Mermaid", wyratowanej z morza przez „Jupitera".

POŁKNIĘTY PRZEZ WIELORYBA

Czy jest możliwe, żeby człowiek został połknięty przez wieloryba i przeżył? Jeśli nie wierzycie, posłuchajcie tej historii.

Archiwa Admiralicji Brytyjskiej dostarczają ewidentnych dowodów prawdziwości zdumiewającej relacji Jamesa Bartleya, brytyjskiego marynarza, który został połknięty przez wieloryba i przeżył, by móc o tym opowiadać.

James odbywał swoją pierwszą i ostatnią podróż jako marynarz na pokładzie statku wielorybniczego „Gwiazda Wschodu". W lutym 1891 roku statek posuwał się z łomotem żagli, pchany naprzód pomyślnym wiatrem jakieś sto mil na wschód od Wysp Falklandzkich na południowym Atlantyku.

Nagle obserwator wydał elektryzujący okrzyk: Z lewej wieloryb! Zauważył bowiem olbrzymiego kaszalota o pół mili od burty dziobowej. „Gwiazda Wschodu" spuściła żagle i wachty wielorybnicze wgramoliły się do trzech małych łódek, aby wbić harpuny w ciało potężnego ssaka, jeśli się uda.

W łodzi, która jako pierwsza dotarła do wieloryba, znajdował się młody James Bartley. Wiosłując powoli, marynarze podprowadzili swoją kruchą łupinę tak blisko niczego nie spodziewającego się stworzenia, że harpunnik mógł się wychylić i wbić ogromną włócznię w trzewia wieloryba. Podczas gdy ugodzona bestia walczyła, by uwolnić się od haka harpuna, Bartley i jego towarzysze cofali się gwałtownie, żeby wydostać się z zasięgu masywnego ogona.

Przez moment szczęście zdawało się sprzyjać marynarzom. Wieloryb zanurzył się głęboko i pociągnął za sobą dwieście pięćdziesiąt metrów ciężkiej liny. Potem nastąpiło złowieszcze rozluźnienie liny – wielkie zwierzę szło w górę – lecz gdzie wypłynie? W takich wypadkach jest to sprawa życia lub śmierci i marynarze wkrótce mieli poznać odpowiedź. Pochylili się nad wiosłami, gotowi wiosłować po swoje życie, gdy tylko będzie wiadomo, w którą stronę skierować łódkę.

Woda zakipiała wokół nich bez ostrzeżenia i rozległ się trzask kruchej łodzi, rozłupanej wyrzutem wieloryba w powietrze. Waląc wściekle ogonem, śmiertelnie zranione zwierzę ubiło wodę na krwawą pianę, zanim w agonii powtórnie dało nura w głębinę.

Pobliska łódź wyłowiła pozostałych przy życiu wielorybników, lecz dwóch brakowało. Jednym z nich był marynarz terminator James Bartley.

Wiatr, który przywiódł „Gwiazdę Wschodu" na scenę tej tragedii, opuścił ją teraz. Łopocząc lekko żaglami kołysała się na długiej, martwej fali.

Jeszcze tego samego fatalnego dnia, krótko przed zachodem słońca, umierający wieloryb wypłynął na powierzchnię, dryfując w odległości czterystu metrów od statku. Załoga pospiesznie przymocowała go liną. Upalna pogoda zmuszała do natychmiastowego ćwiartowania zwierzęcia. Ponieważ nie można było podnieść stutonowego ssaka na pokład, mężczyźni zdzierali grubą warstwę tłuszczu, ślizgając się i obsuwając wzdłuż grzbietu stworzenia. Robota brudna i niebezpieczna, jako że woda pełna była rekinów, podnieconych zapachem krwi.

Tuż przed jedenastą w nocy pracujący przy świetle latarni, mocno już zmęczeni, marynarze wyjęli żołądek i ogromną wątrobę, które wciągnięto na statek. Już na pokładzie zauważono jakieś zastanawiające ruchy we wnętrzu gigantycznego brzuszyska... Powolny, rytmiczny ruch, który sprawiał wrażenie, jakby coś oddychało.

Kapitan pospiesznie wezwał lekarza okrętowego, który dokonał ogromnego cięcia w twardym mięsie. Pojawiła się ludzka stopa, but... i cała reszta. W chwilę później wyciągnięto jednego z zaginionych marynarzy. Był to James Bartley – zgięty wpół, nieprzytomny... ale żywy!

Prawdopodobnie z braku lepszych pomysłów podekscytowany lekarz kazał polewać Bartleya wiadrami morskiej wody. Kuracja ta pozwoliła przywrócić nieszczęśnikowi przytomność, lecz nie rozum. Bartley bełkotał coś bezładnie, rzucając się po pokładzie jak w delirium.

Prawie dwa tygodnie miotał się między życiem a śmiercią, przywiązany do koi w kabinie kapitana. Stopniowo, jak zapisał lekarz okrętowy w swoich notatkach, podpisanych przez całą załogę, Bartley odzyskiwał zmysły, lecz minął miesiąc, nim był w stanie opowiedzieć, co się z nim działo.

Pamiętał, że został wyrzucony w powietrze, kiedy wieloryb strzaskał łódź, a kiedy wpadł z powrotem do morza, zobaczył rozwierającą się tuż przed nim ogromną paszczę. Krzyczał, gdy go pochłaniała. Czuł ostry, kłujący ból, kiedy przesuwał się wzdłuż małych ostrych fiszbinów. Potem poczuł, jak ześlizguje się w dół śluzowatej rury... Pamiętał walkę o oddech... kopanie... potem rozkoszne zapomnienie, dopóki miesiąc później nie odzyskał świadomości w kabinie kapitana.

Przebywał w żołądku wieloryba piętnaście godzin i w rezultacie stracił wszystkie włosy na ciele, jego skóra nienaturalnie zbielała i pozostał prawie zupełnie ślepy przez resztę życia, które spędził jako szewc, łatający stare obuwie w rodzinnym Gloucester.

Liczni lekarze z wielu krajów świata przyjeżdżali badać go i dyskutować o tym niesamowitym doświadczeniu. Żył jeszcze osiemnaście lat po tej przygodzie, a na jego nagrobku jest krótka opowieść o jego przeżyciu i dopisek: James Bartley, 1870–1909... współczesny Jonasz.

HINDUSKI TRIK Z LINĄ

Wiele farby drukarskiej zużyto na zachodzie i wschodzie, rozpisując się na temat legendarnej „hinduskiej sztuki z liną". Niektórzy twierdzą, że jest to największa sztuka iluzjonistyczna wszechczasów, inni zaprzeczają, by w ogóle była możliwa do wykonania.

Historia i opisy tej słynnej sztuki różnią się pod względem szczegółów, ale w ogólnym zarysie są do siebie podobne. Will Goldston, założyciel Londyńskiego Klubu Iluzjonistów, przedstawił taki jej opis:

„Iluzjonista siedzi ze skrzyżowanymi nogami na otwartej przestrzeni. Rzuca do góry jeden koniec leżącej w zwoju liny i kawałek ten o długości czterech i pół, a czasami siedmiu metrów staje się sztywny jak słup. Mały chłopiec wspina się po linie i balansuje na jej końcu. Na hasło iluzjonisty znika, a później zostaje znaleziony w koszu albo pojawia się nagle w tłumie, przybiegając z jakiegoś odległego miejsca. Następnie iluzjonista daje znak i lina, zwijając się, opada z powrotem na ziemię".

Czy sztuka ta jest fikcją? Czy w ogóle istnieją naoczni świadkowie potwierdzający jej wykonanie?

Historia podaje, że przed ponad tysiącem lat o sztuce tej powszechnie mówiono w Indiach. Pewien doktor filozofii przytoczył ją w 17 sutrze swojego dzieła *Vedanta sutras.*

Z tomu pt. *Osobliwości miast i dziwy podróży* słynnego arabskiego podróżnika Ibn Battuty, który w pierwszej połowie XIV wieku podróżował po Wschodzie, pochodzi poniższa relacja:

„... jeden z magów chana wziął do ręki drewnianą kulę, z wydrążonymi głębokimi, podłużnymi otworami, przez które przeciągnięty był sznur. Rzucił ją do góry, aż zniknęła z pola widzenia, czego sam był świadkiem, zaś sznur pozostał mu w ręce. Rozkazał wówczas jednemu ze swych uczniów chwycić ów sznur i wspiąć się po nim, co ten zrobił i zniknął z oczu patrzących. Nauczyciel zawołał go trzy razy, ale nie było odpowiedzi. Wziął wówczas nóż i najwyraźniej rozgniewany, złapał sznur po którym wspiął się, również znikając. Po chwili zrzucił na ziemię odciętą rękę chłopca, potem jego stopę, później drugą rękę, drugą stopę, a w końcu tułów i głowę. Potem sam zszedł na dół, z trudem łapiąc oddech, zaś jego ubranie poplamione było krwią. Na koniec mag poskładał poszczególne części ciała chłopca, po czym podeptał je i młodzieniec powstał z ziemi cały i zdrowy..."

W czasopiśmie iluzjonistów „Magic Wand" S.W. Clarke pisze o znalezieniu szesnastowiecznej wzmianki o tej sztuce. W Magdeburgu iluzjonista magik rzucił sznur wysoko w powietrze, a mały konik wspiął się po nim do góry. On sam chwycił konika za ogon i poszedł w jego ślady...

Na przełomie lat 1895–1896 Gulam Mohammad, adwokat z Rajkot, widział wykonanie tej sztuki w Bombaju, w hotelu „Great Western". W jego relacji lina i sznur z poprzednich opisów zmieniły się w nić – poza tym sam opis sztuki niewiele się różni. Mohammad stwierdza, że widział jej wykonanie przed grupą prawie dwustu osób, z których większość znał osobiście.

Istnieje jeszcze wiele innych relacji naocznych świadków wykonania hinduskiej sztuki z liną. Wydaje się więc całkiem pewne, że była ona faktycznie wykonywana, z czego wynika, że jest możliwa. Tajemnicą pozostaje tylko sposób działania maga.

Horace Goldgin, przewodniczący Londyńskiego Klubu Iluzjonistów, zapewnił, że nie tylko widział wykonanie sztuki, ale także sam nauczył się jej. W jednej ze swych broszur przyznaje szczerze, że jest „jedynym białym człowiekiem, który odkrył tę tajemnicę", po czym dodaje, że „ numer znany na całym świecie jako hinduska sztuka z liną, nazwany tak z uwagi na swoje przypuszczalne hinduskie pochodzenie, jest jedną z najstarszych sztuczek, znanych profesjonalnym iluzjonistom".

W „Daily Sketch" z 21 października 1936 roku podano: „Hinduska sztuka z liną nareszcie wykonana. Opisywana sceptycznym angielskim słuchaczom przez niezliczonych emerytowanych Anglików urodzonych w Indiach, została w końcu wykonana w Anglii przez Horacego Goldina. Przyjął on wyzwanie Klubu Iluzjonistów, które złożyło obietnicę wypłacenia 500 funtów każdemu, kto wykonując ją udowodni, że jest ona w ogóle wykonalna. Na górze liny znajdował się mały hinduski chłopiec. Kiedy H. Goldin uderzył w gong, chłopiec zniknął".

William Banker, Anglik z „Apollo Circus", opracował własny sposób wykonania hinduskiej sztuki z liną. Jego iluzjonista wykonywał ją zawsze późnym popołudniem na otwartej przestrzeni, pomiędzy dwoma budynkami. Rakiety wystrzelone w powietrze zapowiadały widowisko. Dym z owych rakiet utrzymywał się nad prawie niedostrzegalną, naprężoną nicią, przeciągniętą między budynkami.

Iluzjonista pana Bankera kilka razy podrzucał linę wysoko do góry, mamrocząc przy tym magiczne zaklęcia. Za trzecim razem lina wyprostowała się i sztywno utrzymywała w powietrzu. Publiczność nie zdawała sobie sprawy, że trzy małe haczyki, ukryte na jej końcu, zaczepiły się o nić. Po naprężonej linie wspinało się dziecko (będące znakomitym specjalistą w chodzeniu po linie). Następnie, gdy iluzjonista jakimś głupstwem zabawiał publiczność dla odwrócenia jej uwagi, dziecko odczepiało linę, rzucało ją na ziemię, a samo drobnymi kroczkami przechodziło wśród dymu i zapadającego zmierzchu do jednego z budynków. Kilku pomocników wsadzało dziecko do dużego kosza, schodziło na parter budynku i niosąc kosz, mieszało się z tłumem. Iluzjonista zauważał kosz pozostawiony przez pomocników. Tłum rozstępował się. Iluzjonista przekłuwał kosz przez środek (chłopiec tymczasem już ułożył się na dnie kosza, zwijając się tak, że środek pozostawał pusty). Magik zdejmował następnie pokrywę i już! Chłopiec, który zniknął, znów się pojawiał.

Sztukę tę łatwiej jest wykonać na scenie, trudniej na wolnym powietrzu. Wydaje się, że możemy już jednak wyjaśnić tajemnicę, w jaki sposób hinduscy uliczni magicy wykonywali ją setki lat temu.

Jeśli weźmiemy pod uwagę czas, miejsce i położenie pierwszych wykonawców, okaże się, że sztuczka była wykonywana przeważnie na pagórkowatym, a nie na płaskim terenie. Wykonujący ją fakirzy ubrani byli w długie, układające się w fałdy szaty o nazwie *loogi* i *askans*. Chłopiec miał na sobie tylko przepaskę na biodrach i podkoszulek, zwany *fatua*. Bardzo starannie wybierali oni miejsce do wykonania sztuki: między dwoma wzgórkami lub innymi wzniesieniami. Całą tajemnicą była pozioma nić, rozciągnięta od jednego do drugiego wzgórza i trzymana w naprężeniu przez dwóch pomocników, stojących po obu stronach.

W czasach tych niewidoczna nić nie została jeszcze wynaleziona, nie znano nawet strun do pianina. Hinduscy fakirzy wykonywali nici ze specjalnie spreparowanych ludzkich włosów. Przy obu końcach mogli stosować linę z katgutu, ponieważ te części przebiegającej poprzecznie nici znajdowały się w dużej odległości od widzów. Na wykonanie sztuki wybierano wieczór, tuż przed zmrokiem. Przy dźwiękach tajemniczej hinduskiej muzyki iluzjonista pokazywał zwój liny, utkanej z miękkich, bawełnianych nici. Lina ta miała około dwunastu metrów długości, na jednym z jej końców wisiał ołowiany obciążnik, a na drugim zawiązany był węzeł. Dla efektu fakir rzucał linę do góry kilka razy bez powodzenia. W końcu dzięki celnemu rzutowi koniec liny zaczepiał o zawieszoną poziomo nić. Nawet w dzisiejszych czasach przewody elektryczne i telefoniczne są prawie niedostrzegalne na tle zieleni, drzew i wzgórz, nietrudno więc uwierzyć, że widzowie nie dostrzegali poziomej nici.

Dźwiękami muzyki informowano pomocników stojących na szczytach obydwu wzgórz, kiedy ciągnąć za końce liny z katgutu. Tak więc, podobnie jak dziś unoszące się w powietrzu piłki i tańczące chusteczki są raczej podtrzymywane z góry niż z dołu, czego spodziewa się nawet współczesna widownia, w rzeczywistości linę ciągnięto z góry, a nie „stawała pionowo". Gdy osiągnęła wysokość około dziewięciu metrów, ludziom zdawało się, że wbrew prawu ciążenia, sięga ona niebios.

Pierwszą część hinduskiej sztuki z liną można zatem z powodzeniem wykonać na otwarej przestrzeni.

Przejdźmy teraz do drugiej części.

Mały chłopiec wspina się po pionowej linie, krok za krokiem, aż dociera na jej szczyt. Iluzjonista chwilę zabawia publiczność, po czym wspina się za nim, trzymając w zębach ostry nóż. Kiedy jest już przy chłopcu, rzuca takie same części ubrania, jakie miał na sobie chłopiec. Są one pomazane czerwoną farbą. Wraz z nimi rzuca kawałki mięsa świeżo zabitego zwierzęcia. Pomocnicy zbierają je z dużym namaszczeniem wraz z głośnymi uwagami typu: „Gdzie jest lewe ramię?" W tym czasie chłopiec ukrywał się pod układającymi się w fałdy szatami fakira. Wszystkie kawałki materiału i mięsa, które fakir miał początkowo pod swoim ubraniem, są już na dole i teraz chłopiec może zająć ich miejsce.

Iluzjonista schodzi na dół, zupełnie wyczerpany. Pomocnicy pozbierali już „ciało" chłopca i umieścili wszystkie kawałki w koszu. Dodatkowe atrakcje w wykonaniu pomocników odwracają uwagę widowni i chłopak, wysunąwszy się spod obszernych szat fakira, wślizguje się do kosza, następnie wyskakuje z kosza cały i zdrowy, aby zebrać monety i bakszysz.

Na sygnał długa lina opada miękko na ziemię – obydwaj pomocnicy, rozmieszczeni na dwóch wzniesieniach, rozwiązali swoje końce. Przez cały czas pali się kadzidło, rozpalono też ognisko ku czci bogów, a gęsty dym utrudnia widoczność.

Słynna „hinduska sztuka z liną" nie jest więc wcale mitem. Można ją wykonać nie tylko w pomieszczeniu, ale także pod gołym niebem.

POWIEDZ PSZCZOŁOM

Kiedy ktoś umiera, należy natychmiast powiadomić pszczoły, a ich roje okryć czernią – nakazuje stary obyczaj w Nowej Anglii. W przeciwnym razie odlecą i założą roje gdzie indziej.

Był chłodny dzień lutowy 1959 roku w południowo-wschodnim stanie Missouri. Wydawało się, że szare chmury, wiszące nisko na niebie, prawie dotykają gołych drzew. Był to smutny dzień pogrzebu.

Charles D. Hitt, drobny farmer mieszkający wśród łagodnych wzgórz koło Moreley, Scott County w Missouri, uprawiał arbuzy, a także trzymał pszczoły. Wiele lat wcześniej ktoś powiedział, że pszczoły pomagają w uprawie arbuzów, i Hitt bardzo przywiązał się do swoich pasiek.

Wydawało się, że wszedł w pewien rodzaj układu ze swoimi skrzydlatymi przyjaciółmi, które zdawały się odczuwać jego miłość i przywiązanie. Tylko on mógł ich dotykać, pracować z nimi, spacerować między rzędami rojów i nigdy nie został użądlony. Reszta rodziny zawsze trzymała się z daleka. Jeśli ktoś inny zaryzykował i zbliżył się, niezmiennie zostawał ukarany.

Gdy Hitt zmarł nagle w domu na atak serca, został przewieziony do odległej o dziesięć kilometrów kaplicy.

W dzień pogrzebu o pierwszej po południu cała rodzina była na farmie zmarłego ojca. Nagle ponad rozmowami przyjaciół i znajomych wszyscy usłyszeli brzęczenie pszczół. Pszczoły w środku zimy? To niemożliwe!

Nadszedł czas wyruszenia do kościoła i ostatniego pożegnania.

Tuziny pszczół brzęczały nad głowami uczestników pogrzebu, a jedna lub dwie delikatnie przysiadały na rękach i twarzach, jak gdyby chciały pocieszyć ludzi w ich smutku. Uczestnicy pogrzebu odjechali zdumieni.

Czy pszczoły wiedziały, że ich pan był blisko, w małym miejskim kościółku?

Uroczystości pogrzebowe odbyły się w kościele, a potem na cmentarzu Forest Hills. Kiedy rodzina zgromadziła się przy grobie, zauważono w wiązankach kwiatów mnóstwo pszczół. Wiele myśli przebiegło przez głowę córki zmarłego. Przypomniała sobie poranną rozmowę przy śniadaniu i swoje zdawkowe pytanie: „Zastanawiam się, czy pszczoły taty wyroją się dzisiaj, jak to jest powiedziane w starej angielskiej legendzie", i spokojne zapewnienie jej męża: „Nie wyroją się, jest przecież środek zimy. One zapadły w zimowy sen". Jednak pszczoły tu były!

Później, po ceremonii i ułożeniu kwiatów, cała rodzina wróciła na cmentarz. Kiedy zbliżano się do grobu, druga z córek, bardzo podniecona, zbiegła ze wzgórza krzycząc: „Pszczoły nadlatują! Jest ich mnóstwo".

Kościelny i inni, którzy jeszcze byli na cmentarzu, patrzyli razem z rodziną zmarłego na pszczoły zbliżające się „w szyku". Wielka, czarna chmura pszczół nadlatywała bezpośrednio od domu zmarłego nad dolinę. Usiadły na każdym płatku kwiatów, którymi przystrojony był grób. I nie użądliły nikogo ze zgromadzonych, mimo że pełzały po twarzach, ramionach i rękach.

Kiedy uczestnicy pogrzebu wrócili do domu, spotkali młodszego syna zmarłego. Był tak samo podniecony jak oni.

– Pszczoły taty obudziły się – powiedział – opuszczają roje setkami.

Nie wróciły. Może podążyły za swoim przyjacielem, aby się z nim połączyć?

NIEZWYKŁE ODKRYCIA

DZIWNY SILNIK JOHNA KEELY'EGO

Potężny huk silnika wstrząsnął budynkiem. Jeszcze mocniej wstrząsnął ówczesną teorię energii.

Dwudziestu trzech mężczyzn tłoczyło się w małym pokoiku, w którym stał budzący sensację motor. Zgromadzeni tu inżynierowie, bankierzy i biznesmeni byli inwestorami. Nieustannie łożyli spore sumy na nie kończące się doświadczenia wynalazcy. Od lat czekali, by zainwestowane pieniądze zaczęły wreszcie procentować. John Keely obiecał im, że właśnie dziś zademonstruje, czego dokonał. Wkrótce mieli się przekonać kim był: oszustem czy geniuszem.

Keely nie spojrzał nawet na poważne twarze ludzi stłoczonych w pokoju. Najwyraźniej ignorował zarówno ich, jak i przeraźliwy hałas, od którego drżały szyby w oknach. Z ciężkiej, stalowej maszynerii, przykręconej do potężnej, kamiennej podstawy dobiegało narastające buczenie. Zaczęła drżeć podłoga. Keely wiedział, że jest panem sytuacji, ponieważ tylko on potrafił obsługiwać maszyną. Z namaszczeniem lekko dotknął przycisku i wtedy warkot przeniknął wszystkich obecnych do szpiku kości.

Kiedy leciutka, błękitna mgiełka spalin rozwiała się, zebrani zobaczyli, jak z maszyny z nieprawdopodobną siłą wystrzeliła jednocalowa ołowiana kulka, która przebiła na wylot dwie dębowe płyty i utkwiła w piasku, w pudle umieszczonym przy przeciwległej ścianie. Tak, to robi wrażenie – przyznała komisja. – Ale kiedy ta ukryta moc będzie mogła być użyta w taki sposób, aby zwróciły się nasze koszty?

Spotkanie z komisją w listopadzie 1870 roku nie było dla Johna Kelly'ego niczym nowym. Nie po raz pierwszy urządzał dla nich pokazy, a oni niezmiennie żądali zysków.

Jak na genialnego wynalazcę, John miał niezwykły życiorys. Urodzony w Filadelfii w 1827 roku, pracował jako cieśla, skrzypek, magik, którego specjalnością były sztuczki karciane, wreszcie jako traper dotarł do Gór Skalistych. Poważnie raniony indiańską strzałą, powrócił do Filadelfii, gdzie dość długo się kurował.

Był to czas ogromnego zapotrzebowania na kontrolowaną energią. Siła wody i pary nie spełniała już wymogów potężniejącego przemysłu. Trzeba było znaleźć jakieś nowe, tanie źródło energii i okiełznać ją, by obracała koła młynów i napędzała maszyny fabryk.

John Keely po raz pierwszy zwrócił na siebie uwagę, ogłaszając w 1871 roku, że odkrył wspaniałe, nowe źródło energii. Określił je bardzo niejasno jako „urządzenie, które rozdziela siłę kontrolującą atomowy skład materii". Niektórzy poddali jego stwierdzenie w wątpliwość, inni je zignorowali – wszyscy zaś byli bardzo sceptyczni.

Keely twierdził, że jego silnik działa na zasadzie „wibracji harmonicznych", jego przeciwnicy natomiast odpowiadali, że siłą napędową było gorące powietrze, wytwarzane przez konstruktora. Jakkolwiek to działało, powstawała jakaś siła, która zgniatała stalowe szyny i rozszczepiała gigantyczne liny okrętowe na włókna. W owym czasie była to moc przekraczająca wszelkie wyobrażenia.

W grudniu 1882 roku rozwścieczeni inwestorzy zażądali wyjawienia sekretu. Keely zgodził się wyjawić tajemnicę cudownego silnika każdemu naukowcowi wskazanemu przez komisję. Wybrano Edwarda Bakela, który, gdy tylko obejrzał maszynę, przekonał się do niej. Zakomunikował zniecierpliwionym inwestorom, że chociaż nie zrozumiał istoty działania wynalazku, pojął wystarczająco dużo i stwierdza, że Keely rzeczywiście dokonał wielkiego odkrycia.

Szczęśliwa passa Johna Kelly'ego skończyła się w 1888 roku, kiedy to udziałowcy posłali go do więzienia za zlekceważenie nakazu sądowego, zobowiązującego go do ujawnienia tajemnicy silnika.

Po odbyciu kary jego eksperymenty finansowała bogata wdowa, aż do jego śmierci w 1898 roku. Udziałowcy splądrowali wówczas pracownię wynalazcy, jednak znaleziona tam aparatura i konstrukcja pozostawały dla wszystkich zagadką.

Keely zabrał swą tajemnicę do grobu. Naukowcy nigdy nie doszli do tego, jak działał jego motor. Świadkowie zaś byli zgodni tylko co do jednego: silnik wydawał huczący dźwięk. Pozostaje pytanie: czy dane im było asystować przy narodzinach wielkiego odkrycia, czy... słyszeli jedynie przekonujący szum mistyfikacji?

ZAPOMNIANY WYNALAZEK

Wiele lat wcześniej, zanim Marconi zdobył sławę wysyłając i odbierając sygnały radiowe, pewien farmer z Kentucky publicznie wysyłał i odbierał bezprzewodowo zarówno głos, jak i muzykę. Jego sukces jest nie mniej dziwny niż zapomnienie, jakie go spotkało.

Tłum, który przybył pod budynek sądu w Murray w Kentucky tego pamiętnego dnia w 1892 roku, nie miał zielonego pojęcia o historycznym znaczeniu wydarzenia, którego miał być świadkiem. Setki ludzi przybyły tam, aby wyszydzić starania ekscentrycznego faceta o nazwisku Nathan Stubblefield. Twierdził on mianowicie, że może bez użycia przewodów przesłać wiadomości na odległość. I nawet gdy zgromadzeni ujrzeli to na własne oczy, nie docenili wielkości tego wydarzenia.

A działo się to tak.

W dwu punktach, odległych od siebie o około sześćdziesiąt metrów, na trawniku przed gmachem sądu Stubblefield postawił dwa pudełka, które nie były połączone w żaden sposób. Każde pudełko zawierało telefon. Kiedy Stubblefield i jego syn rozmawiali ze sobą z przeciwnych stron trawnika, ich głosy były doskonale słyszane przez ciekawski tłum, który oblegał każde z pudełek.

Gdy historyczne wydarzenie zakończyło się, Stubblefielda powitały parskania i gwizdy. Ze złością załadował swój ekwipunek na wóz i wyrzucając sobie głupotę, że urządził ten pokaz przed bandą takich głupców, pojechał do domu.

Był rok 1892. Marconi, który miał się stać człowiekiem uważanym za ojca łączności bezprzewodowej, miał wtedy osiemnaście lat. Nathan Stubblefield, monter telefonów, ledwo wiążący koniec z końcem na farmie w Calloway County, przeprowadził publiczny pokaz transmisji bezprzewodowej ludzkiego głosu po raz pierwszy w historii ludzkości i został wygwizdany.

Jakieś wieści o wyczynie Stubblefielda dotarły jednak do gazety z St. Louis „Dispatch", która napisała do niego, prosząc o demonstrację urządzenia.

Kilka tygodni później gazeta otrzymała list z odpowiedzią, iż przyjmuje on zaproszenie, a właściwie pocztówkę, która po prostu zawiadamiała: „Zaakceptowałem wasze zaproszenie. Przyjeżdżajcie do mnie, kiedy tylko chcecie. Nathan Stubblefield, wynalazca". Jeden z reporterów „Post Dispatch" przyjechał na małą farmę Stubblefielda 10 stycznia 1902 roku. Wynalazca wręczył mu telefon zaopatrzony w parę długich na około metr dwadzieścia prętów i poprosił, by wziął on swój sprzęt i ulokował się z nim, gdzie tylko chce w sąsiedztwie, zaś pręty wbił w ziemię i przyłożył słuchawkę do ucha.

W reportażu z tej przygody, zamieszczonym w powyższej gazecie, dziennikarz opisywał, jak to odszedł na około półtora kilometra od domu wynalazcy, wbił w ziemię druty i jak pisze: „Mogłem słyszeć każdą sylabę, którą chłopiec Stubblefielda wymawiał do transmitera, tak wyraźnie, jakby stał on i mówił do mnie z drugiego końca pokoju".

W jaki sposób to się odbywało? Stubblefield wyjaśnił reporterowi, że użył jedynie pola eletrycznego, które przenika ziemię, wodę i atmosferę. Przepowiedział też, że pewnego dnia bezprzewodowe transmisje umożliwią ludziom żyjącym w Kentucky słuchanie prognoz pogody ze stolicy i słuchanie muzyki oraz wiadomości z różnych miejsc na całej kuli ziemskiej.

Artykuł pociągnął za sobą zaproszenie Stubblefielda do Filadelfii. Proszono go o zademonstrowanie swych urządzeń przed zainteresowanymi finansistami. Stubblefield odniósł tam swym pokazem niebywały sukces w maju 1902 roku, a później pojechał do Waszyngtonu, gdzie ponownie zadziwił naukowców owych czasów magią swych możliwości.

I tym razem jednak sceptycy tylko czekali na jego porażkę. Niedorzecznością było spodziewać się, że ten niewykształcony facet ze wzgórz w Kentucky wysyłał i odbierał przekazy nadawane głosem, podczas gdy Marconi mógł przesyłać tylko jakieś kreski i kropki.

Skrzynka ze sprzętem Stubblefielda została umieszczona na małym parowcu „Bartholdi", a dziesiątki ważnych osobistości zajęły przez nich samych wybrane miejsca na brzegu. Gdy wbito pręty w ziemię, rozpoczęły się rozmowy radiowe.

„Washington Evening Star" podała w nagłówkach w numerze z 21 maja 1902 roku: „Pierwszy praktyczny test telegrafii bezprzewodowej słyszalny na odległość 800 metrów. Wynalazek farmera z Kentucky. Bezprzewodowa telekomunikacja jest faktem poza wszelkimi wątpliwościami".

Aplauz wciąż dudnił w jego uszach, biznesmeni błagali o kontrakty, które umożliwiłyby mu rozwój wynalazku, a Stubblefield spakował swoje urządzenia i pojechał do domu. Obawiał się, że ktoś mógłby ukraść mu jego pomysł. Opatentował wprawdzie swoje urządzenie, ale patenty były zbyt skomplikowane dla tych, którzy usiłowali je przeanalizować.

Z czasem, gdy inni prowadzili badania nad przesyłaniem głosu na odległość, Stubblefield, który czynił to już wiele lat wcześniej, popadał w coraz to większe przygnębienie, a zarazem stawał się zawzięty. W końcu znaleziono go martwego w jego obskurnej chacie wiosną 1929 roku. Urządzenia zniknęły, a notatki były zniszczone i rozrzucone.

Teraz tylko kamień pamiątkowy na trawniku przed sądem w Murray znaczy miejsce, gdzie Stubblefield wpisał się na karty historii w roku 1892.

Przepowiedział on z zadziwiającą dokładnością cud radia i telewizji, a o sobie powiedział zadziwiająco trafnie: „Żyłem o pięćdziesiąt lat za wcześnie".

ZAKLINACZ DESZCZU

Przez dwa upalne, gorące lata zaledwie pięć centymetrów deszczu spadło na spieczoną ziemię wokół San Diego. Do stycznia 1916 roku miasto było na krawędzi suszy. Już trzy miesiące upłynęły od ostatniego, skąpego, przelotnego deszczyku. Zbiorniki były praktycznie puste. Coś trzeba było zrobić, i to szybko.

Ryzykując, że zostaną wzięci za idiotów, nękani członkowie rady miejskiej głosowali za tym, by skorzystać z usług człowieka zawodowo zajmującego się sprowadzaniem deszczu. Mieli propozycję od niejakiego Charlesa Hatfielda, byłego sprzedawcy maszyn do szycia, który twierdził, że za opłatą może sprowadzić deszcz. Zaangażowano go.

I dzięki Hatfieldowi deszcze nadeszły jak towar „płatny przy odbiorze".

Jak sam stwierdził, zauważył on, że po wielkich bitwach często bywały wielkie burze. Zwrócił też uwagę, że podczas wielkich bitew chmury dymu armatniego unosiły się w niebo. Dla Hatfielda stanowiło to dowód, że spalony proch – jak to ujął – naruszał równowagę przyrody w powietrzu. Kiedy równowaga ta została już naruszona, jak mówił Hatfield, tworzyły się chmury i spadał deszcz.

Od wielu lat eksperymentował na farmie swego ojca w stanie Kansas, ustawiając na wieżach ogromne, drewniane kadzie... kadzie, z których unosiły się w górę dymy chemicznych oparów, a po jakimś czasie nadciągały deszcze... Czasami nawet deszcze ulewne. Hatfield odkrył także, że są tacy, którzy zapłacą mu za jego usługi.

Farmerzy z doliny San Joaquin zatrudniali go co roku, aby sprowadzał im deszcze. Płacili mu dziesięć tysięcy dolarów rocznie i byli zadowoleni z rezultatów. Poszukiwacze złota z Dawson City, w stanie Alaska, zapłacili mu dwadzieścia jeden tysięcy dolarów, aby zmusił niebo do zapewnienia wody suchym korytom do przepłukiwania kruszcu, a jego wysiłki uwieńczone zostały dziesięcioma centymetrami deszczu.

Tak więc, gdy w końcu San Diego zgodziło się na jego propozycję wywołania deszczu w styczniu 1916 roku, nie było to dla niego nic nowego. W dniu, w którym go zaangażowano, zdemontował swoje wieże w dolinie w północnej Kalifornii, gdzie jego wysiłki „naruszenia równowagi przyrody" uwieńczone zostały czterdziestoma pięcioma centymetrami opadów.

Gdyby mógł dać San Diego choć połowę tej ilości, miasto byłoby uratowane. A gdyby mu się to nie udało, miasto by nie zbiedniało – byłoby tylko bardziej spragnione.

Głównym źródłem zapasów wody dla San Diego było jezioro Morena, sztuczny zbiornik, który całe dwadzieścia lat swego istnienia nigdy nie był bardziej wypełniony wodą niż w jednej trzeciej. Gdy Hatfield przybył na miejsce, poziom wody w jeziorze osiągnął stan krytyczny... Był to już tylko nagrzany, śmierdzący, błotnisty dół i nic więcej.

Hatfield przedstawił miastu dwie oferty: tysiąc dolarów za każde dwa i pół centymetra deszczu wieńczącego jego wysiłki albo dziesięć tysięcy dolarów za napełnienie wodą nigdy dotąd nie wypełnionego jeziora, co zabezpieczyłoby potrzeby miasta na dwa lata, nawet gdyby przez ten czas nie spadła ani kropla deszczu.

Kilka dni radni miejscy dawali wymijające odpowiedzi, mając daremną nadzieję, że przyroda sama da miastu wodę i wybawi ich z kłopotów. Ale gdy czwartego dnia ranek był tak samo upalny i bezchmurny jak poprzednie, zaangażowano Hatfielda. Kazał on więc robotnikom montować i ustawiać swoje wysokie, drewniane wieże.

Po dwudziestu czterech godzinach, od chwili gdy owe wieże zaczęły wyrzucać w niebo swe cuchnące opary, zaczął padać deszcz. Na ulicach stały tłumy wiwatujące na cześć Hatfielda. Farmerzy jechali w strugach deszczu nad brzeg jeziora Morena, aby uścisnąć mu dłoń. Lecz radość nie trwała długo. Trzeciego dnia ciągłych opadów wystawa w San Diego została zmyta, a tor wyścigowy Tia Juana zalany.

Rada miejska wezwała Hatfleida, aby spróbował, czy nie dałoby się zmniejszyć potoków deszczu. Następnego dnia szesnaście psów utonęło w miejskim stawie, po właścicieli gospodarstw hodowlanych ruszyły łodzie ratunkowe, a człowiek zajmujący się opracowywaniem prognoz meteorologicznych przyznał, że po raz pierwszy w historii miasta nie może przewidzieć stanu pogody. Linia telegraficzna i telefoniczna zostały zalane, mosty kolejowe zerwane... a deszcze ciągle padały.

Zbiorniki wodne Otay i Sweetwater wypełniły się... wylały... a w końcu zapory ziemne rozpadły się i woda z impetem popłynęła w dół doliny. Ściana wody o wysokości półtora metra pochłonęła pięćdziesiąt osób.

W tej krytycznej sytuacji wezwano wojsko... Jezioro Morena – wypełnione po brzegi – wylało po raz pierwszy w swej historii, tak jak przewidział to Hatfield. Po tym wszystkim zdemontował on swe dymiące wieże i udał się po należne mu pieniądze.

Miasto, zajęte usuwaniem skutków powodzi, odmówiło mu zapłaty, a wiele lat później jego pozew został ostatecznie odrzucony.

Naukowcy orzekli, że jest on oszustem, a jego metoda jest bezwartościowa i nieskuteczna. Lecz zanim zmarł w 1958 roku, dożył chwili, kiedy to sami naukowcy sprowadzili deszcz, wyrzucając w powietrze chemiczne opary. Tak jak on to robił przed czterdziestu laty.

ISKRA ŻYCIA?

Czy pewien zapomniany naukowiec amator odkrył iskrę życia? Czy Andrew Crosse przypadkowo stworzył życie, oddziałując prądem elektrycznym na związki chemiczne? Jeżeli nie, to co to było? Notatki z przebiegu jego doświadczenia są jasne, ale wynik eksperymentu pozostaje ciągle zagadką.

Sąsiedzi Andrew Crosse'a uważali go za diabła. Nie wiedzieli, skąd się biorą w nocy błyski w jego laboratorium. A on po prostu eksperymentował ze swoimi urządzeniami elektrycznymi. Nie tylko bano się i wystrzegano „człowieka piorunów i błyskawic", ale głoszono także, że jest ateistą, bluźniercą i Frankensteinem, który powinien zostać zakuty w łańcuchy w imię bezpieczeństwa ogółu.

Andrew Crosse zajmował się bardzo dziwnymi rzeczami – jak na początki XIX wieku. Jeden z jego eksperymentów do dziś uważany jest za rzecz bardzo tajemniczą.

Był zapalonym amatorem doświadczeń z elektrycznością. Nie miał żadnego kontaktu z innymi naukowcami i nie wiedział, co dotychczas osiągnięto w tej dziedzinie. Nie wiedział właściwie, co sam robi. Jednak może właśnie ta niewiedza pozwoliła mu przeprowadzić eksperyment, którym wpisał się do księgi zagadek nauki.

Andrew chciał otrzymać sztuczne kryształy na drodze oddziaływania słabego prądu elektrycznego na określone związki chemiczne. Zmieszał krzemian potasu z kwasem wodorochlorowym i wrzucił do tej mieszanki duży kawałek tlenku żelaza. Następnie przepuścił przez roztwór prąd z małej baterii. Miał nadzieję, że w ten sposób otrzyma sztuczne kryształki krzemu.

Taką mieszaninę związków chemicznych i prądu odstawił na jakiś czas i wrócił do swojego ulubionego zajęcia – wywoływania i obserwowania błysków, które tak niepokoiły sąsiadów.

Czy przypadkowo odkrył sposób tworzenia się życia z materii nieogranicznej?

W sprawozdaniu dla Londyńskiego Towarzystwa d/s Elektryczności Andrew dokładnie przedstawił swoje doświadczenie. Pisał: „Czternastego dnia po rozpoczęciu eksperymentu zaobserwowałem przez szkło powiększające kilka małych, białawych ziarenek, przylepionych wokół naelektryzowanego tlenku żelaza. Cztery dni później ziarenka te powiększyły się i zauważyłem, że od każdego z nich odchodzi sześć albo osiem włókienek.

Dwudziestego szóstego dnia obiekty przybrały kształt owadów. Chociaż uważałem to za coś niezwykłego, nie przywiązywałem do tego dużej wagi aż do dnia dwudziestego ósmego, kiedy zobaczyłem, że obiekty te poruszają nogami. Muszę przyznać, że oniemiałem z wrażenia. Kilka dni później odczepiły się od kamienia i poruszały się swobodnie w żrącym roztworze kwasowym.

W ciągu kilku tygodni na tlenku żelaza powstało ponad sto nowych osobników. Zauważyłem, że miejsze mają sześć nóg, a większe osiem. Pokazałem je kilku naukowcom. Niektórzy twierdzili, że są to roztocze, inni byli przekonani, że to zupełnie nowy gatunek.

Nigdy nie odważyłem się wygłaszać opinii na temat przyczyn ich narodzin. Po prostu nie wiedziałem, co powiedzieć. Myślałem, że mogły narodzić się w powietrzu, wniknąć do roztworu i tam dalej się rozwijać. Przeprowadziłem więc taki sam eksperyment w szczelnie zamkniętych naczyniach i okazało się, że wynik był identyczny. Dlatego jestem pewien, że muszą one rodzić się w naelektryzowanym roztworze dzięki jakiemuś procesowi, którego nie potrafię wyjaśnić".

Andrew Crosse wiedział, jak ryzykowne jest to, co głosi. Opisując doświadczenie tak niezwykłe i niezrozumiałe, narażał się na kpiny ze strony innych naukowców. Nie musiał długo czekać. Okrzyknięto go żartownisiem i oszustem. Mówiono, że jego rzekome owady to tylko brednie.

Crosse był bezsilny. Nie stanęli po jego stronie nawet ci, którzy przeprowadzili jego doświadczenie i otrzymali podobne wyniki.

Wreszcie odezwał się głos w jego obronie i był to głos tak silny, że nikt nie śmiał mu się sprzeciwić. Należał do wielkiego Michaela Faradaya.

Faraday złożył raport w Instytucie Królewskim, że przeprowadziwszy eksperyment Crosse'a także zaobserwował rozwój małych żyjątek. Wiedział, że wynik tego eksperymentu może być kamieniem milowym w rozwoju nauki.

Crosse nigdy nie twierdził, że odkrył coś nowego. Po prostu składał relację z tego, co zaobserwował. Kiedy wrzawa wokół niego ucichła, zamknął się w swoim domu w Quontock Hills i żył tam szczęśliwie wiele lat, pomiędzy probówkami i bateriami.

MARTWI ODKRYWCY

Od wieków ludzie szukali drogi z Atlantyku na Pacyfik przez Morze Arktyczne – słynnego przejścia północno-zachodniego. Lecz ci, którzy je w końcu znaleźli, nie byli tego świadomi ani w ogóle nic już nie czuli – byli martwi.

W poszukiwaniu wodnej drogi, łączącej kontynent Ameryki Północnej z Morzem Arktycznym, wielu ludzi straciło fortuny. Jedni robili to dla sławy, inni w nadziei skrócenia drogi handlowej. I wreszcie tak długo poszukiwane przejście zostało odkryte – ale w jakże niesamowitych okolicznościach. Gdyby nie została tak dobrze udokumentowana, historia odkrycia północno zachodniego przejścia arktycznego byłaby zupełnie niewiarygodna.

Rankiem 12 sierpnia 1775 roku amerykański statek wielorybniczy „Herald" krążył wokół zachodnich brzegów Grenlandii, daleko za kołem podbiegunowym. Polowanie na wieloryby dawało kiepskie wyniki, więc podwojono liczbę obserwatorów, aby nie przegapić zwierzyny. Mijała godzina za godziną, a „Herald" wciąż płynął przez puste, lodowate przestrzenie... Może niezupełnie puste, ponieważ pomiędzy wielkimi górami lodowymi obserwatorzy dostrzegli trójmasztowy szkuner, najwyraźniej dryfujący bez celu. Żagle szkunera wisiały w strzępach, maszty były oblodzone. Statek wyglądał jak wymarły.

Kiedy dostrzeżono dziwny szkuner, dryfował on w odległości trzech, czterech mil od „Heralda" w podmuchach łagodnego wiatru. Kapitan Warren ostrożnie posuwał się naprzód, aż tajemniczy gość zbliżył się na odległość, pozwalającą go powitać. Liczne próby nawiązania kontaktu ze szkunerem nie przyniosły jednak żadnego rezultatu. Statek nie dawał znaku życia. Kapitan Warren wraz z ośmioma marynarzami wsiadł do łodzi i podpłynął do statku-widma. Długi upływ czasu i niepogody prawie zatarły jego nazwę, ale Warren zdołał ją w końcu odczytać. Statek nazywał się „Octavius". Nigdy o nim nie słyszał.

Płynąc wzdłuż burty szkunera, Warren ponawiał powitanie, ale znów odpowiedziała mu tylko cisza. Żaglowiec wyglądał jak siedlisko duchów. W tej sytuacji nie można się dziwić, że żaden z marynarzy nie wykazał specjalnej ochoty, by wejść na jego pokład. Ponieważ nie było ochotników, kapitan Warren sam wyznaczył czterech marynarzy i razem z nimi wdrapał się na górę po zgniłych linach zwisających przez burtę.

Kiedy znaleźli się na górze, musieli stąpać ze szczególną ostrożnością, gdyż deski pokładu były mocno przegniłe i pokryte śliskim, zielonym mchem. Przy sterze nie było nikogo. Podobnie na całym pokładzie. Ale za to pod pokładem czekała ich nieprzyjemna niespodzianka. W pomieszczeniach załogi znaleźli ciała dwudziestu ośmiu ludzi – wszystkie w kojach, mocno opatulone... i wszystkie doskonale zakonserwowane przez arktyczny mróz.

Ślizgając się po omszałych deskach, marynarze dostali się na rufę, a stamtąd do kabiny kapitana... Siedział na krześle przy biurku, z głową pochyloną do przodu i piórem leżącym obok dłoni. Wyglądał, jakby tylko zasnął przy pracy. Jego ręce i twarz były pokryte cienką warstwą zielonkawej pleśni, ale poza tym ciało było dobrze zachowane. W głębi kapitańskiej kajuty znalazła także śmierć kobieta, najwyraźniej jego żona. Spoczywała na łóżku, szczelnie zawinięta w koc.

W rogu pomieszczenia siedział po turecku marynarz, lekko przechylony, z krzesiwem w mocno zaciśniętych dłoniach. Przed nim leżała mała kupka wiórów – niemy świadek nieudanej próby rozpalenia ognia. Obok, z twarzą ukrytą w marynarskiej kurtce, mały chłopiec kulił się, szukając ciepła, którego nie było.

Kapitan Warren i jego ludzie zdjęli czapki z głów, zmówili modlitwę za zmarłych i wspięli się na pokład rozlatującymi się schodami, zabierając ze sobą dziennik okrętowy.

Stojąc przy relingu na swoim statku, kapitan Warren długo jeszcze wpatrywał się w wymarły żaglowiec, jak dryfował pomiędzy górami lodowymi, aż wreszcie zginął mu z oczu.

W dzienniku okrętowym „Octaviusa" pod datą 11 listopada 1762 roku znaleziono ostatni zapis. Mówił on o tym, że statek został uwięziony w lodach przed siedemnastu dniami. Ogień zgasł.

Kapitan próbował go ponownie rozniecić, lecz mu się to nie udało... Przekazał krzesiwo pierwszemu oficerowi. Załoga z lękiem w sercach oczekiwała na wiadomość o rozpaleniu ognia – zimno było nie do zniesienia i w oczy zaglądała im lodowa śmierć.

Położenie statku? 160° długości geograficznej zachodniej i 75° szerokości geograficznej północnej. Kapitan Warren przeczytał to jeszcze raz, żeby upewnić się, czy dobrze widzi. Poprosił swoich oficerów o sprawdzenie pozycji określonej w dzienniku. Wszystko się zgadzało. W dniu swej zguby „Octavius" ugrzązł wśród lodów Morza Arktycznego, na północ od Point Barrow w stanie Alaska, tysiąc mil od miejsca, gdzie napotkał go kapitan Warren.

W jakiś cudowny sposób po śmierci załogi statek przetrwał działanie warunków atmosferycznych i powoli, rok po roku, przemieszczał się na wschód przez ogromne pola lodowe, aż w końcu wpłynął na Morze Arktyczne. „Octavius" znalazł długo poszukiwane przejście północno-zachodnie. Uczynił to z martwym kapitanem i martwą od trzynastu lat załogą. Martwi odkrywcy.

NIEZWYKLI LUDZIE

KARŁY I LILIPUTY

Czy istniała kiedyś na Ziemi rasa maleńkich ludzi? Jak wyjaśnić istnienie na całym świecie budowli i przedmiotów, które zdają się być dziełem miniaturowych istot ludzkich? Czy znane nam z bajek krasnoludki są właśnie tym tajemniczym ludem, którego ślady tak intrygują archeologów?

Uczeni od dawna próbują rozwiązać zagadkę labiryntu wąskich tuneli i schodów, które zostały odkryte w Sacsahuaman w ruinach z czasów sprzed epoki Inków oraz w innych najstarszych miastach Ameryki Południowej. Tunele te są tak ciasne, że nawet dzieciom trudno jest przecisnąć się przez ich ostre zakręty, a furtki tak wąskie, że używać ich mogłyby wyłącznie karzełki. Jednakże i tunele, i furtki noszą ślady użytkowania, nawet intensywnego, gdyż twarde kamienie, którymi wyłożono korytarze, są mocno wytarte.

Kim byli ci miniaturowi ludzie?

Skąd przybyli?

Co się z nimi stało?

Prawdopodobnie nigdy nie znajdziemy odpowiedzi na te pytania. Jest na to za późno. Odkrycie jakichkolwiek wskazówek lub dowodów graniczyłoby z cudem. Wszystko, co pozostało, to kilometry wąskich tuneli, wykutych w twardej skale i wydeptanych maleńkimi stopami, oraz dzieła sztuki, znajdowane w rozmaitych miejscach na Ziemi, a wśród nich przepiękne maleńkie ozdoby z kości słoniowej i tak zwane pigmejskie krzesiwa, a także perfekcyjnie wykonane groty do strzał, długie zaledwie na dwa i pół centymetra, ale niewątpliwie wykonane ludzkimi rękami.

Ręce, które stworzyły te przedmioty, zniknęły w otchłani czasu, ale istnieją świadectwa, że ci ludzie byli naprawdę bardzo mali.

Do dziś spotyka się przedstawicieli rozproszonej rasy małych ludzi. Należą do niej Buszmeni z Afryki. Dojrzały człowiek z tego plemienia ma około stu dwudziestu centymetrów wzrostu. Niektórzy australijscy aborygeni mierzą mniej niż sto pięćdziesiąt centymetrów, ale najmniejsi z nich robią wrażenie skarłowaciałych, prawdopodobnie z powodu chorób albo niedożywienia. Jednak ani Buszmeni, ani aborygeni nie są naprawdę mali.

Rzeczywiście maleńcy ludzie żyją między nami.

Mogliby oni z łatwością używać „pigmejskiego krzesiwa" i spacerować po zbyt ciasnych dla nas korytarzach, które tak ciekawią naukowców.

Tych ludzi jest kilkadziesiąt tysięcy i można ich podzielić na dwie kategorie: karły, które mają głowy i tułów normalnej wielkości, ale krótkie ręce i nogi, oraz liliputy, które są na ogół proporcjonalnie zbudowane, ale znacznie mniejsze od zwykłych ludzi.

Niektórzy z nich wyróżnili się w wielu dziedzinach. Karol III, Pepin Mały, Grzegorz z Tours, historyk Procopius, wszyscy byli albo karłami, albo liliputami. Hun Attyla, zwany „biczem bożym" także był karłem. Hussein Pasza, wsławiony swoimi reformami politycznymi, był liliputem. Ezop, autor słynnych bajek, był karłem i miał około metra wzrostu. Angielski malarz Gibson, mierzył dokładnie dziewięćdziesiąt trzy centymetry, jego żona tyle samo, ale ich dziewięcioro dzieci osiągnęło normalny wzrost. W Londynie w 1742 roku znany złotnik Robert Skinner poślubił dziewczynę swojego wzrostu, a ich ślub stał się wydarzeniem głośnym w całym kraju, ponieważ oboje mieli po siedemdziesiąt sześć centymetrów. Ich małżeństwo zostało pobłogosławione czternaściorgiem kształtnych dzieci normalnego wzrostu. W wieku czterech lat każde z nich było wyższe od rodziców.

Najsłynniejszym z amerykańskich liliputów był Charles Stratton z Bridgeporst w stanie Connecticut, który przestał rosnąć w wieku pięciu miesięcy, kiedy miał zaledwie pięćdziesiąt trzy centymetry wysokości czy raczej krótkości. Był pokazywany publicznie jako Tomcio Paluch i zebrał ogromną fortunę. Podczas pokazów w Londynie jego opiekun, P.T. Barnum, usłyszał o ślubie złotnika Rogersa Skinnera i jego maleńkiej oblubienicy i zdecydował, że przygotuje podobne widowisko w Ameryce. Ślub, który potem nastąpił, Tomcia Palucha i Lavinii Warren, damy tej samej co on postury, stał się jednym z najgłośniejszych wydarzeń dekady. Punktem kulminacyjnym uroczystości było zaprezentowanie maleńkiej pary prezydentowi Lincolnowi i jego małżonce w Białym Domu.

Prawdopodobnie najmniejszą z istot ludzkich, występujących publicznie w Ameryce, była dziewczyna z Meksyku, Lucia Zarate, która miała podobno tylko czterdzieści pięć centymetrów wzrostu i ważyła niecałe sześć kilogramów w wieku dwudziestu lat. Została przeszmuglowana do Stanów Zjednoczonych w torbie.

Od czasów biblijnych aż po koniec średniowiecza karły i liliputy traktowano w sposób szczególny. Niektórzy z cesarzy rzymskich kolekcjonowali karły, tak jak inni ludzie zbierają obrazy. W 1566 roku kardynał Vitelli wydał w Rzymie bankiet, na którym gośćmi honorowymi były trzydzieści cztery karły.

Piotr Wielki w 1710 roku utrzymywał siedemdziesięciu dwóch maleńkich ludzi jako dworzan. Byli oni specjalną atrakcją uroczystości dworskich.

Najsłynniejszy angielski liliput, Geoffrey Hudson, miał około czterdziestu pięciu centymetrów wzrostu w wieku trzydziestu lat, kiedy to stoczył niezapomniany pojedynek z żarłocznym indykiem, który obraził go kradnąc mu obiad.

Geoffrey zwyciężył w pojedynku... i zjadł indyka.

OLBRZYMY NA ZIEMI

Czy prawdą jest, co mówi *Biblia*, że „byli ongiś na Ziemi olbrzymi"?

Przez wieki Chińczycy wygrzebywali skamieniałe szczątki wymarłych dinozaurów oraz innych gigantycznych zwierząt i ścierali je na proszek. Sprzedawali go jako skuteczne na wszystko lekarstwo za bajońskie sumy, argumentując, że sporządzony jest ze świętych smoków.

W innych częściach świata znaleziska stosunkowo młodych szczątków mastodontów były bardzo często mylnie brane za szczątki gigantycznych ludzi. Mieszkańcy wyspy Shemya uważali, na przykład, że kości nogi mastodonta wskazują na ciężką budowę ciała ich przodków.

Wśród legend wielu narodów znajdują się opowieści o gigantycznych ludziach, którzy kiedyś wędrowali po świecie. Przekazy naukowe informują, że istnieją niejakie materialne dowody na poparcie tych legend.

W pobliżu Brayton, w okolicy źródeł rzeki Tennessee, znaleziono kilka śladów stóp, odciśniętych w twardej teraz skale. Należały one do człowieka, którego pięty mierzyły trzydzieści i pół centymetra szerokości. Ślady pokazywały wyraźnie, że człowiek ten miał sześć palców i żył w tym samym czasie, co gigantyczne zwierzę przypominające konia o kopytach mierzących trzydzieści i trzy dziesiąte na trzydzieści i pół centymetra.

Dowodem na istnienie człowieka w bardzo odległych czasach są rysunki na skałach w Kanionie Supai, na obszarze sławnego Wielkiego Kanionu. Jeden z nich przedstawia dinozaura typu *Tyranosaurus rex*, który stoi wyprostowany na swoim wielkim ogonie i pewnie czyha na ofiarę.

Dinozaury prawdopodobnie wymarły na długo przed pojawieniem się człowieka na Ziemi, jednak rysunek przedstawiający dinozaura w akcji musiał być przecież wykonany przez człowieka! Rysunek jest tak stary, że zawarte w wodzie sączącej się ze skały żelazo utworzyło ochronną powłoczkę, co zwykle trwa niezliczone wieki. Istnieją także dowody, że dinozaury mieszkały na bagnach, a na terenie, na którym znajduje się rysunek, nie było wody od ponad dziesięciu milionów lat. W kanionie Havasupai jest jeszcze jeden rysunek skalny, pokazujący olbrzymiego człowieka, broniącego się przed mamutem albo atakującego go. Również i ten rysunek jest pokryty patyną wieków.

W 1958 roku w pewnej włoskiej kopalni znaleziono szkielet ludzki. Warstwa węgla, w której leżał, liczyła około jedenastu milionów lat. Był on jednak stosunkowo młody, ponieważ w listopadzie 1926 roku w kopalni Eagle Coal Mine w Bear Creek, w stanie Montana, górnicy znaleźli dwa olbrzymie ludzkie zęby trzonowe w warstwie obliczonej na co najmniej trzydzieści milionów lat. Były tak wielkie, że mogły należeć tylko do jakiegoś olbrzyma.

W 1833 roku w Lompock Rancho, w stanie Kalifornia, żołnierze przygotowujący dół na proch dokopali się do warstwy żwiru i znaleźli w niej szkielet olbrzymiego człowieka o wysokości około trzech metrów sześćdziesięciu pięciu centymetrów. Szkielet otaczały rzeźbione muszelki, wielkie kamienne siekiery i kawałki porfiru, pokryte niezrozumiałymi symbolami. Olbrzym miał jedną cechę wartą odnotowania: dwa rzędy zębów na górze i na dole.

Kiedy tubylcy zaczęli przypisywać olbrzymowi jakieś religijne znaczenie, władze rozkazały zakopać szkielet wraz ze znalezionymi przy nim przedmiotami.

Na wyspie Santa Rosa odkryto podobny wielki szkielet. Późniejsze badania wykazały, że olbrzym ten żywił się małymi słoniami, które żyły kiedyś na tej wyspie i które wyginęły niezliczone wieki temu.

W 1891 roku w pobliżu Crittenden, w stanie Arizona, robotnicy natknęli się na olbrzymi kamienny sarkofag, znajdujący się dwa i pół metra pod ziemią. W sarkofagu była granitowa trumna, w której kiedyś złożono ciało człowieka o wysokości ponad dwa i pół metra i sześciu palcach u stóp. Jego ciało dawno obróciło się w proch. Jeszcze jeden świadek prawdy głoszonej w *Księdze Rodzaju*, że dawno, dawno temu na Ziemi żyły olbrzymy.

NAJSILNIEJSZY CZŁOWIEK ŚWIATA

Nie wszyscy olbrzymi są silni i nie wszyscy siłacze są olbrzymami. Pokazy siły wybitnych ludzi znacznie różnią się od siebie, a niektóre z nich są wręcz nieprawdopodobne.

Legendarny Goliat z *Biblii* był obrzymem przybyłym z Gath. Wysoka na sześć łokci i jedną piędź (ponad trzy metry) postać Goliata górowała na polu walki, wzbudzając paniczny strach samą wielkością. Goliat zabawiał się rzucaniem głazów w szeregi wroga, co ma swoją ironiczną wymowę, jako że sam miał paść ofiarą kamienia wystrzelonego z procy przez Dawida.

Klaudiusz Cezar sprowadził do Rzymu giganta o imieniu Baggaras, olbrzymiego Araba, który, jak się podaje, miał ponad dwa i pół metra. Podobnie jak Goliat, Baggaras z upodobaniem popisywał się swoją siłą, ale szczegóły są tak mgliste, że nie jesteśmy w stanie powiedzieć dokładnie, co potrafił, dlatego też został uhonorowany tylko małą wzmianką na liście siłaczy.

W większości olbrzymi nie są specjalnie silni. Dzięki wydłużonym kościom ramion i nóg osiągają oni nadzwyczajną wysokość bez współmiernej do niej muskulatury, potrzebnej do popisywania się siłą. O'Byrne, słynny gigant irlandzki, którego szkielet wysokości dwa metry pięćdziesiąt jeden centymetrów stoi w Royal College w Londynie, jest typowym tego przykładem. Był on zdrowy i wysoki, ale często miał kłopoty z dźwignięciem ciężarów, które nie sprawiały trudności niższym ludziom.

Nasz bohater był wyjątkiem od reguły.

Nazywał się Angus McAskill. Urodził się w Szkocji w 1825 roku jako jedno z trzynaściorga przeciętnych dzieci. Gdy miał około dwunastu lat, rodzice przywieźli go do Nowej Szkocji, gdzie pracował w tartaku swego ojca w Englishtown. Już wtedy Angus okazał się niezwykle silnym chłopcem. Mając szesnaście lat, mierzył około metra dziewięćdziesięciu, w wieku siedemnastu lat miał dwa metry wzrostu.

Po upływie dwóch lat ludzie zatrzymywali się, wytrzeszczając na niego oczy. Na swoje dziewiętnaste urodziny Angus McAskill miał już dwa metry trzydzieści centymetrów wzrostu i był tak silny, na jakiego wyglądał. Gdy zasłabł jeden z koni jego ojca, Angus zastąpił go w parze, dorównując siłą drugiemu koniowi. Angus, człowiek umiarkowanie pijący, wszedł pewnego razu do szynku, podniósł stuczterodziestogalonową beczkę (ok. 530 l) i napił się z otworu po szpuncie. Lekarze nowojorscy, którzy mierzyli go w 1845 roku, oznajmili, że jego klatka piersiowa ma metr siedemdziesiąt pięć w obwodzie, waży on sto osiemdziesiąt cztery kilogramy i nie ma ani grama tłuszczu.

Angus był religijnym, miłującym pokój młodym olbrzymem, który nie szukał kłopotów, jednak potrafił dać sobie z nimi radę, gdy był do tego zmuszony. Ważący sto czternaście kilogramów bokser wagi ciężkiej z doków w Nowym Jorku zmusił Angusa do walki, oskarżając olbrzyma z Nowej Szkocji o tchórzostwo. W łodzi pełnej zawodowych hazardzistów bokser przypłynął do Englishtown, aby dać młodemu gigantowi lekcję na ringu. Przyjaciele Angusa musieli choćby spod ziemi wygrzebać pieniądze na pokrycie zakładów towarzyszących meczowi. Nikt nigdy nie widział Angusa w walce, ale ci, którzy najlepiej go znali, nigdy też nie widzieli go cofającego się przed sprawdzianem siły, jakkolwiek byłby on niebezpieczny, toteż postawili na niego ostatni grosz.

Tłum krzyczał z podniecenia, gdy dwóch mężczyzn wskoczyło na ring w starej stodole, gdzie miała odbyć się walka. Przeciwnicy wyszli na środek ringu i uścisnęli sobie dłonie. Nagle zawodowy bokser krzyknął i padł na kolana. Walka była skończona. Angus zmiażdżył przeciwnikowi rękę w swoim uścisku.

P.T. Barnum słyszał o tym sympatycznym olbrzymie, który dla zabawy przenosił konie gospodarskie ponad ogrodzeniem. Zabrał on Angusa na pięcioletnie tournée, zapowiadając w programie jego i Tomcia Palucha jako największego i najmniejszego człowieka świata. Na zakończenie każdego występu Tomcio Paluch tańczył gigę na dłoni olbrzyma.

Fatalną słabostkę McAskilla było to, iż nie potrafił oprzeć się chęci pójścia o zakład, gdy w grę wchodziła jego wielka siła. Raz, aby wygrać dolara, Angus wyszedł w Nowym Jorku na ulicę i brodząc po kolana w błocie wyprzągł konie, które nie mogły ruszyć z miejsca ciężko naładowanego wozu. Podczas gdy tłum wiwatował na jego cześć, Angus McAskill naprężył się w uprzęży i powoli wyciągnął wóz z błota.

Inny zakład ostatecznie zakończył się jego śmiercią.

W grę wchodziła kwota tysiąca dolarów i aby ją wygrać, McAskill musiał podnieść kotwicę statku, ważącą prawie tonę. Angus podnosił już większe ciężary, ale ten był niewygodny ze względu na swój kształt. Stopniowo olbrzym utrzymał w równowadze ten potworny ciężar i z żyłami nabrzmiałymi jak postronki, z purpurową twarzą uniósł kotwicę powoli nad swoją głowę.

Wygrał zakład, ale zbyt wielkim kosztem. Opuszczona kotwica jedną z łap zawadziła o jego ramię, wytrącając go niebezpiecznie z równowagi. Gigant uniknął zmiażdżenia, ale łapa kotwicy zgniotła jego muskularne ramię i kariera Angusa McAskilla raptownie się skończyła.

Uratował swoje pieniądze i wrócił do domu w Nowej Szkocji, gdzie zmarł w 1863 roku. W trakcie jego kariery nikt nie zdołał odebrać mu tytułu najsilniejszego człowieka świata.

ZBUNTOWANY GENIUSZ

Biografia Williama Sidisa zaczyna się od rozpoznania w nim geniusza w wieku czterech lat, a kończy na uznaniu go za człowieka przegranego w wieku lat czterdziestu. Co dziwniejsze, przegrana Williama Sidisa była jego własnym wyborem.

Kiedy mały William miał dwa lata, czytał podręczniki licealne, co nie było wielką niespodzianką, gdyż w szóstym miesiącu życia rozpoznawał litery alfabetu. Na swoje czwarte urodziny chłopiec napisał pod kierunkiem ojca dwie rozprawki, po pięćset słów każda, jedną po angielsku, a drugą po francusku.

Rok później William uczcił swoje urodziny kolejnym osiągnięciem naukowym: napisał poważną pracę z zakresu anatomii, zaś jego ojciec promieniał z zachwytu i dumy. Profesor Borys Sidis zabrał pracę do Harvardu, żeby pokazać ją swoim uczonym kolegom, i wprawił ich w zdumienie. Jednak ani ojciec, ani jego koledzy nie wiedzieli, że dziecko chowa w zanadrzu jeszcze jedną niespodziankę. Mały Sidis oświadczył, że opracował metodę obliczania dnia tygodnia, na który przypadnie dowolna data w kalendarzu. Jego metoda sprawdziła się i pozwalała otrzymać właściwe wyniki do dziesięciu tysięcy lat wstecz.

Przed ukończeniem dziesięciu lat chłopiec napisał podręcznik geometrii w języku greckim. W wieku jedenastu lat był studentem Harvardu. Przyjęto go już dwa lata wcześniej, ale władze uczelni zdecydowały, że powinien trochę poczekać, zanim zacznie studia.

Dwuletni geniusz – i dorosły przegrany? Jak to się stało?

Wydarzenia z jego życia ułożone w chronologicznym porządku sugerują kilka odpowiedzi, ale nie dają konkretnych wyjaśnień.

Borys Sidis wykładał psychologię patologiczną w Harvardzie. Znany był jako autor kilku książek na ten temat i jako szanowany profesor. Na krótko przed urodzeniem syna podjął tragiczną w skutkach decyzję, żeby swoje teorie na temat rozwoju umysłowego przetestować na dziecku jak na śwince morskiej. W ten sposób zrujnował życie dwóch osób: syna i swoje własne.

Jednym z założeń ojca było, że mózg należy ćwiczyć tak jak mięśnie – zaczynając wcześnie i stopniowo zwiększając trudność i intensywność ćwiczeń. Kiedy William przyszedł na świat, jego przyszłość dosłownie rozstrzygnęła się w kolebce. Srogi ojciec powiesił litery na sznurkach nad kołyską i kilka razy dziennie wskazywał je, wykrzykując ich nazwy. Ciągnęło się to godzina po godzinie, dzień po dniu. Nic dziwnego, że po sześciu miesiącach William umiał rozróżniać litery.

Cóż było dalej?

Żadnych głupich wierszyków dla dzieci, zdecydował Sidis senior. Zamiast nich zasypywał dziecko podręcznikami. Geografia, geometria, fizjologia i greka były pokarmem codziennym nieszczęsnego malca. Nie wolno mu było bawić się z kolegami. Jego światem był prefabrykowany labirynt wiedzy. Miesiąc po miesiącu następował niewiarygodny rozwój umysłowy dziecka, ku podziwowi kolegów ojca i przerażeniu bezradnej matki.

Chociaż inteligentny, Sidis ojciec był jednak zaślepiony. W wieku ośmiu lat William nabrał zwyczaju chichotania w niewłaściwych momentach, co było histeryczną reakcją na zbyt duży wysiłek umysłowy. Śmiech ten zapowiadał katastrofę, ale ojciec nie umiał odczytać ostrzeżenia.

Punkt kulminacyjny przesycenia umysłu Williama wiedzą nastąpił, kiedy czternastoletni chłopiec przygotował dla profesorów Harvardu wykład o czwartym wymiarze. (Był rok 1912). Gdy skończył mówić, salę wypełniły owacje, a nastoletni geniusz odwrócił się od pulpitu chichocząc historycznie i nie panując nad sobą.

Po długim pobycie w sanatorium w Portsmouth, w stanie New Hampshire, chłopiec wrócił do Harvardu i skończył studia z honorami. W wywiadzie dla prasy powiedział, że wszystko, czego pragnie, to móc żyć normalnie. William nie zgodził się na dalszy udział w eksperymencie ojca.

Został nauczycielem w Instytucie Rice w Houston i wkrótce przekonał się, że nie umie nawiązywać kontaktu z ludźmi. Bał się ich w szkole i poza nią. Bunt przeciwko ojcu i całemu światu popchnął go do wzięcia udziału w rozruchach pierwszomajowych, za co dostał wyrok osiemnastu miesięcy z zawieszeniem.

Na cztery miesiące William zniknął. Przypadek sprawił, że natknął się na niego stary znajomy ojca. William pracował jako ekspedient w sklepie, pod zmienionym nazwiskiem, za dwadzieścia trzy dolary tygodniowo. Z wyżyn spadł niemal do rynsztoka. Na usilne prośby znajomego zgodził się dać publiczny wykład o prawdopodobieństwie życia na Marsie. Zamiast tego, całą godzinę mówił o komunikacji tramwajowej, ku uciesze słuchaczy.

Latem 1944 roku pojawił się w prasie nekrolog, który nie wzbudził niczyjego zainteresowania. Wyniszczony człowiek zmarł w przytułku w Brooklynie na zapalenie płuc. Spadek po ojcu pozostał nietknięty. Do samej śmierci genialny William Sidis nie przyjął pieniędzy ojca, który zrujnował jego umysł i życie.

GENIALNY IDIOTA

Chłopak od pługa, ignorowany, oczerniany i wyśmiewany przez tych, którzy go znali, wzbudzał salwy śmiechu, gdy mówił, że król potrzebuje jego mądrości. Ale była to prawda... i historia zna niewiele dziwniejszych opowieści niż ta: o idiocie geniuszu, Robercie Nixonie.

Jego rodzice byli pożałowania godnymi rolnikami, pracującymi od świtu do nocy, aby zapewnić sobie minimum egzystencji. Robert był ich jedynym dzieckiem. W Bridge House, w Cheshire, powszechnie uważano go za bardziej niż lekko stukniętego. Jego rodzice podzielali tę opinię, ponieważ już po pięciu dniach nauki w szkole zaniechali kształcenia syna i wysłali go z powrotem do pługa.

Tam właśnie znajdował się owego fatalnego dnia 1485 roku, kiedy to ważyły się losy Brytanii w bitwie pod Bosworth Field. Dziesiątki kilometrów od pola, na którym głupawy Robert Nixon z trudem nadążał za starym koniem, orząc ziemię nieudacznym drewnianym pługiem, wojska króla Ryszarda zwarły się w walce na śmierć i życie z armią hrabiego Richmonda.

Nagle Nixon zatrzymał się w połowie bruzdy. Chwilę stał ze spuszczoną głową, jak gdyby nasłuchiwał. Potem zaczął skakać na jednej nodze wokół zaoranej ziemi, wymachując rękami, potykając się, wskazując coś i wrzeszcząc.

Chłopak już wcześniej robił różne dziwne rzeczy, ale nigdy nie zachowywał się w taki sposób! Nadzorca pośpieszył do niego, aby powstrzymać te wygłupy i przywołać chłopca do porządku.

Ale i on zatrzymał się niedaleko, w obawie, że Robert postradał zmysły. Z pianą na ustach chłopak wrzeszczał, wywijał rękoma i gapił się w jakiś niewidoczny punkt. Wymachując batem, krzyczał: „Tam, Ryszard!... tam!... teraz!" A w chwilę później! „Do boju, Henryku! Chwyć za broń i na drugą stronę rowu... na drugą stronę i bitwa wygrana!" Chłopak stał kilka minut jak sparaliżowany, a potem zaczął się uśmiechać. Zauważywszy nadzorcę, powiedział: „Bitwa zakończona... Henryk zwyciężył!" Po czym powrócił do pługa, jakby nic się nie stało.

Nadzorca odszedł szybkim krokiem, aby donieść państwu Cholmondeley, że głupi Robert Nixon umie przepowiadać rzeczy, które właśnie mają miejsce, i te, które zdarzą się w przyszłości. Chłopiec przewidział pożar w sąsiedniej wiosce oraz śmierć jednego z członków rodziny Cholmondeley z dwutygodniowym wyprzedzeniem, przepowiedział sztorm i wywróżył, że Henryk i Ryszard będą walczyć pod Bosworth Field. Teraz krzyczał, że Ryszard został pokonany... że nie jest już królem! Prawda to czy fałsz? Dwa dni później przybyli posłańcy z zamku... Król Henryk VII objął tron. Ale kiedy posłańcy dotarli do Over, gdzie mieszkał Nixon, stanęli zdumieni swoim odkryciem. Mieszkańcy miasteczka już wiedzieli o wstąpieniu Henryka na tron, wiedzieli dzięki Robertowi Nixonowi.

Król wkrótce usłyszał o Nixonie... tym dziwnym młodzieńcu, obdarzonym niezwykłym talentem. Mieszczanie z Over byli ubawieni błazeństwami Roberta, gdy biegał on od domu do domu, błagając, aby go ukryli. Krzyczał, że nadchodzą wysłannicy króla, aby zabrać go do zamku, gdzie czeka go śmierć głodowa. To był niesmaczny żart. Wyobrażał kto sobie króla posyłającego po takiego głupka i kogokolwiek głodzonego w zamku!

Raz jeszcze Nixon przewidział nadchodzące wypadki, ponieważ król rzeczywiście posłał po niego, płacąc szczodrze rodzicom, aby oddali mu pod opiekę wyśmiewanego syna. Właśnie na kilka minut przed przybyciem królewskiego wysłannika Nixon wstał od stołu i powiedział: „Wkrótce nadejdzie człowiek króla. Muszę iść, ale już nigdy nie wrócę".

Kiedy chłopiec dotarł do zamku, króla Henryka ogarnął podwójny sceptycyzm, gdy zobaczył, po jakiego niepojętego typa posłał. Król schował dzwonek i zapytał, czy Nixon potrafi zlokalizować „zgubę". Chłopiec uważnie przyglądał się królowi i rzekł: „Dzwonek nie zginął, sir, toteż ten, kto go schował, może go także znaleźć!"

Odpowiedź Roberta spodobała się królowi. Rozkazał, aby dzień i noc towarzyszył chłopcu pisarz, który będzie notował wszystkie proroctwa, jakie wygłosi Nixon. Notatki te były robione i studiowane, ale nie wszystkie miały znaczenie w czasach Henryka VII. Niektóre z przepowiedni sięgały bowiem daleko w przyszłość, do wielkiego pożaru Londynu w 1666 roku i do wstąpienia na tron Jerzego IV z Hanoweru. Stare zapiski ujawniają, że chłopiec przewidział także inne przyszłe wypadki, jak na przykład, inwazję na Brytanię żołnierzy z oblodzonymi hełmami.

Gdy pewnego razu król Henryk wybierał się na łowy, Nixon prosił, aby nie zostawiał go w zamku, lecz król zignorował jego prośby. Zamiast tego monarcha wyznaczył służącego, który miał się zajmować Nixonem podczas królewskiej nieobecności. Człowiek ten zamknął chłopca w jednej z komnat, po czym wyjechał, zapominając zostawić wiadomość, gdzie przebywa Nixon. Zanim król wrócił, wszczęto poszukiwania i znaleziono ciało Roberta Nixona.

Jeszcze jedna przepowiednia chłopca spełniła się. Zmarł z głodu w zamku królewskim.

MISTYK MILIONER

Zgromadził fortunę, wybudował tysiące kilometrów torów kolejowych i założył czterdzieści miast, lecz nigdy nie uczynił jednego kroku bez zasięgnięcia rady tych, których zwał niewidzialnymi przyjaciółmi.

Jak wiele innych par, Arthur Stilwell i jego żona zaczynali swoje małżeńskie życie nie posiadając nic oprócz siebie. Jego rodzice byli biednymi, choć oszczędnymi wieśniakami z Indiany i sami ledwo wiązali koniec z końcem. Arthur Stilwell był zbyt dumny, aby pozwolić rodzicom żony dzielić się z nim ich skromnymi dochodami. Uniezależnił się więc, a jego pierwsza praca polegała na prowadzeniu wozu do przewożenia towarów. W kilka tygodni później awansował na urzędnika i na tym poprzestał. Skończył tylko szkołę średnią, nie miał pieniędzy, a jego widoki na stanie się milionerem nie były świetliste.

Lecz noc po nocy nawiedzały go głosy. Czasami przychodziły w trakcie snu, czasami wtedy, gdy próbował czytać przy lampie stojącej. Nie było to jednakże dla niego przeżycie nowe i nie wywoływało już przerażenia. Arthur Stilwell słyszał te słabe głosy od piętnastego roku życia. Zanotował w swoim dzienniku, że głos powiedział mu, że za cztery lata spotka i poślubi dziewczynę nazywającą się Geneviève Wood. W tym czasie nie znał nawet nikogo o tym imieniu, lecz przepowiednia głosów okazała się prawdziwa.

Od tej pory Arthur Stilwell nigdy nie zwątpił w mądrość głosów. Jednak nigdy też nie rozmawiał o nich z nikim z wyjątkiem swojej żony, ze strachu, że ludzie uznają go za obłąkanego.

Raz po raz, kiedy niespokojnie siedział przy swoim urzędniczym biurku, głos ponaglał go, aby pojechał na zachód i zaczął budować kolej żelazną, której stalowe macki rozprzestrzeniły się w każdym kierunku. W końcu Arthur i Jennie Stilwell podjęli decyzję.

Arthur porzucił swoją posadę, spakowali skromny dobytek na pożyczony wóz i wyruszyli do Kansas City. Znalazł pracę w składzie wolnocłowym i firmie maklerskiej. Jednakże coraz bardziej uginał się pod presją głosów, które – jak mówił – ponaglały go do budowy kolei.

Choć może wydawać się to niewiarygodne, ten urzędnik, zarabiający czterdzieści dolarów na tydzień, rzeczywiście wybudował kolej. Bankierzy znali go i ufali mu, więc łatwo było zdobyć pieniądze. Stilwell po cichu kupił ziemię, zebrał fundusze i nim zaskoczeni finansiści z Nowego Jorku zdali sobie sprawę z tego, co się dzieje, jego kolej obwodowa Kansas City już w pełni działała, tuż pod ich nosami.

W szczególnej karierze tego zadziwiającego człowieka nie było bardziej niezwykłego przypadku niż ten, który zdarzył się w czasie planowania trasy nowej linii kolejowej, łączącej pola pszenicy w stanie Kansas z Zatoką Meksykańską. Był to doskonały projekt, uwzględniający logiczne uwarunkowania, które starsi ludzie przeoczyli. Stilwell, dwudziestosześcioletni finansista, który twierdził, że prowadzą go głosy duchów, dostrzegł szansę i powziął stanowczą decyzję.

Wielekroć, kiedy musiał stawić czoła poważnym problemom, krył się w zaciszu swojego biura, zaciągał żaluzje i prosił o radę swoich dziwnych, niewidzialnych doradców. Wszystko szło dobrze, aż do momentu gdy tory kolejowe zbliżyły się na odległość osiemdziesięciu kilometrów od miasta Galveston. Napisał później, że poprosił o radę i głosy powiedziały, aby natychmiast wstrzymał budowę, bo inaczej jego kariera się skończy – Galveston rzekomo zostało skazane na zagładę.

Stilwell znalazł się w kłopotliwym położeniu. Nie mógł wymagać od swoich partnerów, aby uwierzyli w jego historię o niezwykłych doradcach, jednak musiał nakazać zmianę punktu docelowego, i to szybko.

Zacisnął szczęki i stawił czoło burzy. Jego partnerzy żądali wyjaśnienia tej kosztownej i skandalicznej decyzji. Mieszkańcy Galveston byli wściekli. Lecz Stilwell nie odstąpił od swego zdania i południowa linia kolejowa Kansas City została poprowadzona do Zatoki Meksykańskiej przez opustoszałe miejsce, nazwane na cześć Arthura Stilwella Port Arthur.

Kiedy huragan zniszczył Galveston, wybrzeże Port Arthur i urządzenia kolejowe pozostały nietknięte i odegrały główną rolę w akcjach ratowniczych. Współpracownicy Stilwella, którzy skrytykowali go tak ostro, pod niebiosa wynosili jego szczęście w interesach. Stilwell, znany teraz jako Stilwell Szczęściarz, uśmiechał się tylko i nie mówił nic. On i Jennie zdecydowali, że ludzie ani by nie uwierzyli, ani nie zrozumieli, że jego przedsięwzięcie wartości miliona dolarów zależało od tak dziwnych doradców.

W jaki sposób mógłby komukolwiek wyjaśnić, że znał imię swojej żony na cztery lata przed jej poznaniem? Czy tę nieomylną radę, dzięki której z urzędnika bez grosza przy duszy stał się w ciągu siedmiu lat budowniczym kolei i milionerem? Albo źródło swojej zaskakującej decyzji: zawrócenia linii kolejowej z Galveston i zakończenia jej na morskich błotach?

W sumie wybudował siedem linii kolejowych i kanał dla statków w Port Arthur. Założył czterdzieści miast i miasteczek, z których dwa nazwano na jego cześć – Port Arthur w Teksasie i Stilwell w Oklahomie. Zgromadził sporą fortunę w trakcie swojej zadziwiającej kariery, gdyż wszystko, czego się dotknął, zmieniało się w pieniądze – stan rzeczy, który on sam przypisywał swoim dziwnym doradcom.

Arthur Stilwell nie był spirytystą. Jak napisał, wziął udział w jednym seansie i seans ten po prostu go znudził.

W trakcie swojego pracowitego życia znalazł czas na napisanie i wydanie trzydziestu książek, w tym dziewiętnastu powieści, m.in. *Światło, które nigdy nie zgasło*, długo utrzymującej się na liście bestsellerów. W roku 1910 napisał książkę, która w detalach przepowiedziała nadejście pierwszej wojny światowej. W 1914 roku napisał kolejną godną uwagi książkę: *Do całego świata z wyjątkiem Niemiec*, w której przepowiedział klęskę Niemiec i ich sojuszników, upadek monarchii rosyjskiej, niepodległość Finlandii i Polski oraz zwrócenie Palestyny Żydom. Stilwell zmarł w roku 1928. Dwa tygodnie później jego ukochana żona wyskoczyła z okna drapacza chmur na Manhattanie, aby połączyć się ze swoim mężem, który został jej wybrany przez tajemnicze głosy.

LUDZIE KOMPUTERY

Większość telewidzów widziała wielokrotnie programy, w których ludzie popisują się pamięcią fotograficzną. Przeglądają książki i czasopisma, a następnie powtarzają ich treść, strona po stronie. Czy jest to oszustwo czy fakt?

Wytłumaczenie zagadki pamięci fotograficznej kryje się w labiryncie niezwykłych możliwości mózgu. Naukowcy doszli do wniosku, że podświadomość gromadzi wszystko lub prawie wszystko, z czym zetknął się człowiek, ale nadal nie wiadomo, jak wywołać te ukryte informacje z podświadomości.

Jednym z najgłośniejszych przykładów fantastycznej zdolności zapamiętywania są wyczyny rabbiego Eliasza z Wilna, który uważał swój talent za przekleństwo. W ciągu swojego życia przeczytał i zapamiętał po jednokrotnej lekturze ponad dwa tysiące tomów. W dowolnej chwili potrafił przypomnieć sobie wybraną stronę lub fragment z tych książek. Z jego punktu widzenia umiejętność ta była niepożądana, ponieważ nie mógł, choćby może chciał, zapomnieć niczego, co przeczytał w życiu. Było to tak, jakby spędzał w bibliotece cały dzień, a potem zabierał ją ze sobą do domu.

Francuski polityk Leon Gambetta potrafił recytować na wyrywki tysiące stron z Victora Hugo, od początku i od końca lub zaczynać z dowolnego miejsca. Słynny grecki uczony Richard Porson posiadał podobną zdolność, z tym że potrafił cytować stronę po stronie niemal wszystkie książki, jakie przeczytał.

Innym typem niezwykłej pamięci obdarzony był Harry Nelson Pillsbury, który zdobył w Ameryce tytuł „czarnoksiężnika szachów". Potrafił dokładnie zapamiętać rozkład figur oraz ponad tysiąc ruchów na dwudziestu szachownicach, co pozwoliło mu rozgrywać dwadzieścia partii jednocześnie z zawiązanymi oczami.

Czasem, żeby odrężyć się między kolejnymi grami, równocześnie grał w karty, też z opaską na oczach.

Mathurin Veyssiere, bibliotekarz króla Prus, posiadał nadzwyczajną pamięć do dźwięków. Usłyszawszy raz zdanie w jakimkolwiek języku, umiał powtórzyć je z właściwą wymową i akcentem. Kiedyś, dla sprawdzenia jego możliwości, dwunastu posłów zagranicznych, z których każdy mówił innym językiem, wypowiedziało po jednym zdaniu, a Veyssiere jednym tchem powtórzył wszystkie, nie robiąc ani jednego błędu.

Zdolność do błyskawicznego rozwiązywania zadań matematycznych jest rzadka, ale posiedli tę umiejętność ludzie, nazywani żywymi komputerami.

Jednym z nich był Zerah Colburn z Vermont. Jako dziecko zwrócił na siebie uwagę sprawnością, z jaką rozwiązywał zadania matematyczne. W wieku ośmiu lat zawieziono go do Londynu, gdzie przebywał pod obserwacją naukowców. Poddano go intensywnym testom, których wyniki były zdumiewające, ponieważ nie znał on nawet podstawowych zasad arytmetyki, a mimo to bez wahania podawał prawidłowe wyniki takich działań jak wyciągnięcie pierwiastka trzeciego stopnia z liczby 268336125, z równoczesnym podnoszeniem cyfry 8 do szesnastej potęgi.

W czasie eksperymentów chłopiec został zapytany przez księcia Gloucester, w jaki sposób pomnożył 21735 przez 543, na co odpowiedział, że po prostu pomnożył 65205 przez 181. Chociaż dawał właściwe odpowiedzi, nie był w stanie wyjaśnić, jak to robi.

Innym genialnym matematykiem był stary niewolnik amerykański o imieniu Tom. Urodził się w Afryce, gdzie został schwytany przez handlarzy niewolników i sprzedany w niewolę w stanie Wirginia. Do chwili ukończenia siedemdziesięciu jeden lat praktycznie nie było powodu, aby traktować go inaczej niż zwykłego niewolnika.

Pewnego gorącego popołudnia w sierpniu 1779 roku Tom stał w rogu ogrodzenia plantacji swego pana, czekając, aż nadzorca przydzieli mu następną robotę do wykonania. Był jednym z niewielkiej grupy siedmiu obdartych niewolników, którzy stali cierpliwie, podczas gdy nadzorca i właściciel plantacji próbowali rozwiązać rachunek arytmetyczny.

Ile wart był zbiór na tej farmie, licząc po aktualnych cenach tytoniu? Właściciel wymienił pewną sumę, ale nadzorcy wyszedł inny wynik. Obaj byli ludźmi upartymi i obaj byli słabi w prostych działaniach arytmetycznych. Liczyli i kłócili się. Zaczynali już wybuchać gniewem, gdy właściciel klnąc, rzucił na ziemię ołówek i papier. Wtedy stary Tom zdjął swój sflaczały filcowy kapelusz i wystąpił naprzód. Panie – powiedział – mogę podać odpowiedź na to wyliczenie.

Zaskoczony właściciel zachęcił Toma do podania wyniku i Tom natychmiast wymienił sumę, która później okazała się prawidłowa. Okazało się też, że zarówno właściciel plantacji, jak i nadzorca pomylili się w swoich obliczeniach. Nauczyciel, który potwierdził poprawność wyniku podanego przez Toma, zaczął egzaminować niewolnika analfabetę. Stary Tom wysłuchiwał zadań i natychmiast podawał rozwiązania.

Jedno z zadań, które nauczyciel opracował na ten egzamin, wymagało od starego niewolnika przeliczenia siedemdziesięciu lat, dwunastu dni i dwunastu godzin na sekundy. Po dziewięćdziesięciu sekundach stary Tom podał odpowiedź. Nauczyciel i właściciel plantacji pokręcili głowami. Niestety, odpowiedź starego niewolnika nie zgadzała się z ich wynikami. Później, gdy ponownie sprawdzili swoje obliczenia, odkryli, że wynik Toma był prawidłowy. Nie uwzględnili oni lat przestępnych – błąd, którego Tom nie popełnił.

Tom stał się sensacją, a jego dumny właściciel odrzucił wiele kuszących ofert sprzedania go organizatorom różnych imprez. Pozwolił naukowcom przyjeżdżać i egzaminować Toma. Wszyscy bez wyjątku wyjeżdżali z rozwiązanymi zadaniami, ale bez odpowiedzi, w jaki sposób stary niewolnik może działać jak „żywa maszyna licząca".

Innym Murzynem, którego dziwne możliwości zaskoczyły specjalistów, był Charles Cansler z Konxville. Należał on do grona adwokatów i był także dyrektorem szkoły ogólnokształcącej dla Murzynów w Konxville.

Od 1915 roku Cansler jeździł po kraju, dając pokazy swoich nadzwyczajnych zdolności. Potrafił przeprowadzić w pamięci obliczenia sięgające miliardów i potrafił też natychmiast podać ich wartości podniesione do kwadratu, pokonując najlepsze ówczesne maszyny do liczenia. Występy rozpoczynał zwykle jednym ze swoich najbardziej efektownych popisów. Siadał tyłem do tablicy z dokładnie zawiązanymi oczyma, widzowie zaś wypisywali na niej długie kolumny liczb. Następnie Cansler odsłaniał oczy, podchodził do tablicy i natychmiast zapisywał prawidłową sumę wszystkich liczb. W czasie trzech czy czterech sekund, których potrzebował, aby przejść przez scenę, jego umysł wykonał obliczenia. Wysoki poziom inteligencji Canslera pozostawał w dużym kontraście z poziomem umysłowym, który charakteryzował wielu podobnych fenomenów matematycznych.

Jedidah Buxton, podobnie jak Tom, był analfabetą. Urodził się w Anglii w 1707 roku, nie miał żadnego wykształcenia, lecz z niewiadomego powodu był zawsze zafascynowany liczbami i właściwie nie potrafił skoncentrować się na niczym innym. Jako dziecko obliczał w pamięci ilość ziaren soczewicy w zupie czy drobin soli w solniczce. W kościele siedział cicho podczas całego nabożeństwa, ale gdy się już skończyło, nie mógł sobie nic z niego przypomnieć, z wyjątkiem ilości słów w kazaniu. Kiedy szedł przez pole, potrafił powiedzieć, ile ma ono cali kwadratowych. Obliczył kiedyś dla zabawy, ile byłoby warte ćwierć pensa podwojone sto trzydzieści dziewięć razy. W funtach szterlingach wynik odpowiada dziewiętnastocyfrowej liczbie. Poproszono Buxtona, aby pomnożył tę fantastyczną sumę przez samą siebie. Wkrótce przedstawił on prawidłową odpowiedź, wyjaśniając, że pracował nad nią z przerwami. Osobliwością osiągnięć Buxtona było to, że gdy już zabrał się do skomplikowanego zadania, mógł o nim nie myśleć i zajmować się swoimi codziennymi czynnościami! To tak jakby jego mózg był oddzielną maszyną, która gdy już rozpocznie pracę, dalej samodzielnie przeprowadza skomplikowane działania.

Takich zadziwiających przykładów jest dużo więcej. Na razie nikt wprawdzie nie potrafi przedstawić mechanizmu tych zjawisk, ale nie może ulegać wątpliwości, że umysł ludzki jest krainą niewiarygodnych możliwości.

LUDZIE O RENTGENOWSKICH UMYSŁACH

Jeśli komisarze ze Scotland Yardu myśleli, że kolejne dochodzenie, które ich czeka, będzie takim samym jak inne śledztwem, to bardzo się mylili.

Nie ulegało wątpliwości, że staruszek, który leżał rozciągnięty przed kominkiem, nie żyje. Pokój, podobnie jak ciało staruszka, był całkiem zimny. Dla ludzi ze Scotland Yardu było oczywiste, iż ofiara została zabita przy użyciu kominkowych szczypiec. Pozostawało pytanie, kto się posłużył tą bronią.

Gdy detektywi zbierali swoje aparaty fotograficzne i przyrządy przygotowując się do opuszczenia miejsca zbrodni, pod drzwiami zjawił się ubrany w wyszukany sposób młodzieniec.

Czy mógłby w czymś pomóc? No cóż, w takich wypadkach niczego nie należy pomijać, więc detektywi wprowadzili młodego człowieka do pokoju, gdzie dokonano zbrodni. Młodzieniec popatrzył obojętnie dookoła i spytał, czy może zbadać jeden z licznych krwawych odcisków ręki, którymi oznaczone były ściany.

Z głową wspartą na dłoni utkwił wzrok w jednym z krwawych śladów, następnie odwrócił się do policjantów i powiedział:

„Mordercą jest młody, ale zamożny człowiek, dżentelmen, który nosi mały złoty zegarek w lewej, przedniej kieszonce spodni i należy do rodziny tego starszego pana, którego ciało właśnie zabrano z pokoju".

Rozgniewani policjanci byli gotowi wyrzucić tego pewnego siebie eleganta, który ich zirytował i zabrał im czas, ale była tam obecna para korespondentów „Gazety Londyńskiej", która zwęszyła sensację. Kim jest ten przebieraniec? Co za wyobraźnia i tupet pozwalają mu tyle wywnioskować z jednego krwawego odcisku ręki na ścianie?

– Cheiro... Cheiro Wielki! – przedstawił się młodzieniec, podając im bogato ozdobioną wizytówkę.

Nazajutrz historię tę opisała prasa. Po dwudziestu czterech godzinach niezwykły „chiromanta" znalazł się ponownie w nagłówkach gazet, gdyż policja znalazła mordercę. Był on nie tylko młodym i zamożnym człowiekiem, ale nosił zegarek w lewej, przedniej kieszonce spodni i był synem zamordowanego.

W ciągu kilku dni Londyn oszalał na punkcie jasnowidza. Tylko paru najbliższych przyjaciół znało go jako hrabiego Louisa Hamona. Przeobrażony w osobę publiczną, niewiele przypominał hrabiego. Pławił się w rozkoszy powszechnego zainteresowania i co tydzień składał w banku pokaźne sumy – dochody z nowej profesji: przepowiadania przyszłości bogatym klientom.

W 1893 roku Cheiro opuścił Anglię dla Nowego Jorku, gdzie urządził się w bogatych apartamentach na Park Avenue. Znów odnosił sukcesy i gdy klienci potokami płynęli do jego drzwi, tuż za nimi była prasa. Młoda dziennikarka z „New York World" zapytała go, czy nie zechciałby poddać się serii testów, których wyniki zamierzał opublikować wydawca gazety.

Był to dla niego moment przełomowy. Jeśli odmówi, będzie zrujnowany. Jeśli się zgodzi, a nie zdoła przekonać sceptyków, również będzie skończony. Mimo to, bez wahania podjął wyzwanie.

W dniu przeprowadzenia testu Cheiro był najbardziej opanowaną osobą w pokoju. Test polegał na zidentyfikowaniu trzynastu różnych mieszkańców Nowego Jorku na podstawie trzynastu odcisków dłoni. W gazecie zawierającej te odciski nie było żadnych znaków, pozwalających je zidentyfikować. Tylko trzech sędziów wiedziało, czyje to są odciski. Z surowymi minami, w milczeniu czekali, aż Cheiro popełni błąd.

On jednak bez wahania określił odciski, jeden po drugim, i rzucając na nie przelotne spojrzenie, dokładnie opisał osoby, do których należały. Ale gdy doszedł do trzynastego i ostatniego odcisku, zawahał się. Odłożywszy arkusz, Cheiro powoli odwrócił się do sędziów i powiedział:

– Panowie, odmawiam zidentyfikowania tego śladu.

Szmer podniecenia obiegł przepełniony pokój. Chyba nie wie, co robi!

Prosząc gestem o ciszę, Cheiro kontynuował:

– Odmawiam ujawnienia tego odcisku każdemu, z wyjątkiem właściciela, ponieważ jest to odcisk mordercy. Zresztą, przez swój tupet zdradzi się sam i umrze, strasznie cierpiąc w więzieniu.

Cheiro zabawił się z sędziami w kotka i myszkę. Przeszedł test w stu procentach, gdyż ostatni ślad należał do doktora Henry'ego Meyera, którego złapano dzięki temu, że chwalił się swoją zbrodnią. Uznano go winnym i obłąkanym. Meyer zmarł w zakładzie dla zbrodniarzy szaleńców.

Hrabia Louis Hamon nie był jedynym jasnowidzem, z którego usług korzystał Scotland Yard. W swoim czasie głośna była sprawa innego człowieka o rentgenowskim umyśle, Petera Hurkosa, który odnalazł skradziony słynny kamień Stone of Scone (starożytny kamień odebrany Szkotom w 1926 roku i przechowywany w opactwie Westminster w specjalnie do tego celu zaprojektowanym tronie koronacyjnym króla Edwarda I).

Kamień ten skradziono z opactwa Westminster w grudniu 1950 roku – przestępstwo, które znalazło się na czołówkach światowej prasy i naraziło na pośmiewisko londyńską policję. Hurkos, cichy i skromny młody Holender, spotkał się z przedstawicielem Scotland Yardu w Dordrechcie, aby omówić warunki.

Razem z detektywem poleciał później do Londynu, gdzie inni urzędnicy i sierżant policji przywitali go na lotnisku i nie zwlekając zabrali na miejsce sensacyjnego rabunku. Tam, w sławnym starym opactwie, władze pozwoliły mu wziąć w ręce porzucone przez złodziei narzędzie i zegarek na rękę, zgubiony przez jednego z nich. Po kilku godzinach badania miejsca i resztek żywności pozostawionych przez złodziei Hurkos powoli nakreślił na mapie Londynu trasą, jaką przebyli włamywacze po zabraniu kamienia.

Pomimo iż nie widział on Londynu nigdy przedtem, opisał ze szczegółami budynki, wzdłuż których biegła trasa, a także dał szczegółowy opis złodziei, trzech mężczyzn i kobiety. Gdy ich w końcu schwytano po trzech miesiącach, okazało się, że dokładnie odpowiadają opisowi Hurkosa.

Także policja w Nijmegen, w Holandii, wiele zawdzięcza Hurkosowi. W sierpniu 1951 roku to stare holenderskie miasto i jego okolice nawiedziła plaga pożarów, niezaprzeczalne dzieło jednego lub kilku podpalaczy. Ponad dwustu uzbrojonych ludzi patrolowało okolicę, ale pożary ciągle niszczyły stodoły, domy i mosty. Pewnej nocy, parę tygodni po tym, jak rozpoczęła się seria pożarów, Hurkos przechadzał się ze swym starym przyjacielem, właścicielem fabryki włókienniczej w Nijmegen. Nagle Hurkos zatrzymał się i powiedział przyjacielowi, że wkrótce wybuchnie następny pożar, tym razem na farmie rodziny Jansonów. Obaj pośpieszyli na posterunek policji, gdzie dowiedzieli się, że właśnie parę minut wcześniej zameldowano o pożarze.

Policjanci byli nie tylko sceptyczni, ale i nieuprzejmi, Hurkos upierał się jednak, iż może pomóc, jeśli tylko dadzą mu szansę. Żeby ich przekonać, zamknął oczy i opisał zawartość kieszeni kapitana, włącznie z częściowo zatartym znakiem firmowym na resztce ołówka! To przesądziło sprawę. Hurkosowi dano szansę i policja w Nijmegen wykryła podpalacza.

Hurkos przede wszystkim poprosił, aby zabrano go na miejsce kilku pożarów. Szukając po omacku wśród popiołu, znalazł w końcu zwęgloną obsadkę śrubokręta. Milcząc dotykał jej chwilę, a potem powiedział: – Musimy szukać chłopca, kilkunastoletniego chłopca.

Gdy pokazano Hurkosowi dokumenty szkolne wraz ze zdjęciami wszystkich uczniów w mieście, wskazał jedno z nich. – To ten! – powiedział. – To z tym chłopcem chcę porozmawiać!

Wskazał siedemnastoletniego syna jednego z najbogatszych ludzi w mieście. – To śmieszne – wybuchnął kapitan policji, ale niezrażony Hurkos niezmiennie powtarzał: – W jednej z kieszeni ubrania tego chłopca znajdziecie pudełko zapałek, w drugiej butelkę płynu do zapalniczek, chociaż chłopiec nie pali.

Przyprowadzony na posterunek policji, chłopak wszystkiemu zaprzeczał, aż do chwili gdy Hurkos zażądał: – Podciągnij lewą nogawkę spodni kombinezonu i pokaż policji zadrapania, których nabawiłeś się uciekając przed ogniem przez ogrodzenie z drutu kolczastego! Zadrapania były tam. Chłopiec wybuchnął płaczem i przyznał się. Wysłano go do zakładu dla umysłowo chorych.

To zadziwiające rozwiązanie dostało się oczywiście na czołówki gazet, ale dla Hurkosa była to zwykła rutyna. Kiedy zabrano go na miejsce, gdzie zastrzelono mężczyznę na progu jego domu, Hurkos chwilę pocierał płaszcz ofiary i powiedział policji, że mordercą jest starszy mężczyzna w okularach, z wąsami i drewnianą protezą nogi, a narzędzie mordu wrzucił na dach domu.

Znaleziono rewolwer, zaś odciski palców udowodniły, że był to teść ofiary, człowiek, który miał wąsy, okulary o grubych szkłach i drewnianą protezę nogi!

Peter Hurkos nie wie, jak znajduje odpowiedź. W 1958 roku zabrano go do USA, aby zbadała go grupa specjalistów psychiatrów. Oni także musieli przyznać, że byli zaskoczeni Peterem Hurkosem, człowiekiem o rentgenowskim umyśle, którego dar lub cokolwiek to jest, trudno sensownie wytłumaczyć.

Kartoteki policji całego świata zawierają bardzo wiele spraw rozwiązanych tylko dzięki pomocy osób o zdolnościach jasnowidzenia. W archiwum Urzędu Policji Afryki Południowej w Pinetown znaleźć można, na przykład, sprawę zabójstwa młodej dziewczyny, której morderca został wykryty dzięki niezwykłym zdolnościom emerytowanego nauczyciela, Nelsona Palmera.

Joy Aken ukończyła siedemnaście lat zaledwie kilka dni przed swym zniknięciem w połowie września 1956 roku. Była bardzo ładną, nieśmiałą dziewczyną. Nie miała swojego chłopaka, nie miała też żadnych wrogów. Dlaczego zniknęła?

Jej rodzice podejrzewali nieszczęście, a policja potwierdzała tę opinię. Rozesłano komunikaty z jej zdjęciem do wszystkich posterunków policji w całej Afryce Południowej. Zaoferowano nagrodę dla każdego, kto mógłby dostarczyć informacji, prowadzących do odnalezienia dziewczyny lub jej ciała.

Minęły tygodnie bez żadnych rezulatatów. Było kilka fałszywych alarmów, zwykłe „dowcipne" doniesienia, jakich można się spodziewać, a które do niczego nie prowadzą. Joy Aken zniknęła, jakby pochłonęła ją ziemia... co, jak podejrzewała policja, było dosłowną prawdą.

Colin Aken, brat zaginionej dziewczyny, przychodził codziennie na posterunek policji w Pinetown, mając nadzieję, że może dowiedziano się czegoś, co doprowadzi do zakończenia poszukiwań, jakikolwiek miałby być ich wynik. Każdego dnia policja zmuszona była mówić mu, że nic nie znaleziono, aż w końcu przyznała się do całkowitej porażki.

Tego dnia Colin usłyszał właśnie od przyjaciela o emerytowanym dyrektorze szkoły, Nelsonie Palmerze, który odnalazł zgubione przedmioty jednemu ze swych bliskich przyjaciół. Palmer dokonał tego odprężając się, zamykając oczy i opisując to, co, jak się zdawało, widzi jego umysł. Był zakłopotany, że potrafi tego dokonać, i nigdy o tym nie rozmawiał, obawiając się śmieszności.

Colin Aken i Urząd Policji Afryki Południowej w Pinetown byli tego samego zdania: nie mieli nic do stracenia prosząc Palmera, aby spróbował. Wyższy rangą funkcjonariusz policji odwiedził tej nocy Palmera i jego żonę. Udało mu się uzyskać ich zgodę na spotkanie następnego dnia, 9 października 1956 roku.

Podczas gdy pięćdziesiąt osób siedziało w ciszy w dwóch frontowych pokojach i hallu domu państwa Palmerów, gospodarz wsparł się na oparciu krzesła i zamknął oczy. Jego oddech stał się ciężki i z trudem chwytał powietrze. Twarz pokrył obfity pot, który powoli zaczął kapać mu z brody. Kilka chwil słychać było tylko jego oddech. Potem wargi Palmera zaczęły się poruszać, ale dźwięk, jaki się z nich wydobywał, podobny był do głosu młodej, przerażonej dziewczyny.

– Nie żyję... – powiedział głos. Następnie, zgodnie z relacją policji, dwie minuty panowała cisza, po czym wargi Palmera znów się poruszyły. – Moje ciało leży w wąwozie, w pobliżu High Rock... zaatakował mnie mężczyzna... on mnie zabija. – Oczy Palmera otworzyły się. Po kilku chwilach zaczął oddychać normalnie i wstał z krzesła.

W aktach zapisano: „Pan Palmer powiedział nam, że ciało dziewczyny jest częściowo ukryte pod kamieniami w pobliżu drenu, w miejscu odległym od Pinetown o około sto kilometrów. Stwierdził on także, że mordercą jest człowiek o imieniu Clarence w wieku około trzydziestu lat, który ukrył narzędzie zbrodni w przybudówce swego domu. Pan Palmer sądził, iż może nas zaprowadzić na miejsce, w którym ukryte jest ciało".

Godzinę i czterdzieści minut później Palmer zaprowadził policję w odludne miejsce przy drodze biegnącej wzdłuż wybrzeża prowincji Natal. Tam właśnie, pod drenem, znaleziono częściowo ukryte pod kamieniami ciało zaginionej dziewczyny. Joy Aken została pobita i zastrzelona.

A co z zabójcą? Palmer opisał go jako człowieka o imieniu Clarence. Krewni przypomnieli sobie, że Joy znała mężczyznę o takim imieniu, Clarence'a Gordona VanBurena. W dziesięć godzin później policja osadziła VanBurena w areszcie. W szopie za jego domem znaleziono pistolet, który on sam wskazał później jako narzędzie zbrodni. Była to stara historia zawiedzionego kochanka. Zwabił Joy do swego samochodu. Stracił panowanie nad sobą, uderzył, a potem strzelił w napadzie gniewu.

Skąd Palmer wiedział, gdzie szukać ciała? Rodzina Joy woli sądzić, że to sama zmarła dziewczyna mu o tym powiedziała... Palmer śmieje się z tego pomysłu. Nie ma w tym, jak twierdzi, nic nadnaturalnego i dodaje: – W taki sam sposób znalazłem zgubione klejnoty, a one z pewnością nie mówią, gdzie są. Myślę, że ludzki mózg posiada pewne, zupełnie normalne możliwości, których nie rozumiemy, a ta jest właśnie jedną z nich.

CZŁOWIEK ZNIKĄD

Zgoda, ten młody człowiek był dziwadłem i zachowywał się, jakby spadł z innej planety...

Stał właśnie pod bramą Norymbergi, kiedy jeden ze strażników zauważył go po raz pierwszy. Był czysty, ale tak biednie ubrany, że wyglądał niemalże jak łachmaniarz. Później wartownik w swym raporcie napisał, że pierwszą rzeczą, która przykuła jego uwagę, była trudność, z jaką ten człowiek się poruszał. Miał mocno spuchnięte stopy, a oczy zmrużone jakby od nadmiaru światła.

Wartownik usiłował wypytać mężyczyznę, ale nic nie mógł z niego wydobyć. Dziwoląg powtarzał tylko: „Chcę był żołnierzem, jak był nim mój ojciec!"

Nie mówił tego jednak z determinacją, lecz jednostajnie, jakby powtarzał w kółko słowa, których znaczenia nie rozumiał.

Straż zaprowadziła go na posterunek, gdzie burmistrz i inni lokalni dostojnicy zebrali się, aby obserwować i przesłuchać tego dziwnego gościa. On jednak wciąż wyrażał tylko swą chęć bycia żołnierzem podobnie jak jego ojciec.

Jak miał na imię? Najwyraźniej nie rozumiał, co się do niego mówi, gdyż tępo, bez wyrazu wpatrywał się w zadającego mu pytania. Jednak, gdy włożono mu do ręki pióro i podano kawałek papieru, zaśmiał się nerwowo i wolno, bardzo czytelnie napisał: *KASPAR HAUSER*. Nie był w stanie albo też nie chciał napisać nic więcej. Ale tegoż to spokojnego dnia Zielonych Świątek po południu, 1828 roku, młody człowiek wpisał do kartoteki imię, które miało dać początek zagadce, nie rozwiązanej do dnia dzisiejszego.

Kiedy postawiono przed nim jedzenie, złapał je i pożerał z zachłannością wygłodzonego zwierzęcia. Mleka jednak nie tknął, patrzył tylko na nie z wielką podejrzliwością. Napił się wody, ale dopiero po tym, jak zanurzył w niej wskazujący palec i go oblizał.

Tuż przed zapadnięciem nocy, kiedy zakłopotani ojcowie miasta usiłowali podjąć decyzję, co zrobić z tym zagadkowym gościem, nie znany przybysz wyjął ze swej poszarpanej kamizelki dwa listy zawinięte w szmaty. Jeden z nich miał być rzekomo listem od jego matki. Widniejąca na nim data wskazywała, że został napisany przed szesnastu laty. W liście tym jakaś kobieta prosiła, by ten, kto znajdzie chłopca, odesłał go do Norymbergi, kiedy młodzieniec skończy siedemnaście lat, żeby mógł zaciągnąć się do szóstej kawalerii, w której służył jego ojciec.

Drugi list był bardzo nieczytelny i pochodził najwyraźniej od kogoś, kto znalazł chłopca i zaopiekował się nim, ale nie mógł dłużej go utrzymywać.

Te dość dziwne listy zostały napisane na czymś, co przypominało cienką skórkę lub pergamin i nie było znane władzom miasta.

Kaspar Hauser, jeśli tak się nazywał, pierwszą noc w Norymberdze spędził z najbardziej uczonym człowiekiem w mieście, doktorem Daumerem. Od razu zaskoczył uczonego, usiłując złapać płomień świecy. Dalsze badania wykazały, że Kaspar nie miał poczucia przestrzeni i chociaż zdawał się być w pełni zmysłów, jego rozwój i reakcje zatrzymały się na etapie małego dziecka.

Choć stan jego stóp wyraźnie wskazywał, że przebył długą drogę, nie znaleziono nikogo, kto by go gdzieś widział. Wyznaczono więc nagrodę dla tego, kto będzie w stanie rozpoznać go i zidentyfikować, ale nikt taki się nie pojawił.

Pod dobrą i troskliwą opieką Daumera Hauser uczył się bardzo szybko, najpierw mówić, a następnie pisać. Swoim nowym przyjaciołom opowiedział, iż od wieku niemowlęcego wychowywany był w całkowitej ciemności, w piwnicy. Nigdy nie jadł i nie pił niczego innego poza razowym chlebem i wodą i nigdy nie widział osoby, która przynosiła mu jedzenie. Bardzo rzadko słyszał ludzką mowę. Ale dlaczego i gdzie spędził on wszystkie te lata, nie miał żadnego pojęcia.

W październiku 1829 roku Kaspar wyszedł z sutereny Daumera z głęboką, krwawiącą raną na głowie i powiedział, że jakiś zamaskowany człowiek zaatakował go długim nożem. Władze miasta wyznaczyły do ochrony Hausera dwu strażników. 14 grudnia 1833 roku, po południu, strażnicy zdrzemnęli się. Kaspar Hauser poszedł samotnie na spacer do parku po drugiej stronie ulicy. Przechadzka zakończyła się tragicznie. Zginął od ciosu noża.

Kim był Kaspar Hauser, człowiek znikąd?

BLIŹNIACZKI

Bobbie i Betty wiodły jednakowe życie, ich udziałem była też jednakowa śmierć. Nastąpiła w tej samej chwili, o północy, a oba świadectwa zgonu stwierdzały w identyczny sposób, że jej przyczyna nie została ustalona. Bliźniaczek nie zabiła żadna ze znanych dolegliwości fizycznych. Wydawało się jednak, że śmierć uderzyła od wewnątrz. Czyżby przywołały ją mocą swej woli? A może jedna z sióstr wywołała zgon obydwu?

Już w chwili przyjścia sióstr na świat padł na nie cień śmierci. Bobbie i Betty urodziły się 19 sierpnia 1930 roku w Purlear, w Północnej Karolinie. Tego dnia urodziło się również trzecie dziecko, Billie, ale z trojaczków przeżyła jednak tylko dwójka.

Bobbie i Betty chodziły do szkoły w identycznych strojach. W tym samym czasie przechodziły te same choroby wieku dziecięcego. Kupowały taki sam rodzaj cukierków. W tym samym czasie wycięto im migdałki, a gdy którąś z nich bolały zęby, druga także miała ból zębów. Kiedy ząb jednej z nich zepsuł się, tak że trzeba było go usunąć, u jej siostry zaczynał sią psuć taki sam ząb, który również należało wyrwać.

W piątej klasie, gdy bliźniaczki miały jedenaście lat, przetestowano je. Testy wykazały, że tożsamość fizyczna sióstr nie kończy się na zębach i migdałkach, lecz sięga znacznie głębszych sfer. Nierozerwalność ich życia znalazła odbicie także w jedności intelektualnej. W szkole miały identyczne lub prawie takie same oceny.

Wydaje się, że mniej więcej w tym czasie zaczął rozwijać się między nimi nowy rodzaj układu. Choć dla obserwatorów z zewnątrz dziewczynki wciąż wydawały się nie do odróżnienia, ich rodzice i niektórzy nauczyciele zauważyli, że Bobbie zaczyna nieznacznie wyprzedzać Betty i zdobywać nad nią lekką przewagę, zarówno fizyczną, jak i psychiczną.

Być może, to właśnie wtedy siostry znalazły się w rozstrzygającym punkcie swego bliźniaczego życia. Inność Bobbie mogła odsunąć ją od Betty. Każda z dziewcząt mogła zacząć żyć pełniej na własny sposób, mogła wykształcić bardziej autentyczną indywidualność. Ale to nie nastąpiło. Przeciwnie, bliźniacze podobieństwo pogłębiało się coraz bardziej, z tym że Bobbie zaczęła zyskiwać dominację.

W szkole średniej wciąż jeszcze były sobie bliskie i trzymały się razem. Obie należały do kółka chórzystek ze względu na swe nieprzeciętne zdolności muzyczne. Gdy jedna z nich zaczynała nucić jakąś melodię, druga potrafiła podjąć ton, ciągnąć takim samym głosem, nawet jeśli pozornie siostry znajdowały się poza zasięgiem słuchu.

Eksperci śledczy, którzy mieli później przygnębiającą okazję zagłębić się w życie dziewcząt, wykryli w nim układ wzrastającej dominacji Bobbie. W trzecim roku szkoły średniej bliźniaczki pełniły wyższe funkcje w samorządzie klasowym. Bobbie miała same piątki; Betty uzyskiwała same czwórki.

W tajnej opinii nauczycieli na temat cech charakteru oceniano Bobbie jako bardziej niezawodną i pracowitą od Betty, choć większość nauczycieli uważała obydwie za sympatyczne i godne podziwu. Obie chodziły na lekcje gry na pianinie. Bobbie grała lepiej niż Betty. Przewyższała ją wzrostem o dwa i pół centymetra, ważyła też odrobinę więcej. W szkole średniej od czasu do czasu spotykała się z chłopcami. Betty zostawała w domu. Charakter pisma Bobbie wydoroślał w porównaniu z pismem Betty. Na podstawie kronik szkolnych i rozmów z ludźmi, którzy znali bliźniaczki, rysuje się wizerunek Bobbie coraz bardziej przywódczej i Betty coraz silniej podporządkowanej. Bobbie, na przykład, miała wzrok słabszy od Betty i musiała nosić okulary. Betty również zaczęła nosić okulary, choć ich nie potrzebowała. Kiedy zaś Bobbie przestała używać szkieł, Betty też przestała, równie nagle. Na pewnym etapie Betty pisała nawet swoje imię przez „ie" na końcu, żeby upodobnić je do imienia Bobbie. Chociaż nie zauważało się, aby między Bobbie i Betty istniało jakieś szczególne napięcie, to jednak po ukończeniu szkoły średniej Bobbie najwidoczniej usiłowała odejść i żyć na własną rękę. Zdobyła pracę w sklepie wielobranżowym, odległym o piętnaście kilometrów. Był to pierwszy jak dotąd przypadek wyjazdu którejś z bliźniaczek z Purlear, a jednocześnie pierwsze w ich życiu rozstanie.

Po upływie mniej więcej roku Bobbie porzuciła pracę i siostry znowu stały się nierozłączne. Spotkały się na krótko w Purlear, a potem wyruszyły do Winston-Salem, gdzie wróciły do swego modelu równoległego życia. Znalazły pracę w tej samej fabryce papierosów, mieszkały w tej samej kamienicy i razem przyjeżdżały na weekendy do domu.

Ani one same, ani ich krewni czy przyjaciele nie zdawali sobie sprawy, że w głębi ich bliźniaczych umysłów od dawna tykają psychiczne bomby zegarowe.Ten sam proces powielenia genów, który dał im w efekcie identyczne bóle zęba i oczy o szarobrązowym odcieniu, zapoczątkował w nich identyczny rodzaj szaleństwa.

Wydaje się, że Bobbie pierwsza uległa jego atakowi. Po dwóch latach spędzonych w Winston-Salem wróciła do domu i zaczęła, jak określają to mieszkańcy Purlear, „zachowywać się całkiem jak nie ona". Betty próbowała wytrzymać w Winston-Salem trochę dłużej, najwyraźniej walcząc o uzyskanie własnej, niezależnej tożsamości. Lecz i ona wróciła do Purlear, jakby przyciągnięta niewidzialnym magnesem.

Po powrocie do domu bliźniaczki zaczęły żyć swoim własnym życiem, w dziwnym, oderwanym od rzeczywistości świecie. Kiedy ktoś przychodził, uciekały do innego pokoju. Były zamknięte w sobie, chorobliwie nieśmiałe, podejrzliwe i bojaźliwe. „Zupełnie nie mogły dać sobie rady ze sobą" – powiedział ich ojciec. I z przenikliwością kaznodziei z gór pastor Eller rozpoznał chorobę córek. Lekarze nazywają ją schizofrenią.

Bobbie i Betty równolegle ulegały postępującej powoli i nieubłaganie chorobie. Coraz bardziej odrywały się od rzeczywistości, wycofując się wciąż dalej i dalej w głąb swych splątanych jaźni. W końcu rodzina umieściła siostry w stanowym szpitalu psychiatrycznym w Morganton, około siedemdziesięciu kilometrów od Purlear. Był styczeń 1961 roku.

Blisko trzy miesiące później bliźniaczki opuściły szpital w jakby lepszym stanie zdrowia. Jednak znowu w niesamowity, równoległy sposób przeżyły nawrót choroby. Osobom, które znały je i kochały, wydawało się, że siostry mają dostęp do jakiegoś niezwykłego świata, w którym obie mogą znajdować wzajemną jedność. Nikomu poza nimi nie została dana wiedza o owym fantastycznym świecie.

Kursowały między szpitalem a domem, czasami na długo pozostając w klinice. Wreszcie w styczniu 1962 roku zostały zwolnione. Przepisano im specjalne leki, które miały otrzymywać w domu. Ale w ich fantastycznym świecie lekarstwa wyobrażały kajdany ściągające siostry z powrotem w rzeczywistość. Nie chciały ich przyjmować. W końcu nie potrafiły też nic zjeść, o ile nie zostały zmuszone siłą.

1 kwietnia 1962 roku straszliwie wychudzone i ledwie świadome istnienia realnego świata, bliźniaczki jeszcze raz znalazły się w klinice Broughton. Choroba psychiczna spustoszyła ich umysły w przerażająco podobny sposób. Lecz schemat dominacji Bobbie był wciąż aktualny: Bobbie jadła więcej niż Betty i dlatego była od niej mniej wychudzona. Psychiatrzy w Broughton dostrzegli ten schemat i doszli do wniosku, iż dominacja Bobbie nad Betty w jakiś niezrozumiały sposób pogłębia chorobę sióstr. Sądzili, że gdyby udało się odseparować je od siebie, zerwanie ogniwa łączącego bliźniaczki mogłoby pomóc przywrócić im zdrowie.

Bobbie i Betty zostały więc rozdzielone. Bobbie umieszczono na oddziale 8, Betty na oddziale 12. Było to ich pierwsze fizyczne rozstanie, od momentu gdy kilka lat wcześniej choroba umysłowa zespoliła je w jedno.

W nocy obie siostry dostały ataku katatonii. Ich ciała zesztywniały, obydwie zamarły w bezruchu. Obydwie niewidzącym wzrokiem patrzyły przed siebie w przestrzeń. Obydwie zagryzały dolną wargę. Nie mogły się widzieć – były przecież skutecznie odseparowane od siebie, znajdując się na różnych oddziałach. Jednak później, kiedy dyżurne pielęgniarki porównały swoje notatki, odkryto, iż zewnętrzne symptomy ataku były takie same.

Bliźniaczkom podano środki uspokajające. Przynajmniej tym razem nie potraktowano ich jak bliźniąt: każdej podano inne lekarstwo, Bobbie w zastrzyku, Betty doustnie. Siostry uspokoiły się i poszły spać. Bobbie była sama w pokoju na oddziale 8, gdzie pielęgniarka obserwowała ją czujnie na wypadek ponownego ataku. Betty znajdowała się z innym pacjentem w sali na oddziale 12.

Około godziny jedenastej w środę wieczorem Betty wstała z łóżka. Mówiła, że chce się napić wody. Pielęgniarka weszła do sali, uspokoiła ją i ułożyła z powrotem w łóżku. Po niedługim czasie sprawdziła, czy Betty śpi, oświetlając na chwilę jej twarz. Betty uchyliła powieki, po czym znowu zapadła w sen.

Za pięć pierwsza w nocy ze środy na czwartek pielęgniarka dyżurująca na oddziale Bobbie poczuła, że coś się stało. Nie potrafiła wyjaśnić tego odczucia, ale coś przyciągnęło ją do łóżka chorej. Bobbie nie żyła.

Zdając sobie sprawę z dziwnej więzi łączącej obie siostry, pielęgniarka natychmiast zadzwoniła na oddział 12 i poprosiła, żeby ktoś sprawdził, co dzieje się z Betty. Leżała martwa na podłodze. Prowadzący dochodzenie ustalili później, że bliźniaczki znaleziono leżące w tej samej pozycji, na tym samym boku, z nogami podciągniętymi w ten sam sposób.

Samobójstwo wykluczono z wielu powodów. Szpitale psychiatryczne stosują pod tym względem niezwykle rygorystyczne środki ostrożności.W aktach tamtejszego szpitala zapisano wiele udaremnionych samobójstw. Poza tym odebranie sobie życia nie pasowało do schematu zachowań bliźniąt schizofreników. „Samobójstwo – stwierdził w swoim studium doktor Kaalimann – jest jednym z tych nielicznych aktów, które nie mają szans realizacji w życiu obojga bliźniąt".

Należało jednak ustalić przyczynę śmierci. Zadanie zlecono wybitnemu patologowi, doktorowi Johnowi C. Reece'owi, byłemu prezesowi Towarzystwa Patologicznego Północnej Karoliny i Stanowego Towarzystwa Medycznego.

Po dokonaniu szczegółowej sekcji zwłok odkrył on, że wzajemne podobieństwo bliźniaczek rozciąga się też na ich organy wewnętrzne. Na przykład, mózgi obu kobiet były ukształtowane w niemal identyczny sposób. Opisując swoje poszukiwania przyczyny zgonów, doktor Reece po kolei zmuszony był wykluczyć każdą z wyobrażalnych przyczyn.

– Nie wykryłem żadnych objawów obrażeń czy choroby, które mogłyby spowodować śmierć bliźniaczek – powiedział.

W obydwu świadectwach zgonu rubrykę „Przyczyna śmierci" pozostawił nie wypełnioną.

Następnym etapem było wysłanie narządów wewnętrznych sióstr do dokładniejszej analizy. Technicy laboratoryjni biura śledczego starali się wykryć nikłe ślady zatrucia lekami. Istniała, na przykład, pewna możliwość, że śmiertelną reakcję wywołały w organizmach sióstr środki uspokajające. Ale środki te były dobrze znanymi, przetestowanymi farmaceutykami, a nawet gdyby przyjąć naciąganą hipotezę, że bliźniaczki uległy działaniu dwóch różnych leków w tej samej chwili, reakcje śmiertelne ujawniłyby się krańcowo odmiennie w narządach wewnętrznych.

Podobnie jak doktor Reece, pracownicy laboratorium nie potrafili wyjaśnić przyczyny śmierci. Narządy wewnętrzne zmarłych wysłano zatem do należącego do FBI najlepiej wyposażonego laboratorium śledczego świata. Problem przerósł również i tamtejszych naukowców.

Można tylko jeszcze rozważyć teorię, której żaden naukowiec nie chciałby podjąć. Może zdarzyło się, że w owym fantastycznym świecie, w którym spędziły ostatnie lata życia, Bobbie i Betty odkryły moc, która pozwalała im przywołać śmierć samą tylko siłą woli. Ale w jaki sposób udało im się wyzwolić tę moc równocześnie?

Odpowiedź może tkwić w dominacji Bobbie nad siostrą. Możliwe, że dominacja ta stała się obezwładniająca w stopniu, który okazał się fatalny. Doktor Reece, szukając odpowiedzi poza stołem sekcyjnym, zasięgnął opinii lekarza, który leczył rodzinę bliźniaczek.

Stary wiejski doktor powiedział o swoich udręczonych pacjentkach: – Były jak dwoje ludzi o jednym mózgu. A ten mózg należał do Bobbie.

PRZEWODNIK Z POWOŁANIA

Jeden z najsławniejszych ratowników zapisanych w kronikach morskich ma na swoim koncie tysiące ocalonych ludzi i uratowane od zatonięcia dobra wartości milionów dolarów. Nie umiał czytać ani pisać i pracował za darmo, bo nigdy nie słyszał o pieniądzach. Chyba najstosowniejszym dla niego imieniem jest Jack z Pelorus, inaczej Darmowy Przewodnik.

Spróbuj postawić się w jego sytuacji.

Jeśli byłbyś doskonałym nawigatorem, czy przeprowadzałbyś statki przez niebezpieczne wody w ciągu czterdziestu lat bez żadnej zapłaty?

Jack to robił.

Jeśli byłbyś jednym z najlepszych pływaków na świecie, czy wróciłbyś do pracy, jeśli twoją jedyną nagrodą był strzał w plecy?

Jack to zrobił.

Jack z Pelorus był i nawigatorem i pływakiem.

Pracował wiernie w wybranym przez siebie zawodzie i przeprowadzał statki przez niebezpieczne wody równo czterdzieści lat, przy dobrej i złej pogodzie, i nie stracił ani jednego statku. Nikt nigdy nie proponował mu zapłaty ani on sam nigdy nie oczekiwał pieniędzy. Niezwykła postać, doprawdy. Bardzo niezwykła.

Jack z Pelorus był morświnem!

U wybrzeży Nowej Zelandii znajduje się wyspa D'Urville. Między nią a Wyspą Południową można przepłynąć na skróty tak zwaną Cieśniną Francuską, która ciągnie się od Pelorus Sound do Morza Tasmana. Zdradliwe prądy i ostre podwodne skały czekają na bezradnych i nieostrożnych. Cieśnina miała złą sławę wśród marynarzy, dopóki nie zjawił się Jack. Od tego czasu droga stała się bezpieczna dzięki temu nadzwyczajnemu morświnowi.

Jako pierwszy zapoznał się z nim szkuner „Brindle", który płynął z Bostonu do Sidney z ładunkiem maszyn i butów i próbował znaleźć drogę w cieśninie pewnego burzliwego poranka 1871 roku. Załoga zauważyła bardzo dużego, szarobłękitnego morświna, bawiącego się w wodzie tuż obok wioseł. Wyskakiwał z wody i zachowywał się jak szczeniak, który spotkał przyjaciela i szaleje z radości. Niektórzy marynarze wzięli go za młodego wieloryba i chcieli upolować, ale żona kapitana powstrzymała ich. „Brindle" płynął za morświnem we mgle i deszczu przez całą cieśninę, mając cały czas pod kilem głęboką wodę.

Według tego, co mówią kroniki, spotkanie „Brindle" i Jacka było początkiem niewiarygodnej kariery morświna. Ponieważ trzymał się blisko Pelorus i czekał na statki, żeby przeprowadzić je przez cieśninę, wkrótce nazwano go Jack z Pelorus, a jego sława szybko rozeszła się po świecie, gdyż wdzięczni marynarze chwalili go za pomoc przy strasznej przeprawie.

Czterdzieści lat Jack wypływał im na spotkanie i wyskakiwał na powitanie z wody. Marynarze i pasażerowie przyglądali mu się i wydawali okrzyki na jego cześć, gdyż pod jego opieką niebezpieczeństwo przestawało istnieć.

Wielki morświn płynął obok statku, wyskakując z gracją ponad wodę. Nie sprawiało mu kłopotu utrzymanie tej samej prędkości, jako że morświny należą do najszybszych stworzeń wodnych.

Jack ścigał się ze statkami godzinami, od czasu do czasu przepływał pod nimi, żeby ukazać się z drugiej strony niczym owczarek pilnujący stada. Ale gdy tylko zbliżano się do Cieśniny Francuskiej, Jack wysuwał się naprzód, przed dziób, i pozostawał tam widoczny dla pilota, prowadząc statek przez kanał, aż niebezpieczne miejsce zostało z tyłu.

W 1903 roku pijany pasażer ze statku „Penguin" strzelił do Jacka z pistoletu. Załoga chciała go zlinczować i trzeba było powstrzymać ją od tego siłą. Dwa tygodnie Jack nie stawił się na służbie i sądzono, że nie żyje, ale pewnego poranka przewodnik z Cieśniny Francuskiej zjawił się znowu.

Rada miejska z Wellington wydała ustawę chroniącą Jacka przed prześladowaniami i było to jedyne prawo, do którego marynarze stosowali się bez zastrzeżeń.

Po postrzale Jack nigdy już nie wypłynął na spotkanie „Penguina" – był to jedyny statek, któremu nie chciał towarzyszyć. Marynarze przestali zaciągać się na ten statek. Mówili, że „Penguin" przynosi nieszczęście. W końcu zdany na umiejętności pilota człowieka, „Penguin" wpłynął na skały i zatonął wraz z pasażerami.

Żeby zakończyć spór, czy Jack jest morświnem czy rekinem, grupa naukowców kilkakrotnie odbyła podróż przez cieśninę i zdecydowanie określiła Jacka jako bardzo dużego morświna.

Jack pozostawał wierny swemu powołaniu, ale powoli starzał się. Od czasu swej pierwszej podróży z „Brindle" był na służbie dzień i noc, aż do kwietnia 1912 roku. Wtedy zniknął równie niespodziewanie, jak się pojawił. Prawdopodobnie padł ofiarą starości i naturalnych wrogów. Ponieważ nie wychował sobie następcy, jego odejście było niepowetowaną stratą.

Jack z Pelorus, jak twierdzą naukowcy, był ogromnym, niezwykłym morświnem. Nie miał poprzednika ani następcy. W kronikach morskich zapisano go jako ratownika i niezrównanego przewodnika, który uchronił od śmierci tysiące osób.

NIEZWYKŁE SNY

ODKRYWCZE SNY

Glastonbury Abbey, dawno zaginione opactwo, zostało odkopane tylko dzięki serii zdumiewających snów, tak samo jak antyczne miasto Mykeny, które wyśniło się młodemu, bogatemu piekarzowi z San Francisco i przemieniło go w sławnego archeologa Heinricha Schlimanna.

Dobrze udokumentowany jest także przypadek słynnego konstruktora, wynalazcy silnika parowego, Jamesa Watta. W czasach Watta proces wytwarzania śrutu do wiatrówek był bardzo żmudny. Trzeba było najpierw uformować z ołowiu drut, a następnie pociąć go na kawałki albo najpierw pociąć blachę na małe kwadraciki, a następnie toczyć je pod ciężkimi płytami, aż powstaną z nich kulki. Proces ten nie był ani najprostszy, ani tani.

Pewnej nocy J. Watt miał dziwaczny sen. Według jego opowieści, sen ów nawiedzał go noc w noc w ciągu tygodnia. Widział on siebie spacerującego podczas silnej burzy, w czasie której uderzające o ziemię krople deszczu zamieniały się w malutkie ołowiane kulki, skaczące mu pod nogami.

Czy miało to jakieś znaczenie? Czy było to w jakiś sposób ważne? A może ten sen oznaczał, że roztopiony ołów wpadając do wody będzie się formował w małe kuleczki?

Nie mogąc się oprzeć chęci sprawdzenia, Watt stopił trochę ołowiu w kościelnej wieży, a następnie wylał garnek z ołowiem i obserwował, jak ołów rozpryskuje się w powietrzu i wpada do fosy z wodą daleko w dole. Gdy przeszukał fosę, znalazł w niej ołów uformowany w okrągłe ziarenka, idealne do ładowania wiatrówek.

Na skutek spodowanego przez sen eksperymentu wszystkie inne metody wytwarzania śrutu zostały zarzucone i kulki ołowiane zaczęto powszechnie produkować, wylewając roztopiony ołów na wodę.

Innym, bardzo już niezwykłym wypadkiem, kiedy to we śnie ukazało się rozwiązanie zagadki naukowej, jest historia odczytania babilońskich tablic ze świątyni Bela.

Herman Hilprecht, sławny badacz Asyrii z Uniwersytetu Pensylwania, pisał książkę zatytułowaną *Stare Inskrypcje Babilońskie*. Do ukończenia pracy pozostało mu jeszcze przetłumaczenie inskrypcji z dwu agatowych kawałków, będących niegdyś – jak sądzono – pierścieniami pochodzącymi ze świątyni Bela w Nippur. Agaty były połamane i niekompletne, przez co próba odczytania widniejących na nich napisów była właściwie skazana na niepowodzenie.

Było już późno i Hilprecht, aby choć chwilę odpocząć, odłożył zagadkowe agaty i położył się spać. Jednakże archeolog obiecał wydawcy, że książka będzie gotowa następnego dnia... Pani Hilprecht udała się na spoczynek, a jej małżonek ponownie zabrał się do odcyfrowywania fragmentarycznych napisów pod szkłem powiększającym, ale za chwilę on także usnął...

I wtedy jakby cofnął się czas.

Hilprecht zobaczył wysokiego, chudego kapłana starożytnego Babilonu, który stał przed nim uśmiechając się. Kapłan zdawał się być w średnim wieku, a silny wiatr pustynny rozwiewał jego białe szaty. Delikatnym, cichym głosem powiedział po angielsku:

– Chodź za mną. Pomogę ci.

Hilprecht wstał, aby podążyć za swym dziwnym gościem. Wówczas zauważył, że nie uniósł się z fotela, lecz z kamiennych stopni, na których zdawał się wcześniej siedzieć. Archeolog szedł za kapłanem przez gorące i zakurzone ulice, mijając od czasu do czasu duże budynki. Każdy wydawał się opuszczony. Wreszcie dotarli do jakiejś masywnej budowli i weszli do ogromnego, słabo oświetlonego pokoju.

– Gdzie jestem? – spytał Hilprecht.

– W Nippur, pomiędzy Tygrysem a Eufratem, w świątyni Bela, ojca bogów – odpowiedział dziwny gość.

Archeolog rozejrzał się dookoła. Spoglądał na drobiazgi i przypatrywał się szczegółom. Dostrzegł wystarczająco dużo podobieństw do rekonstrukcji, jaką wykonali współcześni mu naukowcy, by uznać, że dziwny kapłan mówi prawdę.

– Czy możesz mi powiedzieć, gdzie znajduje się komnata zagubionego skarbu świątyni?

Kapłan uśmiechnął się i kazał Hilprechtowi iść za sobą. Prowadził go w dół ciemnym korytarzem, aż w końcu dotarli do małego pokoju. Stała w nim ciężka, drewniana szkatuła, zawierająca kilka kawałków agatu. Wówczas kapłan odwrócił się do Hilprechta i powiedział:

– Dwa kawałki agatu, które ty uznałeś za oddzielne, naprawdę tworzą całość i są częścią, pokrytego inskrypcją, agatowego cylindra wotywnego, podarowanego świątyni przez króla Kurgalzu. Kiedy rozkazano kapłanom, aby zrobili parę kolczyków dla posągu boga Niniba, okazało się, że nie mieliśmy żadnego agatu oprócz cylindra. W tym właśnie pokoju, w którym teraz jesteśmy, rozcięto walec na trzy części, dzieląc tym samym napis. Jedna część przepadła na zawsze.

– Czy możesz mi powiedzieć, jak brzmiał oryginalny napis? – zapytał Hilprecht. Tajemniczy kapłan bez wahania odwrócił się i na pokrytej kurzem ścianie krypty napisał palcem: *Bogowi Ninibowi, synowi Bela, jego pana, kapłan Bela Kurgalzu sprezentował to.*

Nagle Hilprecht wraz z kapłanem w białych szatach, wciąż stojącym u jego boku, znalazł się ponownie w swej bibliotece w Filadelfii. Na kawałku papieru leżącym na biurku doktora napisane było słowo „Nebuchadnezzar", które jeden ze sławnych badaczy starożytności przetłumaczył jako: „Nebu, chroń me dzieło budowniczego". Kapłan wskazał na napis i rzekł: – Słowo to znaczy – „Nebu, chroń moje granice". W chwilę później już go nie było.

Zadziwiający sen Hilprechta ujawnił prawdziwą lokalizację skarbca. Ujawnił też, że dwa agaty pochodziły z jednego kawałka i że kiedyś były częścią cylindra wotywnego, fakt, który został później potwierdzony przez innych badaczy. Wyjaśniło się wreszcie znaczenie słowa „Nebuchadnezzar", które do dziś uważane jest za poprawnie przetłumaczone.

Widmo kapłana nie zdołało wyjaśnić tajemnicy największej: w jaki sposób uśpiony umysł doktora Hilprechta zdołał rozwiązać te starożytne zagadki.

SEN, KTÓRY WSKAZAŁ MORDERCĘ

Mabel Schneider siedziała na poręczy sofy, wyglądając przez okno swego skromnego domu w Mount Morris, w stanie Michigan. Mogła stamtąd obserwować wijącą się autostradę, iskrzącą się teraz mocno ubitym śniegiem. Była godzina jedenasta dwadzieścia, czas, aby jej pięcioletnia, jasnowłosa córka Dorothy wróciła z przedszkola.

Z jakiegoś powodu pani Schneider była spięta i zdenerwowana. Jej serce biło nierytmicznie, gdy obserwowała, jak samochód, stary model dodge'a, zwalnia tuż za wierzchołkiem wzgórza. Kierowca samochodu, niebieskiego jak jaja drozda, wydawał się mieć trudności z ponownym nabraniem prędkości. Później samochód, rozpędzając się powoli, skręcił w drogę prowadzącą do Stanley. W kilka sekund zniknął z pola widzenia.

Kiedy po wpół do dwunastej Dorothy ciągle jeszcze nie było, pani Schneider wyszła jej naprzeciw. Na stacji benzynowej zapytała, czy nie widziano dziewczynki. Okazało się, że jakiś czas temu Dorothy mijała stację benzynową w drodze do domu. Nie było jednak żadnego dalszego śladu dziecka. Przerażona matka skontaktowała się z dyrektorem przedszkola, a on zawiadomił zastępcę szeryfa, który zorganizował grupę poszukiwawczą.

Szukano śladów niebieskiego samochodu, widzianego przez panią Schneider. Ludzie przepatrywali każdą boczną drogę, wypatrując śladów opon. Niecałe pięć kilometrów na zachód od Mount Morris, w odległości około ośmiuset metrów na północ od drogi prowadzonej do Stanley, na przedmieściach Flint, natrafiono na teren, gdzie samochód ugrzązł w błocie. Miejscowy farmer Archie Bacon potwierdził, że ugrzązł tu jakiś niebieski samochód. Ślady prowadziły do płotu po przeciwnej stronie, gdzie widoczne były także odciski dziecinnych kaloszy.

Grupa poszukiwawcza otoczyła dwudziestoakrowe pole i odkryła tropy, w miejscu gdzie wiele śladów męskich stóp prowadziło do skrawka zalesionego terenu, przez który przepływał dopływ rzeki Benson. W pobliżu tych śladów znaleziono dziecinną czapeczkę, płaszczyk i sweterek. Zapłakana pani Schneider zidentyfikowała je jako rzeczy należące do jej dziecka.

Nowa i liczniejsza grupa poszukiwawcza została zorganizowana przez szeryfa Franka Greena. Ludzie pospieszyli z powrotem nad dopływ rzeki Benson i przeczesali zalesiony teren.

Przy wiązie, nad samym brzegiem rzeki, znaleźli oni część ciała małej dziewczynki, później dwie następne. Zrozpaczeni ludzie z grupy poszukiwawczej znaleźli jeszcze opakowanie gumy do żucia, korek od butelki i zmiętą chusteczkę do nosa na zmarzniętej ziemi. Szeryf Green wysnuł przypuszczenie, że prawdopodobnie użyto chloroformu, aby uśpić Dorothy. Nie udało się znaleźć narzędzia zbrodni i przypuszczano, że zostało ono wrzucone do rzeki, wezbranej teraz w wyniku odwilży.

Green przesłuchał farmera Archiego Bacona, który okazał się inteligentnym, spostrzegawczym i chętnym do współpracy świadkiem.

Koło południa zauważył on niebieski samochód, który skręcił na północ na skrzyżowaniu z drogą wiodącą do Stanley. Widział, jak kierowca wysiadł i podszedł do ogrodzenia. Wyglądał, jakby niósł na rękach jakiś tobół. Trzy godziny później widział tego samego mężczyznę, gdy bez powodzenia próbował wyciągnąć swój samochód z zamarzniętego błota. Mężczyzna ten pojawił się później w domu Bacona, aby prosić go o pomoc.

Bacon opisał samochód jako stary model czterodrzwiowego dodge'a w kolorze niebieskim jak jajka drozda. Był tak mocno opryskany błotem, że nie mógł odczytać numerów na tablicy rejestracyjnej. Powiedział oficerom, że mężczyzna miał przygarbione ramiona i ubrany był w szary płaszcz z tłustą plamą i w szarą futrzaną czapkę. Miał około pięćdziesięciu lat oraz metr siedemdziesiąt wzrostu.

Jeden z podejrzanych odpowiadał opisowi poszukiwanego mężczyzny, włącznie z tłustą plamą na szarym płaszczu, a jego samochód był starym, niebieskim dodge'm. Na jego szczęście, Archie Bacon był niezachwiany w swoim przekonaniu, iż „rozpozna człowieka z tobołem, gdy tylko go zobaczy, i nie będzie pomyłki". Dzięki dobrej pamięci farmera i jego poczuciu odpowiedzialności, nie aresztowano niewinnego w istocie właściciela niebieskiego dodge'a.

Sporządzono listę wszystkich samochodów odpowiadających opisowi dodge'a, zarejestrowanych w hrabstwie Genesee. Wojsko włączyło do akcji trzy pościgowe samoloty myśliwskie, które wykonywały loty w poszukiwaniu porzuconych samochodów. W ciągu czterech dni aresztowano i zwolniono około sześćdziesięciu podejrzanych. Aresztowano także podejrzanych osobników, których zauważono w domu pogrzebowym, gdzie znajdowało się okaleczone ciało Dorothy. Wszyscy oni zostali jednak zwolnieni.

W Owosso, około pięćdziesięciu kilometrów od Flint, 16 stycznia rano, w dniu pogrzebu Dorothy, młody człowiek obudził się na dźwięk dzwonka budzika. W jego umyśle wyrwanym ze snu głęboko wyryte było nazwisko drugiego diakona kościoła Chrystusowego w Owosso – Adolpha Hottelinga. Młody człowiek miał pewność, że było to nazwisko mordercy dziecka.

Tym młodym mężczyzną był Harold Lotridge. Należał do chóru kościelnego, był także diakonem, znał Hottelinga jako surowego, wyjątkowo pobożnego człowieka, czasami tylko mającego skłonności do kłótni. Lotridge opowiedział ojcu o swoim śnie, że to Adolph Hotteling był napastnikiem i zabójcą Dorothy. Nazwisko we śnie oraz powszechnie publikowany opis poszukiwanego mężczyzny i jego samochodu zbyt dobrze do siebie pasowały.

Lotridge'owie w pracy jeszcze raz omówili sen i rozpatrzyli sprawę ze wszystkich stron. Młody Lotrigde był przeciwny przywiązywaniu wagi do snu, nie mógł się jednak pozbyć uczucia, że Hotteling był winien popełnienia zbrodni.

Ojciec i syn zapomnieli jednak ściszyć głosy i ich rozmowę usłyszał Sheldon Robinson, sąsiad, zatrudniony również przy budowie szkoły. Nie tracąc czasu, udał się od razu do Flint na policję ze swoją informacją. Nagroda, wynosząca już wówczas osiem tysięcy dolarów, była nie do pogardzenia. Oczywiście to był tylko sen, ale władze szły każdym nowym tropem.

Zaledwie ciało Dorothy Schneider zostało złożone na wieczny spoczynek, policjanci zjawili się w skromnym domu Hottelinga w Owosso. Pani Hotteling właśnie robiła pranie. Jej mąż, ubrany w kombinezon, zajęty był wykonywaniem drobnych prac domowych.

Hotteling gwałtownie zaprzeczył jakiemukolwiek powiązaniu z tą zbrodnią. Jego żona twierdziła histerycznie, że jej mąż „nigdy by nie popełnił czegoś takiego, a gdyby to zrobił, sama chętnie pomogłaby go zabić".

Oficerowie wyszli obejrzeć samochód Hottelinga, stary model dodge'a, połyskujący nową warstwą czarnego lakieru. Kiedy sygnet jednego z oficerów przypadkowo zarysował farbę, oczom ich ukazał się kolor niebieski jak jaja drozda.

Po kilku minutach ludzie szeryfa znaleźli ubranie, tak dokładnie opisane przez farmera Bacona. W jednej z kieszeni znajdował się poplamiony krwią składany nóż i chustka do nosa podobna do tej, którą znaleziono na miejscu zbrodni. Natrafiono też na listę nazwisk kobiet, mieszkających w tej miejscowości i poza nią. Lista ta zawierała nazwisko Mabel Schneider.

Hotteling przyznał się. Twierdził uparcie, że dręczyła go sprawa Hickmana, mordercy z Los Angeles, i że „coś musiało wreszcie pęknąć".

Część jego zeznań brzmiała następująco: „Prowadząc samochód zauważyłem śliczną, małą dziewczynkę. Wziąłem ją do auta, myśląc, że podwiązę ją do domu. Ona płakała. Dojechałem do drogi prowadzącej do Stanley, była błotnista i mój samochód ugrzązł w błocie. Niosłem dziewczynkę kawałek przez pole. Ona ciągle płakała i chciała wrócić do domu".

Uspokoił ją kawałkiem gumy do żucia. Gdy doszli do dopływu rzeki Benson, Dorothy łkała nadal i zagroziła, że powie ojcu. Hotteling uśpił ją chloroformem i dwa razy pchnął nożem. Zgwałcił ją i poćwiartował ciało. Znajomość anatomii zawdzięczał swemu szwagrowi weterynarzowi.

W zeznaniach przyznał się także do popełnienia dwóch dotąd nie wyjaśnionych zbrodni na tle seksualnym na małych dziewczynkach z Owosso. Jedną z nich uśpił chloroformem.

Sędzia okręgowy hrabstwa wykluczył możliwość zmiany miejsca rozprawy i z zakładu poprawczego w Ionia Hotteling został przewieziony do Flint. W towarzystwie swego adwokata stanął przed sądem, aby przyznać się do winy i wysłuchać wyroku. Pani Hotteling była nieobecna ze względu na ciężkie załamanie nerwowe. Ojciec zamordowanej dziewczynki czekał spokojnie, a kiedy więzień w kajdankach mijał go, wymierzył mu silny cios w twarz – satysfakcja, na którą czekał od pierwszego dnia tego koszmaru.

Adolph Hotteling został skazany na dożywotnie więzienie, co zgodnie z prawem stanu Michigan było najwyższym możliwym wymiarem kary. Natychmiast po procesie przewieziono go samochodem do więzienia Marquette, gdzie przebywał do końca swych dni.

Więzień nr 1938 zamknął sprawę, umierając w 1955 roku.

Sprawa została zamknięta, ale tylko dla sądu i policji... Na wyjaśnienie czeka sprawa niezwykłego snu, który wskazał mordercę.

POMNIK DLA TAJEMNICY

W pobliżu wioski Pavia w County Bedford, w Pensylwanii, stoi unikalny kamienny pomnik jako symbol tajemnicy, która nigdy nie została wyjaśniona.

Rankiem 24 kwietnia 1856 roku Samuel Cox usłyszał ujadanie swego psa gdzieś w gęstwienie lasu otaczającego jego dom w Spruce Hollow. Sięgnął po broń i wyszedł, aby sprawdzić, na kogo szczekał pies, lecz zanim zlokalizował intruza, pies ucichł.

Samuel chodził pół godziny po lesie, nim ponownie wyszedł na polanę, na której stał jego dom. Zastał tam swoją żonę Susannah z psem, ale gdzie byli synowie: siedmioletni George i pięcioletni Joseph? Ojciec sądził, że dzieci zostały w domu, jego żona myślała, że chłopcy poszli z ojcem. Pies, który wiedział, gdzie podziali się malcy, szczekał i kręcił się niespokojnie w kółko.

Przerażeni rodzice pobiegli do lasu, wołając i nasłuchując – bez rezultatu. Samuel poszedł przez góry do swych najbliższych sąsiadów i poprosił o pomoc. Jeden z nich pojechał konno zawiadomić innych w porozrzucanych z rzadka domostwach, a Samuel z resztą pośpieszyli z powrotem, aby przeszukać gęstwinę.

Przed zapadnięciem nocy ponad sto kobiet i mężczyzn zajmowało się poszukiwaniami chłopców. Wiele godzin ludzie chodzili i nawoływali, przeszukiwali każdy leśny zakamarek – bezskutecznie.

Noc była bardzo ciepła, istniała więc szansa, że chłopcy mogli przeżyć, zakładając, że nie wpadli w któryś z głębokich jarów w dolinie.

O świcie ponowiono poszukiwania z udziałem nowych ochotników, którzy przebyli wiele kilometrów, aby pomóc. Minął dzień i nie znaleziono żadnego śladu chłopców. Czas uciekał nieubłaganie.

Jak można przeczytać w *The History of Bedford County*, poszukiwania trwały wiele dni i brało w nich udział ponad tysiąc ludzi. W desperacji rodzice poprosili o pomoc różdżkarza. Mówiono, że za pomocą swej różdżki znajdował wodę, więc być może byłby w stanie odnaleźć zaginionych chłopców. Niestety, nie potrafił. Różdżka podnosiła się i opadała, ale za każdym razem, gdy trafiała na ścieżkę, którą szli chłopcy, nie była w stanie doprowadzić do miejsca ich pobytu.

Swą pomoc zaoferowała też pewna stara kobieta, uchodząca za swego rodzaju miejscową czarownicę – na próżno.

W atmosferze podniecenia i niepokoju powstawanie plotek jest rzeczą oczywistą i tak też się stało. Rozeszła się wieść, że to rodzice zabili dzieci w nadziei zwrócenia na siebie uwagi i uzyskania publicznego współczucia. Tłum, raczej z ciekawości niż rozsądku, rozerwał na kawałki podłogę w domu rodzicieli i przekopał całe podwórze. Na próżno.

Dwadzieścia kilometrów od miejsca zdarzenia mieszkał spokojny, młody farmer, Jacob Dibert. I pewnej nocy miał sen...

Śniło mu się, że jest w lesie, w tej jego części, w której nigdy nie był i której nigdy przedtem nie widział. Śnił, że stawia nogę na kłodzie drewna. Przed nim leżał zdechły jeleń. Spoglądając na ścieżkę, którą prawdopodobnie jeleń przeszedł, zauważył dziecięcy bucik, a zaraz za nim bukowy pal, który tworzył jakby kładkę przez wąwóz. Przekroczywszy wąwóz po powalonym drzewie, przeszedł następnie po kamiennym mostku wprost do wąwozu, którym płynął mały strumyk. Tam, w półkolu utworzonym przez korzenie ogromnej brzozy, leżeli poszukiwani chłopcy – martwi.

Jacob opowiedział o śnie żonie, lecz oboje zatrzymali to dla siebie. Następnej nocy sen się powtórzył i wtedy postanowili powiedzieć o tym bratu pani Dibert, Hartisonowi Wysongowi, człowiekowi znającemu jak nikt obszar lasu, w którym zaginęli chłopcy.

Wysong był sceptykiem, jeśli chodzi o sny, ale nie oponował. Wiedział bowiem, że faktycznie istnieje takie miejsce i przełęcz ze strumykiem, chociaż uważał, że szukanie tam chłopców jest bezsensowne. Jednak, by zapewnić spokój sumienia pani Dibert, poszedł razem z Jacobem na brzeg lasu i rozpoczęli poszukiwania.

Pięć minut później nastąpili na powalony buk, gdzie ku ich zdziwieniu leżał martwy jeleń. Za nim, jakieś siedem metrów dalej, leżał dziecięcy bucik!

Mężczyźni zaczęli biec, przeszli po palu przez wąwóz, następnie wspięli się i... Jacob zauważył olbrzymią brzozę, a zbyt podekscytowany, aby mówić, wskazał tylko ręką. I miał rację. W korzeniach brzozy leżały ciała obu chłopców – dokładnie tak jak widział to Jacob Dibert w swym śnie.

Chłopców pochowano na cmentarzu Mt. Union Cemetery 8 maja 1856 roku.

W pięćdziesiątą rocznicę tego dziwnego wydarzenia w miejscu odnalezienia zwłok chłopców postawiono ze składek publicznych pamiątkowy pomnik. Stoi tam jako milczący znak tajemnicy.

OCALONY PRZEZ SEN

Czy to możliwe, by pod wpływem silnego napięcia psychicznego istoty ludzkie mogły porozumiewać się ze sobą za pośrednictwem jakiegoś nie znanego jeszcze kanału komunikacyjnego? Ze wszystkich odnotowanych przypadków tego typu na największą uwagę zasługuje historia młodej dziewczyny, która odnalazła swego ukochanego tylko dlatego, iż niezłomnie wierzyła w swoje sny.

Władze miasteczka Czermak w Polsce uważały tę dziewczynę za natręta. Była u nich wiele razy z prośbą o pomoc w odnalezieniu narzeczonego, który poszedł się bić na wojnie i zniknął jak miliony innych, gdzieś w jej zgiełku.

W październiku 1918 roku Maryna po raz pierwszy miała okropny sen. Widziała, jak jej ukochany szuka po omacku drogi w ciemnym tunelu, widziała, jak odstawia świeczkę i broni się przed spadającymi głazami i belkami, widziała, jak pada na kolana szlochając. Tylko to – nic więcej.

Sen powtórzył się kilka razy. W środku lata 1919 roku obraz trochę się zmienił. Zobaczyła we śnie zamek na szczycie wzgórza. Jedna wieża zamku była zawalona. Kiedy podeszła do niej, usłyszała głos wołający o pomoc i natychmiast poznała, że należał on do jej zaginionego Stanisława.

Głos dochodził spod głazów. Próbowała je podnieść, ale były za ciężkie. Zrozpaczona odwróciła głowę i wtedy sen się urwał. Kiedy sen powtórzył się kilka razy, Maryna opowiedziała go matce, a ta proboszczowi. Proboszcz odniósł się do tego bardzo sceptycznie i przypisał wszystko złemu stanowi psychicznemu zrozpaczonej dziewczyny.

Jednak Maryny nie można było tak łatwo zniechęcić. Gdzie jest zamek z zawaloną wieżą? Odnalezienie go wydawało się niemożliwe, ponieważ ta część Europy pełna jest starych zamków, pozostałości minionej epoki.

I ciągle te powtarzające się sny. Widziała, jak Stanisław szedł po omacku przez tunel, widziała zawalony zamek, słyszała błagania o pomoc. Prawie bez grosza wyruszyła w stronę miejsca, gdzie ostatnio widziano jej chłopca. Spała gdzieś przy drodze. Jadła to, co dawali jej dobrzy ludzie. Opowiadała im o wszystkim, a oni tylko kiwali głowami. Tyle było smutnych historii z czasów wojny i tyle zamków w ruinie.

25 kwietnia 1920 roku Maryna weszła na szczyt wzgórza koło wioski Złota w południowej Polsce. Na wzgórzu stał zamek. Maryna spojrzała nań i krzyknęła z radości. To on! Taki jak we śnie. Ze łzami spływającymi po policzkach zbiegła piaszczystą drogą do wioski i wyczerpana upadła przy studni. Zebrał się tłum ludzi. Przyszedł policjant, żeby sprawdzić, co się stało. Maryna nie mogła wiele powiedzieć, pokazywała tylko na zamek i mamrotała:
– Jest tam! Jest tam!

Ale na policjancie nie zrobiło to żadnego wrażenia. Oczywiście, że jest tam zamek. Stał tam od setek lat. Po co się tak denerwować? Dziewczyna opowiedziała swoją historię, ale nikt jej nie uwierzył. Zakochane dziewczyny są zdolne do wszystkiego, może więc poszukiwanie zamku było po prostu jednym z dziwacznych dziewczęcych pomysłów. Mimo to, Maryna przyciągnęła uwagę wielu ludzi. Ponieważ była zdecydowana iść i kopać w gruzach, tłum poszedł z nią z ciekawości.

Z uśmiechem niedowierzania na ustach mężczyźni odsuwali głazy. Pracowali tak dwa dni, aż w końcu ujrzeli jakiś otwór i ku swojemu wielkiemu zdziwieniu usłyszeli ludzki głos, wołający z ciemności. Maryna usłyszała go także. Próbowała odsunąć głazy, ale mężczyźni odciągnęli ją i sami powiększyli otwór. W środku ktoś był. Kiedy go wyciągnęli, ujrzeli bladego i obdartego chłopca. To był on, chłopak Maryny! Nie mógł otworzyć oczu. Po spędzeniu dwu lat w kompletnej ciemności światło było dla niego torturą.

Przed dwu laty przyszedł do starego zamku. Kiedy był w środku, pocisk uderzył w wieżę i spadające głazy zablokowały wyjście. Żył na serze i winie. Znalazł kilka świeczek, którymi oświetlał wnętrze, dopóki wszystkie się nie wypaliły. Towarzystwa dotrzymywały mu szczury. Jego jedyną nadzieją była modlitwa.

Po tym zdumiewającym epilogu snów Maryny trybunał wojskowy przeprowadził dochodzenie w sprawie Stanisława Omeńskiego. Wkrótce został on honorowo zwolniony ze służby i poślubił dziewczynę, która w ten nieprawdopodobny sposób uratowała mu życie.

WYŚNIONE KATASTROFY

W Bostonie była niedzielna noc, gdy Byron Somes odsypiał właśnie kolejną hulankę w swoim redakcyjnym biurze w „Boston Globe".

W tym samym czasie w Cieśninie Sundajskiej był już poniedziałkowy poranek i miał tam miejsce najsilniejszy wybuch wulkanu w historii ludzkości.

W swoim śnie Byron Somes widział katastrofę tak wyraźnie, jakby patrzył na to wszystko z powietrza, choć znajdował się dziewiętnaście tysięcy kilometrów od miejsca wydarzenia!

Dwa dni przed niesamowitym snem bostońskiego reportera wulkaniczna wyspa wynurzyła się z oceanu w Cieśninie Sundajskiej, w miejscu gdzie w 1115 roku trzęsienie ziemi rozłączyło wyspy Jawą i Sumatrę.

Wulkan Krakatau znany był ze swych wstrząsów i powtarzających się erupcji. 25 sierpnia 1883 roku dał znać o sobie cichym mruczeniem, które w zastraszająco szybkim tempie osiągnęło siłę kanonady. Przed zapadnięciem nocy zaczął zasypywać wyspę głazami wulkanicznymi. Załamały się mosty, drogi stały się nieprzejezdne. Statki musiały się ratować ucieczką w morze, aby uniknąć deszczu kamieni. Potężne wybuchy podwodne utworzyły kipiel morską, a temperatura wody podniosła się o ponad 18°C w ciągu nocy.

26 sierpnia przed południem największy na Jawie wulkan Gunung Semeru dołączył do tego chóru. Następnie Gunung Guntur, a po kilku godzinach cały wulkaniczny łańcuch objawił swą moc. Piekielna artyleria grzmiała całą siłą ognia. Morze wokół wyspy wrzało. Ziemia się trzęsła. Noce były czerwone od ognistych wybuchów piętnastu ryczących wulkanów.

Nagle nastąpił wybuch tak potężny, że wyspa Krakatau rozpadła się na kawałki, fale sejsmiczne obiegły kulę ziemską, a olbrzymia fala morska, tsunami, runęła, by siać zniszczenie i śmierć. Czterdzieści tysięcy ludzi straciło życie. Niczego podobnego nigdy nie zanotowano w kronikach ludzkości.

Tej gorącej sierpniowej nocy 1883 roku w Bostonie Byron Somes, obudziwszy się ze swego straszliwego snu, siedział przez chwilę zastanawiając się nad tym, co w nim widział. W myślach wciąż słyszał krzyki przerażonych mieszkańców tropikalnej wyspy, beznadziejnie szukających ucieczki przed swoim przeznaczeniem.

Dziennikarz zapisał kilka szczegółów swego snu, dopóki były jeszcze żywe w jego pamięci, sądząc, że mogą mu się przydać w jednym z reportaży. Swoją notatkę opatrzył nagłówkiem „Ważne", położył na biurku i poszedł do domu.

Następnego dnia o wypadkach na Krakatau gazety nie wiedziały właściwie nic.

Somes prawdopodobnie nie przyszedł tego dnia do redakcji, ale jeden z kolegów najwidoczniej znalazł jego notatki i wziął je za autentyczny opis. Wydarzyło się coś niesamowitego, tylko gdzie? Następnie przyszedł fragmentaryczny raport z Batavii, który lokował katastrofę na Krakatau, wobec czego „The Boston Globe" zamieścił wspaniały opis katastrofy, oparty na notatkach Somesa. Inne gazety zaczerpnęły swoje opisy najwyraźniej z bostońskiego „Globu" i w ciągu krótkiego czasu sen Somesa stał się szeroko publikowaną wiadomością prasową.

Kiedy dyrekcja znalazła wreszcie Somesa i domagała się dalszych szczegółów, dziennikarz przyznał, że to, co wzięto za reportaż, jest tylko roboczą notatką z jego sennego koszmaru.

W tym momencie Byron Somes znalazł się na bruku, wylany z roboty.

Zanim jednak „The Globe" zdołał opublikować jakiekolwiek wyjaśnienie, sama przyroda uratowała gazetę. Ogromna fala morska, wywołana wybuchem wulkanu, uderzyła w brzegi Ameryki. Wiadomości zaczęły napływać, z chwilą gdy świadkowie katastrofy dotarli do miejsc, gdzie jeszcze funkcjonowały telegrafy.

W miarę napływania informacji nieprawdopodobna trafność opisu, opartego na śnie Byrona Somesa, stawała się coraz bardziej oczywista. Dziennikarz ponownie znalazł się wśród pracowników redakcji. Jednak dopiero dużo później, gdy wszystko już trochę przycichło, gazeta wydrukowała całą tę zdumiewającą historię o wybuchu Krakatau.

Historię, która ma jeszcze jeden dziwny szczegół. We śnie Somes zdawał się słyszeć cały czas słowo „Pralape". Nie miało to dla niego żadnego znaczenia, gdyż słowa takiego w ogóle nie znał. Dopiero wiele lat później za pośrednictwem holenderskiego towarzystwa historycznego dowiedział się, że słowo „Pralape" to stara nazwa Krakatau, nie używana od dwu wieków!

Słowo to jest doprawdy nader zagadkowym elementem całej tej historii i każe ją widzieć w innym świetle. Gdyby nie ono, można by pokusić się o wyjaśnienie snu zwykłym zbiegiem okoliczności. Zdarzają się na świecie katastrofy i nierzadkie są też katastroficzne sny, powinno się więc z powodów czysto statystycznych zdarzać, że jedna lub nawet więcej osób będzie śnić o katastrofie, która gdzieś aktualnie ma miejsce lub zdarzy się w najbliższej przyszłości. Jednak fakt pojawienia się we śnie zapomnianej, od dawna nie używanej nazwy Pralape, o której reporter nie miał pojęcia, stawia to wyjaśnienie pod dużym znakiem zapytania.

Podobna historia, w której wyśniła się katastrofa morska, przydarzyła się Adrianowi Christianowi z wyspy Man. Pod pewnymi względami jest to historia jeszcze bardziej nieprawdopodobna: można wyśnić katastrofę, która się przydarzy, ale żeby wyśnić także osobę, która zostanie uratowana, tego już za wiele! A na dodatek także i tu pojawia się we śnie pewne słowo, które nie miało prawa się przyśnić!

W roku 1833 Adrian Christian śnił po raz pierwszy, że jest kapitanem statku. Jego brat Thomas znajdował się w tym samym czasie na innym statku, który tonął, i Christian uratował go. Opowiedział on swój dziwny sen rodzinie, a kiedy na przestrzeni trzech lat ten sam sen powtórzył się pięciokrotnie, jego matka, osoba wielce religijna, zapisała to na jednej z czystych kart rodzinnej *Biblii*.

Czterdzieści siedem lat później, we wrześniu 1880 roku, Christian miał wiele powodów, by przypomnieć sobie o tym wydarzeniu. Był kapitanem statku „British India" i płynął z Sydney do Rangunu. Kiedy ucinał sobie popołudniową drzemkę, jego sen powrócił. Po raz kolejny więc śniło mu się, że jego brat znajduje się na tonącym statku. Najbliższej nocy sen nawiedził go raz jeszcze, choć tym razem zobaczył także coś nowego: nabazgrane na kawałku papieru słowo „rodzina".

Kiedy mijała noc, kapitan Christian nakazał zmianę kursu, chcąc płynąć na północ, co sprawiło, że znaleźli się na wielce niebezpiecznych wodach. Następnego dnia, 6 września, zauważono tonący statek. Zarządzono natychmiast akcję ratunkową i ocalono dwieście sześćdziesiąt dziewięć osób, w tym brata Christiana, Thomasa, który był szyprem na tonącym statku. Statek nazywał się „Rodzina"!

SPIS TREŚCI

TAJEMNICZE ZJAWISKA

Wyspa strachu 5
Stąpanie po ogniu 7
Zawieszeni na hakach 9
Strzelec-widmo 12
Niepojęte kremacje 14
Więcej o ludziach pochodniach 17
Straszliwy ogień – czy możliwe jest wyjaśnienie? 23
Ludzie pod wysokim napięciem 30
Niesamowite fotografie 32
Północ w południe 35
Śmierć z kosmosu 37
Zdumiewające deszcze 39
Węże spadły na Memphis 43
Niewidzialne kły 47
Stygmaty 49
Płaczące obrazy 52
Telepatyczne wizje 54
Dźwiękowa lewitacja 57

TAJEMNICZE ZNIKNIĘCIA

Wymarła wioska 61
Zaginione zwłoki 63
Zaginione załogi 65
Nikt nie powrócił 67
Tajemnica zniknięcia Davida Langa 70

TAJEMNICZE OBIEKTY

Zagadka kamiennych kul 72
Nierdzewna kolumna 74
Czaszka z kryształu 77
Żywe skamieliny 79
Mumia z Wyoming 80
Koniec tajemnicy Całunu Turyńskiego 82

TAJEMNICZE ISTOTY

Przedziwni napastnicy 88
Ufonauci 90
Yeti 93
Sasquatch 96
Spotkałem Matah Kagmi 100
Neandertalczyk w bryle lodu? 102
Wąż kapitana Seabury'ego 105
Stworzenia z głębin 106
Upiorny ptak z doliny Rio Grande 108
Odciski stóp diabła 111
Ślady stóp diabła, czyli nie rozwiązana zagadka 113

TAJEMNICZE MIEJSCA

Zagadka skały w Dighton 120
Skarb w studni 122
Głośne piaski 125
Strefa ciszy 127
Najdziwniejsze miejsce na Ziemi 131

NIEZWYKŁE ZDARZENIA

Morderstwo za pomocą hipnozy 132
Niespokojny umarły 135
Zagadka śmierci Napoleona 137
Cień węża 139
Aztekowie XX wieku 141
Kto to napisał? 145
Przeklęty samochód 147
Fatalny krążownik 149
Nie kończąca się katastrofa 151
Połknięty przez wieloryba 154
Hinduski trik z liną 156
Powiedz pszczołom 160

NIEZWYKŁE ODKRYCIA

Dziwny silnik Johna Keely'ego 162
Zapomniany wynalazek 164
Zaklinacz deszczu 166
Iskra życia? 169
Martwi odkrywcy 171

NIEZWYKLI LUDZIE

Karły i liliputy 173
Olbrzymy na Ziemi 175
Najsilniejszy człowiek świata 177
Zbuntowany geniusz 180
Genialny idiota 182
Mistyk milioner 184
Ludzie komputery 187
Ludzie o rentgenowskich umysłach 190
Człowiek znikąd 196
Bliźniaczki 198
Przewodnik z powołania 204

NIEZWYKŁE SNY

Odkrywcze sny 206
Sen, który wskazał mordercę 209
Pomnik dla tajemnicy 213
Ocalony przez sen 215
Wyśnione katastrofy 217

WYDAWNICTWO
Pandora Books
PROWADZI ZA ZALICZENIEM POCZTOWYM
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWĄ
SWOICH KSIĄŻEK:

KSIĘGA RZECZY DZIWNYCH ☐
25 000 zł
Tajemnicze kulty i sekty, energia uzdrawiająca, wilkołaki, wampiry, trójkąt bermudzki, objawienia i religijne wizje oraz kilkadziesiąt innych, zdumiewających faktów.

KSIĘGA RZECZY DZIWNYCH 2 ☐
25 000 zł
Atlantyda, jasnowidzenie, reinkarnacja, trzecie oko, fizyczne ślady UFO, cywilizacje pozaziemskie, dusiciele, a także wiele innych niezwykłych zdarzeń i zjawisk.

Thomas De Jean
KSIĘGA TAJEMNIC 1 ☐
25 000 zł
Wyspa strachu, ludzie-pochodnie, ślady stóp diabła, tajemniczy stwór Matah Kagmi i inne tajemnice.

Thomas De Jean
KSIĘGA TAJEMNIC 2 ☐
25 000 zł
Domy-widma, tajemnica ludzi w czerni, niesamowite obiekty podwodne, potwory z Acambaro...

Adam Ian
SEKS I SŁAWA ☐
30 000 zł
Życie intymne sławnych ludzi.
– Od Kleopatry do Polańskiego.

☐

Robert Charroux

KSIĘGA SKARBÓW

25 000 zł

Skarby Inków, skarby Templariuszy,
skarby starożytne, węże, smoki, zaklęcia
i inni strażnicy ukrytych bogactw.

☐

G. L. Simons

KSIĘGA REKORDÓW SEKSUALNYCH

25 000 zł

Ujawnia fakty, które zawsze chcieliście poznać, ale nie mieliście odwagi do tego się przyznać.

☐

KSIĘGA WYBRYKÓW NATURY

30 000 zł

Niewiarygodny świat ludzkich osobliwości
Ponad 250 ilustracji.

☐

Allen Hynek

ZETKNIĘCIE Z UFO

22 000 zł

Człekokształtna istota postrzelona przez agentów FBI
Doradca amerykańskiego lotnictwa ujawnia kulisy
rządowych badań nad UFO

Zamawiam zakreślone w okienku książki.

Imię i nazwisko

----
adres

Książki tańsze o 33% niż w księgarni

Zamówienia kierować na adres:

Pandora Books,
90-437 Łódź, al. Kościuszki 80/82

KSIĘGA TAJEMNIC 1

ilustracje

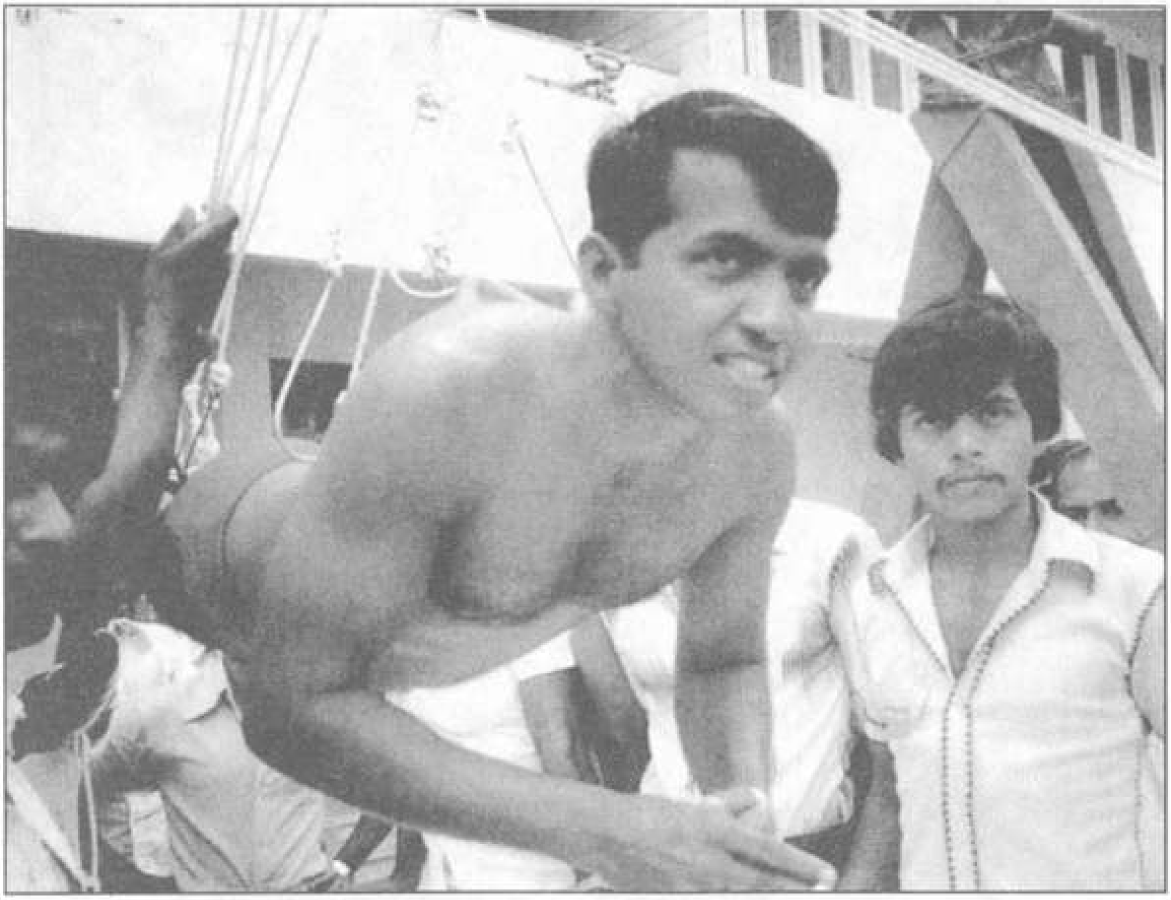

„Szczęśliwy wisielec" – sekret wiszących na hakach, leży w pozytywnym nastawieniu psychicznym i starannym rozmieszczeniu ciężaru ciała na odpowiedniej ilości haków.

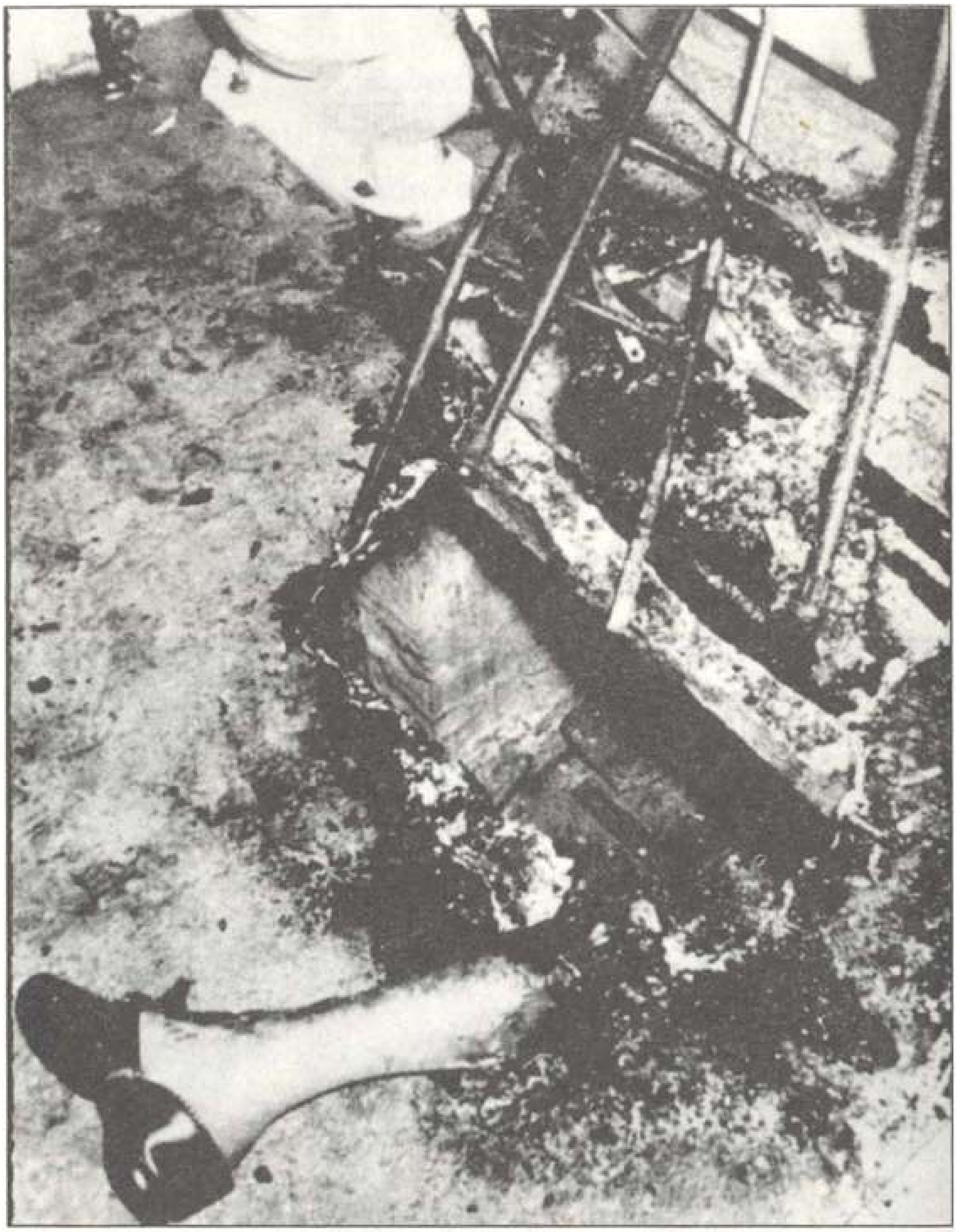

Oto co pozostało z doktora Johna I. Bentleya po jego tajemniczej śmierci. Pensylwania, grudzień 1966 roku.

Jedna z ostatnich fotografii Mary H. Reeser.

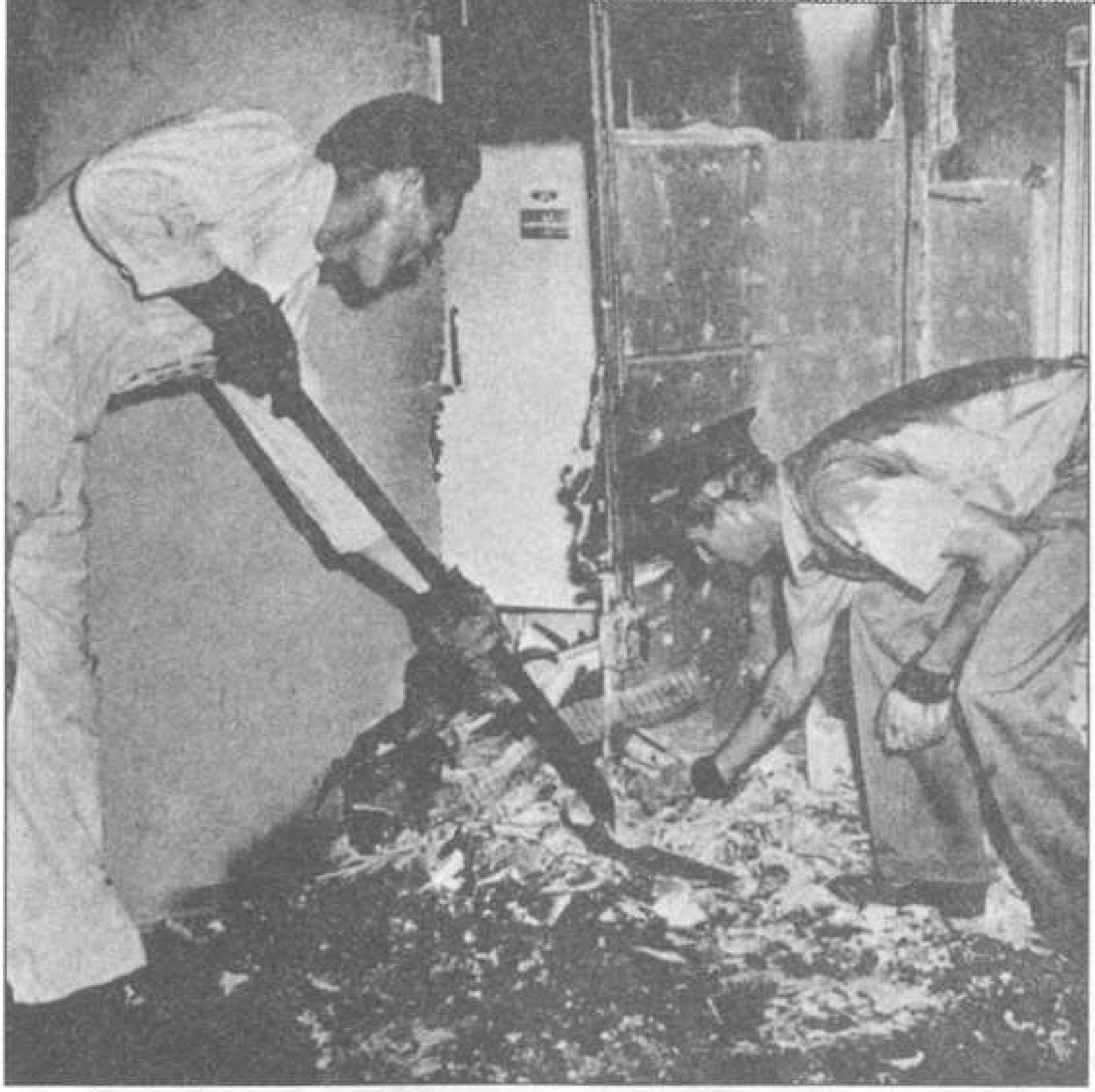

Pogorzelisko po tragedii Mary H. Reeser. St Petersburg, Floryda, czerwiec 1951 roku.

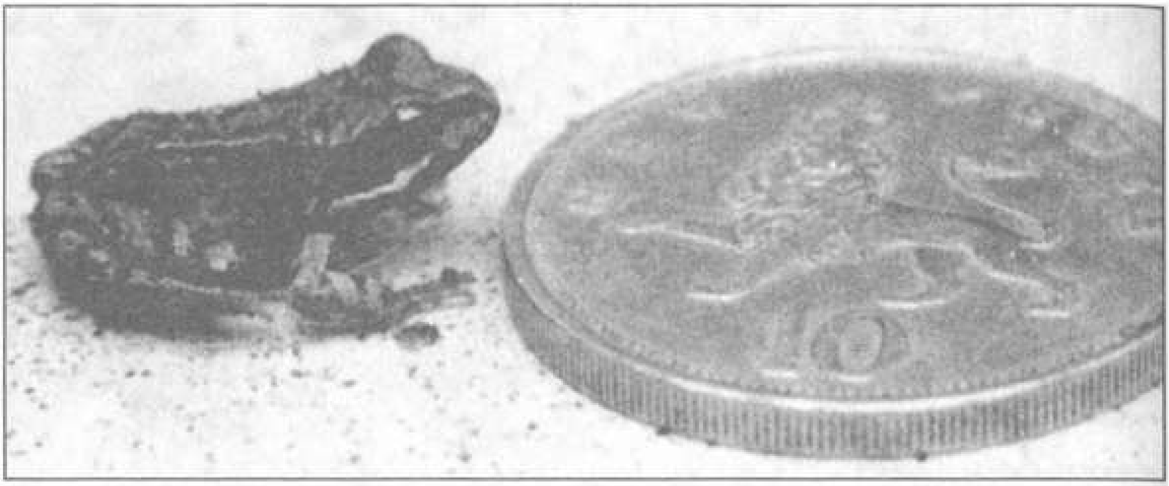

Jedna z żab, jakie miały spaść z deszczem na ogród pani Vidy McWilliam w Bedford, w czerwcu 1979 roku.

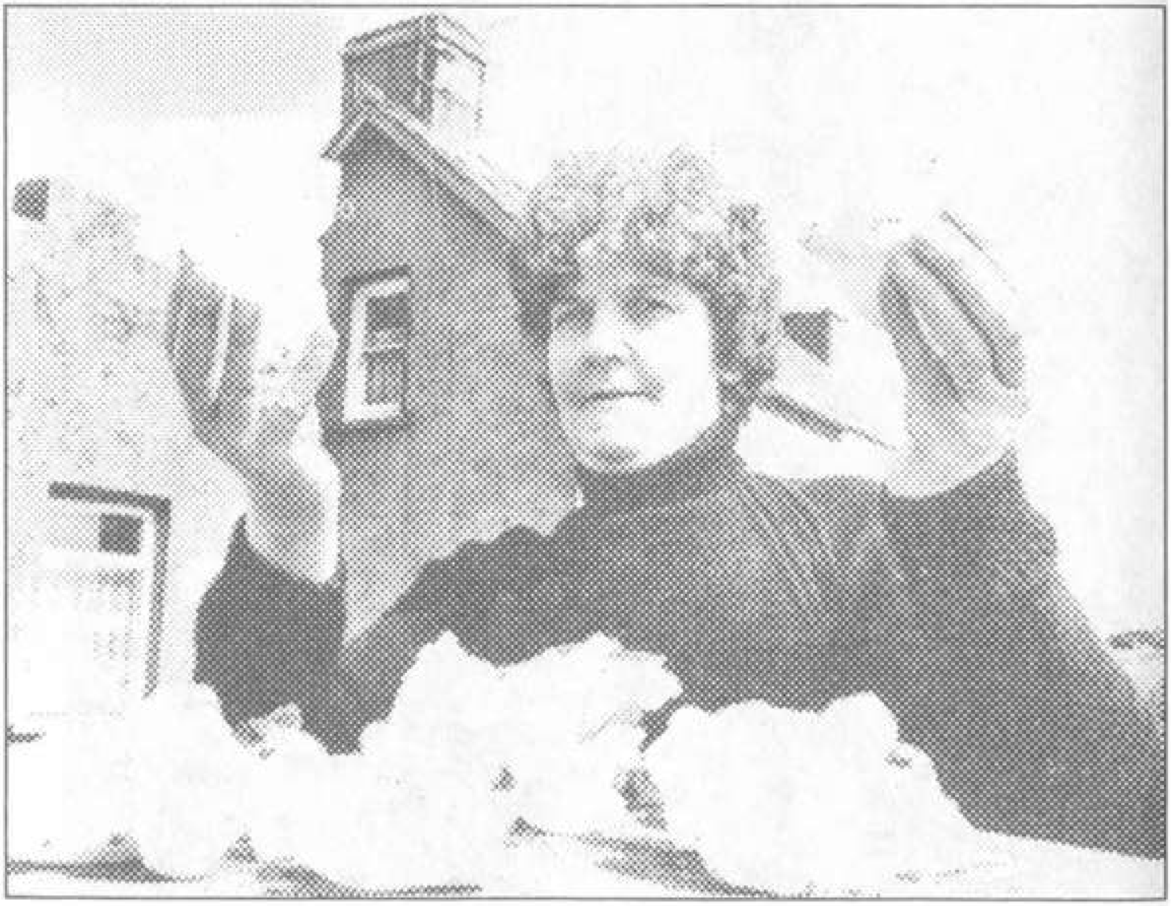

Beryl Voyle prezentuje odłamki ogromnego bloku lodu, prawdopodobnie lodowego meteorytu, który spadł w pobliżu jej domu w Wiston w Walii w kwietniu 1986 roku.

Grad, który spadł w 1929 roku na miasteczko Girard, Illinois, był jak widać na zdjęciu większy niż kurze jaja. Zaobserwowano także o wiele większe „powietrzne icebergi", a wśród nich jeden, mierzący około sześciu metrów średnicy...

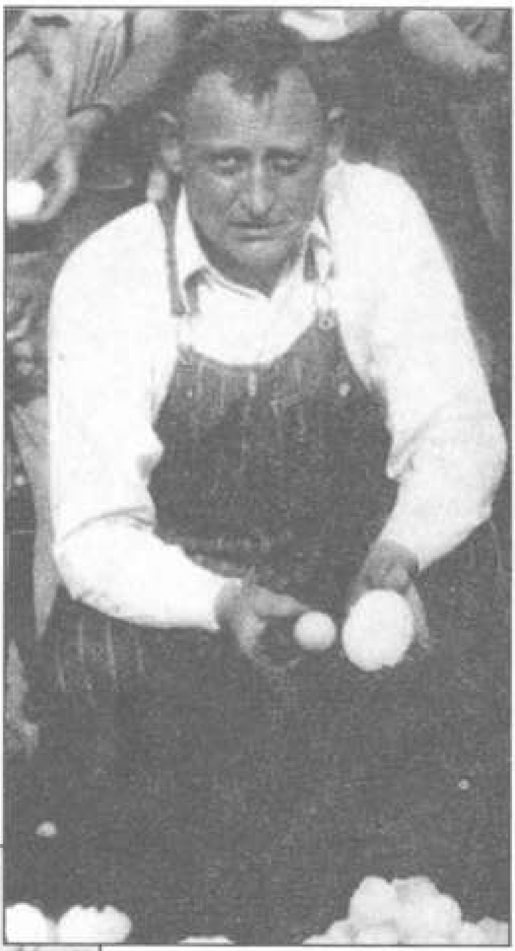

Louis Castoreno, na którego podwórko spadł zaskakujący deszcz małych rybek. Fort Worth 1985.

Eleanore Zügun, której twarz naznaczyły zęby niewidzialnego napastnika.

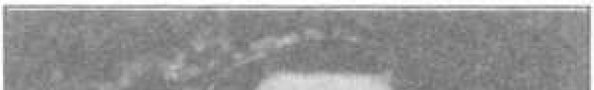

Ojciec Pio czyli Francis Porgione, którego dłonie, stopy i bok krwawiły nie gojąc się, od trzydziestego pierwszego roku życia. Dziesiątki tysięcy ludzi prosiło o jego wstawiennictwo w modlitwie, wierząc w akt szczególnej łaski, którego dowodem były jego stygmaty.

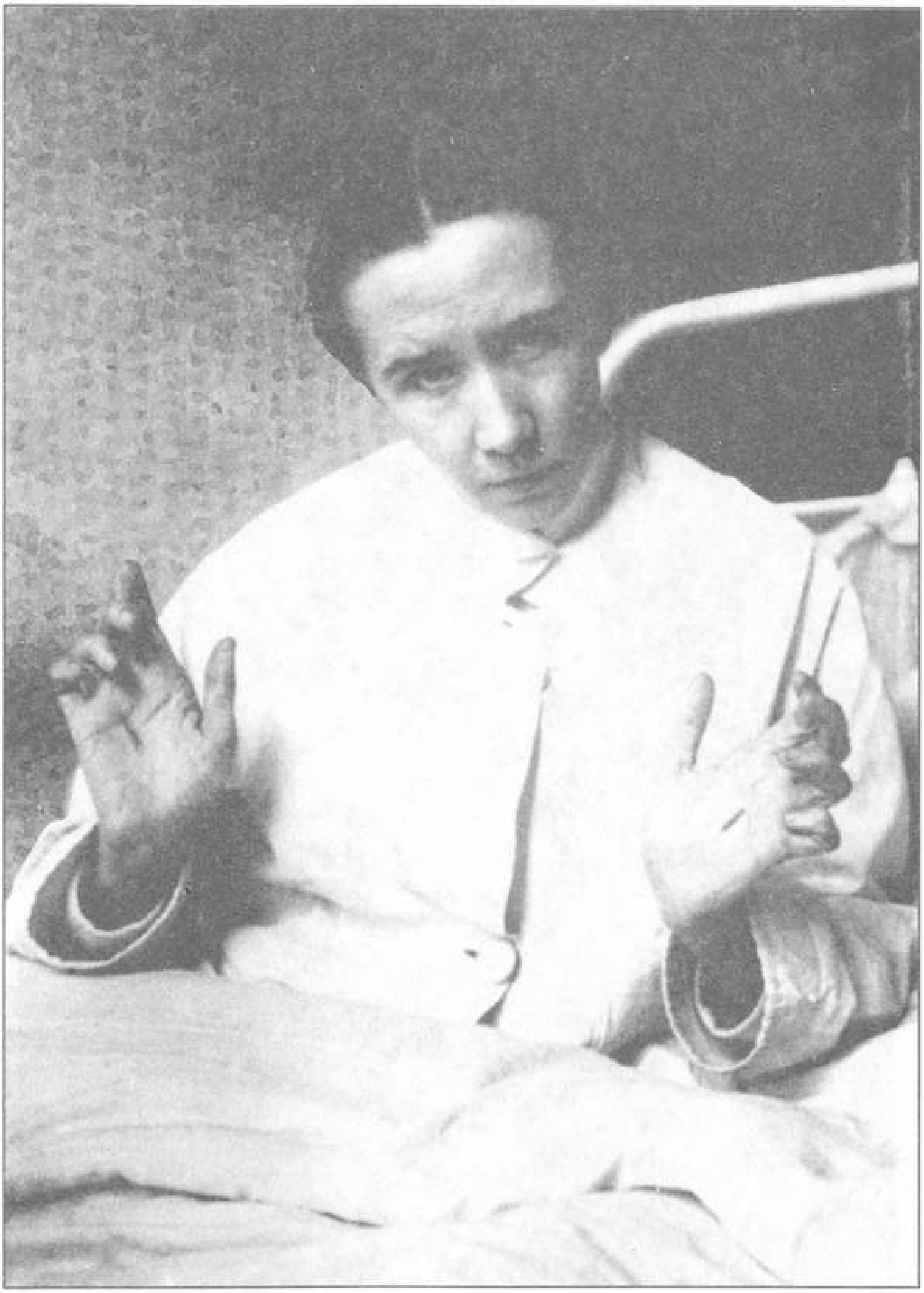

Theresa Neumann z Konnersreuth w Niemczech, na której ciele stygmaty pojawiły się w 1926 roku i aż do śmierci ani nie zagoiły się, ani nie uległy infekcji...

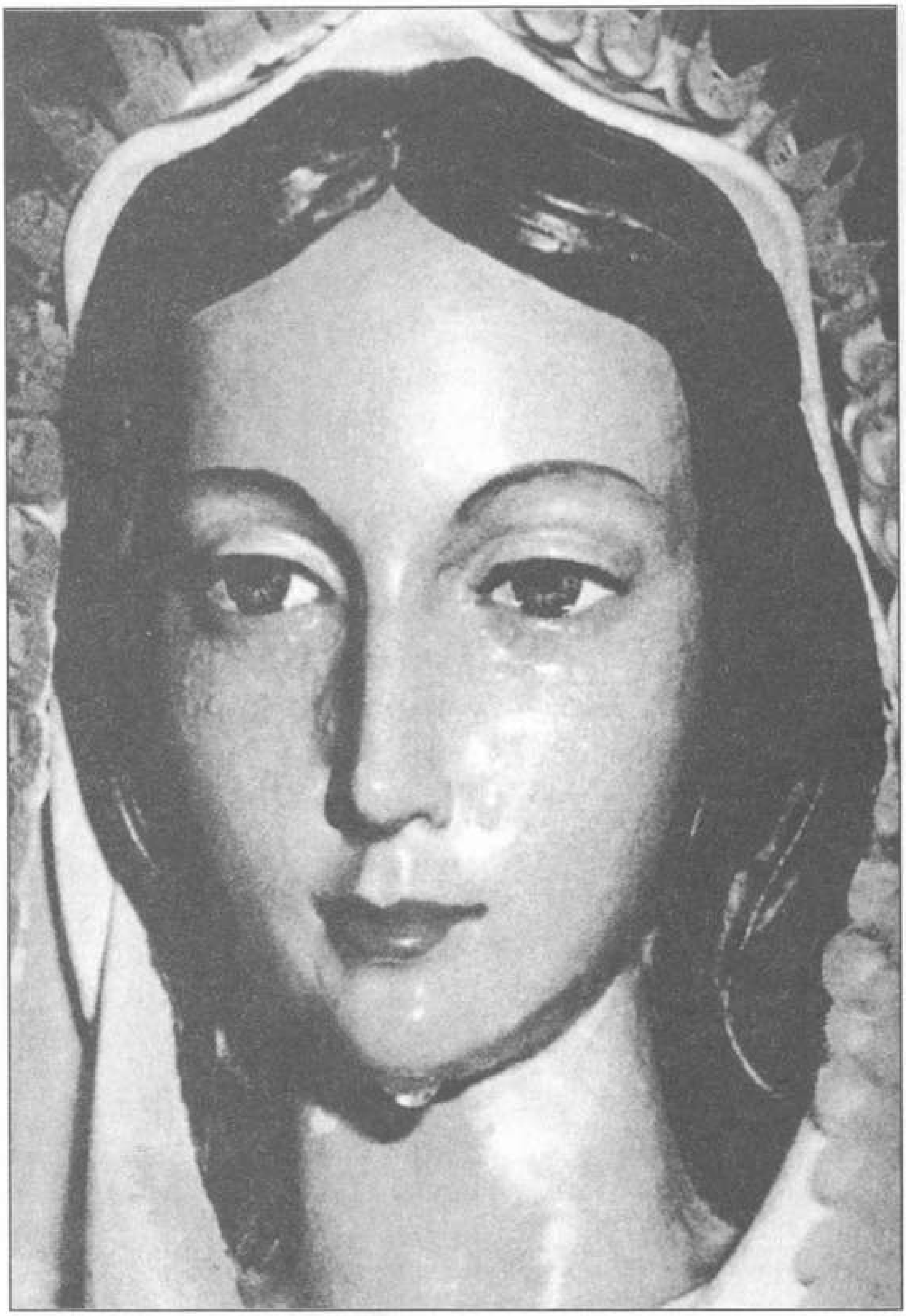

Płacząca figura Madonny z kościoła w Maasmechelen, Belgia.

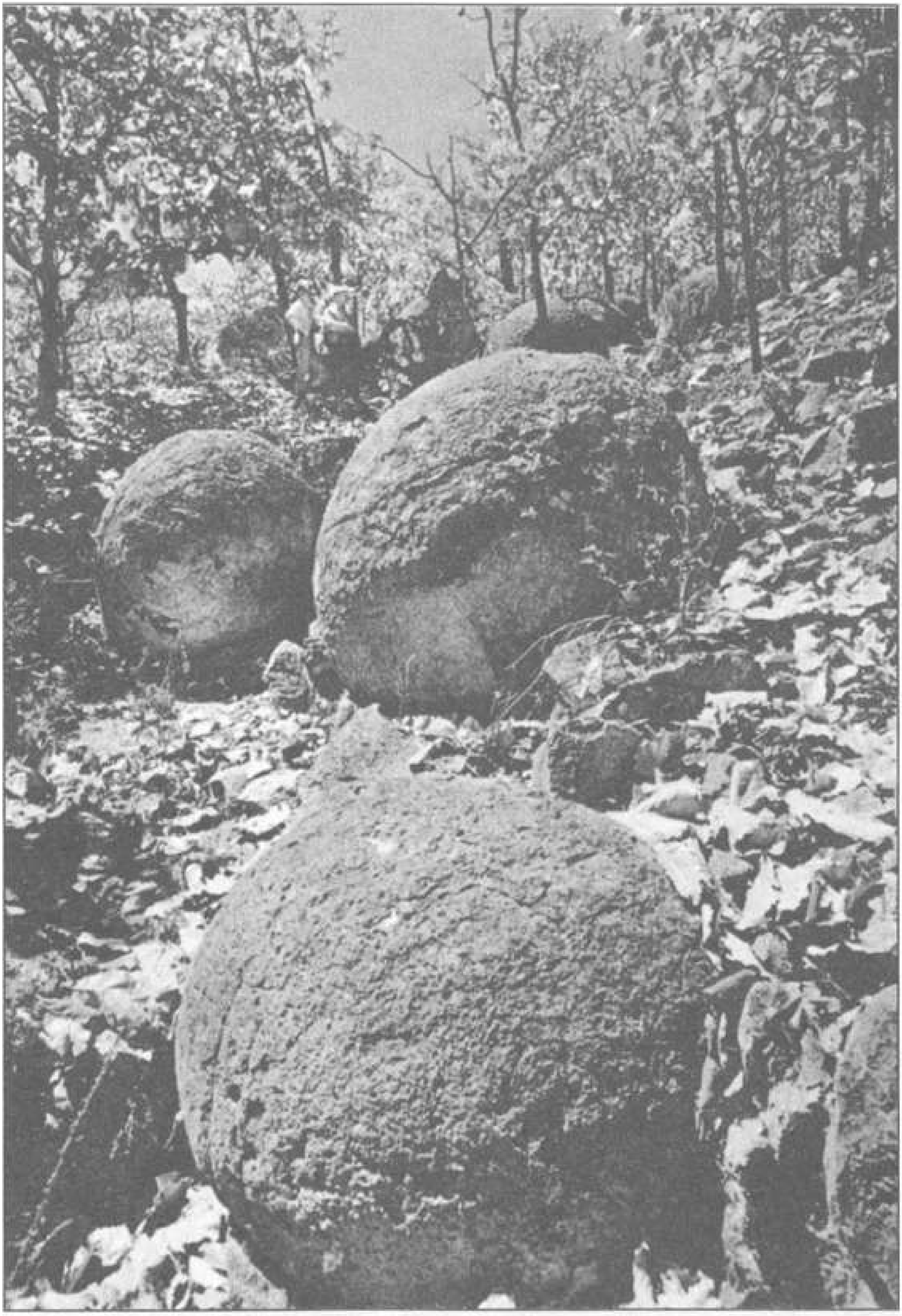

Zdumiewający twór natury – wielkie wulkaniczne kule z Sierra de Ameca.

Jedna z kamiennych kul z Costa Rica, jak się okazuje, wytwór ludzkich rąk – „piłka bogów”.

Licząca setki lat żelazna kolumna, całkowicie odporna na korozję.

Wykonana z niebywałą precyzją, naturalnych rozmiarów czaszka z jednolitego bloku kryształu górskiego, odkopana w ruinach miasta Majów – Lubaantun.

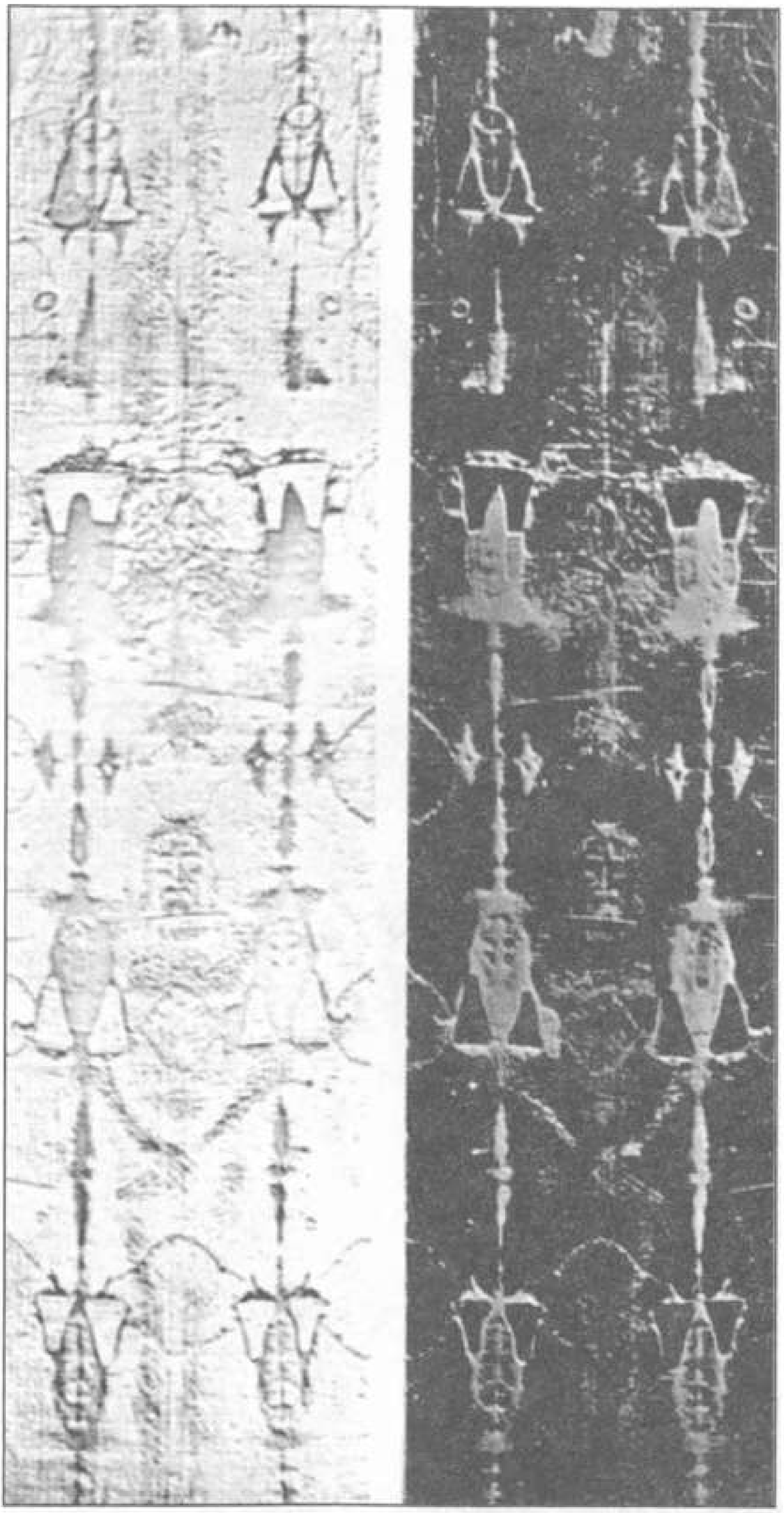

Zewnętrzna i wewnętrzna powierzchnia Całunu Turyńskiego.

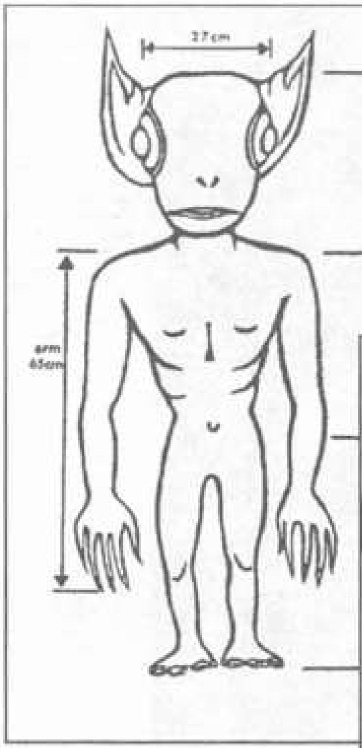

Pamięciowy wizerunek ufonauty widzianego w Kelly Hopkinsville.

Yeti – legendarny Człowiek Śniegu. Obok tybetański kapłan i coś, co jak twierdzi, jest skalpem yeti, którego domniemane ślady (na zdjęciu powyżej) elektryzują kolejne ekspedycje w Himalaje...

Bob Gimlin prezentuje niemal czterdziestocentymetrowe odlewy śladów Sasquatcha. Bluff Creek, Kalifornia.

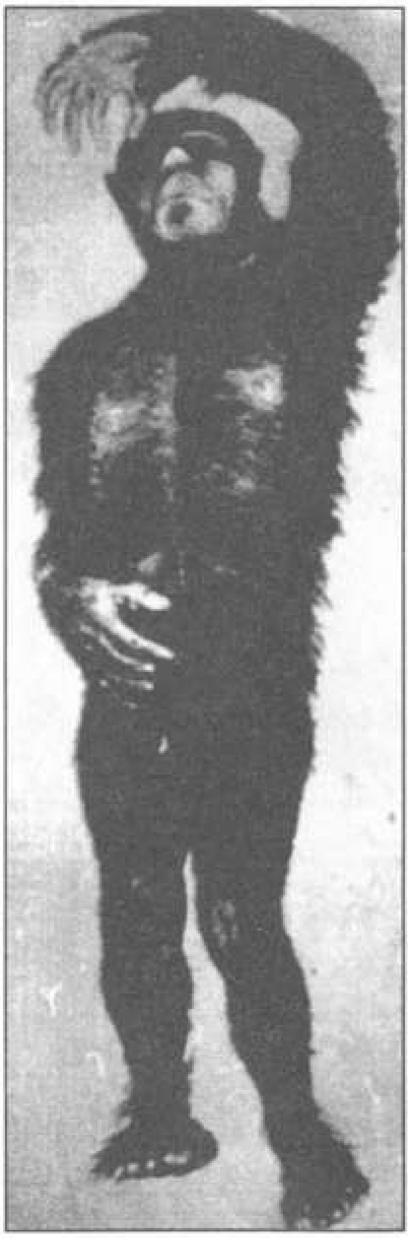

Homo pongoides – fotografia zamrożonej istoty pokazywanej w Stanach Zjednoczonych, w 1968 roku. Z lewej, rekonstrukcja.

Wydmy w Kelso w południowo-wschodniej Kaliforni – jeden z dwóch obszarów występowania buczącego piasku w kontynetalnej części Stanów Zjednoczonych.

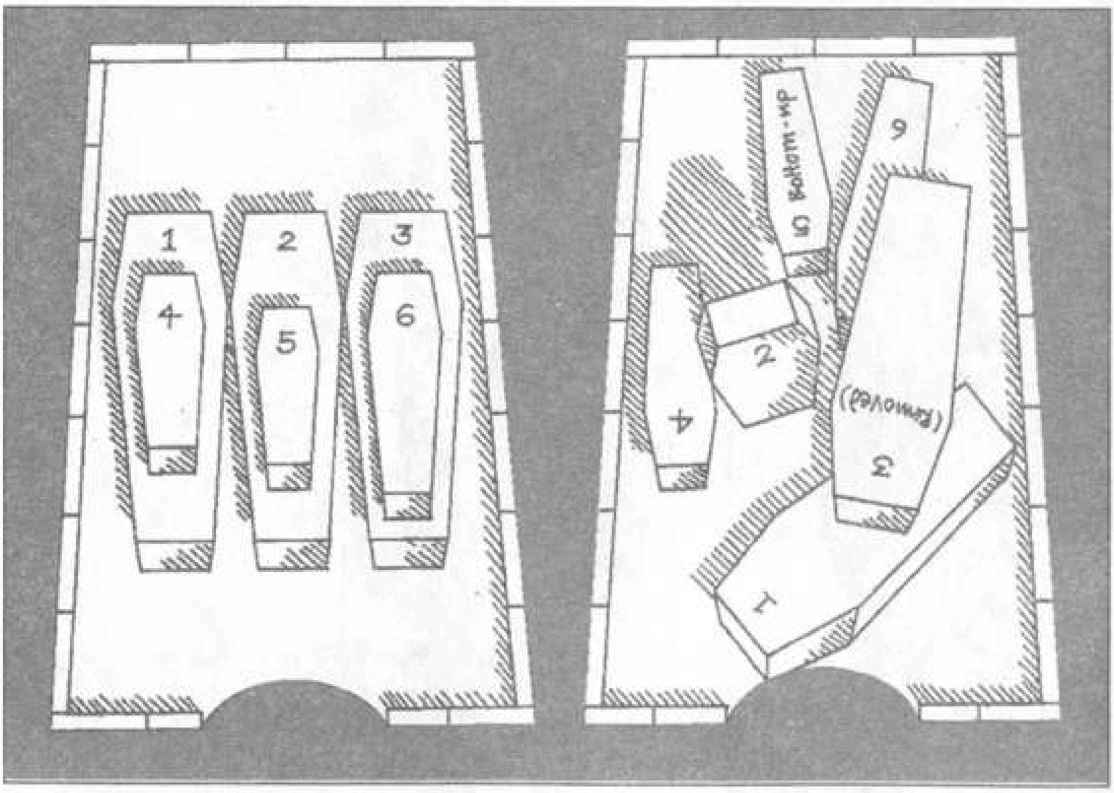
1
2
3
4
5
6
5 Bottom-up
6
4
2
(Removed)
3
1

Niewyjaśnione siły rozrzucają ciężkie, ołowiane trumny w grobowcu rodziny Chase na Barbados. Figle z zaświatów?

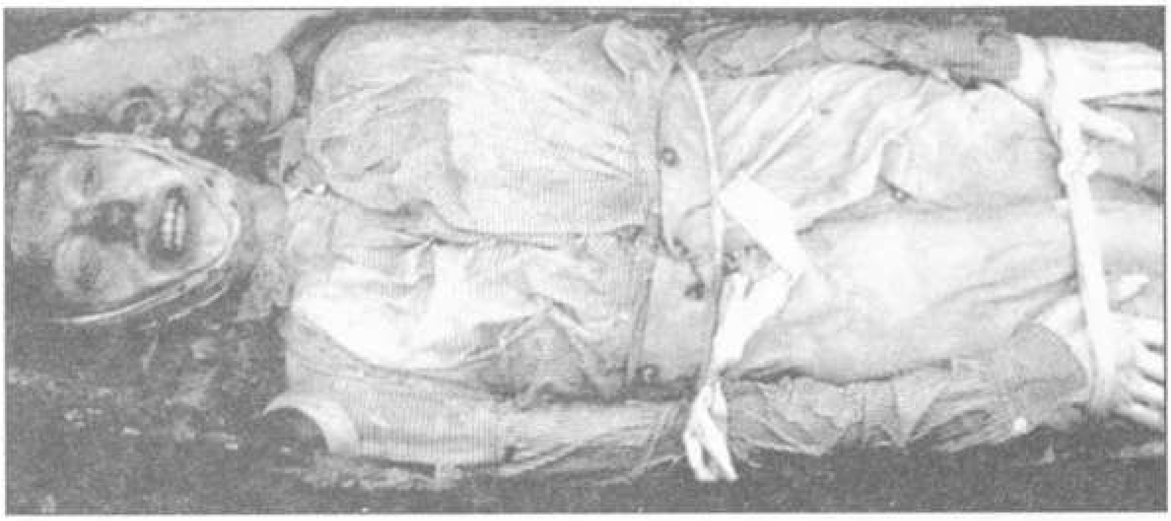

Ciało młodszego oficera ekspedycji Franklina, Johna Torringtona, które przetrwało wśród lodów Arktyki przez sto czterdzieści lat... Tak musiały wyglądać ciała „martwych odkrywców".

Charles Sherwood Stratton – „generał Tomcio Paluch", z żoną – Lavinią Warren. Była to najbardziej znana para liliputów w drugiej połowie XIX wieku w Stanach Zjednoczonych.

Lucia Zarate – najmniejsza kobieta świata. Jej wzrost wynosił zaledwie czterdzieści pięć centymetrów przy wadze niecałych sześciu kilogramów. Zginęła podczas zadymki śnieżnej w górach Sierra Nevada w 1890 roku, gdzie utknął pociąg cyrkowy, którym podróżowała.

NAJWIĘKSZE TAJEMNICE ŚWIATA

WYSPA STRACHU
CHODZENIE PO OGNIU
LUDZIE POCHODNIE
WISZĄCY NA HAKACH
ŚLADY STÓP DIABŁA
COŚ DZIEJE SIĘ W GŁĘBINACH
TAJEMNICZY STWÓR MATAH KAGMI

oraz kilkadziesiąt innych niepokojących i tajemniczych faktów

WYDANIE ILUSTROWANE